

*Lewis Perdue*

*Spadek Leonarda da Vinci*

---

Philip Wilson

Tytuł oryginału: The Da Vinci Legacy

Mniej więcej połowa tej książki oparta jest na faktach, toteż chciałbym w tym miejscu podziękować kilku osobom, które pomogły mi w zbieraniu materiałów do niej.

Szczególłą wdzięczność winien jestem doktorowi Carlo Pedrettiemu z uniwersytetów w Los Angeles i Bolonii, jednemu z najwybitniejszych na świecie znawców Leonarda da Vinci, oraz Lelli Smith z Fundacji Armanda Hammera za niemal wszystkie zawarte w tej książce wiadomości na temat Kodeksu Hammera, zakupionego przez doktora Armanda Hammera, prezesa Occidental Petroleum.

Doktor Rich Morrison i doktor Andrew Cassadenti z Centrum Medycznego Uniwersytetu w Los Angeles udzielili mi wydatnej pomocy w zbieraniu danych o środkach trujących i ich odtrutkach.

Jestem także wdzięczny wielu innym ludziom, którzy pomagali mi, lecz w trosce o swą karierę i reputację pragnęli pozostać anonimowi.

Chciałbym również podziękować mojej żonie za to, że wciąż jeszcze znosi mnie i moje pisanie. (Tym bardziej, że minęło już dwadzieścia lat od pierwszego wydania tej książki w 1983 roku.)

Jak wspomniałem, mniej więcej połowa powieści jest prawdą. Dociekliwości czytelników pozostawiam rozstrzygnięcie, która.

## *Księga pierwsza*

---

*Tacie, któremu zawdzięczam miłość do literatury,  
a więc i wszystko, co napisałem.*

## Rozdział 1

---

*Niedziela, 2 lipca*

Zabijanie sprawiało mu radość. Natomiast oczekiwanie na moment zabójstwa było jedyną rzeczą, która budziła w nim niepokój. I właśnie teraz odczuwał niepokój, siedząc w cienistym kamiennym wnętrzu, odgradzony od piekielnego skwaru na dworze.

Grzbietem dłoni otarł znad górnej wargi kropelki potu, które zebrały się tam pomimo chłodu panującego w tej pełnej przepychu jaskini wiary, dzieła rąk ludzkich, zbudowanego z marmuru z Elby, złota z Afryki i drogocennych ozdób zwiezionych z całego świata. Rozejrzał się ukradkiem, udając zainteresowanie mszą. Nie cierpiał kościołów - wszelkich kościołów - a zwłaszcza takich jak ten, przy którego wzniesieniu szafowano hojnie trudem całego życia tysięcy ludzi. Kościołów i jaskiń. I jedno, i drugie zamieszkiwało pierwotne myślenie z epoki kamiennej. - Boże Ojcze, w Hostii jedyny - zaintonowali chórem wierni. - Niebiosa i ziemia są pełne chwały Twojej. - Nie chcąc zwrócić na siebie uwagi, mamrotał wraz z nimi w swojej kiepskiej włoszczyźnie.

Popatrzył na wiszące na wyniosłych ścianach olbrzymie obrazy, przedstawiające świętych, aniołów, serafiny i cherubiny. A potem na wiernych, tak uderzająco od nich różnych - biednych, dość ubogich ludzi, siedzących sztywno, nienawykłych do odświętnych ubrań, które wkładali tylko na niedzielne nabożeństwa. Mężczyźni ze stwardniałymi dłońmi oraz włosami niewątpliwie obciętymi przez ich żony. Ich otyłe małżonki, którym tusza przydawała jednak jakiegoś osobliwego dostojęstwa. A pomiędzy nimi wierzące się niespokojnie dzieci, które nie mogły się już doczekać końca mszy.

Od tego pospolitego szarego tłumu odróżniali się turyści, niczym szlachetne kamienie tkwiące pośród zaoranego pola. Byli to, jak się domyślał, głównie Amerykanie -dobrze ubrani, dobrze uczesani, dobrze odżywnieni, tacy sami jak on. Chociaż przy swoich niemal stu

dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu był od nich sporo wyższy, można go było mimo to wziąć za amerykańskiego turystę. Ten fatalny błąd popełniło już w przeszłości sporo ludzi.

- Hosanna na wysokości - odczytał głośno z modlitewnika.

- Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie.

Tuż przed nim mały, może dziewięcioletni chłopiec kręcił się niecierpliwie, najwyraźniej znudzony mszą i nie-zainteresowany wnętrzem katedry, Duomo w Pizie, z jej stojącą nieopodal Krzywą Wieżą.

- Hosanna na wysokości.

Wierni umilkli, a ksiądz odziany w czerwone szaty liturgiczne - jako że był dzień 2 lipca, święto Przenajświętszej Krwi Pańskiej - kontynuował po włosku odprawianie mszy.

Mężczyzna znów otarł pot znad górnej wargi, a potem nerwowo przeczesał palcami jasne włosy. Puszczając mimo uszu słowa kapłana, przyjrzał się nawie głównej. Inaczej niż w większości katedr, była dobrze oświetlona, wręcz skąpana w świetle wpadającym przez ogromne okna umieszczone u szczytu, gdzie łagodnie, niemal niedostrzegalnie kołysał się masywny żyrandol z brązu, zwany lampą Galileusza.

Mężczyzna zerknął niespokojnie w górę na odgradzony balustradą pomost, umieszczony niemal pod samym sklepieniem olbrzymiej katedry i wiodący do pojedynczych drzwi. Powiódł wolno wzrokiem w dół, przez zdobiony złotem wizerunek Chrystusa, aż do ołtarza z imponującym, blisko dwumetrowym krucyfiksem z brązu, zaprojektowanym... zastanowił się chwilę... przez Giambolognę. Tak, pomyślał, to był Giambologna. Chryste, ile ta cywilizacja mogłaby osiągnąć, gdyby jej najlepsze umysły nie zmarnowały swego czasu na rzeźbienie, odlewanie i malowanie krzyży!

- On bowiem tej nocy, której był wydany – zaintonował ksiądz - dał największe świadectwo Swej miłości. Wziął chleb..

Ksiądz ujął hostię i wznosił wzrok ku niebiosom. Mężczyzna również podniósł głowę, rzucając jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na balustradę i drzwi.

- ... i dzięki tobie składając, błogosławił... – kapłan uczynił nad

hostią znak krzyża - łamał i rozdawał uczniom swoim.

Nie odrywając od ołtarza spojrzenia zimnych, lodowato błękitnych oczu, mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni eleganckiej marynarki i dotknął rękojeści Scescepty z kości słoniowej. Pokrzepiony tym gestem, opuścił rękę. Dziewięciolatek przed nim bez przerwy stukał w podłogę czubkami tanich bucików. To stukanie działało mężczyźnie na nerwy.

Zapach kadzidła nasilił się, a wszystkie kolory w katedrze nabrały intensywności. Jasnowłosy mężczyzna czuł, jak ubranie przywiera mu wilgotną warstwą do skóry. W chwilach takich, jak ta, jego zmysły zawsze się wyostrzały. Uwielbiał zabijać; odczuwał wówczas pełnię życia.

- Podobnie po wieczerzy - mówił dalej ksiądz, podnosząc oburącz mszalny kielich - wziął ten kielich i ponownie dzięki Tobie składając, podał swoim uczniom, mówiąc:

„To jest kielich krwi mojej...”

Mięśnie mężczyzny napięły się jak postronki.

- „... krwi Nowego i Wiecznego Przymierza...” Mężczyzna spojrział w górę na drzwi nad ołtarzem.

- „... która za was i za wielu będzie wylana...”

W katedrze rozległ się przerażający wrzask. Jakiś chudy człowiek ze skrzepowanymi rękami i nogami wypadł za balustradę, uwiązany za szyję liną alpinistyczną.

- Niiieeee! - krzyczał po niemiecku, spadając. - O, Chryste! Niiiee!

W tym momencie wysoki mężczyzna wstał i ruszył do drzwi. Dziewięciolatek przestał tupać w podłogę. Ksiądz upuścił inkrustowany klejnotami kielich, który potoczył się z brzękiem po stopniach ołtarza, chlustając konsekrowanym winem.

Lina rozwinęła się na całą długość i gwałtownie naprężyła, a pętla zacisnęła się na szyi chudego mężczyzny, dławiąc jego krzyki. Jednak ciało spadało dalej, gdyż elastyczny sznur rozciągnął się, i wreszcie roztrzaskało się o marmurową podłogę ze stłumionym, głuchym odgłosem pękających kości.

Jasnowłosy był już w połowie drogi do wyjścia, gdy lina wróciła

do pierwotnej długości, podrywając zmasakrowane ciało znów w górę, w stronę ołtarza. Wierni w kościele wstrzymali oddech w ciszy, która zdawała się zawieszać bieg czasu i prawa ciężenia. Przez jedną przerażającą chwilę ciało wisiało nad ołtarzem, po czym nadziało się brzuchem na szczyt krzyża Giambologni.

Krew chlusnęła strumieniem na wiszącego na krzyżu Chrystusa i na ołtarz, ścinając się w połączeniu z winem z przewróconego kielicha. Ksiądz przeżegnał się i upadł na kolana, błagając Boga o przebaczenie.

Katedrę wypełniły pełne grozy krzyki, gdy kilku wiernych ruszyło księdzu na pomoc, reszta zaś zaczęła gwałtownie przepychać się do drzwi, tuż za plecami wychodzącego blondyna.

Na zewnątrz nieznajomy skręcił szybko w lewo i podążył za potężnym mężczyzną, który szedł energicznym krokiem z katedry w kierunku okrągłego marmurowego baptysterium, skrytego w cieniu wieży. Krzyki nasilały się, w miarę jak tłum wiernych wylewał się z katedry na dziedziniec, głośno wzywając policję.

Baptysterium błyskawicznie opustoszało, gdyż ludzie wybiegli na zewnątrz, chcąc poznać przyczynę tego zamieszania.

- Świetna robota - pochwalił zwalistego osiłka, gdy znaleźli się w środku sami. - Nawet ja nie zauważyłem, jak przerzuciłeś go przez balustradę, a przecież bacznie się przyglądałem.

-Danke, mein Herr - odrzekł tamten tonem pełnym szacunku. Miał grubo ciosane germańskie rysy i posturę bremeńskiego hutnika, którym istotnie kiedyś był. Nie wyższy od blondyna, ważył jednak dobre dwadzieścia kilogramów więcej.

- Mówię zupełnie szczerze - ciągnął blondyn nienaganna niemczyzną. - To było doskonałe przedstawienie. Nauczka z pewnością poskutkuje. Podobało mi się zwłaszcza, jak lina zacisnęła się wokół jego szyi.

Niemiec rozpromienił się. Nazywano go „Nauczycielem”, nie dla jego wykształcenia, lecz z powodu „lekcji”, jakich udzielał.

- Wielkie dzięki, *mein Herr*, ale nazbyt mnie pan wychwala. Wykonuję tylko moją robotę. - Uśmiechnął się wyczekująco.

Mężczyzna wsunął dłoń z doskonale wypiełgnowanymi paznokciami za pazuchę marynarki, ale nie wyjął stamtąd pieniędzy,

tylko długi sztylet z rękojeścią z kości słoniowej inkrustowanej złotem, srebrem i drogimi kamieniami. W średniowieczu pogańscy kapłani używali Sesepty do składania ofiar. Obecnie była bezcennym dziełem sztuki.

„Nauczyciel” zareagował szybko, jak na tak potężnego mężczyznę, lecz mimo to spóźnił się. Po pierwszym cięciu jelita wypadły na zimną marmurową posadzkę. Drugie wycięło mu na szyi pod brodą szczelinę przypominającą ohydny krwawy uśmiech. Osunął się na podłogę, oparty plecami o chrzcielnicę.

- Ach, Nauczycielu - wyszeptał blondyn wprost w gasnące oczy mężczyzny. - Niebezpiecznie jest wiedzieć niewiele. Ale jeszcze niebezpieczniej jest wiedzieć dużo. - Przerwał, gdy tamten zamrugał. - A za dużo? No cóż, gdy się wie za dużo, można łatwo przyplacić to życiem.

W oczach Niemca błysnęło przez chwilę zrozumienie, nim na zawsze skryły się za ciężkimi powiekami.

Blondyn szybko wytarł ostrze swej zabytkowej broni o koszulę zabitego i wsunął sztylet z powrotem do pochwy. Wychodząc długim krokiem z baptysterium, zastanowił się przelotnie, kiedy ktoś inny dojdzie do wniosku, że on sam wie za dużo.

## *Rozdział 2*

---

*Środa, 5 lipca*

Dzień był przepiękny. Światło słoneczne lało się z bezchmurnego nieba i odbijało oślepiająco od piasku i wody, gdy Vance Erikson mknął na południe autostradą Pacific Coast, pochylony nad kierownicą swego wyremontowanego motocykla Indian, rocznik 1948. Potężny silnik ryczał, kiedy wyprzedzał jeden samochód po drugim. Przyjemnie było znaleźć się znów na łonie cywilizacji, nawet jeśli trzeba było tu obcować z pochlebcami i księgowymi o jaszczurczych twarzach, zatrudnionymi w kompanii naftowej.

Niecałą godzinę wcześniej Erikson wjechał do prowizorycznego



obozu poszukiwawczego w Ventura County a z przyczepy kempingowej wybiegł mu na spotkanie administrator - najbardziej gadzinowaty spośród wszystkich księgowych.

- Kingsbury chce się z panem widzieć - rzekł bez tchu. - Gdzie pan się podziewał? Dlaczego nie wziął pan ze sobą nadajnika? Gdzie pańskie miesięczne raporty?

Wyrzucał z siebie zdania bez przerw, tonem nieskrywanej pogardy. Nienawidził Vance'a i chętnie by go zwolnił, gdyby nie dwie przeszkody: niekonwencjonalne metody Vance'a czyniły go najlepszym geologiem poszukiwawczym, jaki kiedykolwiek pracował w Continental Pacific Oil, a ponadto właściciel firmy, Harrison Kingsbury, traktował Vance'a niemal jak syna.

Jadąc z prędkością prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Erikson szybko dotarł w pobliże skrzyżowania z Bulwarem Zachodzącego Słońca i zwolnił, przewidując, że ruch będzie tu większy. To nieważne, pomyślał, zerknąwszy na swój wodoszczelny zegarek nurka. Miał mnóstwo czasu.

Przy zjeździe prowadzącym do jego domu - małego otynkowanego bungalowu z dwiema sypialniami, oddalonego zaledwie o dwie przecznice od biurowca ConPacCo - zawahał się. Może powinien wpaść tam i zmienić ubranie. Koszula w kratę i dżinsy były brudne i sfatygowane po tygodniu spędzonym w terenie. Westchnął ciężko. Nie, jeszcze nie teraz. Nie był jeszcze gotowy do stawienia czoła upiorom przeszłości.

Przed biurowcem firmy ujrzał skupisko zaparkowanych tuż przy krawężniku furgonetek i sedanów z nazwami stacji telewizyjnych z Los Angeles. Widocznie było to jedno z wydarzeń medialnych Kingsbury'ego. Zręcznie wmanewrował motocykl pomiędzy dwa mikrobusy blokujące podjazd dla wózków inwalidzkich, wjechał na chodnik i zgasił silnik.

Skoro tylko przekroczył próg budynku, zagadnął go tradycyjnie ubrany mężczyzna po trzydziestce, o atletycznej budowie. Nelson Bailey, wiceprezydent ConPacCo odpowiedzialny za logistykę poszukiwań ropy, magister zarządzania po Harvardzie, wyglądał jakby szedł prosto ze stronic „GQ”.

- Słyszałem, że pan wraca - rzucił beznamiętnym tonem. Wprawdzie jego twarz z pozoru nie wyrażała wrogości, ale trudno też było doszukać się na niej choćby cienia uśmiechu.

Nie spodziewałem się komitetu powitalnego - odparł sarkastycznie Vance. - A już z pewnością nikogo z pańskiego szczebla.

Nie zwolnił kroku i minął mężczyznę, lecz Bailey zawrócił i zrównał się z nim przy windzie łączącej parter z najwyższym piętrem. Vance nacisnął guzik.

- Spiesz się - powiedział, odwracając się do Bailey'a i uśmiechając na widok irytacji, malującej się wyraźnie na obliczu wiceprezydenta. - Sądzę, że w interesie żadnego z nas nie leży to, by kazać czekać założycielowi firmy.

Bailey jeszcze bardziej spochmurniał.

- Uważa się pan za niezwykle sprytnego, co? No cóż, niebawem dostanie pan za swoje.

- A o co tym razem chodzi? - zripostował Vance. - Czy użyłem w moim miesięcznym sprawozdaniu geologicznym niewłaściwego kroju czcionki?

- Cholernie dobrze pan wie, o co chodzi. W tym miesiącu przysłał mi pan dokładnie to samo przekłete sprawozdanie, co w ubiegłym.

- Zgadza się - odparł Vance.

Nadjechała winda.

- Nie wolno panu tak robić - powiedział Bailey, gdy wsiedli.

- Dlaczego nie? Wyniki liczbowe były identyczne.

- W firmie obowiązują pewne zarządzenia i przepisy, wprowadzone z powodu...

- Jasne, z powodu ustawy o pełnym zatrudnieniu dla lizusowskich urzędasów.

- Do diabła, Erikson! - wybuchnął Bailey. - Nie możesz wciąż lekceważyć naszego systemu. Stary nie będzie żył wiecznie, a po jego odejściu nikt już nie stanie w obronie twoich ekscentrycznych metod. Wtedy cię dopadniemy!

Winda zatrzymała się miękko i drzwi się rozsunęły.

- Wiemy, co ty i stary kombinujecie z tą rzeczą Leonarda da Vinci - powiedział Bailey cicho, lecz nie tak cicho, by Vance'owi umknęła

nuta zimnej nienawiści w jego głosie. - Wiemy o tym wszystko i jeśli nie będziesz ostrożny, wpadniesz w poważne tarapaty.

Vance wyszedł z windy, odwrócił się i stał uśmiechnięty naprzeciw Bailey, gdy za tamtym zamykały się drzwi.

Co Bailey może wiedzieć? zastanawiał się. Nawet on sam nie miał zbytniego pojęcia, jakie znaczenie mógłby mieć jego raport na temat Leonarda. Poza tym ten ezoteryczny temat mógł zainteresować co najwyżej historyków i kolekcjonerów sztuki.

*Wiemy, co ty i stary kombinujecie...*

Do diabła z tym, powiedział sobie, zmierzając do sali konferencyjnej. Gdy do niej wszedł, zatrzymał się na moment w drzwiach, chcąc zorientować się w sytuacji. Telewizyjne jupitery jaskrawo oświetlały podium; niewielka salka konferencyjna pękała w szwach od tłumu reporterów oraz ludzi z ConPacCo. Wśród tych ostatnich, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył praktycznie wszystkich pracowników Fundacji Kingsbury'ego - niewielkiego filantropijnego odgałęzienia firmy, a zarazem narzędzia służącego szefowi do wspierania sztuki.

Vance stał tam w wypłowiałych dzinsach, zabłoconych turystycznych buciorach i kraciastej koszuli, i przeczesywał dłońmi ciemnobrązowe włosy, próbując nadać im choćby pozor ładu. Jednak to brudne ubranie i popękana brązowa skórzana kurtka lotnicza, którą zawsze wkładał do jazdy na motocyklu, dobrze leżały na jego muskularnym ciele, zahartowanym przez surowe życie pod gołym niebem. Mrużąc oczy, wpatrywał się w telewizyjne lampy, aż wreszcie odnalazł wzrokiem Kingsbury'ego.

Szef stał na podium, starając się uspokoić kłębiący się pod nim tłumek. Jego białe włosy, jak zawsze starannie zaczesane do tyłu i odsłaniające głębokie zakola, jarzyły się w świetle jupiterów, przypominając aureolę. Spod niej wyglądało oblicze patrycjusza, poorane zaszczytnymi zmarszczkami, znamionującymi kogoś, kto zaznał wielu przeciwności losu i z klasą je przewyciężył.

Cóż to za człowiek, pomyślał Vance z podziwem. Kingsbury, syn walijskiego górnika, w 1920 roku jako nastolatek wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W ciągu pięciu lat od przybycia do Nowego

Jorku przekształcił niewielką, bliską bankructwa firmę, zajmującą się dystrybucją oleju opałowego, w sieć pokrywającą pięć północno-wschodnich stanów. Dwa dni przed krachem na giełdzie w 1929 roku był już milionerem. Ponieważ nie prowadził spekulacji giełdowych, jego firma bez uszczerbku przetrwała Wielki Kryzys, a on sam wykorzystał dochody do zdobycia koncesji handlowych w Chinach, rozszerzając tam działalność o próbną wiercenia i eksploatację złóż ropy naftowej. Zyskał sobie w historii przemysłu miejsce obok wielkich przedsiębiorców tej branży, Jean-Paula Getty'ego i Armanda Hammera. Firma Kingsbury'ego była największą na świecie kompanią naftową, pozostającą własnością jednego człowieka. Stale rozwijała się i odnosiła sukcesy dzięki jego niespożytej energii i niekonwencjonalnym pomysłom. Vance wzdygnął się na myśl o tym, co stanie się z firmą po śmierci Kingsbury'ego, gdy wpadnie w ręce androidalnych klonów z dyplomami Harvardu. Najprawdopodobniej sprzedadzą ją jakiemuś międzynarodowemu koncernowi.

- Moglibyśmy właściwie już zacząć - odezwał się Kingsbury i w pokoju natychmiast zapadła cisza. - Wkrótce zjawi się tu pan Erikson i będę chciał, żeby przede wszystkim to on zabrał głos. W końcu odkrycie należy do niego. Ale mogę wam już powiedzieć, że Fundacja Kingsbury'ego za chwilę przedstawi wstępny raport śledczy, dotyczący pierwszej w historii udokumentowanej próby zatuszowania faktów.

Stojąc wciąż niezauważony w ciemnym końcu sali, Vance jęknął w duchu nad przesadnym zmysłem dramatycznym Kingsbury'ego. Jednakże reporterzy telewizyjni uwielbiali starego za to i chłonili wszystko z zapartym tchem. Vance rozważył możliwość szybkiej rejterady i nawet odwrócił się już do wyjścia, gdy nagle szef go dostrzegł.

- A oto i on.

Wszyscy jak na zawołanie odwrócili się i spojrzeli na Vance'a.

- Panie Erikson, proszę tu podejść i przemówić do pań i pań z prasy.

Vance uśmiechnął się do nich błado i ruszył w stronę podium. Zauważył, że wszystkie te żywe manekiny - gładko u fryzowani i

elegancko odziani prezenterzy telewizyjni z wybielonymi uśmiechami i doskonale wyszkolonymi głosami - marszczą się z niesmakiem na widok jego niedbałego i zakurzonego ubioru.

- Prosto z pól naftowych, jak widzę – skomentował Kingsbury, gdy Vance znalazł się u jego boku. Widownia zaśmiała się pobłaźliwie.

- Jak wszyscy zapewne wiecie - ciągnął szef, teraz zaskakująco rzeczowym tonem - Vance Erikson prowadzi podwójne życie. Jest nie tylko najlepszym na świecie geologiem poszukiwawczym... - Vance skrzywił się na ten komplement - lecz również najznakomitszym współczesnym znawcą amatorem Leonarda da Vinci. Ostatnio wraz z moim doradcą, doktorem Geoffreyem Martinim, pomagał mi przy zakupie rzadkiego kodeksu -jednego z najpiękniejszych zbiorów pism Leonarda. Dzięki ich trafnym wskazówkom i radom, nabyłem ten wspaniały kodeks od pewnej starej, czcigodnej włoskiej rodziny, która nigdy wcześniej nie zgodziła się na zaprezentowanie go szerokiej publiczności.

Kingsbury zrobił teatralną pauzę, po czym podjął:

- W trakcie oględzin kodeksu pan Erikson dokonał zdumiewającego odkrycia. Otóż dwie z jego stron są w istocie zręcznym falsyfikatem, sporządzonym wkrótce po śmierci Leonarda, najwyraźniej po to, by zamaskować brak oryginalnego fragmentu. Postanowiłem napiąć finansowe muskuły Fundacji Kingsbury'ego i firmy Conti nental Pacific Oil, by podjąć poszukiwania, kierowane przez pana Eriksona, a mające na celu odkrycie powodu tej renesansowej mistyfikacji, jak również odnalezienie i - o ile to możliwe - odzyskanie brakujących stron. A te raz oddam głos panu Eriksonowi.

\*\*\*

... i właśnie w tej chwili ogłasza to na konferencji prasowej. - Nelson Bailey pochylił się w skórzanym przedyjalnym fotelu i nerwowo skubał swą prążkowaną kamizelkę.

Jest z nim ten dupek Erikson. Stary zrobił z tego istny cyrk dla mediów.

- Nie podniecaj się tak - powiedział uspokajająco niski głos z drugiego końca kuli ziemskiej. - Brakujące strony

są tak głęboko pogrzebane w mroku dziejów, że oni nie mają żadnych szans ich odnaleźć - a przynajmniej nie wcześniej, niż my do nich dotrzemy.

- Ale ty nie znasz tego gościa, tego cholernego Eriksona - jęknął Bailey.

- Nie martw się. Już niedługo zdobędziemy te papiery, nawet gdyby stary wiedział, co w nich jest.

- Powtarzam ci, że *nie znasz* Eriksona - upierał się Bailey. - Przynajmniej zajmijmy się nim, zanim wyrządzi jakąś szkodę.

- Nie, Bailey, i to jest ostateczna decyzja. - Głos zabrzmiał teraz surowo. - Uważam, że twoja prywatna niechęć do Eriksona zaciemnia twój osąd. A nie za to ci płaci Bremeńska Legacja. Płacimy ci, żebyś obserwował i zdawał nam relacje. Wywiązywałeś się z tego dobrze i proponuję, abys nadal robił swoje. To my zadecydujemy, jakie kroki podjąć i kiedy. Zrozumiałeś?

- Tak - odparł niespokojnie Bailey. - Ale wy...

- Żadnych „ale”. Transakcja wchodzi w najdelikatniejszą fazę i chcę mieć pewność, że nic nie zdenerwuje naszych kościelnych przyjaciół.

Dlaczego muszę zadawać się z takimi idiotami, jak ten Bailey? zadał sobie pytanie mężczyzna w Niemczech, przyglądając wolną ręką jasne włosy. To tylko nędzny sługus, wynajęty po to, by miał oko na Kodeks Leonarda da Vinci do czasu zawarcia transakcji. Na nieszczęście kodeks trafił do nabywcy takiego jak Kingsbury, z jego niekonwencjonalnym stylem działania i własnym specjalistą od Leonarda. Jak na kogoś, kto pracuje zawodowo jako geolog, ten Erikson był zaskakująco dobry. W istocie, według dossier Bremeńskiej Legacji, pośród uczonych specjalizujących się w da Vincim zajmował drugie miejsce na świecie, ustępując jedynie profesorowi Geoffreyowi Martiniemu. Mniejsza z tym, pomyślał blondyn. Nawet mając obydwu tych ekspertów, pracujących na okrągło nad wytropieniem zaginionych papierów, Kingsbury nie zdoła przeszkodzić Legacji w dobieciu targu. A gdy transakcja zostanie zawarta - uśmiechnął się do siebie - wówczas nic ani nikt nie będzie mógł przeszkodzić Legacji w realizacji jej celu.

- Nie denerwuj się, Bailey - powiedział, przybierając znów

łagodniejszy ton. - Po prostu informuj mnie na bieżąco, co się dzieje z Eriksonem, a my już zadamy o to, by sprawy nie wymknęły nam się spod kontroli. Jeśli będzie trzeba, damy twojemu przyjacielowi małą nauczkę. Czy to cię uspokaja?

- Chyba tak - odrzekł z wahaniem Bailey. - Przynajmniej na razie.

- To dobrze. Do widzenia.

Blondyn szybko opuścił swój elegancki gabinet, przemierzył energicznym krokiem krótki korytarz i wszedł do innego pokoju. Włożył rękawiczkę i wyjął z klatki wielkiego brunatnego szczura, trzymając go za ogon, aby uniknąć ugryzienia. Następnie wrócił do gabinetu, wciąż ze szczurem w ręku, i cisnął zwierzę w kąt. Szczur nie zdążył jeszcze spaść na podłogę, gdy piękny lśniący sokół zanurkował ze swojej żerdzi, pochwycił go ostrymi szponami i z krótkim trzaskiem zgruchotał mu szyję potężnym dziobem.

- Hermann - rzucił blondyn po niemiecku przez interkom. - Posprzątaj po Mefistofelesie, kiedy skończy.

\*\*\*

Vance Erikson popatrzył w górę na jupitery.

- Nie byłem przygotowany na to wszystko – powiedział szczerze do zgromadzonych w sali ludzi. - Przez dłuższy czas przebywałem poza biurem...

-Ja również - wtrącił Kingsbury, klepiąc go po ojcowsku w plecy. - Ale kiedy wczoraj wieczorem wróciłem i przeczytałem czekający na mnie raport pana Eriksona, wpadłem w ekscytację. W zwykłych okolicznościach natychmiast bym się nim zajął, ale jak wiecie, usiłuję obecnie obronić naszą firmę przed szeroko nagłośnionym wrogiem przejęciem. Tak czy inaczej, uważam to za najbardziej fascynujące wydarzenie w świecie sztuki od dziesięcioleci. Vance - dodał, odwracając się do młodego człowieka z przeproszającym gestem i wzruszeniem ramion - wiem, że przygotowałeś ten raport wiele tygodni temu, ale jestem pewien, że świetnie wszystko pamiętasz. Może więc po prostu streściłbyś to reporterom?

Vance podniósł ręce w górę w geście oznaczającym kapitulację i uśmiechnął się.

- Dobrze - rzekł, odwracając się z powrotem do widowni. -

Zrobię, co będę mógł.

- Ci z państwa - rozpoczął - którzy relacjonowali zakup Kodeksu Kingsbury'ego, pamiętają być może, że nie tylko jest to jeden z niewielu kodeksów Leonarda da Vinci nigdy nieprzełożonych z włoskiego i nigdy nieudostępnionych publiczności - lecz także jeden z nielicznych, które Leonardo sam opracował, bądź też zrobił to jego bliski przyjaciel Francesco Melzi jeszcze za życia autora.

- Leonardo używał wielkich arkuszy pergaminu - ciągnął Vance, coraz bardziej się zapalając - i pokrywał każdą stronę oszalałającą mnogością rysunków, pomysłów wynalazków, zabawnych historyjek, a nawet obrazków pornograficznych. Większości tych stron nic ze sobą nie łączy i robią wrażenie igraszek wyobraźni ekscentrycznego geniusza. Po śmierci Leonarda w 1519 roku, jego rysunki odziedziczył Melzi, który...

- Większość z tego wszyscy już wiemy - przerwała Eriksonowi kobieta o kasztanowych włosach, wstając z jednego z pierwszych rzędów. - To już historia. Jeśli będzie nam potrzebna, znajdziemy ją w naszych archiwach. Może przejdzie pan do sedna.

Vance natychmiast ją rozpoznał. Była to Suzanne Storm, zastępczyni redaktora w magazynie *Haute Culture* i przypuszczalnie najbardziej wredna kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. Wyglądało na to, że nigdy się jej nie pozbędzie. Ilekroć wygłaszał odczyt na temat Leonarda albo towarzyszył Kingsbury'emu podczas otwarcia jakiejś wystawy muzealnej, ona już tam czyhała ze swymi kąśliwymi uwagami. Żywiła do Vance'a urazę, uważając go za intruza ze stopniem naukowym, który wdziera się w świat sztuki i kultury - jej świat. Nigdy nie przepuściła okazji, by przedstawić go jako dyletanta zajmującego się dziedziną, o której nie ma pojęcia.

Rozdrażniony Vance rzucił okiem na szefa, który usadowił się na składanym krzeselku przy podium. Ale starszy mężczyzna tylko uśmiechnął się łagodnie.

-No cóż, skoro wszyscy zebrani dysponują podstawowymi informacjami... - Vance powiódł wzrokiem po twarzach dziennikarzy, oczekując reakcji na swoje słowa. Istotnie, ci z nich, którzy będą potrzebowali ogólnych danych, mogą zdobyć je później. Najwyraźniej



nikt nie chciał zadzierać z Suzanne Storm. - Niech i tak będzie. Więc dobrze, panno Storm, co chce pani wiedzieć?

-Może na początek opowie nam pan, jak odkrył fałszerstwo, skoro nie dostrzegli go najznakomitsi uczeni, zajmujący się Leonardem da Vinci w ciągu minionych czterystu lat. I co zawierały te brakujące strony. - Przerwała. -I dlaczego ktoś chciałby maskować ich brak. - Dziennikarka rozejrzała się po swych kolegach, po czym znów spojrzała na Vance'a. - Chce pan, abyśmy uwierzyli - zapytała wyzywająco - że to była jakaś renesansowa afera Watergate, z Machiavellim w roli głównej? Vance zignorował jej sarkazm.

- Odpowiem na pani pytania po kolei - rzekł spokojnym tonem. - Odkryłem fałszyfikat wkrótce po tym, jak pan Kingsbury nabył ten kodeks - znany wówczas jako Kodeks Caizzi, od nazwiska włoskiej rodziny, której był własnością. Gdy szperałem w zbiorach biblioteki narodowej w Madrycie, poszukując materiałów związanych z Leonardem da Vinci, natrafiłem na dziennik niejakiego Antonio de Beatisa, sekretarza kardynała Aragonii z początków XVI wieku. Wydaje się, że de Beatis nakłonił Leonarda, by ten pokazał mu swoje zebrane pisma.

Odbiega pan od tematu, panie Erikson.

Dziękuję, panno Storm, za sprowadzenie mnie na właściwą ścieżkę - odparł Vance, mierząc ją ciężkim spojrzeniem. - W każdym razie, de Beatis spędził kilka lat na lekturze i katalogowaniu notatników Leonarda da Vinci. Dziennik de Beatisa zawiera kompletny indeks pism Leonarda, wliczając w to także jedyny zbiór, który był wówczas opracowany - kodeks zakupiony przez pana Kingsbury'ego od Caizzich. Porównując spis de Beatisa z tym kodeksem, zauważyłem rozbieżność w ich zawartości...

-Jaką? Panie Erikson, proszę do rzeczy.

Vance odruchowo spojrzał na Suzanne Storm i spostrzegł z satysfakcją, że reporter z działu kulturalnego *Los Angeles Times* nachylił się do niej i powiedział głośno:

- Niech mu pani pozwoli mówić, dobrze?

Kilka innych osób mruknęło z aprobatą.

Dwie strony kodeksu zakupionego przez pana Kingsbury'ego zostały podrobione. Znaki wodne wskazują, że tego papieru nie mógł

użyć Leonardo, gdyż znajdowano je na papierach wytwarzanych dopiero jakiś czas po jego śmierci. Treść tych stron jest błaha i niespójna, i miała w zamyśle posłużyć wyłącznie za pomost przerzucony nad brakującym fragmentem tekstu. Zaś według dziennika sekretarza kardynała, brakujące strony zawierały spostrzeżenia Leonarda dotyczące pogody, burz i błyskawic.

-Dlaczego ktokolwiek miałby tuszować kradzież tych stron? - spytała Storm. - I kto miałby to zrobić?

-Nie znam odpowiedzi na pani pytania, panno Storm. Być może w ciągu nadchodzących tygodni nasze śledztwo rzuci nieco światła na te kwestie.

-Wątpię - rzekła. - A jak to się stało, że właśnie pan -amator - znalazł ten dziennik, podczas gdy przeoczyli go uznani uczeni?

-Ponieważ po prostu grzebałem w stertach książek.

Najwidoczniej ów dziennik został zapomniany albo nie-skatalogowany.

-Znalazł go pan przypadkiem? - spytała sceptycznym tonem.

-Tak - odparł - a warto pamiętać, że w przeszłości w tej samej bibliotece zaginęło całkiem sporo pism Leonarda da Vinci, ponieważ nigdy ich nie skatalogowano.

- Pan Erikson dokonał niezwykłej rzeczy, panno Storm. - Władczy głos Harrisona Kingsbury'ego rozbrzmiał sali konferencyjnej. Starszy mężczyzna wstał i ruszył w stronę podium. - Wybrał nieuczęszczaną trasę i odnalazł coś, o czym w ogóle nie wiedziano, że istnieje - mówił. - W ten sam sposób znalazł ropę dla ConPacCo i właśnie dlatego odnosi spektakularne sukcesy. Nazywają to umiejętnością widzenia dalej niż własny nos. -Uśmiechnął się do Vance'a. - Myślę, że na dziś wystarczy - zwrócił się do reporterów. - Jeśli będziecie potrzebować obszerniejszych informacji, zwróćcie się, proszę, do mojego biura prasowego. Dziękuję wam za przybycie.

## *Rozdział 3*

---

*Piątek, 4 sierpnia, Amsterdam*

Ktoś go śledził. Zapinając płaszcz, by osłonić się przed ukośnymi strugami ulewnego deszczu, Vance Erik-son brnął z wysiłkiem pod wiatr. To niedorzeczne. Kto mógłby go śledzić? Jeśli w ogóle ktoś taki był, zbeształ się w duchu. To tylko wyobraźnia płata mu figle.

Przystanął, aby spojrzeć w górę na tabliczkę z nazwą ulicy na ścianie budynku z czerwonej cegły. Keizergracht. Tak, to właśnie tej ulicy szukał. Dzwon na wieży wybił siódmą. Vance miał jeszcze pół godziny do umówionego obiadu. Skręcił w lewo i ujrzał przelotnie jakąś postać stojącą przy poprzedniej przecznicy, ledwo widoczną w deszczu. Właśnie zapalono latarnie, lecz ulewa tłumiała ich światło. Krople deszczu wielkości szklanych kulek do gry uderzały w wybrukowaną kocimi łbami jezdnię, a od czasu do czasu w plecy jego przeciwdeszczowego płaszcza.

Vance szedł szybkim krokiem w nowo obranym kierunku, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że nieznajomy pojawił się za rogiem i idzie wolno za nim. Vance zatrzymał się. Mężczyzna również. Vance ruszył dalej. Tamten zrobił to samo.

To nie miało sensu. Lecz w takim razie wszystko, co wydarzyło się przez ostatni miesiąc, również nie miało sensu.

Najpierw ta surrealistyczna wizyta w jego domu w Santa Monica, gdzie trzymał większość notatek i książek na temat Leonarda da Vinci. Wszedł tam i ujrzał wnętrze pełne dziur - miejsc, gdzie kiedyś były rzeczy Patty.

Ile czasu minęło - trzy miesiące? Mniej więcej. Przed trzema miesiącami Patty pokazała mu swoją listę. Może to wszystko nie byłoby takie okropne, gdyby nie owa lista. Byli małżeństwem od dwóch lat. Prawda, miewali problemy, ale która para ich nie ma? Ona chciała bezpieczeństwa, on szukał ryzyka. Właśnie tam przebiegała linia zasadniczego podziału. I pragnęła też *rzeczy*, mnóstwa rzeczy, i wielkiego domu, żeby je wszystkie pomieścić. On zaś uważał, że po pewnym czasie rzeczy biorą ludzi we władanie.

Nie uświadamiał sobie, że sytuacja wygląda aż tak źle. A może nie chciał tego dostrzec. Po wielokroć zadawał sobie pytanie, jak sprawy mogły zajść tak daleko, podczas gdy on sam nie był niczego świadom. Ale tak się właśnie stało i pewnego chłodnego majowego

popołudnia Patty przerwała mu lekturę niedzielnych gazet i oznajmiła rzeczowo: „Chcę rozwodu”.

To go zabolalo. Zapytał, czy jest ktoś inny? „Tak”. To także zabolalo. Zaufanie przestało się nagle liczyć. Wszystko bolalo, ale najbardziej zraniła go lista, wydrukowana na szeleszczącym białym papierze w równych komputerowych kolumnach i rzędach, zestawiona w pedantycznym stylu Patty. Była to lista wszystkiego, co kupiła, wraz z cenami i datami zakupu. Pamiętał ostatni wpis: rozbudowany zestaw kina domowego z olbrzymim płaskim ekranem, wartości ponad 10 tysięcy dolarów, nabyty w styczniu tego roku. Nie używała go często, ale lubiła go *mieć*. Te rzeczy, oznajmiła, zabiera ze sobą. Pozostałe, powiedziała, mogą podzielić na pół.

Prowadziła tę listę, odkąd się pobrali. Wyglądało na to, że od początku uważała ich małżeństwo za coś tymczasowego, i właśnie ten fakt zabolal go najbardziej. A co z postanowieniem o byciu ze sobą na zawsze? Kiedy wierzysz, że będziesz z kimś na zawsze, nie potrzebujesz żadnych list.

Tak, myślał Vance, idąc amsterdamską ulicą, to był okropny powrót do domu. Jednak przetrwał go. Zdołał zabrać z mieszkania swoje notatki o da Vincim i potrzebne ubrania, zanim upiory przeszłości zdążyły wywiercić w jego duszy następne dziury. Zastanawiał się wówczas, czy puszczenie wszystkiego z dymem spopieli też jego prywatne demony.

Ale nie miał wtedy czasu, by się nad sobą użalać.

Harrison Kingsbury pragnął jak najszybciej rozpocząć poszukiwania i trzy dni po konferencji prasowej wysłał go z powrotem do Madrytu, osobiście odwożąc na lotnisko. Stary nie lubił korzystać z usług kierowców.

W Madrycie zaczęły się kłopoty. Dyrektor kolekcji Leonarda da Vinci przywitał Vance'a na lotnisku i począł się gęsto tłumaczyć.

- Nie mieliśmy pojęcia, że ten człowiek to oszust, najmniejszego pojęcia - powtarzał wciąż mały człowieczek. - Miał wszystkie odpowiednie referencje, właściwy dowód tożsamości, nawet list polecający na papierze z papieskim nadrukiem.

Co takiego? - zapytał Vance niecierpliwie. - O czym pan mówi?

Blisko pół godziny zabrało mu wydobycie ze zrozpaczonego dyrektora całej historii.

- To było prawie miesiąc temu - zaczął. - 5 lipca odwiedził nas mężczyzna, który oświadczył, że jest prawą ręką papieża i przedstawił list podpisany przez głównego asystenta papieskiego, zawierający prośbę o wypożyczenie dziennika de Beatisa do Biblioteki Watykańskiej, aby umożliwić jego przestudiowanie.

- Oczywiście byliśmy zachwyceni tym, że możemy pomóc Ojcu Świętemu - powiedział płaczliwie dyrektor. - Skąd mieliśmy wiedzieć? Kiedy dziennika nie zwrócono w umówionym terminie, skontaktowaliśmy się z Biblioteką Watykańską. Okazało się, że nigdy nie słyszeli o tym człowieku! Nigdy o nim nie słyszeli! Nawet sekretariat samego papieża nigdy o nim nie słyszał! Ten człowiek był oszustem podszywającym się pod kogoś innego!

- Owszem - odpowiedział dyrektor na pytanie Vance'a - zgłosiliśmy kradzież na policji, ale będę brutalnie szczery: szanse, że ujrzymy jeszcze kiedyś ten dziennik, są mizerne. Prawdopodobnie trafił do prywatnej kolekcji jakiegoś bogatego oszusta. W przypadku kradzieży dzieł sztuki sprawy zwykle tak właśnie wyglądają - zakończył filozoficznie.

Vance opuścił Madryt jeszcze tego samego popołudnia, otrzymawszy nazwiska trzech ludzi, którzy studiowali dziennik, zanim został skradziony, oraz opis wyglądu złodzieja. Mężczyzna, który „pożyczył” dziennik, był szczupły i wysoki, o lśniących czarnych włosach oraz sposobie bycia osoby duchownej, a na szyi z prawej strony miał czerwone znamię przypominające ptaka.

Deszcz zaczął teraz mocniej, wędrując nieprzejrzystą kurtyną wzdłuż kanału i bębniąc głucho w przemoczoną tweedową czapkę Vance'a. Gdzie się podział Amsterdam, który tak kocham? zastanawiał się. Gdzie jest gezellig- ciepło tego miasta, jego przytulność oraz otwarte, towarzyskie usposobienie mieszkańców? Pewnie gdzieś w środku nadal pozostało ciepło i przyjazne, pomyślał. Chociaż kroki podążającego za nim nieznanego tłumila ulewa, Erkison bezustannie wyczuwał za plecami jego obecność.

Z przodu zajaśniały światła miejscowego baru czy restauracji i

Vance z ulgą ruszył ku nim.

Zatrzymał się w drzwiach i z przyjemnością odetchnął ciepłym wilgotnym powietrzem, mimo iż było gęste od tytoniowego dymu. Odczekał chwilę, aż woda nieco z niego ocieknie, a potem przepchnął się przez tłum ludzi, którzy zaszli tu po pracy, i wcisnąwszy się w wąską szczelinę między nimi, stanął przy barze.

Swym łamanym holenderskim zamówił oude genever - miejscowy kilkuletni dżin - po czym odwrócił się do drzwi w nadziei, że ujrzy, jak śledzący go mężczyzna mija je i ginie w mroku nocy. Ale nie dostrzegł nieznajomego przez okno baru. Tymczasem podano mu dżin i Vance pociągnął tęgi łyk. Alkohol zapiekł go w przełyku i rozlał się ciepłem w żołądku. Vance przymknął oczy, odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze, robiąc miejsce dla wypełniającego go z wolna spokoju. Po raz pierwszy od opuszczenia lotniskowego serca spowolniło swój pospieszny łomot.

Spokój zaś oczyścił jego umysł i zwolnił miejsce dla wydarzeń minionych kilku dni, pozwalając zastanowić się nad nimi.

Dowiedział się, że pierwszy z trzech mężczyzn, którzy przeglądali dziennik de Beatisa, zmarł niedawno wskutek niewydolności serca. Powiedziała mu to wdowa, dodając, że profesor był już stary - miał siedemdziesiąt sześć lat -i na szczęście odszedł bez cierpień, we śnie.

Przybywszy do Strasburga Vance skonstatował, że powtórzyła się tam identyczna historia. Emerytowany profesor Uniwersytetu w Strasburgu, który kilka tygodni temu odwiedził Madryt, aby obejrzeć dziennik de Beatisa, zmarł na niewydolność serca zaledwie siedem dni przed swymi sześćdziesiątymi ósmymi urodzinami. Dwóch ludzi, którzy czytali dziennik, nie żyło. Vance'owi niemal udało się przekonać samego siebie, że to jedynie zbieg okoliczności, dopóki parę godzin temu nie zauważył śledzącego go mężczyzny. Nieznajomy wyglądał niepozornie, miał około metra siedemdziesiąt wzrostu, był średniej budowy, nosił zwykły ciemnoszary garnitur oraz nierzucające się w oczy krawat i koszulę. Jediną charakterystyczną cechą fizyczną mężczyzny - dzięki której Vance zwrócił na niego uwagę - były kępki włosów nad uszami, sterczące z łysej głowy, co upodabniało go do

sowy.

Vance po raz pierwszy zobaczył swój cień na lotnisku. Potem ujrzał go w terminalu autobusowym linii lotniczej KLM. Potem znów w hotelu. I nawet, gdy letnia burza nadciągnęła znad Zuider Zee i zwarzyła idylliczny letni dzień w Amsterdamie, tamten mężczyzna wciąż go śledził.

Niemożliwe, aby to był przypadek. Jednak nieznajomy wyglądał nieszkodliwie - dobiegający sześćdziesiątki, o kluchowatej posturze - i z pewnością nie stanowił dla Vance'a zagrożenia.

Gdyby działo się to w Stanach, Erikson już dawno stanąłby z nim twarzą w twarz, ale w obcym kraju nie chciał wywoływać awantury - może mężczyzna mówił nieznanym mu językiem? - a już zwłaszcza nie chciał wywołać awantury z powodu mglistego, być może bezpodstawnego podejrzenia.

Jednakże wychyliwszy następną porcję oude genever postanowił, że jeśli po wyjściu z baru natknie się na oczekującego go nieznajomego, nie puści mu tego płazem.

Vance wiedział, że trzeci z czytelników dziennika nadal żyje. Sącząc cierpki, ostry dżin, przypomniał sobie rozmowę telefoniczną, jaką odbył dziś rano z nieco roztargnionym, lecz mimo to błyskotliwym uczonym, znawcą Leonarda da Vinci, Geoffreyem Martinim.

Martini spędzał lato w Amsterdamie, studiując pojedyncze kartki z notatników Leonarda, które różnymi drogami trafiły do archiwów holenderskiej biblioteki narodowej. Zaprosił Vance'a do siebie na wieczór, a Vance chętnie się zgodził, czując ulgę, że jego stary przyjaciel, a zarazem były profesor z czasów studiów w Cambridge, jest zdrow i cały. Nie mógł się już doczekać, kiedy opowie mu o kradzieży dziennika de Beatisa. Spojrzał na zegarek; zbliżała się umówiona godzina wizyty u Martiniego, więc zapłacił za dżin i precyzyjnie się z powrotem do wyjścia.

Deszcz ustał. Światła okien, lamp ulicznych i sklepowych neonów rzucały złotawy blask na nierówne kamienie bruku.

Na najbliższym rogu Vance odwrócił się i poszukał wzrokiem niskiego człowieczka o sowej głowie. Jednak nigdzie go nie dostrzegł, toteż natychmiast o nim zapomniał i zaczął znów rozmyślać o

sfalszowanych stronicach kodeksu Leonarda i czekającym go spotkaniu z Martinim.

Darzył Martiniego ogromną sympatią; profesor niegdyś jako jedyny uwierzył w niego i okazał mu pomoc.

Vance poznał go w 1966 roku, w małym pubie „Pod Owieczką i Flagą”, tuż przy kampusie angielskiego uniwersytetu w Cambridge. Dopiero co usłyszał od władz uniwersyteckich, że nie zostanie przyjęty na studia z powodu hańbiącego dyscyplinarnego zwolnienia z wojska oraz reputacji hazardzisty. Nie miał pojęcia, dlaczego Martini wyróżnił go spośród tłumu wypełniającego pub, ale zmieniło to jego życie.

Martini wysłuchał wyjaśnień Vance'a o tym, że usunięto go karnie z wojska, gdy dowództwo odkryło, iż wykorzystuje zapasy wojskowe do stworzenia w wietnamskiej prowincji Quang Tri małego szpitala dla miejscowych rannych dzieci. Chociaż był wówczas tylko młodym rekrutem, prosto po liceum, sam zaplanował całe to tajne przedsięwzięcie, w które zaangażowało się kilkunastu lekarzy, sanitariusze, major korpusu inżynieryjnego i jeszcze paru innych ludzi. Spośród nich jedynie on nie był oficerem i kiedy Waszyngton dowiedział się o wszystkim, zrobiono z niego kozła ofiarnego; pozostałym włos nie spadł z głowy. Profesor wysłuchał też ze współczuciem relacji o tym, jak Vance, nie mając środków do życia i rozpaczliwie potrzebując pieniędzy, opracował własny system gry w black-jacka -tak skuteczny, że zakazano mu wstępu do wszystkich większych kasyn na całym świecie; jednak zanim do tego doszło, podróżował przez rok od jednego do drugiego i zgromadził niewielką fortunę.

Idąc przez gęstniejący mrok, przywołał w pamięci twarz Martiniego, niesformą czuprynę siwych włosów, obwisłe wąsy i wysoką, chudą, przygarbioną sylwetkę tego starzejącego się, lecz wciąż dziarskiego człowieka, kończącego za miesiąc siedemdziesiąt dziewięć lat. Człowieka, który rzucił wówczas na szalę swój autorytet i przekonał władze uczelni, aby przyjęto Vance'a na studia. Martini pielegnował zainteresowanie Eriksona da Vincim, beształ go za próby zajęcia się innymi zagadnieniami, zaś przez ostatnią dekadę pracował wraz z nim, gdy młody student zaspokajał swą nienasyconą ciekawość i



uwielbienie dla Leonarda.

Perspektywa spotkania z profesorem - pierwszego od czasu, gdy Kingsbury zakupił kodeks - ożywiła Vance'a i podniosła go na duchu. Kwadrans później pociągnął staroświecki sznur dzwonka przed drzwiami wąskiej, trzypiętrowej kamienicy Martiniego przy kanale Prinsengracht.

Usłyszał w środku cichy szelest, lecz drzwi się nie otworzyły. Zadzwoił ponownie. Odpowiedziały mu tylko odgłosy szurania i jakiś głuchy łomot. Vance przechylił się przez poręcz schodków, żeby zajrzeć w oświetlone okno, i za cienkimi zasłonami dostrzegł niewyraźną sylwetkę wysokiego mężczyzny, stojącego nad kimś usadowionym w fotelu.

Serce zabiło mu szybciej. Wysoki osobnik z całą pewnością nie był Martinim.

- Profesorze! - krzyknął, naciskając klamkę. Drzwi były zamknięte. - Profesorze Martini, nic panu nie jest? - zawołał ponownie, waląc pięściami w lakierowane mahoniowe drzwi. - Otwierać! Otwierać albo wezwę policję!

Naparł na drzwi, chcąc je wyłamać. Lecz mimo wielokrotnych prób, w które wkładał całą siłę swego masywnego ciała, masywne wrota, które wytrzymały ciężar pięciu stuleci, nie ustąpiły teraz przed jednym człowiekiem.

Jego wyczyny zwabiły z ulicy kilku ciekawskich gapiów.

- Policja - powiedział nagle po angielsku, po czym powtórzył łamanym holenderskim: - Wezwać policję.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku widocznie go zrozumiał, bo ruszył pędem do budki telefonicznej.

Vance zszedł znów po schodkach do frontowego okna. Już miał spróbować je otworzyć, gdy drzwi rozwarły się, rzucając bladożółty snop światła na wysokiego, chudego ciemnowłosego mężczyznę, który błyskawicznie przebiegł obok niego.

- Stać! - krzyknął, lecz mężczyzna zignorował go i popędził popękanym, nierównym chodnikiem. Vance puścił się za nim w pogoń.

Bieg utrudniały pojazdy zaparkowane chaotycznie na chodniku, jak to było tu w zwyczajną. W końcu uciekinier znalazł między nimi

lukę i pobiegł środkiem wąskiej jednokierunkowej uliczki. Vance przebiegł za nim przez most nad kanałem, a potem skręcił w lewo, pomiędzy jadące samochody. Doganiał zbiega, zapewne dzięki niemal codziennym, wielokilometrowym biegom po plaży. Mężczyzna uskoczył w boczną alejkę, wyraźnie zwalniając kroku. Vance usłyszał szuranie jego butów po płytach chodnika, a potem głuchy odgłos, jakby upadku.

Gdy skręcił za róg alei, nieznajomy był zaledwie kilka metrów przed nim i biegł utykając. Nagle Vance zawahał się. Żałował teraz, że rok temu porzucił naukę sztuk walki po zaledwie tuzinie lekcji. Ale nie mógł pozwolić tamtemu uciec. Przyspieszył i zaatakował od tyłu, obalając go na ziemię.

Wysoki mężczyzna krzyknął i dysząc ciężko, usiłował odturlać się na bok, ale Vance stał nad nim i dziko okładał go pięściami. Niektóre jego ciosy dochodziły celu, inne ześlizgiwały się tylko nieszkodliwie. Wreszcie mężczyzna wstał niepewnie, oszczędzając lewe kolano. Nawet w półmroku Vance przez dziurę w spodniach dostrzegł na nim krew.

Przeciwnik wyprowadził lewy sierpowy, trafiając Vance'a w głowę i rozcinając mu skórę nad lewym okiem. Erikson zatoczył się do tyłu, a napastnik znów puścił się biegiem, coraz wyraźniej kulejąc. Oślepiony na jedno oko przez krew płynącą obficie z rozcięcia, Vance potknął się i zawadził nogą o metalowy kosz na śmieci, z którego wypadła flaszka po winie. Podniósł ją, drugą ręką ocierając krew z oka. Dogonił tamtego i z całej siły rąbnął go butelką. Mężczyzna jęknął spazmatycznie, upadł twarzą na chodnik i znieruchomiał.

Oddychając ciężko Vance wytarł krew rękawem płaszcza, zostawiając na jasnobrązowej popelinie jaskrawą szkarłatną smugę. Poczuł pulsowanie bólu nad lewym okiem, gdy nachylał się nad skuloną postacią i odwracał ją na plecy. Na szyi mężczyzny, po prawej stronie widniało dziwne czerwone znamię, niemal całkowicie ukryte pod kołnierzem golfu. Wstrzymując oddech, Vance odwinął kołnierz i w nikłym świetle rozpoznał kształt ptaka - szybującego sokoła.

- Chryste - powiedział na głos. Wszystko odpowiadało dokładnie opisowi osobnika, który zniknął z dziennikiem de Beatisa. Przykucnął i

przeszukał kieszenie jego płaszcza, ale nie znalazł żadnego dowodu tożsamości. Leżący jęknął; zaczynał odzyskiwać przytomność. Policja, pomyślał Vance, muszę wezwać policję. Gdy podnosił się z trudem, usłyszał za plecami jakiś szelest. Odwrócił się szybko i zobaczył mężczyznę o sowej głowie, który zamierzał się na niego tą samą butelką. Zdołał się uchylić, lecz cios zahaczył go w skroń i oszołomił na tyle, że opadł na czworaki. Sowiogłowy uderzył ponownie, tym razem trafiając prosto w ciemię. Vance upadł ciężko, a przed oczami wybuchła mu galaktyka błyszczących kolorowych gwiazd.

Poczuł stęchły, wilgotny zapach chodnika i zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze zadać sobie pytanie, czy właśnie tutaj wróg wpakuje mu kulę w głowę.

## *Rozdział 4*

---

Świadomość powracała powoli, a wraz z percepcją czasu i światła pojawił się nieustępliwy, pulsujący ból. Gdy Vance otworzył oczy, zobaczył tylko niewyraźną plamę. Dopiero po dłuższej chwili pojął, że nic nie widzi, ponieważ leży twarzą w dół na płycie chodnika. Z wysiłkiem spróbował przypomnieć sobie, gdzie jest i co...

Oparł się na łokciu i wolną ręką ostrożnie pomacał ranę nad okiem. Już nie krwawiła. Przesunął dłonią po rosnącym szybko guzie z tyłu czaszki; na palcach nie znalazł śladów krwi.

Dźwignął się z wysiłkiem na nogi i oparł o ścianę, usiłując opanować zawroty głowy. Chciał iść, ale kolana ugięły się pod nim. Po jakimś czasie znów wstał i ostrożnie ruszył ku wylotowi alei, czepiając się chropowatego ceglanego muru. Gdzieś niedaleko dzwon kościelny wybił ósmą, co oznaczało, że nie leżał zbyt długo nieprzytomny.

Przed domem Martiniego ujrzał samochody policyjne i ambulans. Lęk o profesora błyskawicznie go otrzeźwił. Pobiegł truchtem, nie zważając na narastające łomotanie w głowie. Wąski pas pomiędzy brzegiem kanału a rzędem domów wypełniał tłum ludzi.

- Przepuście mnie! - zawołał Vance. - Proszę mnie

przepuścić.

Kilka osób odwróciło się i spojrzało na niego z irytacją, ale widząc zakrwawionego mężczyznę z oszalałym wzrokiem, rozstąpiło się pospiesznie.

Przy drzwiach stał policjant w niebieskim mundurze i pałac papierosa bez filtra, przyglądał się, jak Vance z trudem pokonuje schodki.

- Co z nim? - rzucił Erikson. - Jestem jego przyjacielem.

Policjant zaciągnął się raz jeszcze, a potem rzucił niedopałek na kamienny schodek i rozgniół go czubkiem ciężkiego, solidnego buta.

- Co się panu stało? - zapytał.

- Przypuszczam, że uderzył mnie ten sam człowiek. Policjant kiwnął głową.

- A jak się pan nazywa?

- Vance Erikson. Profesor Martini i ja... Twarz policjanta zmieniła wyraz.

- Czytałem o panu w gazecie. Ma pan coś wspólnego z da Vincim.

Vance przytaknął.

- Niestety, pański przyjaciel nie żyje.

Vance wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

- Chodźmy. - Policjant ujął go pod rękę i próbował pociągnąć w stronę skupiska policyjnych samochodów. - Niech pan pójdzie ze mną, musimy porozmawiać.

- Nie! - krzyknął Vance, oswobadzając się z uchwytu. - Nie wierzę panu. - Ruszył w kierunku otwartych drzwi. - Chcę sam zobaczyć.

- Proszę posłuchać - powiedział oficer. - Nie sądzę, że by chciał pan to oglądać, zwłaszcza jeśli był pan jego przyjacielem.

Ale Vance już wszedł do środka. W skromnym frontowym saloniku zobaczył grupkę policjantów w mundurach i po cywilnemu, skupioną wokół fotela. Technik policyjny robił zdjęcia. Vance podszedł bliżej i serce mu zamarło.

Przywiązane do fotela ciało starego człowieka zwiślało

bezwładnie ze sznurów opasujących jego ramiona i klatkę piersiową. Beżowy dywan pod fotelem lśnił czerwienią. Białe włosy profesora były pozlepiane krwią; twarz miał obrzękłą i posiniaczoną. Głowa opadła mu na pierś. Jego wiedza, cała ta mądrość i dobroć zaklęta w tajemnych połączeniach neuronalnych mózgu, była na zawsze stracona; zniknęła wraz z ostatnią iskrą przebiegającą synapsę.

Policjant skinął na pozostałych, a potem wraz z nimi przyglądał się w milczeniu, jak Vance podszedł wolno do ciała Martiniego i delikatnie ujął jego dłoń.

- Żegnaj - powiedział i odwrócił się powoli. Ciężką ciszę przerwał głos oficera:

- Wie pan, że będziemy musieli porozmawiać, prawda? Vance skinął głową.

- Gdzie się pan zatrzymał?

Erikson podał mu adres hotelu, a oficer polecił jednemu z podwładnych odwieźć go, żeby mógł umyć się i opatrzyć ranę. Tym razem Vance nie oponował.

\*\*\*

Gdy lekarz opuścił jego pokój, Vance wziął prysznic, a potem usiadł na skraju łóżka. Po chwili weszło dwóch oficerów śledczych z butelką half om half - niegdyś tradycyjnego, lecz dziś coraz rzadziej spotykanego holenderskiego likieru. Popijał ten mocny trunek o lekko pomarańczowym smaku i odpowiadał na ich pytania. Opisał swoje związki z Martinim, powód dzisiejszej wizyty oraz mężczyznę ze znamieniem w kształcie jastrzębia. Następne pytanie wstrząsnęło nim.

- Czy wie pan kto - albo co to jest „Tosi”?

- Nie - skłamał odruchowo, nie bardzo wiedząc dlaczego. - Dlaczego pan pyta?

- Pański przyjaciel zdołał przed śmiercią napisać to słowo na spodniach własną krwią.

## *Rozdział 5*

---

James Elliott Kimball IV mrużąc oczy, spoglądał przez opary

tytoniowego i haszyszowego dymu, usiłując nie zwracać uwagi na towarzyszącą mu przy obiedzie kobietę w średnim wieku. W drugim końcu przestronnego pokoju jakiś pulchny łysy osobnik leżał na plecach na aksamitnym dywanie, podczas gdy hojnie wyposażona przez naturę dama, ubrana tylko w nylonowe pończochy trzymające się na czarnym koronkowym pasie, okrywała pocałunkami jego nagie ciało. Wokoło jeszcze co najmniej ze dwadzieścia innych osób, połączonych w pary, tria lub bardziej rozbudowane układy, syciło lubieżnie swe erotyczne fantazje.

Potrawy w Klubie Kaliguli nie wyróżniały się niczym szczególnym. Jednakże panująca tu atmosfera czyniła z niego miejsce jedyne w swoim rodzaju. Położony na bogatym przedmieściu Amsterdamu i przeznaczony wyłącznie dla stałych członków klub zaspokajał wszelkie ludzkie pragnienia: jedzenia, picia i seksualnej rozkoszy. Część sali wydzieloną dla grupowego seksu oświetlał komputerowo sterowany system reflektorów. Klub Kaligula zapewniał również oddzielne pokoje do uprawiania seksu na osobności; były tu także sex-shopy, mogące zadowolić nawet najbardziej dziwaczne obsesje i perwersje. Będąc jednym z założycieli klubu, Kimball miał dostęp do listy jego członków i wciąż jeszcze zdumiewało go, że należy do niego dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn.

Kimball niechętnie odwrócił się do swej towarzyszki, czterdziestoosmioletniej Denise Carothers, założycielki i generalnej dyrektorki międzynarodowego koncernu Carothers Aerospace - największego producenta broni i zaawansowanej technologii militarnej.

- Możesz powtórzyć? - rzucił, zirytowany że musi oderwać wzrok od bachanalii.

- Powiedziałam, że za jakiś czas usunięcie Eriksona może okazać się niezbędne, ale nie uważam, aby obecnie było to rozsądne posunięcie.

W lodowatych niebieskich oczach Kimballa pojawił się groźny błysk, widoczny nawet w przyćmionym świetle. Przeczesał palcami jasne włosy, co czynił zawsze w chwilach irytacji.

- Dlaczego? - spytał opanowanym tonem.

- Ponieważ znam starego. Kocha Eriksona jak syna. Jeżeli go

załatwimy, Harrison Kingsbury wyda miliony, żeby dowiedzieć się, co się stało. A skoro jesteś już tak blisko zawarcia transakcji, nie potrzeba nam tego rodzaju przeszkód.

- Poza tym - ciągnęła - myślę, że odstraszy go śmierć Martiniego. Erikson mógł mieć wątpliwości przy dwóch poprzednich przypadkach, ale tego ostrzeżenia z pewnością nie zlekceważy. Sądzę, że się wycofa, przynajmniej na czas wystarczający, abyśmy zdążyli sfinalizować transakcję.

Kimball milcząco wpatrywał się w resztki swego befsztyka tatarskiego, zastanawiając się gniewnie, czy kiedykolwiek pozbędzie się wreszcie tego Eriksona. Od najwcześniejszego dzieciństwa ludzie wykonywali jego polecenia i nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej. Jedyni, którzy nie byli mu posłuszni - jego rodzice - szybko przywykli, że mają zostawić syna w spokoju. Czym innym było kazać temu nędznemu sługusowi Baileyowi z ConPacCo, aby nie ruszał Eriksona, zaś czymś zupełnie innym wysłuchiwać, jak ktoś nakazuje to samo jemu, Elliottowi Kimballowi - nawet jeśli tym kimś była szefowa Bremeńskiej Legacji. Ogarnęła go wściekłość. Głęboko w przelyku poczuł kwaśny smak niestrawności. Pragnął zemścić się na Eriksonie i jednocześnie wymagał należnego mu szacunku ze strony kobiety, która nie chciała pozwolić na dokonanie tej zemsty.

- Moja droga, nie znasz Eriksona tak jak ja - powiedział z pobłażliwą wyższością. - Nie masz pojęcia, jaki jest przebiegły i nieobliczalny. On nie gra według ustalonych reguł.

- Nie gra według reguł? Co masz na myśli? I jakie to ma znaczenie? My też nie gramy według reguł, chyba że sami je ustalimy.

Patrzył na nią przez chwilę. Niedgdyś mówił jej o wszystkim.

- Na pierwszym roku Harvardu - zaczął - rozgrywaliśmy kiedyś mecz rugby z drużyną z MIT-u. On był ich kapitanem i...

- Mówiłeś chyba, że nigdy nie spotkałeś Vance'a Eriksona.

- To nie było prawdziwe spotkanie — powiedział i spojrzął na nią z irytacją. Nie miała żadnego prawa udzielać mu reprimendy za to, że nie zwierzał się jej z każdego przeżycia. Nie jest już jej dziewiętnastoletnim żigolakiem. - Raczej epizod, niemniej bardzo istotny - dodał.

- On był ich kapitanem — kontynuował, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem; przed oczami miał tamto nieprzyjemne wydarzenie z przeszłości. - Wznowiono grę, a do końca zostało najwyżej pięć minut. Byliśmy najlepsi, ale Erikson... Erikson ciągle zaskakiwał nas jakimiś dziwnymi sztuczkami albo stosował znane zagrania w niekonwencjonalny sposób. Tego... tego się po prostu nie robi. A na pięć minut przed końcem, kiedy praktycznie mieliśmy już wygrany mecz, on dostał piłkę i nagle skreślił, zostawił za sobą wszystkich naszych obrońców i pobiegł do linii bramkowej. To było po prostu idiotyczne. Nie można wyprzedzać w ten sposób obrońców. A ja mogłem go zatrzymać. Byłem od niego cięższy, wyższy, ale... - Głos odmówił mu posłuszeństwa.

W przyćmionym świetle klubowej sali twarz Kimballa poczerwieniała z gniewu i poniżenia, gdy przypomniał sobie ból brzucha po tym, jak Erikson pochylił się nisko i staranował go. Pamiętał intensywny błękit nieba, kiedy tamten, przekroczywszy linię bramkową, wrócił żeby pomóc mu wstać. Nienawidził teraz Eriksona jeszcze bardziej. Jego ponowne pojawienie się i wmieszanie w sprawę kodeksu Leonarda da Vinci to nic innego jak powrót niezasłużonego zwycięzcy po to, by przypieczętować jego własne upokorzenie.

- Wiem, co czujesz z powodu Vance'a Eriksona - rzekła pojednawczo Carothers. - Rozumiem twoje pragnienie zwalczania zła, które on dla ciebie uosabia. Ale musisz poczekać.

- Nie Elliott, jeszcze nie teraz - powiedziała Carothers stanowczo, kładąc dłoń na jego udzie i pieszcząc go poufale. Znała Elliotta Kimballa od lat. Firma maklerska jego ojca, Kimball, Smith & Farber, obsługiwała pierwszą publiczną ofertę giełdową koncernu Carothers Aerospace. Denise wiedziała o wyskokach Elliotta w młodości: o tym, jak dla zabawy włamywał się do domów bogatych przyjaciół swego ojca; jak porwał swego kolegę i trzymał go dla okupu i jak w wieku szesnastu lat celowo przejechał swoją corvetta jakiegoś pieszego, „żeby poczuć, jak to jest, gdy się kogoś zabije”. Jego ojciec wydał tysiące dolarów na najlepszych adwokatów i setki tysięcy na łapówki. Uzyskał najkorzystniejszy wyrok, jaki można było kupić za pieniądze, ale i tak sędzia skazał młodocianego Kimballa na sześć miesięcy więzienia,



„aby pokazać, że nawet bogatych nic nie uchroni przed karzącą ręką sprawiedliwości”.

Jego ojciec i cała bostońska socjeta odetchnęli z ulgą, kiedy po wyjściu z więzienia Elliott wyraził publicznie żal i skruchę z powodu swego niecnego życia, obiecując w wywiadzie udzielonym dziennikowi Boston Globt, że „zrobi wszystko, by jak najlepiej wypełnić swe obowiązki wobec społeczeństwa i stać się jego wartościowym członkiem”. Aby dowieść szczerości swych intencji, ukończył z wyróżnieniem koledż Rutgers i zapisał się na wydział prawa Harvardu.

Jedynie Carothers wiedziała, że wszystko to było tylko zasłoną dymną, mającą odwrócić uwagę władz od nowego Elliotta Kimballa. Wiedziała, ponieważ od czasu gdy pomogła mu uwolnić się od dziewictwa w jedenastym roku życia, Elliott zwierzał się jej ze swych najbardziej intymnych przeżyć, a nawet odgrywał z nią ponownie sceny erotyczne, przeżyte z innymi kobietami, chłopcami i mężczyznami. Opowiedział jej także o radości, jaką niesie zabijanie, o metafizycznych niepokojach, które potrafi ukoić tylko cudza śmierć.

- Są ludzie, którzy utrzymują się z zabijania - powiedział jej, gdy zwolniono go warunkowo z więzienia. - Pragnę to robić, Denise. Ogromnie tego pragnę, bo nigdy nie doświadczyłem takiej pełni życia, nigdy nie czułem się tak wspaniale odprężony, a zarazem ważny, jak wtedy, gdy rozjechałem tego starego faceta. Ale nie chcę być jak ci ludzie w więzieniu, którzy zabijają ze złości, bądź kiedy zostaną przyłapani na rabunku. Ja chcę mordować dla przyjemności. Chcę robić to z klasą i... zabijać ludzi własnymi rękami, patrząc im w oczy, gdy będą umierać.

Carothers była świadkiem, jak pragnienie Elliotta Kimballa się spełniło, ponieważ już wówczas, przed dwunastu laty, gdy był zaledwie osiemnastoletnim chłopakiem, nowo powstała Bremeńska Legacja zrobiła sobie wrogów, którym trzeba było dać nauczkę. Denise i Elliott uzgodnili, że nikt nie zostanie zamordowany, póki ona najpierw nie zaaprobuje osoby oraz czasu i miejsca zabójstwa. Ten układ funkcjonował znakomicie przez ponad dekadę, choć rozczarowało ją, że przez ten czas upodobania seksualne Elliotta zwróciły się w stronę młodszych kobiet.

- Naprawdę szczerze ci współczuję z powodu tego Eriksona - powiedziała, przesuwając rękę do jego krocza. - Pozawarcie transakcji będziesz mógł zrobić wszystko, co zechcesz. Ale nie wcześniej.

Poruszył się gwałtownie w fotelu, gdy jej dłoń masowała przez materiał spodni jego rosnącą erekcję, i niechętnie skinął głową.

Mierzyli się wzrokiem. Żadne z nich nie mrugnęło. Wreszcie Elliott przerwał ciszę:

- Ty jesteś szefem. - A w duchu dodał: „Na razie”.

Przytaknęła, po czym spytała:

- Zrobimy to tutaj? Czy może wolisz wziąć nasz stały pokój?

## Rozdział 6

---

*Sobota, 5 sierpnia*

Czerwone dachówki maleńkich średniowiecznych lombardzkich miasteczek przesuwały się w dole, gdy wielki boeing 747 Alitalii, dudniąc silnikami leciał na południe, w kierunku Mediolanu, podczas ostatniej pół godziny długiego lotu z Amsterdamu. Spoglądając w dół na oliwkowozielony wiejski krajobraz, upstrzony nikłymi śladami pracy ludzkich rąk, Vance Erkison zastanowił się raz jeszcze, dlaczego skłamał holenderskim policjantom. Przecież bez trudu dowiedzą się, że zna Umberto Tosiego, profesora historii renesansu uniwersytetu w Bolonii i autorytet w zakresie Leonarda da Vinci.

Dlaczego? pytał sam siebie. I po raz tysięczny odpowiedział sobie: to jest moja prywatna sprawa. Moja prywatna sprawa, ponieważ to ja zawiniłem.

Gdyby tylko... - poczucie winy wbiło mu się sztychem w serce - ...gdyby tylko zaszedł do domu Martiniego wcześniej, gdyby nie zmarnował tyle czasu, pijąc w barze dzin, profesor nadal by żył.

Nietrudno zgadnąć, dlaczego skłamał tym policjantom. To przez niego zginął Martini i do niego należy znalezienie mordercy. Zaś paliwem napędzającym potężny silnik poczucia winy był płonący w jego piersi gniew, że ktoś mógł popełnić podobną zbrodnię wobec człowieka tak mądrego i dobrego jak Martini. Jego gniew gorzał płomieniem, rozpalonym do białości, i Vance nie nawet nie dopuszczał myśli, że morderca mógłby wygodnie odsiedzieć wyrok dożywocia w przytulnym więzieniu. Póki Van-ce Erikson żyje, taka rzecz się nie zdarzy.

Ktokolwiek zabił Martiniego, zapłaci za to.

Amsterdamska policja była dla niego uprzejma - o wiele uprzejmiej, niż w analogicznej sytuacji byłaby policja amerykańska dla Holendra - ale nad całą rozmową ciążyło ich podejrzenie, że odegrał jakąś rolę w tym zabójstwie.

Wypytywali go wciąż od nowa, a on za każdym razem mówił im wszystko, co chciał, żeby wiedzieli - pomijając jednak wystarczającą liczbę istotnych szczegółów, aby nieprędko wpadli na trop, którym teraz podążał.

Opowiedział im o napastniku i wiernie opisał wygląd mężczyzny z alei. Ale nie powiedział o Tosim ani o swych podejrzeniach dotyczących śmierci w Strasburgu i Wiedniu dwóch uczonych zajmujących się Leonardem. Zachował te informacje dla siebie, ponieważ miał rachunek do wyrównania i tylko śmierć zabójcy z jego ręki mogła złagodzić poczucie winy.

Lecz gdzieś głęboko, pod skłębionym splotem gniewu i poczucia winy, słyszał nieznany mu dotąd głos - głos strachu. Bowiem niewątpliwie istniał jakiś morderczy spisek, wymierzony w niewielką, wybraną grupkę ludzi - tych, którzy znali dziennik Antonio de Bcatisa.

Vance był teraz jedyną osobą na świecie, która go czytała, i miał niemiłe wrażenie, że jest następny na liście.

Co wie Tosi? zastanawiał się, gdy boeing 747 podchodził do lądowania nad mediolańskim lotniskiem Malpen-sa. Niezależnie od tego, co Tosi wiedział, Vance modlił się, by on sam również mógł się tego dowiedzieć, i to jak najszybciej.

Dzisiejszego wieczoru w Castello Sforza, w zabytkowej części Mediolanu, zostanie otwarta wielka wystawa dzieł Leonarda da Vinci, połączona z sympozjum, poświęconym renesansowemu geniuszowi. Już od ponad pół roku Vance planował, że weźmie w nim udział, nie mogąc się doczekać usłyszenia odczytu na temat Leonarda jako inżyniera wojskowego, który miał wygłosić Martini. Sympozjum odbywało się co roku w innym europejskim mieście związanym z da Vincim.

Pół roku. Wydawało się, że było to dekadę temu, w innym życiu. Pół roku... jeszcze przed odejściem Patty, przed śmiercią Martiniego, przed...

Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się niepożądanych myśli. W dole, za oknem, Mediolan zwolna robił się coraz większy.

\*\*\*

Vance bez kłopotów przeszedł przez odprawę celną i godzinę później przybył do małego pensjonatu przy Via Dante, leżącego mniej

więcej w połowie drogi między Du-omo i Castello Sforza i w odległości pieszego spaceru od obydwu. Choć mógł sobie spokojnie pozwolić na pięciogwiazdkowy luksus, wolał autentyczną atmosferę tego miejsca, jego wysokie sufity, oryginalne freski pędzla anonimowego renesansowego artysty, przyozdabiające ściany pokoiów śniadaniowych, fakt, że mówiono tu wyłącznie po włosku oraz okolicę, odpowiadającą gustom raczej Włochów niż turystów. Zatrzymywał się tu jeszcze w czasach studenckich.

Pożegnawszy taksówkarza słówkiem ciao, zarzucił na ramię miękką torbę podróżną i wmaszerował przez olbrzymią bramę na podwórze, a potem po pięciu kondygnacjach schodów, rezygnując z sędziwej windy, która skrzypiąc, jeździła szybem z czarnej drucianej siatki, umieszczonym pośrodku klatki schodowej.

Zadzwoił do drzwi i zjawiała się konsjerżka.

- Signore Erikson! - wykrzyknęła, przytulając go do swego potężnego biustu. - To wspaniale znów pana widzieć - powiedziała po włosku. - Tak długo pana nie było.

Vance, ujęty życzliwością kobiety, usiadł i zaczął z nią gawędzić, podziwiając równocześnie zdjęcia jej młodszego, osiemnastoletniego syna, który właśnie wstąpił na uniwersytet, i popijając cappuccino, podczas gdy konsjerżka wtajemniczała go we wszystkie najnowsze wydarzenia w swej rodzinie. Signora Orsini pochodziła z rodziny, której członkowie pod koniec drugiej wojny światowej zostali wyzwoleni przez Amerykanów i wciąż jeszcze darzyli szczególną sympatią Stany Zjednoczone, nie ulegając podszeptom propagandy komunista. Ale po kilku minutach jej twarz nagle się zachmurzyła.

- Ach, signore, prawie bym zapomniała - rzekła. - Wczesnym rankiem był tu jakiś człowiek. Przyszedł tak wcześnie, że brama była jeszcze zamknięta, i tak długo walił w nią i wrzeszczał, że obudził mnie i zeszedł do niego na dół. - Zmarszczyła brwi i jej oblicze straciło swój jowialny wyraz. - Był w średnim wieku. Utrzymywał, że pana zna. Ale wydawał się tak... tak niezrównoważony, że nie odważyłam się otworzyć bramy. Więc przez judasza podałam mi kopertę i powiedział, żeby ją panu oddać.

Vance odstawił filiżankę na stół tak energicznie, że rozlał trochę

słodkiej ciepłej kawy.

Zdawało się, że signora Orsini tego nie zauważyła.

- Był bardzo wzburzony - mówiła dalej. - Wyglądał na przerażonego, twarz miał bladą jak ściana i powiedział, że muszę koniecznie to panu dać.

Pogrzebała w kieszeniach fartucha i wyciągnęła zmiętą, lecz wciąż zapieczętowaną kopertę. Przyglądała się w milczeniu, jak Vance rozerwał ją, wyjął kartkę i przeczytał wiadomość. Brzmiała: „Muszę się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Mnie też zamierzają dopaść. Spotkajmy się dziś o siódmej wieczorem w kościele Santa Maria delie Grazie”.

I podpis: „Tosi”.

Znalazłszy się w swoim pokoju - tym samym, co zwykle, z oknem wychodzącym na podwórze - Vance zaczął spacerować tam i z powrotem, przerwał, rozpakował się, po czym znów podjął swą przechadzkę.

*Mnie też zamierzają dopaść.* Kim są ci oni? Czy Tosi wie, kto zabił Mardniego? Tosi to mierny znawca Leonarda da Vinci, ale wybitny naukowiec. W przeszłości był fizykiem specjalizującym się w energii nuklearnej, lecz później zaczął krytykować przemysł energetyki atomowej i znalazł się bez pracy. Był twardym mężczyzną; ktokolwiek go przestraszył, musiał się diabelnie natrudzić.

Gdy Erikson powiesił swój drugi garnitur i pozostałe dwie koszule, mając nadzieję, że wygniecenia wygładzą się nieco do czasu jutrzejszego sympozjum, poczuł, że burczy mu w brzuchu. Zszedł więc z powrotem na Via Dante, żeby coś zjeść. Była pierwsza po południu, gdy tuż przy Via Mazzini znalazł w końcu małą *ristorantt*.

Zjadł bez entuzjazmu jakąś przystawkę, a potem talerz *spaghetti alla carbonara*, splukując je połową karafki stołowego wina. Wciąż nie dawał mu spokoju paniczny ton krótkiej notki Tosiego.

Odgarnął z oczu niesforny kosmyk. Usiłował dociec, co takiego mógł ktoś znaleźć w dzienniku sprzed niemal sześciuset lat, na tyle dlań ważnego, by zabijać tych, którzy go przeczytali.

Nalał sobie z karafki następny kieliszek wina, po czym wyjął z torby plik odbitych na fotokopiarce kartek, pomiętych już i splowiałych

od częstego czytania. Była to jego kopia dziennika de Beatisa; muzeum wyraziło zgodę na sporządzenie jeszcze tylko jednej, obawiając się, by jaskrawe światło nie uszkodziło delikatnych stronic.

Łyknął trochę wina i zaczął przeglądać dziennik. Od czasu do czasu odwracał którąś kartkę bokiem, aby przeczytać jakiś własny przypis lub - rzadziej - uwagi zanotowane kilka miesięcy temu przez Martiniego w trakcie lektury dziennika.

Vance nie widział niczego prócz leżących przed nim na stole kartek. Żadne światła, dźwięki ani obrazy nie rozpraszały jego skupienia. Być może w słowach de Beatisa tkwiło jakieś ukryte znaczenie, które mu wcześniej umknęło. Ale nie potrafił niczego odnaleźć. Tu nie może chodzić o sam dziennik, uznał w końcu, odkładając kartki na bok. To musi kryć się w dzienniku i w zaginionych stronicach kodeksu.

Zarówno dziennik, jak i Kodeks Kingsbury'ego przeleżały długie lata - nieprzeczytane i uznane za zaginione - w archiwach madryckiej biblioteki, padając ofiarą nieuważnego katalogowania oraz nagromadzenia zbyt wielu książek na zbyt małej przestrzeni. Obydwa zostały odkryte przez badaczy, którzy podeszli do zbiorów bibliotecznych w nieszablony sposób i po prostu zaczęli w nich szperać, jak to uczynił on sam, odnajdując dziennik.

Od wielu stuleci nikt ich nie czytał. I oto teraz ktoś -kto? - obawia się, że jakiś czytelnik mógł znaleźć w dzienniku wskazówkę, pozwalającą wywnioskować, gdzie znajdują się zaginione stronicie Kodeksu Kingsbury'ego, zastąpione przez falsyfikaty? Przytaknął w duchu, patrząc nieuważnie przez okno restauracji na popołudniowy ruch na chodniku. Tak, z pewnością dlatego zamordowano czytelników dziennika.

Cała ta koncepcja sekretów sprzed ponad pięciuset lat, wciąż stanowiących zagrożenie dla ludzi w dwudziestym wieku, wydawała mu się niedorzeczna. Jednak zginęły trzy osoby i tego faktu nie można było zignorować.

Wciąż o tym rozmyślając, Vance zostawił na stole 6000 lirów za posiłek, wyszedł z restauracji i zaczął przeciskać się przez gęsty tłum przechodniów.

Mrużąc oczy przed światłem słońca, ruszył z powrotem w górę Via Dante, w kierunku Castello Sforza. Na masywnej ceglanej wieży zamku wisiał olbrzymi transparent z podobizną Leonarda. Poniżej, na kolistym podejździe przed zamkiem dostrzegł rzędy taksówek przywożących i zabierających pasażerów. Zapewne turystów, pomyślał. Uczestnicy sympozjum będą wchodzić z przeciwnej strony ogromnego zamczyska, bezpośrednio do nowoczesnej sali konferencyjnej wybudowanej wewnątrz renesansowej fortecy.

Myśl o sympozjum znów przypomniała mu Martiniego. Program przewidywał, że profesor wygłosi odczyt o Leonardzie jaką wojskowym architekcie i inżynierze, co było także jednym z ulubionych tematów Vance'a. Co poczną organizatorzy konferencji, zastanowił się, skoro wystąpienie Martiniego miało być wykładem inauguracyjnym, a zarazem głównym wątkiem obrad?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, Vance po kwadransie trafił do poczekalni gabinetu koordynatora konferencji, gdzie ujrzał gorączkową, niemal desperacką krzątanicę. Asystenci i sekretarki - w tym liczni księża i zakonnice - przebiegali z miejsca na miejsce, wyrzucając zaniepokojonym tonem zdania po włosku z szybkością karabinów maszynowych.

To było wielkie sympozjum, a sprawy szły źle.

Drzwi gabinetu otwarły się raptownie i wypadł z nich dyrektor, niczym półtonowa okrągła kula armatnia, rzucając jeszcze przez ramię dwa zdania swemu asystentowi.

- Mój Boże! - Uśmiechnął się do Vance'a i natychmiast zgniótł go w powitalnym uścisku. - Jestem szczęśliwy, że pana widzę!

Rozpaczliwie próbuję się z panem skontaktować! Czy... - Jego twarz ściągnęła się nagle. - Czy słyszał pan o...

- ... profesorze Martinim - dokończył Vance.

- Tak... To straszne, straszne - rzekł dyrektor, spoglądając w dół, jakby chciał zobaczyć swoje buty, które zasłaniał mu jego olbrzymi brzuch.

- To było... - zaczął Vance.

- Nie mówmy o tym teraz - przerwał mu dyrektor, unosząc w górę dłoń niczym policjant służby drogowej zatrzymujący samochód. -



Kiedy ten... ten cyrk - machnął ręką, wskazując chaos panujący w jego gabinecie - się skończy, wówczas będę długo płakał, ale teraz... teraz życie musi iść dalej swym własnym rytmem. Rytmem, który - mówił ujmując Vance'a pod rękę i prowadząc go do drzwi poczekalni - jest tu kompletnie szalony. Właśnie dlatego jestem taki szczęśliwy, że pana widzę. Co nie znaczy - dodał szybko, sądząc iż popełnił gafę - że nie jestem szczęśliwy, spotykając się z panem przy innych okazjach, ale... no cóż... obecnie potrzebuję pańskiej pomocy.

- Był pan najlepszym uczniem Martiniego, prawda? -zapytał, kiedy zostawili za sobą harmider gabinetu i wyszli na stosunkowo cichy korytarz. - Wobec tego chciałbym, żeby wystąpił pan jutro zamiast niego - ciągnął, nie czekając na odpowiedź Eriksona. - Może pan wygłosić własny odczyt bądź też przedstawić ten przygotowany przez profesora.

- Czuję się...

- To cudownie! - wykrzyknął dyrektor. Lecz nim zdołał dodać coś jeszcze, odciągnęła go grupka zdesperowanych pracowników, potrzebujących jego pomocy do rozwiązania jakiegoś kryzysu.

- Widział się pan z doktorem Tosi? - zawołał za nim Vance.

Dyrektor potrząsnął przecząco głową.

- Niech pan sprawdzi w Excelsiorze. Wydaje mi się, że zwykle tam się zatrzymuje.

Vance spojrział na zegarek. Było dopiero wpół do czwartej. Zostało mu trochę wolnego czasu i postanowił przeznaczyć część na odwiedzenie Tosiego w jego hotelu. Może uda im się wyjaśnić wszystko bez tego melodramatycznego wieczornego spotkania w kościele.

Pojechał do Excelsioru taksówką. Był to luksusowy, nowoczesny hotel w wieżowcu, z wszystkimi udogodnieniami - takimi jak łazienki w pokojach czy room service - bez których, jak wiadomo, Amerykanie nie mogą się obyć, a które Europejczycy z wyższych warstw dopiero zaczynają doceniać.

\*\*\*

- Signore Tosi wymeldował się dziś po południu.

Powściągliwość recepcjonisty ulotniła się, gdy Vance pomachał

pod jego bujną, lecz nienagannie przystrzyżoną brodą studolarowym banknotem.

- Tak, teraz przypominam to sobie lepiej - powiedział, jakby napatrzył się na zbyt wiele amerykańskich filmów klasy B.

Signore Tosi żałował, że musi nas wcześniej opuścić. - Mężczyzna uśmiechnął się przypocholebnie. - Wyszedł... sprawdził wpis - około południa, w towarzystwie dwóch księży.

Księży? Pomimo swego włoskiego dziedzictwa i miłości dla renesansowej sztuki, której najwspanialsze dzieła znajdują się w kościołach, Tosi był człowiekiem na wskroś niewierzącym, wyrażającym otwarcie i z wiekiem coraz bardziej ostentacyjnie swój wstręt do religii oraz praktykujących ją ludzi. Miało to, jak mówił, jakiś związek z katolicką szkołą, do której uczęszczał, i zakonnicami wymierzającymi kary linijką.

O wpół do siódmej Vance Erikson szedł w słońcu późnego popołudnia przez Corso Magenta. Był bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek, a w głowie kłębiły mu się bezładnie myśli. Jego świat zmieniał się w kalejdoskop, podobniejszy bardziej do surrealistycznego obrazu Salvadora Dali niż do arcydzieł Leonarda da Vinci. Tymczasem wokół niego hałaśliwy, gorączkowy dzienny gwar zastąpiły łagodniejsze, bardziej ludzkie odgłosy dziecięcych zabaw, włączonych telewizorów i przygotowywanych kolacji, dochodzące wyraźnie z szeroko otwartych okien na pierwszych i drugich piętrach kamienic. Gdy zobaczył znajome kolumnowe wieżyczki kościoła Santa Maria delie Grazie, miał jeszcze piętnaście minut czasu. Postanowił wykorzystać ten kwadrans na powitanie *Ostatniej Wieczery* Leonarda da Vinci. Chociaż arcydzieło cudem przetrwało nalot bombowy aliantów w sierpniu 1943 roku, później niemal uległo mniej spektakularnemu, lecz dalece bardziej zjadłemu wrogowi: upływowi czasu. Malowidło zblakło i miejscami zaczęło się złuszczać. To był skarb, z którym wolno i okrutnie rozprawiał się czas.

Przy drzwiach do refektarza zapłacił znudzonemu i sennemu strażnikowi, po czym wszedł do chłodnej, wilgotnej sali. W świetle kilku przyćmionych reflektorów ujrzał przed sobą Chrystusa oraz jego oszołomionych uczniów, którzy przed chwilą usłyszeli słowa swego

mistrza: Jeden z was mnie zdradzi". Był to najstarszy z ludzkich dramatów, odgrywany tysiące razy dziennie i tysiące razy w ciągu każdego życia. Złe ulokowanego zaufania, które, gdy raz zostanie unicestwione, nigdy nie da się odzyskać.

Vance nie był pewien, co naprawdę sądzi o Jezusie, ale gdy widział prawdę, potrafił ją rozpoznać. I nie miało żadnego cholernego znaczenia, czy ten człowiek był wcielonym Bogiem. Liczyła się tylko jedna objawiona prawda: zaufanie zawsze zostanie zdradzone przez tych, których kochamy. Vance widział tę prawdę w Jezusie człowieku: oto człowiek, który ufał i kochał, i umarł za swą wiarę w Boga i w innych ludzi.

Vance usłyszał za sobą szuranie czyichś butów po zabrudzonej betonowej posadzce i odwrócił się nerwowo.

-Już zamykamy, signore - powiedział po włosku strażnik, ziewając i zasłaniając usta brudną dłonią.

Przy drzwiach Vance po raz ostatni rzucił okiem na fresk, po czym wyszedł na zewnątrz. Nad małym placykiem pojedyncza żarówka z metalową osłoną, wisząca na cienkim czarnym przewodzie, kołysała się łagodnie w podmuchach wieczornej bryzy. Nad jego głową gromadziły się ciemności, przeganiając światło odchodzącego dnia.

Spojrzał na zegarek. Pora już na spotkanie z Tosim. Żarówka rzucała w nadciągający mrok ruchome cienie jego nóg, gdy przemierzał dwadzieścia metrów, dzielące go od bramy kościoła.

Pchnął ciężkie drewniane drzwi i wszedł do świątyni. W środku było równie ciemno jak na zewnątrz. Ujrzał tylko jedną osobę, przygarbioną starą kobietę w czarnej bez kształtnej sukni i chustce na głowie. Przyglądał się, jak umieściła wotywną świecę na podstawce, po prawej stronie bogato zdobionego przedsionka, a potem wyszła. Vance mimo woli wzdygnął się. Był sam w słabo oświetlonym wnętrzu kościoła. Usiadł w ławce koło bocznej nawy, blisko drzwi, i czekał.

Po kwadransie Tosiego wciąż nie było. *Mnie też zamierzają dopaść*. Najgłośniejszym dźwiękiem w kościele był oddech Vance'a, coraz krótszy i szybszy, w miarę jak mijały kolejne minuty.

O wpół do ósmej zaczął powątpiewać w słuszność swej decyzji, by zająć się wszystkim samemu. Natychmiast po wyjściu z hotelu

powinienem był zawiadomić policję, pomyślał z poczuciem winy. Postanowił zrobić to teraz. Wstał i ruszył do wyjścia. Gdy doszedł do drzwi, otworzyły się powoli, teatralnie. Po chwili z ciemności wyłoniła się biała twarz i jeszcze bielsza koloratka księdza. Reszta jego postaci, z wyjątkiem błyszczącego krzyża u boku, ginęła w ciemnościach.

- Pan Erikson? - zapytał ksiądz po angielsku.

Vance długo wpatrywał się w niego bez słowa, nim w końcu odpowiedział:

- Tak. Czy my się znamy?

- Nie - odrzekł ksiądz, nie czyniąc żadnego ruchu, by wyjść z cienia - ale mamy wspólnego przyjaciela, który prosił mnie, żebym przekazał panu wyrazy jego najszczęśliwszego żalu, że nie mógł stawić się na umówione spotkanie.

Vance zobaczył, że ksiądz grzebie w głębokiej kieszeni sutanny, i spodziewał się, że wręczy mu jakąś wiadomość od Tosiego. Zamiast tego jednak kapłan wyjął pistolet i wycelował w niego.

## Rozdział 7

---

Ksiądz trzymał broń pewnie, mierząc prosto w twarz Vance'a.

- Nie chcę zrobić panu krzywdy, panie Erikson - powiedział.

Zrobił krok w jego stronę, wychodząc z atramentowych ciemności w przyćmione światło kościoła. Był niski — miał najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu — w średnim wieku, z krótkimi, przylegającymi do głowy szpakowatymi włosami. Nosił okulary w grubych czarnych oprawkach.

Vance z trudem wydobył z siebie głos:

- Cóż... - odchrząknął nerwowo. - Jeśli nie chce pan zrobić mi krzywdy, może odłożyłby pan tę rzecz? - Przerwał, a potem dodał: - Czy używa pan tego podczas mszy? - Próbował zdobyć się na uśmiech, lecz zrezygnował, kiedy zobaczył, że twarz mężczyzny stężała. Ten ksiądz traktował swoją religię poważnie.

- Pójdzie pan ze mną - powiedział duchowny. Vance nadal stał, wrośnięty w ziemię ze strachu, ale i w odruchu buntu. Nie lubił, gdy ludzie mówili mu, gdzie ma iść, zwłaszcza grożąc rewolwerem. Lecz, pomyślał, to przynajmniej oznacza, że on nie zamierza mnie zabić... na razie.

- Gdzie mam iść?

- To nie twoja rzecz. - Ksiądz wskazał drzwi. - No, ruszaj.

Odstąpił na bok, żeby przepuścić Vance'a. Ten zawahał się.

- Pospiesz się!

Vance przeszedł obok księdza. Gdy znalazł się w małym przedsionku, poczuł na plecach dotyk chłodnej i twardej lufy pistoletu.

- Nie próbuj wołać o pomoc - rzekł cicho mężczyzna.

Vance podszedł do drzwi, pchnął je i wyszedł w ciemną noc. W chwilę później usłyszał za sobą jakiś głuchy odgłos i szuranie.

Odrzucił się i zobaczył, że ksiądz usiłuje odzyskać równowagę, najwyraźniej potknąwszy się o próg. Vance rzucił się do ucieczki.

Za jego plecami kapłan zaklął bluźnierczo. Rozbrzmiał huk wystrzału. Vance dał nura za załom wejścia i przebiegł przed frontonem kościoła, kierując się ku Corso Magenta. Biegł na oślep, poprawiając wciąż na ramieniu pasek torby, która waliła go w udo. Gdy dotarł do ulicy, w ciemnościach rozległ się następny strzał. Poczuł, że kula trafiła w papiery w torbie. Wyteżając wzrok obejrzał się za siebie i ujrzał w ciemnościach bezkształtną czarną plamę rozwianej sutanny. Dostrzegł też u wylotu lufy błysk kolejnego wystrzału, którego huk dobiegł jego uszu, gdy kula uderzyła w budynek po drugiej stronie ulicy. Jak na kogoś, kto nie chciał zrobić mi krzywdy, mruknął do siebie, kropisz cholernie blisko mnie, kolego.

Dwa bliskie trafienia wpompowały do jego krwi więcej adrenaliny. Chwycił torbę w rękę i puścił się sprintem po Corso Magenta, wrzeszcząc po włosku: „Ratunku, policja, morderstwo!”. Wzdłuż całej ulicy ludzie zrywali się z krzykiem od swych obiadowych stołów i zerkali ostrożnie przez otwarte okna.

Rozległ się jeszcze jeden strzał, ale tym razem Vance nie miał pojęcia, gdzie trafiła kula. Nagle uświadomił sobie, że jego dudniące kroki są jedynymi, jakie słyszy. Wpadł w jakieś wejście i zaryzykował

rzut oka za siebie. Ku swej uldze zobaczył, że ksiądz stoi bez ruchu przy narożniku kościoła Santa Maria delie Grazie, jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy ma podjąć pościg. Po czym, gdy krzyki okolicznych mieszkańców wzmożyły się, odwrócił się raptownie i pobiegł w przeciwnym kierunku.

Drżąc ze strachu, Vance przez kilka sekund kulił się w drzwiach. Nogi się pod nim trzęsły, gwałtownie łapał powietrze, a jego pęcherz nagle zaczął domagać się uwagi. Potem, obawiając się, że ksiądz mógłby wrócić, Vance wyszedł na ulicę i pobiegł co tchu do pensjonatu. Dopiero kiedy otworzył kluczem bramę i zarygłował ją za sobą, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku.

Winda czekała na parterze. Po raz pierwszy wszedł do niej i pozwolił, aby to antyczne urządzenie zawiozło go na górę.

Zamówił taksówkę i pojechał na posterunek policji. Nic chciał, by policjanci zakłócili spokój w pensjonacie pani Orsini. Spędził na komendzie półtorej godziny, wciąż od nowa opisując oficerowi śledczemu wygląd księdza.

- Jest pan pewien, zupełnie pewien, że ten mężczyzna był księdzem? - dopytywał się bez przerwy oficer, najwyraźniej pobożny katolik, a Vance stale odpowiadał mu, że tak, mężczyzna nosił księżą sutannę, choć oczywiście nie ma żadnego dowodu na to, że naprawdę był duchownym.

- Terrorysta - orzekł śledczy - lub może członek mafii. Policjanci obejrżeli dziurę w jego torbie, przyjęli jego oświadczenie, po czym wypuścili go, upominając, żeby nie opuszczał Włoch bez ich wiedzy. Wspaniale, pomyślał Vance.

Pojechał taksówką do państwowego urzędu pocztowo--telegraficznego na Piazza Vittorio Emanuele II, niedaleko pensjonatu. Było kilka minut po wpół do dziesiątej wieczorem, gdy wchodził przez wspaniałą arkadę w kształcie krzyża, z imponującą kopułą ze szkła i metalu. Po niespełna dziesięciu minutach telefonistka połączyła go z Harrisonem Kingsburym w centrali ConPacCo w Santa Monica. Gdy poprzedniego dnia Vance dzwonił, żeby powiadomić szefa o śmierci Martiniego, Kingsbury'ego nie było w mieście, toteż teraz poczuł ulgę, słysząc w słuchawce jego głos.

- Vance? - zapytał potentat naftowy. - Czy to ty?

- Tak - odpowiedział Vance. - Mam...

- To potworne, co stało się z Martinim - przerwał mu Kingsbury.

- Przychodzi ci do głowy, dlaczego ktoś miałby go zabić? Czy to mogło mieć jakiś związek z twoim przyjazdem do Amsterdamu?

Tak - odrzekł Vance. - To brzmi niewiarygodnie, ale sądzę że istnieje pewien związek. - Przerwał. - Ma pan moje wcześniejsze raporty o tych dwóch przypadkach śmierci w Wiedniu i Strasburgu...

- I przypuszczasz, że te zgony są ze sobą powiązane?

- Z początku sądziłem, że to tylko zbieg okoliczności, ale jeśli dodać do tego Martiniego i...

Zadzwoiłem do kilku osób w Amsterdamie i Hadze - wtrącił znowu Kingsbury, zanim Erikson zdołał opowiedzieć o swych dzisiejszych przeżyciach. - Podkreśliłem

holenderską policję i ich antyterrorystyczne służby wywiadowcze. Są mi winni parę przysług i poprosiłem o jedną z nich.

Vance słuchał spokojnie Kingsbury'ego, raz jeszcze podziwiając energię swego starego szefa. Ten człowiek w wieku siedemdziesięciu trzech lat wcale nie zwalniał tempa. Tak, niemal w każdym kraju ma kogoś, kto jest mu winien przysługi.

... holenderska policja przydzieliła dodatkowych ludzi na pełnych etatach, którzy mają zajmować się wyłącznie rozwiązaniem zagadki śmierci Martiniego - mówił Kingsbury.

Szefie? - Vance'owi udało się wreszcie przerwać jego monolog. - Mam panu do zakomunikowania coś ważnego.

Zrelacjonował dramatyczne wydarzenia tego wieczoru oraz wcześniejsze dzisiejsze wypadki, aż do umieszczenia go na liście prelegentów sympozjum poświęconego Leonardowi da Vinci.

To wspaniale, Vance, że poproszono cię o wystąpienie, ale chcę, żebyś dziś wieczorem ruszył dupę i wrócił do domu. Chcę cię mieć żywego, ty draniu - powiedział Kingsbury czule. - W końcu jesteś moim najcenniejszym geologiem poszukiwawczym. Nie stać mnie na to, aby cię zabito.

Szefie - powiedział Vance - rozumiem pańską troskę. I doceniam ją. Ale po prostu nie mogę tego zostawić. Przecież obraziłbym pamięć

Martiniego, gdybym wycofał się i nie wygłosił jutro jego referatu.

Czekał na odpowiedź, lecz słyszał tylko ciszę.

- To prawda - powiedział Kingsbury po długiej chwili. - Ale w takim razie chcę, żebyś jeszcze dziś wieczorem wyniósł się z tej brudnej dziury, w której się zawsze zatrzymujesz i pojechał gdzieś, gdzie nigdy nie mieszkałeś i gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy cię szukać.

- W porządku - odparł Vance. - Zmienię apartament, ale zastanawiam się poważnie, czy powinienem opuścić Mediolan, zanim nie dowiem się, o co tu chodzi. - Obydwaj wiedzieli, że każdy z nich będzie chciał postawić na swoim. Obydwaj byli uparci. - Chociaż nie jestem o wiele bliższy odnalezienia brakujących stron, niż byłem miesiąc temu, teraz ich odszukanie wydaje mi się znacznie ważniejsze - ciągnął. Jeżeli mi się to nie uda, wówczas śmierć trzech dobrych ludzi - a może nawet czterech, jeśli Tosi również nie żyje - pójdzie na marne.

- Dobrze - zgodził się niechętnie Kingsbury.

- Wie pan, że to prawda - powiedział z naciskiem Vance. - I niech mi pan nie mówi, że nie pragnie pan dostać tych stronik bardziej niż kiedykolwiek.

- Jasne, że jestem zaintrygowany - przyznał Kingsbury.

- Ale chyba nie do tego stopnia, żeby poświęcić twoje życie - czy czyjekolwiek inne, jeśli już o to chodzi. Poza tym, co możesz zrobić takiego, czego nie potrafią władze w Holandii i we Włoszech?

- Myślę, że pan to doskonale wie, sir - odparł Vance.

- Czy oni naprawdę uwierzą, że ktoś zabija, żeby ukryć treść paru papierów mających kilkaset lat? A gdyby nawet uwierzyli, czy naprawdę potrafią wytropić zaginione papiery lepiej niż ja?

- Niech to diabli, Vance! - wykrzyknął stary człowiek.

- Cholernie nie lubię, kiedy masz rację... a zwłaszcza tym razem.

Wiesz, że może ci się coś stać?

- Nie sędzę, żeby trzeba mi o tym przypominać - powiedział Vance, dotykając palcami gojącego się rozcięcianad lewym okiem i myśląc o dziurze w swojej torbie. - Ale to samo może spotkać człowieka, który zabił profesora Martiniego, a ja zamierzam się dowiedzieć, kim on jest.



Vance wyobraził sobie Kingsbury'ego siedzącego za swym masywnym biurkiem w gabinecie z widokiem na Pacyfik. Kiwając głową, stary będzie gryzmolił na kartce z notesu ozdobnym kaligraficznym pismem: „Zgoda Vance, masz rację. Żałuję, że tak jest”.

- Rozumiem - rzekł Kingsbury. - I zgadzam się. Ale chcę, żebyś ty zgodził się, abym ci pomógł. Zastępca szefa włoskiego wywiadu to mój stary przyjaciel. Zadzwoń do niego. Chcę, żebyś przyjął każdą pomoc, jakiej ci udzieli. Czy wyrażam się jasno?

\*\*\*

Później tego wieczoru Vance kupił pół butelki Barolo i pojechał do hotelu Hilton. Miał zamiar wrócić do pensjonatu po swoje rzeczy nazajutrz. Siedział po ciemku w swym nowym pokoju hotelowym, pił wino i obserwował ruch uliczny w dole. W końcu spuścił rolety i wśliznął się do łóżka.

Noc miał niespokojną. Aż do świtu wciąż od nowa śnił mu się ten sam koszmar. Za każdym razem był znowu w kościele Santa Maria delie Grazie, a ksiądz mierzył do niego z rewolweru. W ostatnim śnie ksiądz wyszczerzył zęby w ohydny uśmiech pośmiertnej maski i raz za razem pociągał za cyngiel. Vance obudził się, gdy kule rozszarpywały jego ciało.

## *Rozdział 8*

---

*Niedziela, 6 sierpnia*

Bezlitosne, palące promienie oślepiającego śródziemnomorskiego słońca padały nieprzerwanie na dachy domów Mediolanu i na głowy jego mieszkańców. Wysysały każdą kroplę wody, zamieniając suchy skwar w parującą wilgotną męczarnię. Nawet doskonały system klimatyzacyjny, który z cichym szumem nawiewał potoki balsamicznie chłodnego powietrza do sali konferencyjnej, nie mógł sprostać tej temperaturze.

Suzanne Storm, klnąc cicho, usiłowała chusteczkami higienicznymi wytrzeć z twarzy pot, zanim ścieknie strużkami i

zniszczy jej starannie położony makijaż. Dyrektor sympozjum poświęconego Leonardowi da Vinci siedział ze stoickim spokojem przed podium w stosownie pozapinanym garniturze. Jednakże pozostali uczestnicy sympozjum pozbyli się marynarek oraz krawatów i podwinęli rękawy koszul.

Dajcie mi suchy upał Florencji albo Los Angeles, a zamienię się w jednej chwili, westchnęła w duchu Suzanne. Po raz tysięczny tego dnia poruszyła się niespokojnie na krześle i wygładziła zagniecenia spódnicy. Wysianie jej przez redakcję Haute Culture do zrelacjonowania tej konferencji to czysta strata czasu i pieniędzy. Jest ogłupiająco nudna, pomyślała. Czy można umrzeć ze śmiertelnej nudy? Ludzie tu byli jeszcze mniej interesujący niż nadęci nudziarze, jakich musiała zabawiać na przyjęciach jej ojca, kiedy był ambasadorem we Francji.

Stłumiła ziewnięcie i starła kroplę potu, spływającą po karku. Powinna była dzisiaj wysoko upiąć włosy. Ale chłodny ranek nie zapowiadał tak skwarne go popołudnia.

Sięgnęła ręką do tyłu, zebrała swoje jasnokasztanowe sploty i uniosła je na chwilę z szyi, a potem puściła i potrząsnęła głową, żeby znowu ułożyły się równo. Zerknęła na piageta na przegubie: dochodziło w pół do czwartej. Jeszcze tylko jeden referat, a potem przyjęcie. Już teraz dałaby wiele za dobrze schłodzone martini.

Rozejrzała się i stwierdziła, że nie tylko ona przysypia, odurzona narkotykiem monotonnego głosu prelegenta. Zajrzała do programu. Następny przewidziany mówca przynajmniej nie był mdły i nijaki. Już raczej, pomyślała, jest trochę nazbyt interesujący i nazbyt ekscentryczny, aby być wiarygodnym, a już z pewnością za mało bezbarwny, by mogła traktować go poważnie jako uczonego specjalistę od Leonarda da Vinci.

Psiakrew, znowu to samo, skarciła się w duchu.

Cofnęła się myślami o miesiąc. W wieczornych wiadomościach zobaczyła wówczas migawkę z konferencji prasowej, na której Harrison Kingsbury oznajmił o odkryciu przez Eriksona fałszerstwa w niedawno zakupionym kodeksie. Nadano fragment, kiedy zakwestionowała wnioski Eriksona. Wyglądała tam na straszłą

wiedz'mę. Czy naprawdę taka była? Czy to rzeczywiście mogła być ona? Zastanowiła się nad sposobem, w jaki przeprowadza wywiady i wypytuje ludzi, a potem znów pomyślała o Eriksonie.

Nie, uznała, nie zadawała innym ludziom pytań tak szorstko jak jemu. Przez ostatnie dwa lata, odkąd pracowała dla *Haute Culture*, wielokrotnie się na niego natykała. Światek sztuki jest tak mały i ciasny, że ci sami ludzie stale mają ze sobą do czynienia. Podobnie jak światek Ivy League i innych największych uczelni wschodniej części Stanów. Po raz pierwszy spotkała Vance'a Eriksona podczas swego pierwszego roku w college'u Skidmore, na przyjęciu z okazji zjazdu absolwentów. Erikson właśnie podjął uzupełniające studia magisterskie w Massachusetts Institute of Technology i wszystkie jej przyjaciółki uważały, że jest szalenie atrakcyjny - zupełnie inny niż typowe mole książkowe z MIT-u. Towarzyszka Eriksona na ten wieczór, również absolwentka Skidmore, pyszniła się niczym drogocennym klejnotem, nim i jego nieciekawymi przeżyciami hazardzisty.

- Wyobraźcie sobie tylko, być wykopanym z kasyna w Monte Carlo za to, że jest się zbyt dobrym graczem! - podlizywali mu się wszyscy. Wszyscy oprócz niej. Gdy inni topnieli od spojrzeń intensywnie błękitnych oczu Vance'a Eriksona i jego szelmowskiego uśmiechu, ona zachowywała rezerwę. Wydał jej się zbyt zuchwały i zadufany w sobie. Za kogo się miał, żeby łamać towarzyskie konwenanse? Czy sądził, że wszystko ujdzie mu na sucho? *Ona* tak nie myślała. Wypełniała swoje obowiązki na przyjęciach dyplomatycznych ojca. Może nie sprawiała jej przyjemności, ale rzetelnie się z nich wywiązywała. Ten zbyt pewny siebie młody człowiek obrażał poczucie obowiązku Susanne Storm.

Lecz teraz, tego upalnego niedzielnego popołudnia w Mediolanie, własne myśli nie dawały jej spokoju. Powróciło dręczące wspomnienie tamtego telewizyjnego programu i własnych zachowań. Czy możliwe, że myliła się co do Eriksona? Wszystko to było takie zagmatwane.

Tymczasem prelegent, słabowity stary człowiek z uniwersytetu w Padwie, powłócząc nogami zszedł z podium, wspomagany przez jednego z pracowników dyrektora. Jego miejsce zajął sam dyrektor i zaczął przedstawiać Vance'a Eriksona, odczytując jego dokonania z

zadrukowanej kartki. Susanne po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że istotnie są imponujące.

Przyglądała się, jak dyrektor zakończył prezentację, a Erikson przemierzył energicznym krokiem estradę i wszedł na mównicę. Na sali wyraźnie wyczuwało się poruszenie; ludzie się ożywili i patrzyli z zaciekawieniem. Nowo przybyli zapełniali miejsca, które przez cały dzień przeważnie świeciły pustkami.

Wszystko przez ten jego energiczny chód i pewność siebie, pomyślała. Nie, to coś więcej niż pewność siebie. On na to gwizdze, uświadomiła sobie. On naprawdę gwizdze na to, co ludzie o nim myślą. Ze swego miejsca w dwunastym rzędzie obserwowała jego oczy, gdy stał na podium ożywiony, zniewalający, czekając aż umilkną oklaski. Suzanne Storm nie znośiła przyznawać się do pomyłek, ale teraz pomyślała, że być może się myli. Przynajmniej, powiedziała sobie, gdy Erikson zaczął odczyt, powinnam dać mu jeszcze jedną szansę - uczciwą szansę.

\*\*\*

Vance uśmiechał się, czekając aż oklaski ucichną. Rozejrzał się po sali i dostrzegł mnóstwo znajomych twarzy. Ponadto w pierwszym rzędzie siedział opiekun, którego przydzielił mu znajomy policjant Kingsbury'ego. Mężczyzna był potężny, groźny i zupełnie tutaj nie pasował. Dziś rano czekał na niego przed drzwiami i łąził za nim wszędzie jak zagubiony szczeniak... to znaczy, o ile zagubione szczeniaki noszą pistolety maszynowe uzi.

Nagle Vance spostrzegł Suzanne Storm i poczuł ucisk w żołądku.  
- Cholera - mruknął pod nosem.

Z ociąganiem skierował wzrok na stronie referatu Martiniego, których marginesy pokryte były jego własnymi, pospiesznie nagryzłymi dopiskami. Od tamtego pierwszego razu, kiedy spotkał ją w Skidmore... Co takiego mógł wtedy powiedzieć? Co takiego zrobił? Doszedł do wniosku, że cokolwiek to było, wróciło teraz, żeby go prześladować.

Oklaski powoli ucichły i Vance zaczął mówić:

- To miało być wystąpienie Geoffa Martiniego, nie moje. Jestem dziś tylko pośrednikiem i mam nadzieję, że oddacie mu cześć, widząc

tym miejscu jego, a nie mnie. Bowiem we wszystkim, co wiem o Leonardzie, jest cząstka wspaniałomyślności i geniuszu profesora.

Vance kontynuował swój hołd dla Martiniego, opisując olbrzymi wkład badacza w studia nad Leonardem i opowiadając, jak Martini znalazł go w małym pubie przy kampusie uniwersytetu Cambridge i zmienił bieg jego życia. Kiedy kończył, oczy miał wilgotne, a jego głos złagodniał. Spostrzegł, że wielu słuchaczy podziela jego poczucie straty.

-Jednakże powinniśmy kontynuować pracę profesora Martiniego - powiedział, kierując spojrzenie na leżące przed nim kartki - i sprawić, by jego dzieło pozostało żywe, mimo iż on niczego już nie napisze.

- Tak jak od innych renesansowych artystów – zaczął bez żadnych wstępów - od Leonarda również oczekiwano, że będzie czymś więcej niż tylko artystą. I rzeczywiście, podobnie jak współczesny mu Michał Anioł, Leonardo był znakomitym architektem wojskowym i urbanistą. Podczas gdy Michał Anioł zaprojektował od nowa fortyfikacje warownego miasta Florencji, Leonardo wykorzystywał swe uzdolnienia dalej na północ, gdzie służył jako inżynier wojskowy pod rozkazami Cezara Borgii oraz hrabiego Lodovico Sforzy, księcia Mediolanu, który wznosił ten wspaniały zamek.

-W istocie jest to dziedzina, której profesor Martini poświęcił... poświęcił najwięcej swego czasu - skomentował.

Po czym mówił dalej, jedynie sporadycznie korzystając ze swych notatek. Przygotował grunt, napomykając krótko o kilku współczesnych wynalazkach wojskowych, wymyślonych wcześniej przez Leonarda: łodzi podwodnej, opancerzonym czołgu, spadochronie, akwalungu, helikopterze oraz prymitywnych formach pocisków sterowanych i broni artyleryjskiej. Nie zatrzymał się dłużej przy żadnym z nich, gdyż były to sprawy dobrze znane zebranych.

Oczywiście, technologia w roku 1499 nie potrafiła nadążyć za umysłem Leonarda. Jego pomysły były w owym czasie niemożliwe do zrealizowania, ponieważ trzeba było dopiero postępu w metalurgii, elektronice i chemii, żeby można je było wykorzystać w praktyce. Ważne jest jednak, aby zdać sobie sprawę, że jego wynalazki były gotowymi koncepcjami, które musiały jedynie poczekać, aż dogonią je

stulecia rozwoju cywilizacji.

Nigdzie nie wiedzą o tym lepiej niż w zakładach przemysłowych Kruppa - powiedział Vance, wychodząc zza mównicy i opierając się o nią niedbale prawym łokciem. - Chociaż rodzina Krupp już od szesnastego stulecia zajmowała się wytwarzaniem oręża i zbroi, w dziewiętnastym wieku popadła w kłopoty finansowe i w roku 1870 była bliska bankructwa. I właśnie wtedy Alfred Krupp odkrył rysunek Leonarda przedstawiający działą odtylcowe.

Pomysł działą odtylcowego stanowił radykalną nowość. Załoga artyleryjska nie musiałaby już ładować swej broni od lufy i wystawiać się przez to na ogień wroga. Tak więc Krupp postanowił zbudować działą Leonarda da Vinci. Reszta to już historia: realizacja projektu Leonarda dźwignęła z kryzysu zakłady zbrojeniowe Kruppa i firma rozwijała się, by wreszcie stać się największym na świecie producentem broni, dostarczającym ciężkie opancerzenie i potężną broń artyleryjską na użytek hitlerowskiego Blitzkriegu.

Zastanówcie się nad tym - ciągnął Vance, zniżając głos. - Pomysł geniusza z piętnastego wieku nieomal pokonał połączone armie podczas dwudziestowiecznej wojny. - Przerwał. W sali panowała cisza, którą zakłócał jedynie szum klimatyzacji. - Zdumiewające, że geniusz tego człowieka jest nadal żywy i nawet w dzisiejszych czasach wywiera na nas wpływ.

A staje się to jeszcze bardziej intrygujące, kiedy weźmiemy pod uwagę, że Leonardo da Vinci nienawidził wojny. Nazywał ją *bestialissima pazzia* - najbardziej bestialskim szaleństwem. Mimo to wciąż wymyślał rozmaite rodzaje broni, ponieważ wiedział, że jedyną rzeczą gorszą od prowadzenia wojny jest jej przegranie. Tak więc dla swych współczesnych wynalazł działą oraz niezwykle zestaw katapult i kusz, zaś dla naszych czasów łodzie podwodne i helikoptery. W istocie jeden z jego wynalazków - urządzenie namiarowe - musiał zostać powtórnie wynaleziony przez Sperry Gyroscope Corporation i został wykorzystany jako wsparcie nawigacyjne dla bombowców wysokiego pułapu. Ale w kodeksach Leonarda znajdują się też szkice precyzyjnych urządzeń nawigacyjnych, nad których powtórny wykonaniem współcześni naukowcy i inżynierowie trudzili się przez

całe lata.

Atmosfera w sali wykładowej była naelektryzowana. Wszyscy utkwili spojrzenia w prelegencie, jakby wchłaniali w siebie jego entuzjazm. Nawet Suzanne Storm wpatrywała się w Eriksona szeroko rozwartymi oczami, a jej twarz zastygła niczym w transie.

A pochodzą one tylko z tych kodeksów, które nie zaginęły - podkreślił z naciskiem Vance. - Wiemy zaś, że w ciągu stuleci tysiące stron pism Leonarda zginęło bądź uległo zniszczeniu. Jakie niespodzianki moglibyśmy w nich znaleźć? Jakie odkrycia - albo zagrożenia - mogły zawierać?

Pamiętajmy, że w liście do hrabiego Sforzy Leonardo podkreślał swe militarne talenty i pisał, iż wynalazł broń tak straszliwą, że waha się, czy przelać swój pomysł na papier, w obawie by nie dostał się w ręce złych ludzi! Niektórzy uczeni uważają, że Leonardo miał na myśli łódź podwodną; inni jednakże przypuszczają, że chodzi tu o jakiś nieodkryty jak dotąd wynalazek, opisany w którymś z zaginionych papierów.

- Niezależnie od faktu, czy owe przypuszczenia są prawdziwe, czy nie - ani tego, czy kiedykolwiek uda się to definitywnie rozstrzygnąć - jedna rzecz w odniesieniu do Leonarda da Vinci wydaje się niewątpliwa: ten człowiek był wizjonerem, praktycznym wizjonerem. Nienawidził wojny, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że jest nieunik

niona. Zaś uświadomiwszy sobie nieuchronność wojny, dostrzegł konieczność wynalezienia wojennych broni, żeby jego stronnictwo mogło odnieść zwycięstwo. Sam Leonardo tak wyjaśnił swój dylemat: „Zagrożony przez żadnych władzy tyranów, wynajduję środki ataku i obrony po to, aby zachować najważniejszy dar Natury, jakim jest Wolność”.

- I tak też jest dzisiaj.

Sala wybuchła brawami. Uśmiechając się Vance zebrał papiery i podziękował, lecz jego słowa utonęły w morzu oklasków. Ale gdy zszedł z podium, uśmiech spelzł mu z twarzy, gdyż ochroniarz uprzejmie, lecz stanowczo zajął miejsce przy nim i skinąwszy mu głową, jął omiatać wzrokiem audytorium, szukając niebezpieczeństwa,

zanim zdąży się ono ujawnić.

Wygłoszenie referatu Martiniego było tego popołudnia ostatnim punktem programu konferencji. Po nim zaplanowano cocktail-party. Kiedy Vance skończył rozmowę z sympatykami w sali wykładowej i wyszedł na zamkowy dziedziniec, gdzie odbywało się przyjęcie, dochodziła szóstka. Ku jego przerażeniu, pierwszą osobą, która przecisnęła się przez tłum, żeby się z nim przywitać, była Suzanne Storm.

Podeszła do Vance'a w momencie, gdy brał od barmana drinka. Naprawdę ich pan podbił - powiedziała życzliwie.

Przypuszczam, że zarobiłem przez to kolejną krechę w pani notesie - rzekł. Przyglądał się jej wyczekująco znad brzegu kieliszka zimnego białego wina i dostrzegł w zielonych oczach dziennikarki krótki błysk gniewu.

No cóż, skoro pan tak uważa - odparła spokojnym tonem. - Właściwie podeszłam, żeby powiedzieć panu komplement.

- Komplement? - Potrząsnął sceptycznie głową. - Od dwóch lat jest pani... - Przerwał, uświadomiwszy sobie nagle, że jego antagonistka traktuje go dziś zgoła inaczej niż zwykle.

- Proszę dokończyć - zachęciła. - Zaczął pan coś mówić. Popatrzył na nią uważnie. Czy ona znów coś knuje? Czy też udawając życzliwą, wyciąga przyjazną dłoń tylko po to, by za chwilę podstawić mu nogę?

- Chciałem powiedzieć... - urwał, opanowując obawę i chęć uprzedzenia jej ataku - że biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe kontakty, komplement jest ostatnią rzeczą, jakiej bym się po pani spodziewał.

- Tak... a więc... - spojrzała na niego; chciała go przeprosić, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Nic nie dowiodło jeszcze, że się co do niego myliła. Niemniej...

- A więc? - powtórzył, aby przerwać przedłużającą się ciszę.

- A więc... - szukała odpowiednich słów, które wprowadziłyby do ich rozmowy życzliwy ton, lecz zarazem nie oznaczały całkowitej kapitulacji -... moje pismo wyznaje pewne standardy...

- Zaś ja ich nie spełniam. Czy właśnie to chce pani powiedzieć?



Cóż, mówi to pani za każdym razem, kiedy się widzimy i pisze w każdym artykule na mój temat. Znam te inwektywy na pamięć - szybko wyrzucał z siebie słowa - więc doprawdy nie ma potrzeby ich powtarzać. - Popatrzył na nią gniewnie. Ta kłótnia wisiała w powietrzu już od dawna i teraz powitał ją z zadowoleniem. Niegdyś puszczał krytyczne uwagi Susanne Storm mimo uszu, lecz w końcu jego cierpliwość się wyczerpała. Niech to diabli, ma chyba prawo zadać parę ciosów w samoobronie!

Wpatrywali się w siebie w napięciu.

-Mógłby pan przynieść mi drinka? - poprosiła uprzejmym tonem, usiłując powściągnąć złość i powiedzieć coś neutralnego, aby zyskać czas na opanowanie się.

-Myślę, że może pani doskonale sama to zrobić, panno Storm - odparł, odwracając się do kustosa muzeum w Antwerpii, który pojawił się u jego boku i najwyraźniej chciał z nim porozmawiać.

-*Magnifique* - rzekł tamten, ściskając mu dłoń. - Choć głęboko żałujemy, że profesor Martini od nas odszedł, jesteśmy wdzięczni, że kontynuuje pan jego pracę. Nieprawdaż, Janie? - zwrócił się do stojącego przy nim młodszego mężczyzny.

\*\*\*

Suzanne Storm z morderczym błyskiem w oku odwróciła się od nich na pięcie i zamówiła martini. Ulokowała się obok stołu z kanapkami i łączywie pijąc drinka, przyglądała się Eriksonowi w kółku admiratorów. Wysączyła swój koktajl, wzięła następny, po czym podryfowała na skraj grupy otaczającej Vance'a. W miarę, jak ludzie ubywało, przysuwała się coraz bliżej.

Vance udawał, że jej nie dostrzega, unikał jej wzroku i robił wszystko, żeby nie dopuścić do ponownej rozmowy.

- Panie Erikson - powiedziała głośno Suzanne. Wszyscy zgromadzeni wokół Vance'a odwrócili się i spojrzeli na nią, a potem znowu na niego. - Czy mogę chwilę z panem porozmawiać?

Miał już coś odpowiedzieć, ale zauważył, że wszyscy na niego patrzą. Zrezygnował więc i bez słowa poszedł za Suzanne w ustronny kąt dziedzińca.

- Po co, u diabła, to wszystko? - zapytał z irytacją. - Czy nie zrobiła już pani dość, żeby zniszczyć mnie i moją reputację? Dlaczego pani...

- Do cholery, niech mi pan da dojść do słowa! - rzekła ostro. - Gdyby zechciał się pan na moment zamknąć, dowiedziałby się, że próbuję zawrzeć z panem rozejm.

- Rozejm? - Vance zmarszczył brwi. - To przecież pani bez przerwy mnie atakuje.

Suzanne z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Ma pan rację - przyznała.

Vance, kompletnie oszołomiony, spojrział na nią ogłupiałym wzrokiem.

-Ja mam rację? - powiedział niepewnie. - Czy się nie przesłyszałem? Powiedziała pani, że mam rację?

Skinęła głową.

- Co do rozejmu — zaznaczyła. — Tylko co do rozejmu.

Vance zastanawiał się długą chwilę, a potem z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Czego pan nie rozumie?

- Dlaczego?

- Co dlaczego? - zapytała z irytacją. - Mówi pan bez sensu.

- Dlaczego nagle występuje pani z pokojową propozycją?

- Ponieważ... ponieważ teraz inaczej oceniam... nie, to nieprawda.

Po prostu usiłuję rozstrzygnąć, czy istotnie traktowałam pana tak źle, jak pan wydaje się sądzić.

- Ale dlaczego teraz? - dopytywał się. - Dlaczego tutaj, w Mediolanie, na tej konferencji?

- Nie wiem - odparła szczerze.

- Po raz pierwszy widzę, że nie potrafi pani odpowiedzieć na jakieś pytanie.

Wciągnęła powietrze przez zęby, po czym głośno je wypuściła.

- Dobrze - rzekł Vance. - Rozejm. - Twarz Suzanne nieco się rozpogodziła. -Ja będę uważał na to, co mówię, a pani na to, co pisze.

Umowa stoi?

Kiwnęła głową.

- Stoi.

- Więc czego pani ode mnie oczekuje? - zapytał. -Wiem, że nie chce przeprowadzić pani ze mną wywiadu. A zatem? Mogę pokazać pani miasto... no, wie pani, do artykułu na temat Mediolanu Leonarda da Vinci, czy czegoś w tym rodzaju.

- Nie, nie o to mi idzie - choć pomysł jest naprawdę świetny. W istocie chciałabym się dowiedzieć... - Zastanowiła się, jak taktownie ująć w słowa swoje myśli. - Chciałabym się dowiedzieć, jak pan potrafi pogodzić pracę na pełnym etacie z zachowaniem swojej reputacji

wybitnego specjalisty od Leonarda.

Nieźle, uznała. Przynajmniej nie powiedziałam tak, jak początkowo zamierzałam: „Chciałabym się dowiedzieć, czy naprawdę zasługuje pan na tę reputację, czy też zawdzięcza ją umiejętności bajerowania ludzi, zademonstrowanej na dzisiejszym wykładzie”.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście właśnie o to pani chodzi - powiedział domyślnie. - Ale wezmę pani słowa za dobrą monetę. W zamian chcę się dowiedzieć, dlaczego od dwóch lat poświęca mi pani tyle uwagi.

- Dobrze - zgodziła się i wyciągnęła rękę. Ucisnął ją i poczuł, że jest chłodna i wilgotna. No proszę, groźny rekin ludojad, który od w dwóch lat obgryza mu tyłek w swych artykułach, jest nerwowy. Może, pomyślał, ona naprawdę ma uczciwe zamiary.

- No więc, kiedy zaczniemy? - zapytał.

- A jak byłoby dla pana najdogodniej?

- Cóż, jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do Stanów - Wyjaśnił.

- Ach - powiedziała domyślnie. - Kodeks Kingsbury'ego. Sir Gawain w poszukiwaniu świętego Graala. - Nie zabrzmiało to sarkastycznie.

- Zgadza się - odrzekł spokojnie. - Więc jeśli zależy pani na czasie, będziemy musieli załatwić to tutaj.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Uśmiechnęła się. - Może zjemy razem obiad? No wie pan, neutralny teren, łamanie się chlebem i tak dalej?

- Świetnie. Kiedy - dzisiaj?

- Dziś nie mogę — powiedziała przeproszającym tonem. - Jestem już umówiona. - Vance wzruszył ramionami. - Ale jutro i pojutrze wieczorem będę wolna. Jeśli pan woli, moglibyśmy spotkać się na lunchu.

- Nie, nie, obiad mi odpowiada. Wprawdzie zazwyczaj Wolę przekąsić tylko coś w południe, ale... - Popatrzył w górę, zastanowił się i zmienił zdanie: - Co pani powie na lunch jutro... o pierwszej w tej restauracji trattorii w Gallerii Vittorio Emanuele? Moglibyśmy zjeść coś lekkiego.

- Dobrze. Gdzie się umówimy?

- Spotkajmy się w południe przy agencji British Airways.

Zgodziła się, a potem odwróciła głowę, zauważywszy kogoś w tłumie gości.

- Jest już osoba, z którą się umówiłam - powiedziała rzeczowo, wskazując wysokiego blondyna, który wydał się Vance'owi mgliście znajomy. Usłyszał, że Suzanne, lawirując z gracją między zbitymi grupkami ludzi, zawołała tamtego po imieniu. Zabrzmiało to jak Elliott albo Edward. Oboje szybko zniknęli w tłumie, kłębiącym się na dziedzińcu.

## *Rozdział 9*

---

*Poniedziałek, 7 sierpnia*

Łagodny wietrzyk przewiewał strzeliste sklepienie arkady Galerii Wiktora Emanuela II, przynosząc tak pożądaną ulgę od nieznośnego upału, gnębiącego Mediolan od dwóch dni.

Lecz Vance Erikson nie odczuwał zadowolenia ani ulgi, gdy - rozdrażniony i zniecierpliwiony - stał, opierając się o zamknięte na głucho drzwi agencji British Airways. Po drugiej stronie galerii, w odległości około trzydziestu metrów, widniała modnie ubrana, lecz nadal masywna sylwetka jego ochroniarza, przyciągająca pełne podziwu spojrzenia przechodzących kobiet. Mężczyzna udawał zainteresowanie książkami na wystawie, ale w rzeczywistości obserwował odbicie w szybie i z pewnością nic nie uchodziło jego uwagi.

Tosi zaginął i nikt nie znał miejsca jego pobytu. Nie zjawił się na sympozjum, a Vance bez powodzenia próbował złapać go telefonicznie w jego gabinecie uniwersyteckim w Bolonii.

Policja wezwała Vance'a dziś rano, by dowiedzieć się więcej o napastniku z kościoła Santa Maria delie Grazie.

Oficer śledczy, który go przesłuchiwał, zachowywał się nieomal tak, jakby to Vance osobiście był odpowiedzialny za zniknięcie Tosiego. Wypytywał go o narkotyki, związki z mafią i „niepewnymi

politycznie" elementami. Nie? Jest pan tego całkiem pewien, panie Erikson? Vance wrócił potem na konferencję, żeby wysłuchać innych wystąpień, ale rosnący niepokój nie pozwolił mu się skupić czy choćby usiedzieć bez ruchu. Przez resztę poranka wędrował ulicami, co pomogło mu zebrać myśli. Obawiał się, że zabójca Martiniego spróbuje ponownie zaatakować. I że mediolańska policja podejrzewa go o udział w zaginięciu Tosiego. Jeśli sytuacja się pogorszy, pomyślał, będę musiał zadzwonić do Kingsbury'ego i wynająć adwokata.

Spojrzał na zegarek. Suzanne Storm była już spóźniona o trzysta minut. Niepewność co do pobudek tej kobiety również nie dawała mu spokoju. Dlaczego po latach 'wrogości stała się nagle tak przyjaźnie do niego usposobiona? Co zamyślała? Nie potrafił jej zaufać. Od czasu rozstania z Patty w ogóle nie ufał ludziom. Tamtego wieczoru w Skidmore, kiedy po raz pierwszy się spotkali, próbował się czegoś o niej dowiedzieć, lecz później stale dochodziło między nimi do awantur. Mimo to pociągała go. Ale którego mężczyzny by nie pociągała? Był to z jego strony przejaw raczej emocji niż rozsądku.

Z zadumy wyrwał go szybki, ostry stukot obcasów na betonie. Odwrócił się i ujrzał spieszącą ku niemu Suzanne w obcisłej eleganckiej, zielonej sukience z jedwabiu.

- Przepraszam za spóźnienie - zawołała.

Vance na chwilę zapomniał, że ta kobieta wykorzystywała każdą okazję, by wbić mu nóż w plecy, i aż do wczorajszego popołudnia nie powiedziała mu jednego miłego słowa. Zapatrzył się na nią- na jej klasyczne wysokie kości policzkowe, na sposób, w jaki jedwab przylegał do kształtnego ciała. Przez moment oczarowała go jej zmysłowość i czysto fizyczny powab. Lecz za chwilę niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową i opamiętał się. Znów była dla niego tylko złośliwym krytykiem sztuki; nie miał wobec niej żadnych zobowiązań.

- Przepraszam - powtórzyła, tym razem stojąc już przy nim. - Nie mam zwyczaju się spóźniać, ale...

- W porządku - uciał Vance. - Dało mi to czas na zastanowienie. Myślałem, że moglibyśmy zjeść tutaj - powiedział, wskazując restaurację ze stolikami na chodniku po drugiej stronie pasażu - ale...

Sceptycznie przechyliła głowę na bok.

- Cóż, ubrała się pani dziś jak księżniczka. - Och, do diabła, pomyślał. Zamierzył to żartobliwie, a wyszło przypochlebnie i służalczo. - Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy pójść gdzieś, gdzie docenią pani elegancję.

- O Boże, Erikson - zripostowała figlarnie Suzanne - jest pan dziś niezwykle uprzejmy i dżentelmeński. Nawet jak na inżyniera naftowego.

W kwadrans później siedzieli wygodnie przy wielkim stole w restauracji Chez Jules na Via Montenapoleone. W tle rozbrzmiewały cicho dźwięki opery Verdiego, wytwornie ściszone rozmowy, śmiech sotto voce i delikatne, stłumione odgłosy spożywania posiłku przez ludzi, których maniery wykluczają brzęczenie srebrem sztućców o porcelaną talerzy.

Suzanne zdawała się czuć w tym otoczeniu zupełnie swobodnie i nie wyglądała na speszoną ani spiętą. Sala była przestronna, ze skrzącymi się kryształowymi żyrandolami, boazerią z ciemnego drewna oraz srebrną i porcelanową zastawą. Wszystko to stanowiło jedynie oprawę dla wiszących na ścianach obrazów renesansowych mistrzów. Vance już je znał, więc pochylił się i odezwał cicho do Suzanne:

- Botticelli. - Wskazał jeden z nich nieznacznym ruchem głowy, gdyż nie wypadało tu pokazywać niczego palcem. - A to Bramante.

- Vance! - Donośny głos zakłócił pieczołowicie pielęgnowany spokój restauracji. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę wołającego - ubranego ze spokojną elegancją, wysokiego dystygowanego mężczyzny z czarnymi włosami i nienagannie przystrzyżonym wąsem. - Vance, czy to naprawdę ty?

Mężczyzna ruszył posuwistym krokiem przez salę, lawirując z wdziękiem między stolikami oraz kelnerami i ich pomocnikami. Jules Graziano miał oliwkową cerę Włocha i wysokie kości policzkowe Francuza. Podchodząc do Vance'a błysnął w uśmiechu nieskazitelnie białymi zębami. W ciszy słyhać było tylko arię Verdiego, goście zaś - z których wielu należało do elity Mediolanu - rozglądali się, na ile tylko pozwalał im konwenans, aby zobaczyć, kim jest człowiek tak wyjątkowy, że Graziano naruszył dla niego starannie zaaranżowany

spokój swej restauracji.

Jules objął Vance'a, a potem obrócił się do Suzanne.

- Jest pani zbyt piękna dla tego drania - rzekł, przyciskając teatralnym gestem jej dłoń do ust. - Proszę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł, a my zjemy razem lunch. Polecę szefowi kuchni, żeby przygotował najwspanialsze potrawy na świecie.

- Suzanne - przerwał mu z uśmiechem Vance - poznaj Julesa Graziano, największego żigolaka w całym Mediolanie i właściciela tej garkuchni.

- Jestem zaszczycona - powiedziała.

- O nie, to ja jestem zaszczycony - odparł, wzdychając i wpatrując się w nią z zachwytem. Gawędzili jeszcze przez kilka chwil, po czym Graziano wybiegł z sali, żeby zamówić dla nich jakieś specjalne potrawy.

Ochroniarza Vance'a posadzono dyskretnie przy niewielkim stoliku koło okna; dwie palmy skrywały go niemal całkiem. Siedział nieruchomo i tylko czujnym wzrokiem nieustannie omiatał otoczenie. Vance zaczynał wątpić, czy w ogóle jest istotą ludzką; nie widział nigdy, żeby coś jadł czy korzystał z toalety.

- Powinam cię zamordować - powiedziała Suzanne do Vance'a tonem tylko na poły żartobliwym. - Myślałam, że umrę, kiedy wszyscy odwrócili się i zaczęli na nas gapić.

Roześmiał się.

- Dlaczego mnie? To przecież Jules wywołał całe zamieszanie.

- Istotnie - przyznała. Potem, chcąc zmienić temat, zapytała: - Często tu bywasz? Wydajesz się być w dobrej komitywie z właścicielem. Mógłbyś powtórzyć mi jego nazwisko?

- Graziano - powiedział. - Jak ten słynny bokser. Ale - uśmiechnął się szelmowsko - Jules trzyma się z dala od wszelkich bójek. Nadzorował salę gry kasyna w Monte Carlo tego wieczoru, gdy mnie wykopano...

- Za co? - Słyszała różne wersje, lecz wszystkie wydawały jej się zbyt niewiarygodne.

- Za to, że za dużo wygrywałem.

- Wolno im to zrobić?



- Oczywiście. Każde kasyno na świecie może cię wyrzucić, jeśli sądzi, że zbyt wiele wygrywasz. – Pochwycił jej spojrzenie. - Wiem, wydaje się to niesprawiedliwe, ale pamiętaj, iż właściciel kasyna musi mieć pewność, że wyjdiesz od niego z mniejszą ilością pieniędzy niż wszedłeś.

- Czy oszukiwałeś?

- Nie musiałem. Miałem po prostu dobry system i niezłą pamięć. Grałem w black-jacka. - Przerwał na moment, żeby zamienić kilka słów z kelnerem od win.

- Pinot grigio?

- Tak, signore, jest w karcie win... Lecz Vance'owi chodziło o szczególne, z regionu Collio, najlepiej felluge. Kelner odparł, że się postara, i po krótkiej naradzie z maitre d'hotel oznajmił, iż zaraz przyniesie żądane wino.

- Wygląda, że bardzo dobrze znasz się na winach - rzuciła Suzanne, gdy się oddalił. -Jestem pod wrażeniem.

- Och, wcale nie - zaprzeczył Vance. - Po prostu wiem co nieco o tych, które lubię. Resztę... zapominam - dodał z uśmiechem.

Suzanne też się uśmiechnęła, lecz raptem poczuła się niekomfortowo. Aby odzyskać równowagę, odezwała się:

- Black-jack... Powiedz mi, jak można rozbić bank bez oszukiwania.

- To w gruncie rzeczy dość proste. Cały czas liczyłem wszystkie zagrane karty i porównywałem to z opracowaną przez siebie specjalną strategią, ujętą w tabelę, której nauczyłem się na pamięć. Ta tabela wyznaczała niemal każdy możliwy do zagrania układ. Opanowanie systemu zajęło mi około pięćdziesięciu godzin. Reszta to tylko mocne nerwy, konsekwencja i odpowiedni zasób gotówki. Kiedy kasyno cię namierzy, wysyła kilku umięśnionych goryli, którzy otaczają cię i proponują, żebyś wyszedł.

- I ciebie to spotkało? Ja bym chyba umarła ze wstydu, gdyby wyprowadzano mnie na oczach wszystkich gości kasyna. A ty nie byłeś zakłopotany?

- Tylko przez pierwszych parę razy.

- Pierwszych parę razy? Więc to przydarzyło ci się więcej niż

raz?

- No, tak. W niemal każdym dużym kasynie na świecie. I właśnie ten Graziano... - Vance wskazał właściciela ruchem głowy - musiał wyrzucić mnie w Monte Carlo. Posłuchaj, to naprawdę nic takiego - dodał, widząc zaszokowany wyraz jej twarzy. - Jedynymi ludźmi, którzy martwią się, że dom gry traci pieniądze, są jego właściciele. Pozostali lubią, kiedy klient dobrze się bawi. I szanują kogoś, kto potrafi przechytrzyć kasyno. Graziano twierdzi, że na świecie jest może dziewiętnastu ludzi, którzy umieliby dokonać tego, co ja tam zrobiłem. I większości z nich, podobnie jak mnie, zakazano wstępu do kasyn. Pewien facet w ciągu czterdziestu pięciu minut wygrał we Fremont Casino w Las Vegas ponad dwadzieścia siedem i pół tysiąca dolarów. A w sumie zarobił ponad pięć milionów. Ale teraz musi wchodzić do kasyn w przebraniu. Ja się wycofałem, bo zarobiłem wystarczająco dużo pieniędzy, a nie chciałem ośmieszać się charakterystyczną i kretyńskimi przebrankami.

Pełen szacunku kelner przyniósł wino. Po rytuale sprawdzenia etykiety, wachania korka, smakowania i nalewania Vance ocenił je jako wyborne, a kelner oddalił się w unizonych lansadach.

W miarę jak w butelce ubywało pinot grigio, rozmowa toczyła się coraz bardziej gładko. Suzanne opowiedziała o swoich studiach w Paryżu i o tym, jak mierziło ją odgrywanie roli hostessy na dyplomatycznych przyjęciach ojca.

- On pracuje obecnie w jakiejś dużej korporacji, nieprawdaż? - zapytał taktownie Vance. Poglądy ambasadora Storma różniły się od politycznej linii nowej administracji.

- Zajmuje się lobbingiem - odparła Suzanne z taką pogardą, że Vance postanowił nie drążyć dalej tego tematu.

Gdy kelner zbierał talerze po przystawkach, Suzanne zapytała Eriksona, w jaki sposób poznał Kingsbury'ego i jak doszło do tego, że nawiązali tak serdeczne stosunki.

- Poznaliśmy się w podczas aukcji u Christiego - wyjaśnił Vance. - Kingsbury chciał nabyć zbiór notatników Leonarda da Vinci, ja zaś doradzałem wtedy innemu bogatemu kolekcjonerowi. Wygraliśmy, wobec czego starszy pan uznał, że wolałby mieć mnie po swojej

stronie. Szybko zaprzyjaźniliśmy się. W młodości był z niego istny wcie

lony diabeł - wciąż zresztą taki jest. Potrafi każdemu zaleźć za skórę. Ilekroć konkurenci sądzili, że mają go już na deskach, znajdował zawsze jakieś niekonwencjonalne wyjście, sprzeczne z wszystkimi wypróbowanymi zasadami, których uczą w prestiżowych szkołach biznesu.

Vance opowiedział Susanne, jak w latach 50 w epoce zalewu taniej benzyny, Kingsbury zaproponował jednemu z dostawców ropy naftowej, że zakupi całą rezerwę po aktualnej cenie. „Pan chyba zwariował”, rzekł tamten. Ale Kingsbury nie zwariował, po prostu był chytyj jak lis. Odparł: „Chcę mieć pewność, że kiedy rozkręcę interes, a zaczną się niedobory ropy, dostanę jej tyle, ile będę potrzebował. Właśnie dlatego kupuję ją od pana teraz”. Dostawca zbił majątek na zapasach, które inaczej by go zrujnowały; gdy zaś później, w roku 1973 nałożono embargo na dostawy ropy, rafinerie Kingsbury'ego ani na moment nie przerwały pracy, co doprowadziło do szału właścicieli wielkich kompanii naftowych. Vance przypuszczał, że zwariowana transakcja Kingsbury'ego przysporzyła wiele pracy kompanijnym psychiatrom.

Zachichotał.

- Ja też robię wszystko „na opak”. Nawet ropę znalazłem metodą, którą wszyscy negowali - a jednak powiodło mi się, zaś Kingsbury'emu to się spodobało; może rozpoznaje w mojej wersji szaleństwa coś z samego siebie. Do diabła, nawet ja nie wiem, na czym polegają moje metody. Po prostu pakuję trochę gratów na motocykl i ruszam w góry z kilkoma mapami geologicznymi, a ziemia zdaje się sama do mnie przemawiać. Potem wracam i mówię ludziom, gdzie mają wiercić. Mam najmniejszy procent pustych odwiertów w całym przemyśle naftowym – dodał z dumą, po czym nagle się opamiętał, popatrzył na Suzanne i zaczerwienił się. - Mam nadzieję, że nie zanudziłem cię tymi opowieściami o ropie?

- Ależ skąd - odparła żywo. - Bynajmniej. Nigdy nie przypuszczałabym, że to takie interesujące. - I że ty sam jesteś taki interesujący, Vance, pomyślała zaskoczona. - Wygląda, że masz w

sobie coś z buntownika - ciągnęła. - Prawdę mówiąc, podziwiam cię za to. Myślę, że ja rirowadzę w pewnym sensie klasztorne życie. Moim aktem buntu był wybór zawodu dziennikarki. Rodzina chciała, żebym wyszła za jakiegoś miłego, poprawnego i bogatego młodego człowieka, i została damą z towarzystwa. Zamiast tego ukończyłam dziennikarstwo w Skidmore i miałam pracować dla gazety w Saratodze. Gdy wszystko było już ustalone, mój ojciec pociągnął za kilka sznurków... - wbiła wzrok w stół - i sprawił, że ofertę wycofano. Bez tych pieniędzy nie stać mnie było na kontynuowanie studiów. Wobec tego... - dźgnęła widelcem biały obrus - przyjąłam propozycję ojca i zapisałam się na wydział sztuk pięknych Sorbony. Po skończeniu studiów zdobyłam nędznie płatną pracę w International Herald Tribune, relacjonując wydarzenia artystyczne w Eu ropy, i w ten przebiegły sposób powróciłam do dziennikarstwa. Zaś od dłuższego już czasu pracuję dla Hautt Culture. Vance uśmiechnął się.

- Czyli przechytryłaś ojca. Pozornie uległaś mu, by ostatecznie osiągnąć to, co chciałaś.

Przytaknęła i roześmiała się. Nigdy dotąd nie uważała swych rodzinnych spraw za zabawne, lecz w tej chwili nie wydawały jej się tak... ważne. Świetnie się bawiła. W gruncie rzeczy przyjął to z klasą - powiedziała. -Widocznie uznał dziedzinę wysokiej sztuki za odpowiednią do rozładowania mojego buntu. I sądził, że porzucę ją, wciąż jeszcze piękna i młoda, i wyjdę za mąż - najlepiej przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. Cóż, właśnie tyle teraz mam i w żadnym razie nie zamierzam się wycofać. Ale naciski ze strony ojca i reszty rodziny są coraz częstsze i gwałtowniejsze. Najwyższa pora, Suzanne, żebyś przestała się bawić i znalazła sobie męża, nim zostaniesz zwiędłą starą panną! Raczej ci to nie grozi, panno Storm - rzekł Vance Erikson z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Może zamówimy lunch, póki jeszcze jesteście na tyle trzeźwi, żeby przeczytać menu.

Zamówili wspólnie porcję antipasto z szynką i melonem, dla każdego fettuccini przybrane truflami, a potem cielęcinę po mediolańsku.

Przy jedzeniu gawędzili dalej, zadowoleni że nie ma już między

nimi wrogości, która tak obojgu dopiekle. Wino przyjemnie szumiało im w głowach. Rozmowa nawracała wciąż do symposium i Leonarda, aż w końcu, gdy już sprzątnięto talerze, a każde z nich łyknęło espresso ze swej filiżanki, Suzanne napomknęła o dzienniku

De Beatisa i zdumiewającym oświadczeniu Kingsbury'ego na niedawnej konferencji prasowej w Santa Monica.

- Co zamierzasz zrobić teraz, kiedy dziennik de Beatisa zaginął? - spytała.

Twarz Vance'a stężała. Przez ostatnich kilka minut właściwie zapomniał o Martinim, kradzieży dziennika, zaginięciu Tosiego i opece ochroniarza. Spozrzegł, że Suzanne się stropiła.

Nie przejmuj się - uspokoił ją. - Nie jestem wściekły na ciebie, że zapytałaś, tylko... na siebie... Jak mogłem choć przez chwilę zapomnieć o tym wszystkim?

Przykro mi - powiedziała szczerze. - Słuchaj, nie musimy teraz o tym rozmawiać...

Nie, w porządku. I tak kiedyś muszę się z tym wszystkim uporać.

Vance wpatrzył się pustym wzrokiem w okno. Sylwetka ochroniarza rysowała się niewyraźnym cieniem na tle cienkich białych zasłon, które chroniły gości restauracji przed wścibskimi spojrzeniami przechodniów.

Nadal mam jedną z dwóch istniejących kopii dziennika - przyznał się. - Spoczywa teraz w sejfie hotelu Hilton. Drugą miał Martini, lecz policja nie znalazła jej w jego domu w Amsterdamie. - Mówiąc o tym Susanne, poczuł dziwną ulgę.

Ciekawe - zauważyła. - Ale tylko oryginał przedstawia jakąś wartość. Dlaczego ktoś miałby chcieć ukraść kopię? Poza tym, czy holenderska policja nie oświadczyła, że uważa zamordowanie Martiniego za wymierzony na ślepo akt terrorystyczny?

Vance pominął to ostatnie pytanie.

- Ktoś mógłby potrzebować zawartych w nim informacji - odparł beznamietnie, po czym przedstawił jej hipotezę, która właśnie przyszła mu do głowy: morderca mógł zabić Martiniego oraz profesorów w Strasburgu i Wiedniu albo dla zdobycia informacji z dziennika, albo po

to, by uniemożliwić ofiarom jej ujawnienie.

Suzanne odgarnęła z twarzy kasztanowe włosy.

- To potworna historia - powiedziała. - Aż niewiarygodna.

- Na razie niczego nie potrafię dowieść - stwierdził Vance. -

Dlatego nie podzieliłem się z policją moimi podejrzeniami co do zabójstw w Wiedniu i Strasburgu.

- Wydają mi się naciągane. Czy to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności?

Westchnął.

- Chciałbym żeby tak było. Ale wydarzyło się już zbyt wiele, by uznać to za przypadek.

Zrelacjonował jej niedoszłe spotkanie z Tosim.

- Czy to był jego charakter pisma? - spytała.

- Nie jestem pewien. - odparł. - Przypuszczam, że do tej pory policja już to ustaliła; oni mają tę notkę Tosiego. A co? Podejrzewasz, że ktoś go zabił, a potem próbował mnie zrobić? Nie, nie - rzucił szybko, odpowiadając sam sobie. - To z pewnością był Tosi. Pamiętam, że konsjerżka z pensjonatu opisała mężczyznę, który przyniósł list. Ten opis pasował do Tosiego, a mężczyzna był sam.

- Mam przeczucie, że on nie żyje - powiedziała Suzanne z nieoczekiwaną stanowczością.

- Obawiam się, że możesz mieć rację. Ale dlaczego go zamordowano?

- Dlaczego? Dlaczego ktoś miałby pragnąć sekretnych informacji tak bardzo, by z tego powodu zabijać? A co wiedział Tosi?

- O ile mi wiadomo - odparł Vance — nigdy nie widział dziennika i nie posiadał jego kopii. Nie mam pojęcia, co mógł takiego wiedzieć, że ściągnął na siebie kłopoty.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, popijając kawę i rozmyślając. Suzanne wpatrywała się intensywnie w swą filiżankę, jakby liczyła, że znajdzie tam odpowiedź - dotyczącą nie Tosiego, bo nie całkiem wierzyła w tę historię, lecz Vance'a Eriksona. On przede wszystkim był dla niej zagadką.

\*\*\*

Po drugiej stronie ulicy Elliott Kimball zastanawiał się nad tym

samym. Rozparty niedbale na siedzeniu swego jaguara XJ-12, wpatrywał się uporczywie w restaurację i przyległe domy. Oboje siedzieli w środku już blisko trzy godziny. O czym, u diabła, tak długo rozmawiają? O ile jeszcze tam są; wszak mogli wymknąć się niepostrzeżenie tylnym wyjściem. Jedynie niewyraźny cień osiłka w oknie powstrzymywał Kimballa przed wejściem do restauracji i upewnieniem się.

Elliott wypił z butelki ostatni łyk wody Perrier, zdając sobie aż nazbyt dobrze sprawę, że zwiększy to tylko bolesne parcie w pęcherzu. Był jednak bardzo spragniony. Nie miał czasu wynająć nikogo do śledzenia Eriksona, przynajmniej aż do wieczora. Sytuacja się gmatwała. Nienawidził być tak wytracony z równowagi, jak w tej chwili. Nie panował nad sobą i to go martwiło.

Suzanne Storm powiedziała mu wczoraj, że Tosi nie pojawił się na konferencji. A potem był ten telefon od Denise Carothers.

- Zasadzili się na Eriksona ubiegłej nocy - oznajmiła. - Obserwuj go, pilnuj, nawet porwij, jeżeli będziesz musiał, ale nie pozwól, by oni go dostali. Lepiej żeby zginął, niżby miał wpaść w ich ręce.

- Może to najlepsze rozwiązanie - zasugerował.

- Nie - odparła stanowczo. - To by zdenerwowało Kingsbury'ego. Wszcząłby śledztwo, a na takie komplikacje jeszcze nie możemy sobie pozwolić.

\*\*\*

- Ale dlaczego Como? - zapytała Suzanne, gdy już wypila kawę.

Vance potrząsnął głową.

Nic wiem. Może natrafimy na jakiś ślad w willi.

W willi? - powtórzyła. Vance znów wydał się jej obcy; nie potrafiła przeniknąć jego myśli.

Co? - spytał zaskoczony. - Ach, tak... wybaczone, chyba się zamyśliłem. W Villa di Caizzi.

To posiadłość tej rodziny, która sprzedała kodeks Kingsbury'emu, prawda? - Vance przytaknął. - Sądziłam, że oni mieszkają w Szwajcarii.

Bo tak jest, lecz mają jeszcze kilka siedzib. Ta na wschodnim

brzegujeziora Como, niedaleko Bellagio, jest najmniej znana i właśnie tam przechowują swoją bibliofilską kolekcję. Kodeks Leonarda da Vinci, który sprzedali, był zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mieli więcej papierów Leonarda albo...- przerwał, patrząc nieobecny wzrokiem na swą filiżankę - ... albo brakujące strony kodeksu.

- Gdzie... - Chciała zapytać, gdzie zatrzymają się w Como, lecz przerwał jej wysoki, wychudły siwowłosy mężczyzna, który nieoczekiwanie pojawił się za plecami Vance'a.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam - odezwał się przeproszającym tonem. W jednym ręku trzymał melonik, a w drugim parasol. Wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z zakładu krawieckiego na słynnej londyńskiej Savile Row.

-Ale chciałbym powiedzieć, panie Erikson, że pański odczyt był wprost cudowny.

Vance rozpoznał jego głos, zmarszczył brwi i odwrócił się do niego.

- Dziekan Weber - rzekł ostro i gniewnie.

- Wczoraj nie miałem czasu pogratulować panu jego wystąpienia, ale pragnę zapewnić, że my w Cambridge jesteście dumni, ogromnie dumni z pańskich osiągnięć.

- Nie zawdzięczam ich panu, dziekanie Weber - warknął Vance. - Czy też może obecnie odnosi się pan uprzejmie do hazardzistów i innych podobnie podejrzanych osobników, takich jak ja?

Twarz starszego mężczyzny zmieniła wyraz.

- Rozumiem, że... - zaczął szorstko.

- Nie, dziekanie Weber - przerwał mu Erikson. - Nie sędzę, że kiedykolwiek pan zrozumie. Usiłował mi pan zabronić wstępu na uczelnię, a potem przez cztery lata robił pan wszystko, co w pana mocy, by maksymalnie uprzykrzyć mi pobyt na niej. Teraz zaś oczekuje pan, iż z wdzięcznością przyjmę komplement, wypowiedziany bynajmniej nie dlatego, że docenia pan moją pracę, tylko dlatego, że stracił pan szansę, aby...

- Vance! — zawołała z wyrzutem Suzanne.



Starszy dziekan Cambridge odwrócił się bez słowa i gniewnie wymaszerował z restauracji.

- Dlaczego to zrobiłeś? Byłeś taki nieuprzejmy, taki... taki... - zająknęła się. - To było najbardziej odrażające zachowanie, jakie kiedykolwiek widziałam!

- Chciałaś, żebym powiedział: „Dziękanie Weber, dziękuję że wbił mi pan nóż w plecy? Rany już nie krwawią, a blizny ledwo widać”. Miałem być mu wdzięczny, choć wiem, że wpadł tu wyłącznie dlatego, bo chce się podlizać komuś, kto osiągnął sukces wbrew jego usilnym staraniom i teraz pragnie przypisać sobie całą zasługę?

- Ale w ten sposób niepotrzebnie zrażasz do siebie ludzi - upierała się. - Mogłeś po prostu pozwolić, żeby wyrecytował swą kwestię i wyszedł. Mam wrażenie, że żyjesz wyłącznie po to, aby z rozmysłem obrażać innych.

- Na przykład tym, że opłaciłem moją edukację pieniędzmi z hazardu? - zapytał gwałtownie. - Czy może chodzi ci o to, że obraziłem uczucia wojskowych, budując szpital, który przypominał im o okaleczonych przez nich niemowlętach i dzieciach? Obraziłem dziekana Webera od pierwszej chwili, gdy go spotkałem, samym moim istnieniem. Nie byłem typem człowieka, jaki on akceptuje, toteż uczynił wszystko, aby uniemożliwić mi studia w Cambridge. Posunął się nawet do tego, że zadzwonił do rektora MIT-u i próbował nakłonić go, by mnie tam nie przyjął. „Naganny moralnie” - oto jak mnie określił!

- Może miał rację - rzuciła ostro Suzanne. Mówili coraz głośniej, ale restauracja już opustoszała; tylko w odległym kącie sali pozostała jedna para, wpatrzona w siebie miłośnie. Graziano taktownie się ulotnił.

- To cios poniżej pasa - i to ze strony kogoś, kto przygryza mi już od dwóch lat. Powinnaś dobrze sobie przypomnieć swoje zachowanie na kilku konferencjach prasowych, zanim zaczniesz oskarżać mnie o niepotrzebne obrażanie ludzi!

Uniosła rękę, żeby go spoliczkować, ale opanowała się. Zamiast tego wstała z gracją z fotela, nachyliła się i wyszeptwała Vance'owi w ucho:

- Dorośnij wreszcie.

Następnie odwróciła się i ruszyła do wyjścia, by po chwili zniknąć w blasku popołudniowego słońca.

Chryste, ona wygląda szalowo! pomyślał Elliott Kimball, pospiesznie odwracając głowę, by Suzanne go nie rozpoznała. Nakierował wsteczne lustro tak, żeby lepiej jej się przyjrzeć, lecz dziennikarka szybko złapała taksówkę i odjechała.

\*\*\*

- To piękna kobieta, przyjacielu - powiedział współczująco Jules Graziano, wślizgnąwszy się na krzesło opuszczone przed chwilą przez Suzanne.

- Tak - przyznał Vance. - Piękna z zewnątrz, ale nie ręcę za to, co jest w środku.

Opisał w skrócie restauratorowi historię swych kontaktów z panną Storm. Jules cmoknął z dezaprobatą i potrząsnął głową.

- Powiem ci jedno - rzekł. - W całym moim życiu nie widziałem nikogo tak lodowato spokojnego i niezachwianie pewnego siebie, jak ty wtedy przy stole do black-jacka.

Kilka razy znalazłeś się w piekielnie trudnej sytuacji, a jednak nawet na moment nie straciłeś nad sobą panowania. Lecz na nieszczęście tracisz je w obecności kobiety. - Restaurator zaśmiał się i klepnął Vance'a w plecy.

Wypili butelkę brut spumante za stare dobre czasy, po czym pożegnali się i Vance wyszedł. Nie ma lepszego przyjaciela, pomyślał, niż ktoś, komu uratowało się życie.

Na zewnątrz, na Via Montenapoleone tętnił ruch. Ludzie robili popołudniowe zakupy; szykowne kobiety przechadzały się po chodnikach, a za nimi podążali ich szoferzy, obładowani pudłami z najelegantszych mediolańskich sklepów.

Wąską, skręcającą łagodnym łukiem jezdnią sunęły niemrawo pojazdy, wymijając nieprawidłowo zaparkowane limuzyny. Za plecami Eriksona ochroniarz czekał cierpliwie, aż portier restauracji złapie im taksówkę. Goryl zaczynał działać Vance'owi na nerwy. Odzywał się rzadko, głównie po to, aby oznajmić, że ma na imię Jacobo (wymawiane *Jakopo*). Vance postanowił, że wieczorem zadzwoni do

Kingsbury'ego i zapyta, czy nie można by zrezygnować z usług tego mrukliwego mięśniaka.

Wszystkie przejeżdżające taksówki były zajęte, lecz wcale się tym nie przejmował. Z przyjemnością przyglądał się twarzom przechodniów na tej najbardziej eleganckiej z ulic, z jej domami piaskowego koloru, bogato zdobionymi markizami oraz portierami w efektownych liberiach. Ulica nie tylko pachniała pieniędzmi, lecz nawet nimi błyszczała i dźwięczała. Raptem ogarnęło go zniecierpliwienie; poszedł energicznie za róg, gdzie ruch był mniejszy i zatrzymał taksówkę.

Ochroniarz wsiadł za nim i zamknął drzwi. Taksówkarz dodał gazu i samochód wystrzelił naprzód, a potem szarpnął gwałtownie, gdy kierowca nadepnął hamulce.

- Do hotelu Hilton - polecił Vance. Taksówkarz potraktował to jak zadanie bojowe i jechał niczym opętany w drodze na egzorcyzmy, podobnie zresztą, jak wszyscy włoscy taksiarze. Zryw, hamowanie, szarpnięcie, przyspieszenie. Samochód poruszał się parametrowymi skokami, najpierw po krawężniku, potem znowu po jezdni. Gdy skręcili w lewo, zbita masa pojazdów rozproszyła się na czteropasmowym bulwarze i teraz kierowca prowadził już tylko z brawurą zwykłego oblatywacza samolotów.

Po starciu z Suzanne Storm Vance'a rozboleła głowa. Być może Suzanne miała rację, że niewłaściwie potraktował Webera. Może istotnie powinien był pozwolić staremu perorować i głądzić. Wzbudziła w nim poczucie winy, czego nie lubił. Nie zrobił nic takiego, żeby czuć się winnym.

Weber był jednym z niewielu ludzi, do których żywił autentyczną urazę. Ten człowiek nie zaszkodził mu przypadkowo, tylko uparcie i złośliwie usiłował zniszczyć jego karierę.

Jednakże scysja w restauracji wciąż wirowała Vance'owi w głowie, a okiem tego sztormowego cyklonu była Suzanne Storm. Potrzebował jej aprobaty. Potrząsnął głową, jakby chciał strząsnąć tę myśl. Szukanie aprobaty również nie leżało w jego zwyczaju.

Gdyby Vance nie był tak pogrążony w rozmyślaniach i nieświadomy niczego wokół, zauważyłby, że ochroniarz nagle zdwoił

czujność i zmarszczył brwi na widok ulicznego korka przed nimi. Zobaczyłby też, że mężczyzna sięgnął pod marynarkę i odpiął skórzaną kaburę pistoletu maszynowego uzi. W masie samochodów wytworzyła się niewielka luka. Taksówkarz również ją spostrzegł, ale jego nic już nie mogło zdziwić w mediolańskim ruchu ulicznym.

Goryl ukradkiem wyciągnął pistolet i trzymał go w pogotowiu, przykryty tylko połą marynarki.

Wtem przednia szyba prysła pod gradem kul z broni maszynowej, które trafiły w siedzenie przed Eriksonem.

- Padnij! - krzyknął ochroniarz i wielką jak bochen dłonią wcisnął Vance'a w podłogę maleńkiego samochodu.

Następne pociski wbiły się w siedzenie; Vance usłyszał cichy krzyk kierowcy, a zaraz potem taksówka skręciła gwałtownie w prawo i zderzyła się z jakąś twardą, ciężką masą. Strzelano teraz ze wszystkich stron. Odłamki roztrzaskanego wstecznego lusterka, wielkości ziaren soli, obsypały plecy Vance'a, gdy z trudem usiłował obrócić się w ciasnej przestrzeni.

W końcu udało mu się jakoś przekręcić na grzbiet i mógł wreszcie coś widzieć. Zobaczył, że goryl oddał krótką serię przez otwór po przedniej szybie. W rzadkich chwilach ciszy między strzelaniną Vance słyszał przerażone krzyki przechodniów i gniewne wrzaski napastników. Ludzie rozpaczliwie wzywali policję.

- Leż! - wrzasnął ochroniarz tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw. Vance obserwował ze zdumieniem, jak jego zwałisty obrońca strzela to w jednym, to w drugim kierunku, pochylając nisko głowę, by uniknąć kul, jakby zawnazusa wiedział, kiedy i skąd nadlecą.

Wtem samochodem wstrząsnęła eksplozja. Jego tył uniósł się, by ułamku sekundy rąbnąć o bruk, co Vance'owi odebrało oddech, natomiast jego ochroniarza najwyraźniej rozwścieczyło, gdyż wypuścił z furją kolejną serię. Następnie obrócił się błyskawicznie i znów wystrzelił. Nagle jednak zastygł z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Uzi wypadł mu z rąk na przedni fotel taksówki i zsunął się na podłogę. Gdy ochroniarz sięgał ręką, by wymacać ranę na karku, następna kula trafiła go w pierś i odrzuciła na tylne siedzenie. Odszukał wzrokiem Vance'a i zanim na zawsze zamknął oczy, w których zastygł

przepraszający wyraz, zdołał wymówić bezgłośnie samymi wargami:

- Uciekaj.

Uciekaj. Uciekaj, właśnie to powiedział ten mężczyzna. W ciągu milisekundy Vance tysiące razy usiłował nakłonić swoje ciało, by wykonało rozkaz, lecz ono uparcie kuliło się ze strachu w pozycji płodowej. Następna seria pocisków wbiła się w plecy trupa i przewróciła go do przodu. Oniemiały Vance patrzył, jak krwawiący tułów przechylił się, a potem zwałił na niego. Łapał z trudem powietrze, gdy ciężkie ciało przygniotło go i znieruchomiło.

Przez moment też się nie ruszał. Potem najwyższym wysiłkiem woli dźwignął się i zrzucił z siebie bezwładne zwłoki, jednocześnie odblokowując stopą tylne drzwi. Otworzył je kopnięciem i wyturlał się z taksówki, gramoląc się na czworakach jak krab. Przywitana go seria z karabinu maszynowego, wzbijając na chodniku maleńkie obłoczki pyłu. Vance rzucił się naprzód. Kolejna seria podążyła za nim, lecz chybiła celu.

Za plecami usłyszał krzyki, a w oddali jęklive zawodzenie policyjnych syren. W żadnym razie nie uda im się zdążyć na czas, pomyślał zrozpaczony, przywierając do płyt chodnika. To tak, jakby do jego domu wdarł się uzbrojony włamywacz, a dyżurny policjant przez telefon kazał mu zaczekać na połączenie.

Nagle Vance zerwał się na nogi i dysząc ciężko, pobiegł do wylotu bocznej uliczki, oddalonego o jakieś dwadzieścia metrów. Zaledwie kilka cali od jego głowy pojedyncza kula rewolwerowa roztrzaskała cegłę muru. Serie z dwóch karabinów maszynowych wryły nierówny kropkowany wzór na ścianie domu przed nim, a potem ruszyły w przeciwnym kierunku, by znowu poszukać celu. Spazmatycznie łapiąc oddech, Vance opadł znów na kolana; po ułamku sekundy pociski przecięły powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jego klatka piersiowa. Jeszcze dziesięć metrów. Schował się za pojemnikiem na śmieci, lecz ten aż zadrżał pod gradem kul.

Pędem dopadł wylotu uliczki, omijając niewielki strumyk brudnej wody, i pomknął w dół jej łagodnej pochyłości.

- Mamy go! - zawołał jakiś mężczyzna po włosku. Vance chciał schronić się za murem alejki, ale w jej ciasnej przestrzeni rozbrzmiał pojedynczy strzał i rozległy następne głosy. Zrezygnował więc i popędził wąską, krętą uliczką, osłaniany przed kulami napastników przez jej zakola. W obawie, że ścigający mogą przeciąć mu drogę od przodu, skręcił raptownie w pierwszą przecznicę, omal się przy tym nie przewracając. Za sobą słyszał tupot nóg.

Gdy tak biegł, jego umysł rozjaśniał się i wyzwalał z lepkiego otępienia. Wymyśl coś, nakazał sobie trzeźwo. Dotarł do jakiejś dużej ulicy i spostrzegł jaskrawoczerwone oznakowanie zejścia do metra.

Samochody wciąż jeszcze tkwiły w korku. Dysząc ciężko, Vance wcisnął się w zbity tłum ludzi powracających z pracy, dźwigających rozmaite pakunki, teczki i torby. Szmer tysięcy głosów wypełniał nieefektywną i słabo oświetloną stację. Vance kupił bilet i przeszedł przez bramkę, rozglądając się, nie czy ujrzy gdzieś swych prześladowców. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że to bezcelowe, gdyż przecież żadnego z nich nigdy nie widział.

Na myśl o tym ogarnęła go prawdziwa paranoja. Kto usiłuje go zabić? Tamta siedząca na ławce stara kobieta z pieprzykiem wielkości i koloru rodzyńka na policzku? Biznesmen przeglądający poranne wydanie Wall Street Journal? Potrząsnął głową, by pozbyć się tych myśli. Nie, to nie mogą być oni. Oprzytomnij, zbesztaj się w duchu. Szukaj kogoś, kto się spieszy. Kto zachowuje się tak jak ty. Zresztą, może ich zgubiłem. Może wyprzedziłem ich na tyle, że nie zdążyli zauważyć, jak zszedłem do metra. Tutaj, pośród tłumu, czuł się bezpieczniej. Popatrzył z wdzięcznością na dwóch policjantów, opartych niedbale o kolumnę i zajętych rozmową.

W następnej chwili uświadomił sobie, że nie może poprosić ich o pomoc. Jeśli to zrobi, zabiorą go znów na posterunek, gdzie prędzej czy później trafi do tego samego śledczego, który dziś rano odniósł się do niego tak podejrzliwie i insynuował powiązania Vance'a z handlem narkotykami albo działalnością terrorystyczną. W dodatku będzie musiał wytłumaczyć się ze śmierci ochroniarza i usłyszy jeszcze więcej pytań, na które nie potrafi odpowiedzieć. Przeszyła go mdląca myśl: może policja zechce nawet zaarrestować go jako podejrzanego!

Odwrócił się od stróżów prawa i przepchnął się przez gromadę ludzi na peron. Było mu obojętne, którym pociągiem pojedzie i w jakim kierunku. Pragnął jedynie znaleźć się możliwie jak najdalej od polujących na niego zbirów.

- Hej! Uważaj no! - usłyszał gdzieś z tyłu gniewne głosy. Odwrócił się i w odległości jakichś trzydziestu metrów ujrzał elegancko ubranego mężczyznę, który łokciami torował sobie drogę przez tłum, gęsty i zbity w tej godzinie szczytu. Ich spojrzenia spotkały się. Były to spojrzenia drapieżcy i ofiary. Vance nie miał wątpliwości, kim jest tamten. Mężczyzna właśnie przeciskał się przez bramkę, lecz

zapomniał kupić bilet i został zatrzymany przez pracownika metra. Erikson wykorzystał tę zwłokę, by przesunąć się na skraj peronu.

Z tunelu metra zawiewał coraz silniejszy chłodny powiew, zapowiadając nadjeżdżający pociąg. Vance stał w drugim rzędzie oczekujących i tylko kobieta o szerokich biodrach, ubrana w sukienkę z drukowanej bawełny, oddzielała go od brzegu peronu. Obejrzał się. Mężczyzna kupił bilet i zmniejszył dystans między nimi do dwudziestu metrów. Przypatrywali się sobie bacznie nad głowami większości ludzi. Nieznajomy był chyba wyższy o kilka centymetrów od Vance'a - miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Vance usłyszał odległe dudnienie ciężkiego składu metra - zrazu ciche, później coraz głośniejsze. Czuł teraz mocniejszy powiew kurzu i oliwy, ozonu z elektrycznych iskrzeń, woni rozgniecionych niedopałków i ludzkiego potu, drażniący powieki i specyficznie świszczący w uszach. Nieznajomy stał dziesięć metrów od niego. Vance widział go teraz wyraźnie: był w średnim wieku, może czterdziestopięcioletni, ze srebrzystymi włosami, w okularach o złocistych drucianych oprawkach. Twarz miał pociągłą, o smutnym psim wyrazie, spotęgowanym jeszcze przez zmarszczki, biegnące pionowo w dół od kości policzkowych, aż do zaostrego podbródka. Z jego ciemnych płonących oczu wзираła wrogość.

Pociąg zatrzymał się powoli z metalicznym zgrzytem hamulców i tłum ruszył naprzód. Vance, nie zważając na protesty kobiety przed sobą, zaczął przeć w stronę czerwono-białego wagonu. Za sobą usłyszał rozgniewane głosy, gdy mężczyzna o psiej twarzy przepychał się przez ludzką ciżbę. Vance, odwrócony plecami do wagonu, przeciskał się między nim a zbitym tłumem, posuwając się szybciej niż jego prześladowca. Dzieliło ich już prawie piętnaście metrów, gdy wszystkie drzwi pociągu otworzyły się i wypłyły ze środka pasażerów. Wartki strumień ludzi zablokował nieznajomego; Erikson przesunął się jeszcze przez chwilę bokiem wzdłuż wagonu, aż utknął przy samych drzwiach.

Wówczas jednak odpływ pasażerów skończył się i zamienił w przyływ, gdy oczekujący na peronie zaczęli zapełniać wolne miejsca w wagonach. Ale mężczyzna o psiej twarzy również wykorzystał ten



przyływ, dał mu się ponieść i dotarł niemal do drzwi na drugim końcu tego samego wagonu. Vance gorączkowo szukał wzrokiem swego prześladowcy i w końcu go dojrzał. Zabójca dostał się do środka wraz z ostatnią spiętrzoną falą ludzi, którzy pragnęli za wszelką cenę dotrzeć jak najszybciej do domu. Drzwi zamknęły się, po czym natychmiast otworzyły automatycznie, aby uwolnić czyjś przytrzaśnięty łokieć czy aktówkę. Zebrawszy wszystkie siły Vance pochylił się nisko, niczym napastnik przed sforsowaniem linii obrony przeciwnej drużyny, i runął do drzwi, gdy już się ponownie zamykały. Prześliznął się między dwoma pasażerami, a potem staranował jakiegoś biznesmena. Obydwaj wypadli z wagonu w ciżbę ludzi na skraj peronu.

Vance wymamrotał przeprosiny i zerwał się na nogi. Na zawsze zapamięta zimną furię płonąca w oczach napastnika, który wpatrywał się w niego gniewnie, gdy pociąg ruszał ze stacji. Szybko pomógł się podnieść rozżłoszczonemu biznesmenowi, bąknął, że został przez kogoś popchnięty, a potem pojechał pierwszym pociągiem w przeciwnym kierunku.

\*\*\*

Pół godziny po opuszczeniu przez Suzanne Storm restauracji Julesa Graziano, energicznym krokiem wyszedł z niej również Vance Erikson i ruszył ulicą. Elliott Kimball nie spodziewał się, że Erikson pójdzie pieszo. Pospiesznie wysiadł z jaguara, zostawiając go przy krawężniku, i poszedł za nim.

Jako doświadczony tropiciel, już po chwili zorientował się, że nie tylko on śledzi Eriksona. Przed nim po obu stronach ulicy szło dwóch ludzi, którzy z pozoru niedbale, lecz w istocie uważnie przyglądali się Amerykaninowi przemierzającemu bulwar w poszukiwaniu taksówki. Kimball ubiegł ich i wsiadł do tej, która przyjechała tuż po taryfie, złapanej przez Eriksona. Lecz gdy ich mijał, zauważył że mają w uszach małe słuchawki od radiotelefonów, a ich kurtki wypychało coś zgoła innego niż grube portfele. Bez wątplenia byli w kontakcie ze współnikami, którzy zaraz zatrzymają taksówkę i jej pasażerów.

Wkrótce okazało się, że miał rację. Gdy taksówka Eriksona zbliżyła się do Via Monte Rosa, trzech mężczyzn, łudzaco podobni do pierwszej pary zbirów, pojawili się nie wiadomo skąd na chodniku i

otworzyli ogień do Eriksona i jego ochroniarza. Kimball natychmiast kazał kierowcy stanąć, wysiadł i szybko pobiegł w stronę strzelaniny, wyróżniając się wśród ciżby uciekających w przeciwnym kierunku, przerażonych przechodniów.

Zanim tam dotarł, bandyci zastrzelili już kierowcę oraz ochroniarza i podchodzili ostrożnie do strzaskanej i podziurawionej kulami taksówki, wbitej w pomarańczowy wagon tramwajowy.

Najwyraźniej są zdesperowani, pomyślał Kimball. Zbliżając się do nich, zwolnił nieco, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Nikt nie atakowałby tak otwarcie, przy tylu świadkach, gdyby się czegoś nie obawiał. Zakon Braci nie działałby w ten sposób. To musi być... - Przerwał tok myśli, gdyż z taksówki ktoś wypadł i na czworakach popęzł w kierunku wylotu alejki po drugiej stronie ulicy.

Kimball płynnym ruchem wyjął z wytłaczanej skórzanej kabury pod pachą swój rewolwer walther PK38 i trzymał go nieruchomo przy boku, tak że wypolerowana czarna broń stapała się z kolorem garnituru. Podbiegł szybko do kolumny portyku, znajdującego się naprzeciw napastników, i przykucnął między nią a wielkim kontenerem na śmieci. Podczas gdy uwaga strzelców skupiona była na uciekającym człowieku, Kimball uniósł rewolwer i również w niego wycelował. Ciebie, Vance'ie Eriksonie, pomyślał, chciałbym dostać ciebie. Lecz natychmiast przesunął lufę i oddał dwa zabójcze strzały w skroń jednego z bandytów, w momencie gdy ten zaczął prać do zbiega serią z pistoletu maszynowego. W głowie opryszka pojawiły się dwa niewielkie czerwone otwory. Osunął się na ziemię, lecz jego dwaj towarzysze nawet tego nie zauważyli i ruszyli w pościg. Kimball schował broń z powrotem do kabury, przyglądając się, jak Erikson znika w głębi alejki. Teraz już go nie złapią, pomyślał nieco rozczarowany.

## *Rozdział 10*

---

*Wtorek, 8 sierpnia*

Zielone wody jeziora Como łagodnie omywały kamienne fundamenty zabytkowego klasztoru Braci Wybrańców św. Piotra. Chłopi, którzy przemierzali wąską, krętą drogę, biegnącą wzdłuż wschodniej granicy rozległych klasztornych włości, zwali go po prostu „*il Monastero*” i wymawiając to słowo ścisiali głosy, a nawet myśli, o ile to możliwe, bowiem nikt z nich nie przeniknął nigdy za jego tajemnicze mury. Mnisi z kolei rzadko zapuszczali się do wioski, położonej około ośmiu kilometrów na północ, a gdy już się w niej znaleźli, mówili wyłącznie o celu, w jakim przybyli: „Trochę gwoździ, signore, z pięć kilo” albo: „Olej opałowy... Przyślemy po odbiór nasz pojazd”.

Przez pokolenia wokół klasztoru narosło mnóstwo opowieści, podsycanych otaczającą go aurą tajemniczości: mnisi mieli być księżmi, skazanymi przez papieża na banicję za herezję i torturowanymi przez watykańskich katów za odmowę okazania skruchy; klasztor był papieskim magazynem, który rzekomo mieścił w swych ogromnych piwnicach złoto i klejnoty, dostarczane przez statki przybijające doń pod osłoną nocy. Miejskowa ludowa tradycja zaludniała pięćsetakrową zalesioną posiadłość klasztorną wilkołakami i wampirami oraz wszelkimi odmianami Antychrystów, wcielonych w szkaradne gadzie kształty rodem z nocnych koszmarów.

Brat Grzegorz nie miał nic przeciwko tym legendom. Zapewniały mu posłuch u mieszkańców wioski i sprawiały, że odnosili się do niego z respektem. Lubił te pogłoski także dlatego, bo w każdej tkwiła cząstka prawdy, jakkolwiek wyolbrzymiona. Lecz przede wszystkim odpowiadały one bratu Grzegorzowi - przeorowi klasztoru, a zarazem generałowi zakonu Braci Wybrańców św. Piotra - z tego powodu, że strach, jaki wywoływały, powściągał wścibskie spojrzenia i ciekawość młodych wieśniaków skuteczniej, niż liczące sobie tysiąc lat kamienne mury, wysokie na sześć metrów i wyposażone w całkiem współczesne detektory ruchu oraz ostre jak brzytwa druty kolczaste.

Brat Grzegorz oparł się w zamyśleniu o kamienną balustradę portykowej werandy głównego budynku, wznoszącej się jakieś dziesięć metrów nad wodą. Wyglądził swój czarny habit, odwrócił się i zlustrował wzrokiem jezioro w dole. Zazwyczaj czuł się tu bezpiecznie,

jednak wydarzenia ostatnich sześciu tygodni były wysoce niepokojące.

W istocie niefortunny obrót wypadków w ciągu minionych trzech dni jeszcze bardziej podziałał mu na nerwy. To była jego wina, jego błąd. Był głupcem, wierząc, że uda im się sprowadzić tutaj Vance'a Eriksona. Jednak niezmiernie potrzebował wiedzy tego młodego człowieka, a zwłaszcza jego rozległego zasobu wiadomości o niezrównanym Leonardzie. Włożył z powrotem na nos okulary w grubych czarnych oprawkach i pomyślał pożądliwie o tysiącach stronic kodeksów da Vinci, spoczywających w przepastnych trzewiach archiwów *il Monastero*, kodeksów do których jedynie on miał dostęp. Zsunął kaptur i przecesał palcami krótko ostrzyżone, szpakowate włosy. Erikson potrafiłby rozwikłać sekrety tych od dawna ukrytych, tajemniczych płodów geniuszu Leonarda.

Owe sekrety pozostawały ukryte, odkąd Antonio de Beatis w połowie XVI wieku przeniósł kodeksy do klasztoru Braci Wybrańców. Och, jakże ten sekretarz kardynała się natrudził, by posiadać wszystkie dzieła wielkiego geniusza! Jego sprytnie obmyślona wizyta u umierającego mistrza niemal się powiodła i de Beatis objął wówczas w posiadanie wiele jego dzieł. Lecz przyjaciel Leonarda, Melzi, przemocą zapobiegł wywiezieniu wszystkich - nawet wówczas, gdy de Beatis zjawił się z papieskim rozkazem ich przejęcia.

Czy Melzi mógł wiedzieć o powiązaniach sekretarza z zakonem Braci Wybrańców? Odmówił oddania dzieł Leonarda, gdy przedstawiono mu pismo papieskie, ponieważ wiedział, że nie pochodzi ono od papieża, tylko od wąskiej grupy jego doradców, lojalnych nie wobec głowy Kościoła, lecz wobec Braci Wybrańców św. Piotra. Brat Grzegorz zapłonął gniewem na myśl o tym Antychryście i o całym szeregu Antychrystów, którzy kolejno władali Watykanem. Gwałtownie wstał z fotela, wyprostował się na całe swoje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ruszył ścieżką prowadzącą do ogrodu.

Bracia Wybrańcy potrzebowali wszystkich wynalazków Leonarda - a zwłaszcza wojennych - aby obalić księcia ciemności, który udawał papieża. Obecnie posiadali już prawie wszystkie. Przez wieki dla zdobycia notatników Leonarda da Vinci kradli i zabijali,

używając dziennika de Beatisa jako katalogu jego dzieł. Pisma i wynalazki Leonarda pozostające jeszcze w muzeach lub w rękach prywatnych kolekcjonerów, takich jak ten nafciarz Kingsbury, nie przedstawiały dla nich żadnej wartości. Te powszechnie znane papiery zawierały przeważnie treści naiwne i nieszkodliwe, dziwaczne i ezoteryczne. Jedyнным znaczącym dokumentem, który ujrzał światło dzienne i dostał się w prywatne ręce, były sporządzone przez Leonarda szkice, przedstawiające działo; uczyniły one Alfreda Kruppa bogaczem. Jednak nawet ta broń, dumął brat Grzegorz, krocząc krętą, wysypaną drobnym żwirem dróżką, bladła w porównaniu z projektami zamkniętymi w klasztornych archiwach. Te zaś z kolei wydawały się wręcz pozbawione znaczenia, gdy porównać je z sekretami, które zostaną odsłonięte dzięki zbliżającej się transakcji.

Transakcji, która ponownie połączy brakujące strony zapisków Leonarda, wykradzione przed dwustu laty przez pewnego zdrajcę pośród Braci Wybrańców i przekazane Watykanowi. Łącznie utworzą kompletny zbiór szkiców i notatek, dotyczących najpotężniejszej broni wynalezionej przez Leonarda, a w istocie najgroźniejszej, jaką kiedykolwiek wynaleziono.

Bracia rozprawili się ze zdrajcą w potworny sposób, o którym pamięć do dziś była w klasztorze żywa: wycięto z jego ciała małe kawałki mięsa i upieczono je, a potem zmuszono nieszczęśnika, żeby je zjadał, póki w końcu nie skonał. Te torturę wymyślił Watykan i stosował w czasach Inkwizycji, toteż wydawało się właściwe, by zausznik papieża umarł w sposób usankcjonowany przez jego poprzedników na stolicy Piotrowej.

To okropieństwo wiszące nad zakonem, służyło zastraszeniu tych spośród mnichów, którzy chcieliby wypowiedzieć posłuszeństwo Braciom Wybrańcom i związać się z Rzymem. Od owego czasu kara ta stała się przyjętym sposobem postępowania ze zdrajcami.

Grzegorz przystanął i pochylił się, żeby wyjąć kamyk, który dostał się do jego sandała. Potem wyprostował się i zmarszczył brwi.

Obecnie też znajdował się pośród nich zdrajca, wiedział o tym. Wykrycie go nie będzie jednak łatwe. Watykan stał się wyrafinowany i przebiegły w trakcie swej długiej wojny z Braćmi, trwającej

nieprzerwanie od ósmego wieku. W tym czasie Kościół obrósł tłuszczem i zagubił swe posłannictwo, zastępując prawdziwą wiarę ikonami i świętymi obrazami. Bracia zainicjowali ruch ikonoklastów - niszczycieli obrazów - i przegrali. Zostali za to ekskomunikowani w roku 1378, po wielkiej schizmie. I właśnie wówczas, wsparci finansowo przez potężnych politycznych wrogów Kościoła, przenieśli się do Como u podnóża włoskich Alp i osiedli w tej posiadłości. Musieli podjąć walkę zarówno duchową, jak i fizyczną.

Tylko niedostępnemu górzystemu terenowi i ochronie, jaką zapewniały wody jeziora, zawdzięczali Bracia fakt, iż nie ograbili ich diabelscy barbarzyńcy z Watykanu. Jednakże nawet sam Wielki Szatan, papież, nie był w stanie ich poskromić. Mieli swoich zaufanych szpiegów na wszystkich ważniejszych dworach Europy, a nawet w samym państwie papieskim. To właśnie Bracia obalili Sylwestra II na rzecz Grzegorza, patrona ich zakonu. Był papieżem niemal doskonałym, ale nie dotrzymał danej im obietnicy. Bracia wynieśli go na tron w Rzymie, on zaś później zwrócił się przeciwko nim, toteż w przymierzu z królem Henrykiem IV obalili go, lecz po nim papieżem został Klemens III.

I tak to szło, pomyślał z goryczą brat Grzegorz, ruszając znów dróżką. Papieże wspinali się na szczyt po plecach Braci, a następnie próbowali ich zniszczyć, gdyż uważali, że zakon dysponuje zbyt wielką władzą. I to istotnie była prawda, przyznał w duchu, zbliżając się do pensjonatu. Bracia byli władni wynosić papieży i obalać ich. Nigdy jednak nie udało im się utrzymać tej władzy na tyle długo, by zmienić kurs Kościoła i przywrócić mu jego prawdziwe powołanie. To się zmieniło po transakcji, pomyślał z nikłym uśmiechem. Ona sprowadziła wielką schizmę do wymiaru drobnego przypisu w kościelnej historii.

U stóp kamiennych schodów prowadzących do pensjonatu, Grzegorz odwrócił się i przyjrzał lśniącemu, czystemu niebu oraz grze światła słonecznego i cieni na urwistych, wyrzeźbionych przez lodowce zboczach gór. Wkrótce takie dni będą coraz rzadsze. Gdy lato przejdzie w jesień, jezioro stanie się mroczniejsze i bardziej zamglone.

Kiedy już zrobię porządek z Vance'em Eriksonem, pomyślał, mojego życia nie będą już zasnuwały żadne chmury, i żaden wróg nie

zdoła mi się przeciwstawić. Nie, panie Erikson, powiedział sobie, szukając kluczy do zaryglowanej żelaznej bramy pensjonatu, pomyliłem się co do ciebie. Nie powinienem był próbować cię tutaj sprowadzić. Trzeba było zabić cię na miejscu. Nie doceniłem cię, a wczoraj podobny błąd popełnili moi bracia. Ale zajmę się tobą. Przekonasz się. Nie zdołasz wiecznie przede mną uciekać.

Odnalazł właściwy klucz i włożył go w nowy, lśniący zamek z brązu, wbudowany w zabytkową kratownicę z czarnego żelaza. Gdy znalazł się już za masywnymi drewnianymi wrotami, stanął cicho w przejściu, nasłuchując. Z góry dobiegło go stukanie klawiatury komputera.

- Profesorze Tosi - zawołał. Stukanie ucichło. - Mogę panu na chwilę przeszkodzić?

\*\*\*

Vance oparł głowę o chłodną taflę okna w przedziale pierwszej klasy pociągu, który zostawiał za sobą wilgotne niziny okolic Mediolanu i wspinał się ku podnóżu Alp, gdzie klimat był chłodniejszy. O tej porze roku Como było rozkoszne i stanowiło wymarzony cel podróży wielu znękanym upałem Lombardczyków.

Gdy pociąg zanurzył się w ciemnościach jednego z dziesiątków tuneli, przez jakie przejeżdżał podczas godzinnej jazdy z Mediolanu do Como, Vance przymknął oczy. Urlop byłby czymś wspaniałym. On jednak nie był urlopowiczem, tylko uciekinierem od... no właśnie, sam nie wiedział od czego. Wczoraj ktoś próbował go zabić i prawie mu się to udało. Gdyby nie profesjonalizm jego ochroniarza, Vance już by nie żył, podobnie jak tamten. Był napiętnowany jako ostatni pozostający przy życiu człowiek, który czytał dziennik de Beatisa.

Otworzył oczy, gdyż pociąg znów wychynał w słoneczną jasność. Za oknem przemykała bujna zieleń drzew, rozmazana wskutek szybkiej jazdy. Jeśli nie będzie opóźnień, znajdzie się w Como za piętnaście minut, o 15:45. Wprawdzie podróż z Mediolanu trwa tylko godzinę, ale Vance'owi wydawało się, że od wczoraj bez przerwy podróżuje koleją. Po nieudanej próbie zamachu na niego nie chciał ryzykować powrotu do hotelu, więc pojechał metrem na centralny dworzec Mediolanu i wsiadł w pierwszy odjeżdżający stamtąd pociąg, ktdy zawiózł go do

Rzymu. Tam kupił bilet do Imperii na wybrzeżu liguryjskim, skąd z kolei pojechał do Genui, by stamtąd wrócić do Mediolanu. W pociągu drzemał tylko niespokojnie, a w mieście kilkakrotnie zmieniał taksówki, aby przekonać się, czy ktoś go nie śledzi. Przez cały czas powtarzał sobie, że trudniej jest trafić w ruchomy cel. Dopóki ten cel nie zmęczy się swym ruchem i nie zacznie popełniać błędów...

Podczas przystanku w Genui przeprowadził cztery rozmowy telefoniczne. Najpierw zawiadomił mediolańską policję, że postanowił wyjechać z miasta i zwiedzić okolicę; następnie zatelefonował do swego hotelu, powiedział, że zatrzyma pokój dłużej niż pierwotnie zamierzał, i poprosił, żeby go codziennie sprzątano. Trzecia rozmowa była dłuższa. Zadzwoił do Harrisona Kingsbury'ego, lecz sekretarka poinformowała go, że szef udał się w kolejną długą podróż, którą zakończy za dwa tygodnie w Turynie, gdzie sfinalizuje umowę z włoską rafinerią, zakupioną przez ConPacCo. Czy pan Erikson zechce zostawić wiadomość? Rozczarowany Vance odpowiedział, że nie, i że jeszcze się odezwie. Na ostatek zatelefonował do pokoju hotelowego Suzanne Storm, lecz jej nie zastał. Zostawił więc u recepcjonisty wiadomość: „Proszę powiedzieć panie Storm, że ją przepraszam”.

Przepraszają ją? Przed oczami stało mu znów gorszące zajście w restauracji Julesa. Tak, pomyślał, może rzeczywiście winien jej jestem przeprosiny. Nie, zreflektował się natychmiast. Nie „może”, tylko „na pewno”.

Masz rację, Jules, że jestem gościem na luzie. Zaśmiał się ironicznie, zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, usiłując oczyścić umysł ze znużenia i odegnąć z karku dręczący, tępy ból. Doszedł do wniosku, że jazda do Como to jedyne logiczne posunięcie. Rezydencja rodziny Caizzi, gdzie do niedawna przechowywano Kodeks Kingsbury'ego, wznosiła się nad samym jeziorem, niecałe pięć kilometrów od Bellagio. Dziennik de Beatisa również zawierał niejasną wzmiankę o Como, zbyt jednak mglistą, aby można było ją jednoznacznie zinterpretować. Ponieważ sekretarz kardynała napisał swój dziennik dwieście lat wcześniej, niż rodzina Caizzich kupiła tutejszą posiadłość, i trzysta lat przed nabyciem przez nich kodeksu, nie mogło być mowy o jakimkolwiek związku. Vance żałował, że nie ma przy sobie kopii



dziennika, gdyż nie pamiętał dokładnie wszystkich szczegółów, ale nie zaryzykował powrotu do hotelu, by wydobyć go z sejfowej skrytki. Zapewne de Beatis przyjechał do Como wypocząć, podobnie jak to czynili Leonardo da Vinci, Napoleon I, Bramante, cesarz Maksymilian i inni przedstawiciele europejskich elit. Po prostu na wakacje, a nie z żadnego innego powodu. Fragment dziennika dotyczący Como był dość krótki i nieznaczący i Vance, mimo usiłowań, nie zdołał go sobie przypomnieć.

Gdy pociąg wreszcie wjechał do Como, oprócz Van-ce'a wysiadła z niego tylko garstka pasażerów: starsza para obładowana kolorowymi paczkami, dwaj mężczyźni w świeżo wyprasowanych garniturach, prawdopodobnie biznesmeni, oraz barwna gromadka studentów z workami marynarskimi, plecakami i śpiworami. Biznesmeni udali się prosto na postój taksówek, starszą parę przywitani młodsi od nich kobieta i mężczyzna, zaś studenci ruszyli do stoiska informacji turystycznej. Vance zatrzymał się na przystanku autobusowym naprzeciwko dworca i rozejrzał ostrożnie, taksując wzrokiem przechodniów. Czy któryś z nich zwracał na niego zbyt dużą uwagę? Czy pod tą marynarką albo w tamtej torebce krył się rewolwer? Cząstką siebie podkpiwał z tej nowo nabytej ostrożności, ale inna, ważniejsza część zaczynała wczuwać się w rolę tropionej ofiary, uświadamiając sobie, że gra idzie o śmiertelnie poważną stawkę, a za przegraną grozi najwyższa kara.

Vance wszedł do pomarańczowego autobusu, kupił w automacie bilet i zajął miejsce z tyłu, przyglądając się uważnie wszystkim wsiadającym wraz z nim pasażerom, po czym, gdy drzwi już się zamykały, wyskoczył z powrotem na ulicę. Przypomniał sobie bohatera filmu *Francuski łącznik*; może ten trik tutaj też zadziała. Złapał taksówkę i kazał się wieźć do Metropole e Suisse na Piazza Cavour. Ten zabytkowy luksusowy hotel stał na nabrzeżu, w centrum miasta. Zazwyczaj Vance zatrzymywał się w tańszym hotelu trzeciej klasy, nieco dalej od brzegu jeziora, ale teraz potrzebował anonimowości, jaką zapewniał Metropole. Poza tym zdawał sobie sprawę, że będzie musiał zmienić nieco swe zwykłe przyzwyczajenia, jeśli ma się wymknąć ścigającym go mordercom.

Wysiadł z taksówki na Lungo Lario Trento, przecnicę od hotelu. Resztę drogi przeszedł pieszo popękanym kamiennym chodnikiem wzdłuż jeziora, pod łukowatą kopułą rosnących po obu stronach drzew, których konary tworzyły istny zielony tunel rozświetlony jaskrawymi promieniami słońca. Popołudniowa bryza zawiewała w stronę jeziora, przeganiając walające się w rynsztokach papierki. Turyści, którzy wybrali się rano na długi rejs wycieczkowy po jeziorze, schodzili teraz gromadnie po trapach, zmęczeni, ale szczęśliwi, z dyndającymi na szyjach aparatami fotograficznymi.

Na zielonych drewnianych ławeczkach nad wodą siedziały pary w różnym wieku, przyglądając się pasażerom schodzącym ze statków wycieczkowych, łodziom, taksówkom wodnym oraz zacumowanym nieco dalej żaglówkom, kołyszącym się łagodnie, jakby przytakiwały: tak, z pewnością wspaniale jest o tej porze roku być właśnie tutaj.

Vance obserwował ich wszystkich, zazdroszcząc im, że tak beztrudnie korzystają z prostych uroków życia. Ich nikt nie usiłował zabić. Minął Metropole, przeszedł przez ulicę na światłach przy Via Luini i skierował się do sklepu z galanterią skórzaną, gdzie nabył niewielką torbę podróżną, płacąc kartą ConPacCo American Express. W wielkim domu towarowym w pobliżu Via Cinque Giornate kupił przybory toaletowe, zaś w sklepie z męską odzieżą, znajdującym się przecnicę od hotelu, koszule, skarpetki, bieliznę i dwa swetry. Na wypadek, gdyby któryś ze sprzedawców okazał się ciekawski, przygotował sobie historyjkę o linii lotniczej, która zagubiła jego bagaż; jednak nikt o nic go nie wypytywał. Następnie włożył wszystkie zakupione rzeczy do torby.

Teraz był już dobrze wyekwipowany i mógł stawić czoło recepcjoniście hotelowemu, którego z pewnością zdziwi pojawienie się gościa bez bagażu. Wszedł do Metropole i wpisał się do książki hotelowej, wsunąwszy wcześniej recepcjoniście pięćdziesiąt dolarów, żeby dostać pokój bez wcześniejszej rezerwacji. Kupił w holu gazetę *il Giorno* i poszedł za portierem do swojego pokoju na drugim piętrze, z widokiem na jezioro i strome, zalesione zbocza wzgórz oraz odległe i niedostępne ośnieżone Alpy. Jak zawsze, tak i teraz ten widok urzekł

Vance'a; prawdopodobnie to właśnie on przyciągał tutaj sławnych i bogatych ludzi. Słońce zaczynało już zachodzić za wzniesienia. Głębokie oliwkowo czarne cienie nadpełzały powoli od wzgórz po lewej, pogrążając tę część krajobrazu w mroku, ale przeciwna strona była wciąż skąpana w krzepiącym ciepłym bursztynowym świetle, które sprawiało, że domy i wille lśniły złocistym blaskiem.

Lecz tego wieczoru Vance nie potrafił znaleźć pokrzepienia w malarskim krajobrazie; czuł jedynie lęk i przygnębienie. Lęk o swoje życie i obawę, że popełnił błąd przyjeżdżając tutaj, zamiast pójść w Mediolanie prosto na policję. I dlaczego, u licha, wybrał właśnie tę miejscowość? Ostatnim razem odwiedził Como z Patty.

Jak długo pozostaje w nas ból? rozmyślał, gdy już odwrócił się od okna i zaczął rozpakowywać torbę, spakowaną przed zaledwie kilkoma minutami. Jak długo istoty ludzkie mogą cierpieć, zanim rany ich serc się nie zabliznią? On i Patty podczas miesiąca miodowego popłynęli jedną z tych starodawnych łodzi; przypomniał sobie, jak Patty tuliła się do niego mocno i namiętnie, szepcząc, że go kocha. Przypomniał też sobie jej spokojną, gładką twarz, widzianą nad ranem, gdy jeszcze spała, i rozrzucone na poduszce włosy, lśniące w pierwszych promieniach słońca.

A gdy machinalnie rozkładał w łazience przybory toaletowe i wkładał do komody złożone ubrania, przypomniał sobie również pustkę w szafach po jej odejściu; puste wieszaki, na których kiedyś wisały jej sukienki. Pozostały tylko wspomnienia miłości. Potrząsnął głową i zaczął ubierać się do kolacji.

Jadalnia na dole była prawie pusta. O wpół do ósmej hotelowi goście dopiero zaczynali się schodzić. Maitre d'hotel posadził Vance'a przy dobrze oświetlonym stole, skąd przez cienkie firanki widać było jezioro. Jadalnia hotelu Metropole była jednym z najlepszych, a przynajmniej najdroższych lokali w Como.

Lecz tego wieczoru wino smakowało mu jak woda, a szynka jak tektura. Pierzochy tortellini rosły mu w ustach jak grudkowata papka, zaś cielęcina w ogóle nie miała smaku. Teoretycznie wiedział, że jedzenie jest smaczne, ale jadł tylko po to, aby stłumić ból w piersi i wypełnić pustkę, grożącą wessaniem w siebie całego jego życia. Pogrzebał

apatycznie w potrawach i w ponurym nastroju wrócił do pokoju. Tam zapadł w niespokojny sen. Śniło mu się, że Patty usiłuje go zastrzelić.

Rano poczuł się lepiej. Przespana noc rozwiała-jak to się zawsze działo -jego przygnębienie i Vance wszedł lżejszym krokiem w słoneczny poranek. Ogródek hotelowej jadalni tworzyło kilkanaście stolików z kutego żelaza i szkła, ustawionych w prostokąt przed hotelem i ogrodzonych sięgającymi do ramienia krzewami w betonowych żardinierach. Vance usiadł w kącie, twarzą do jeziora, i przejrzał menu.

Choć zwykle w podróży z przyjemnością stosował się do miejscowych zwyczajów, tego ranka był zadowolony, że zatrzymał się w hotelu oferującym na śniadanie nie tylko brioszki i dżem. Zamówił średnio wysmażoną jajecznicę z trzech jaj, śniadaniowe kromki z mięsem i amerykańską kawę, a potem usadowił się wygodnie, słysząc burczenie w żołądku. Kawę podano w srebrnym dzbanuszkach. Vance nalał sobie filiżankę i otworzył *il Giorno*, które przyniesiono razem ze śniadaniem.

Przebiegł wzrokiem nagłówki, szukając doniesienia o wczorajszej strzelaninie, lecz niczego nie znalazł. Przeczytał notatkę o proteście przeciwko stacjonowaniu we Włoszech amerykańskich okrętów wojennych, o marszu pokoju przeciw broni nuklearnej, o dymisji kolejnych czterech członków włoskiego rządu po tym, jak ujawniono ich przynależność do jakiegoś tajnego stowarzyszenia, sprawozdanie z obrad synodu badającego sprawę całunu turyńskiego, w którym napisano, iż jest niemal pewne, że mamy do czynienia z autentycznym całunem Jezusa Chrystusa, informację, że inflacja wzrosła i osiągnęła poziom czterdziestu siedmiu procent oraz że zanieczyszczenie powietrza nasila się i obejmuje już całe Wiochy.

Od jeziora powiała bryza, przerzucając stronicę gazety. Vance odczekał, aż wiatr ucichnie, a potem odwrócił jeszcze kilka kartek. Nagle rzucił mu się w oczy tytuł u góry czwartej strony: CZTERY OSOBY ZGINĘŁY W MEDIOLANIE PODCZAS ATAKU TERRORYSTYCZNEGO.

Złożył porządnie gazetę i przeczytał:

*Agent pracujący dla włoskiej rządowej agencji antyterrorystycznej oraz*

*zawieszony w funkcjach kapłańskich ksiądz to dwie spośród czterech ofiar, które zginęły w poniedziałek po południu podczas strzelaniny w północno-wschodniej części Mediolanu...*

Vance odczytał pełną listę zabitych: taksówkarz mający na utrzymaniu żonę i czworo dzieci, przypadkowy przechodzień - zaledwie szesnastoletni licealista, potężny uzbrojony mężczyzna, który pracował w rządowej agencji ochrony oraz ksiądz.

**Ksiądz!**

*Oficerowie śledczy poinformowali, że były ksiądz został pozbawiony funkcji kapłańskich i ekskomunikowany w roku 1969 za udział w proteście i wprowadzenie demonstrantów do kościoła w Empoli, gdzie zniszczyli oni posągi, ikony i inne święte obrazy. Policja oznajmiła, że mężczyzna, który najwidoczniej brał udział w napaści na taksówkę, nie był sędownie karany.*

To staje się co najmniej dziwne, pomyślał Vance przeczytawszy artykuł. Żadnej wzmianki o nim - ku jego uldze, a zarazem konsternacji - i żadnego komentarza ze strony włoskiej agencji antyterrorystycznej na temat zadania, jakie wykonywał ochroniarz.

Vance poczuł ulgę i skonstatował, że widok śniadania przywrócił mu apetyt. Sprawy wyglądały coraz lepiej. Przeczytał powtórnie artykuł, aby się upewnić, że niczego nie przeoczył, i miał już odłożyć gazetę na stolik, gdy jego wzrok przykuła inna niewielka notka:

**WYBUCH BOMBY ZABIŁ POKOJÓWKĘ W HILTONIE.**

*Anna Sandro, lat 47, pokojówka w mediolańskim Miltonie, zginęła w poniedziałek wieczorem od wybuchu bomby, która eksplodowała, gdy kobieta otworzyła drzwi, by przynieść gościowi hotelowemu czyste ręczniki. Policjanci twierdzą, że bomba była połączona drutem z klamką pokoju, i że być może ofiarą zamachu miał być jego lokator. Mediolańska policja odmówiła podania nazwiska gościa; wiadomo jedynie, że jest pracownikiem amerykańskiej firmy naftowej, uczestniczącym w jakiejś konferencji.*

- Cholera! - mruknął do siebie Vance.

Ogarnął go lęk, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Bał się bardziej niż w Wietnamie, bardziej niż... - Z walącym sercem usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek doświadczył tak przemożnej trwogi. Nieznani prześladowcy robili wszystko, by go zabić, lecz zamiast tego uśmiercali niewinnych ludzi, którzy ginęli tylko dlatego, że w niewłaściwym czasie znaleźli się zbyt blisko Vance'a Eriksona. A potem pomyślał o zabójstwach w Wiedniu i Strasburgu, o zaginięciu

Tosiego i brutalnie zamordowanym Martinim. Skrzywił się i ścisnął rękami głowę. Śmierć kośla szerokimi zamachami i najwyraźniej zamierzała wreszcie go osiągnąć. Potrząsnął głową i wstał. Podjął już decyzję.

Musi pomścić Martiniego, a także tych nieszczęsnych ludzi z Mediolanu, którzy stanęli między nim a śmiercią. Wiedział, że rozwiązanie tkwi w jakimś fragmencie dziennika de Beatisa. Policja tylko by go wyśmiała. Któż uwierzyłby, że jakiś pamiętnik sprzed pięciuset lat może być przyczyną śmierci tak wielu osób? On sam uznałby to za absurdalne, gdyby cała sprawa nie pochłonęła już tylu ofiar. Pomysł można by nawet uznać za zabawny, gdyby ich martwe ciała nie dodały mu śmiertelnej powagi.

\*\*\*

- Co wy wyprawiacie? - wykrzyknął Elliott Kimball, a żyły nabrzmiały mu na skroniach. - Chcecie wszystko zepsuć? Chcecie zniszczyć to, co tak starannie zaplanowaliśmy? - Ruszył jak burza przez podłogę ze zwykłej terakoty, a jego ciężki świszczący oddech brzmiał niczym strumień pary wydobywającej się z przegrzanego kotła. - Do diabła, jak możesz tak sobie spokojnie siedzieć?! - zawołał, stając nad prostym spartańskim biurkiem i wpatrując się w siedzącego przy nim bez ruchu księdza. Z dołu dobiegał łagodny plusk fal, omywających filary fundamentów.

Brat Grzegorz popatrzył pobłaźliwie w górę na wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, który tłumiąc wściekłość, z twarzą wykrzywioną furią zaciskał i rozwierał pięści.

- Nie zapominaj - wyszeptał tak cicho, że tamten musiał wstrzymać oddech, by go usłyszeć. - że pracujemy nad tym od ponad pięciuset lat, zaś wasza organizacja od niecałych stu.

- Posłuchaj no, Grzegorzu - powiedział szorstko Kimball. - Mam już powyżej uszu tych twoich bzdur w stylu „staramy się bardziej niż wy”. Sprawa wygląda tak, że od wieków jesteście tylko gromadą cholernych nieudaczników, a kiedy wreszcie dostaliście szansę, żeby to zmienić, niemal udało się wam znów ją spieprzyć. I na Boga... - spostrzegł, że mnich skrzywił się na to użycie imienia boskiego nadaremno - nie pozwolę, żebyście przy okazji rozwalili również

Legację.

Brat Grzegorz słuchał go z łagodnym wyrazem twarzy, a jego prawdziwe uczucia zdradzały tylko zaciśnięte szczęki. Okazywanie gniewu, mawiał często nowo przyjętym braciom, oznacza utratę panowania nad sobą.

- Wydaje mi się, Kimball, że reaguje pan nieco zbyt nerwowo. Przecież nie stało się nic złego.

-Jeśli nawet nie, to z pewnością nie dzięki waszej małej eskapadzie - prychnął gniewnie Kimball, po czym odwrócił się od biurka i przeszedł przez mroczny pokój do zwykłego drewnianego krzyża wiszącego na nagiej kamiennej ścianie. - Przed wszystkim - podjął cichszym i spokojniejszym tonem - nie powinniście byli nawet zbliżać się do Eriksona bez powiadomienia nas o tym. Wiecie, jak blisko jest związany z Kingsburym, i wiecie też cholernie dobrze, że Kingsbury, jeśli zechce, może nam ogromnie zaszkodzić. A w ten poniedziałek... jak u diabła mogliście... - Przerwał, starając się zapanować nad wzbierającą w nim furią. - Co zamierzaliście osiągnąć dzięki waszej zasadzce, nawet gdyby się udała?

- Nie będę tłumaczyć się przed panem z naszych działań, Kimball - oświadczył brat Grzegorz cichym, chłodnym tonem. - Nawet królowie i papieże od wieków tłumaczyli się przed nami. Nie pozwolę panu, czy komukolwiek innemu, podawać w wątpliwość boskiej władzy i woli.

Elliott otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz natychmiast je zamknął. Wiedział, że niemożliwa jest jakakolwiek dyskusja bądź kompromis z wyznawcami wiary, którzy mordowali wszystkich w imię Jezusa, Allacha lub Jahwe.

- Tak - odrzekł bez zająknięcia, przełykając gorzką żółć wściekłości. - Ma pan całkowitą rację.

Kąćki wąskich, okrutnych ust mnicha uniosły się w lekkim uśmiechu. Trzeba tylko nacisnąć odpowiedni guzik, pomyślał Kimball sardonicznie.

- Wybaczam panu - powiedział śpiewnie Grzegorz. - I wysłuchawszy pańskiej spowiedzi, rozgrzeszam z występku pychy i bluźnierstwa.

Kimball z trudem powściągnął grymas wstrętu.

- Dziękuję - odparł najbardziej skruszonym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. - Jak mi pan wielokrotnie mówił, wierzy pan, że Bremeńska Legacja jest narzędziem zesłanym panu przez Boga do realizacji Jego zamysłu dotyczącego pana i Braci Wybrańców.

Brat Grzegorz kiwał teraz lekko głową. Chryste, pomyślał Elliott, czy on naprawdę traktuje te bzdury poważnie?

- Bremeńska Legacja - ciągnął - pragnie jedynie wspomagać was w wypełnianiu Bożego dzieła i w tym celu służyć wam radą we wspólnym działaniu. Z całym szacunkiem radziłbym unikać wszelkiej konfrontacji z Vancem Eriksonem, przynajmniej do czasu zawarcia transakcji. Ja...

- Nie widzę żadnego powodu, abym miał stosować się do tej rady, panie Kimball - przerwał mu chłodno brat Grzegorz. - To, czy transakcja dojdzie do skutku, zależy od woli Boga i nikt - ani pan, ani ja, ani Erikson czy jego potężny sojusznik Harrison Kingsbury - nie może pokrzyżować Jego zamiarów.

Kimball już chciał odpowiedzieć coś gniewnie, lecz zamiast tego wniósł wzrok ku sufitowi i przeżegnał się. No, dobra, zdrowaś Mario i inne pierdoły, pomyślał. To zadziałało już wcześniej setki razy, więc Jezus i teraz mnie nie zawiedzie. Głośno zaś rzekł:

- Tak, tak, ma pan zupełną słuszość. Ale jako narzędzia Boga musimy ustalić, co Bóg chce, żebyśmy zrobili z Eriksonem oraz jak to, co zrobimy, wesprze jego najwyższą wolę udanego zakończenia transakcji. - Brat Grzegorz zmarszczył brwi. - Dlatego proszę brata, żeby w swojej świętości pomodlił się za mnie i poradził, jak powinniśmy postąpić.

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Czy chwyt podziała jeszcze raz? zastanawiał się nerwowo Kimball.

Wreszcie mnich w czarnym habicie odezwał się:

- Jak na osobę świecką i niewierzącą, często mnie pan zaskakuje. Być może zbyt rzadko modliłem się o tę sprawę. Bywa, że tak nas pochłania końcowy rezultat, iż nie dość uwagi zwracamy na małe kroki, które trzeba uczynić, aby go osiągnąć. - Elliott stłumił westchnienie ulgi. - Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że w tej chwili nie mogę podjąć żadnej decyzji w związku z pańską radą. - Kimball



pochylił nabożnie głowę. - Muszę zaczekać, aż Bóg -Grzegorz przeżegnał się - objawi Swoją wolę.

Wygrałem! Jeden mały kroczek Bremeńskiej Legacji, uradował się w duchu Kimball, i jeden olbrzymi sus na drodze do pozbycia się ciebie i twego makabrycznego imperium, ty czarny mnichu!

Brat Grzegorz dał znać swym zwykłym skinieniem głowy, że audiencja jest skończona. Kimballa odprowadził do pokoju jeden z braci i pozostał przy drzwiach, aby mieć pewność, że gość z niego nie wyjdzie, póki nie zapadną ciemności i nie nadejdzie pora powrotu do Como.

\*\*\*

Vance Erikson przemierzał hol hotelu Metropole ze spuszczoną głową i rękami wbitymi głęboko w kieszenie spodni, przyciskając mocno łokciem do boku zwiniętą w rulon gazetę *il Giorno*. Był tak zamyślony, że nie zauważył młodej kobiety, która na jego widok zerwała się z fotela i szybko, lecz z gracją przeszła przez hol, żeby go zatrzymać. Dogoniła go przy schodach, klepnęła w ramię i zawołała:

- Vance!

Gazeta upadła na podłogę, gdy szybko wyjął ręce z kieszeni i odwrócił się z pobladłą twarzą.

- Vance, to tylko ja - powiedziała Suzanne z uspokajającym uśmiechem.

Stanął naprzeciw niej i z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Chryste, przestraszyłaś mnie jak diabli - powiedział przepraszająco.

- Możemy napić się kawy? - spytała i nie czekając na odpowiedź, wzięła go pod rękę i skierowała z powrotem w stronę kawiarni. - Dopiero co przyjechałam i umieram z głodu.

- Dostałam twoje przeprosiny - powiedziała, gdy już usiedli i zamówiła kontynentalne śniadanie: kawę oraz pieczywo z masłem i dżemem. - Bardzo ci dziękuję.

-Wydaje mi się, że teraz ty powinnaś mnie przeprosić. Zachmurzyła się.

- Za co?

- Za to, że prawie na śmierć mnie przestraszyłaś - powiedział z uśmiechem i oboje się roześmieli. Przyglądała mu się z przyjemnością: szczerą, przystojną twarz z ujmującym uśmiechem, świadczącym że zachował poczucie humoru nawet po tym, co przeszedł w ciągu ostatnich kilku dni. Obserwowała, jak lekki wietrzyk porusza liście na krzewie, a promienie słońca igrają na twarzy mężczyzny, zaś jego oczy stają się ciemnoniebieskie, jak wody oceanu na głębinie.

- Dobrze - powiedziała spokojnie. - Przepraszam.

- Przeprasiny przyjęte.

- Gdzie się podziała jego nieufność? zastanowiła się Suzanne.

Może przestał już uważać mnie za zagrożenie, przynajmniej w porównaniu z ludźmi, którzy próbowali go zabić.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał.

- Pamiętasz, jak przy obiedzie, zanim się posprzeczailiśmy, powiedziałaś, że prawdopodobnie pojedziesz do Co mo, żeby odwiedzić zamek tej szwajcarskiej rodziny, która sprzedała Kingsbury'emu kodeks?

- Wydaje mi się, jakby to było milion lat temu - odparł, grzebiąc w pamięci. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, lecz z drugiej strony, po wypadkach, które na niego spadły, wszystkie wcześniejsze zdarzenia tamtego dnia zblakły. - Tak - skłamał - doskonale sobie przypominam. Ale to nie wyjaśnia, w jaki sposób odnalazłaś mnie tutaj.

- Policzyłeś kiedyś hotele w Como? - spytała. - Według miejscowego biura informacji turystycznej jest ich dwadzieścia pięć. Zaczęłam szukać z listą, którą mi dali - powiedziała, wyjmując ją z malej eleganckiej torebki z czer-wonobrazowej skóry - i rozpoczęłam od góry.

Wziął od niej listę. Była podzielona na klasy i ułożona alfabetycznie. W Como znajdowały się tylko trzy hotele pierwszej klasy, a Metropole był drugi na liście. Przeraziło go, jak łatwo go znalazła. Jeśli jej się udało, mogło udać się innym.

- Sprytnie - powiedział szczerze. - Ale miałaś po prostu szczęście, że nie gustuję w hotelach IV klasy.

Zaśmiała się.

- Lecz przyjazd tutaj - ciągnął - nie był z twojej strony

najrozsądniejszym krokiem. Jak może zauważyłaś, ostatnio przebywanie w moim towarzystwie nie zawsze wychodzi na zdrowie.

- Wiem - przyznała Suzanne. - Ale właśnie dlatego przyjechałam.

- Właśnie dlatego...?

- Tak - potwierdziła z entuzjazmem. - To niesamowita historia.

Myślisz, że mogłabym wrócić do domu i pozwolić, żeby ktoś inny ją opisał?

Przez kilka chwil spoglądali na siebie w milczeniu, starając się odgadnąć nawzajem swoje myśli. Dwoje zwyczajnych ludzi, którzy natrafili na coś, czego nie potrafią rozgryźć.

Podano jej śniadanie. Milczeli, gdy Suzanne łapczywie pochłaniała jedzenie.

Vance popijał kawę i przyglądał się, jak jadła.

- Więc kiedy przyjechałaś? - zapytał po chwili. - Porannym pociągami?

Przełknęła kęs i popiła kawę.

- Wczoraj wieczorem - odpowiedziała. Wypiła jeszcze jeden łyk, po czym delikatnie, niemal bezszelestnie odstawiła filiżankę na spodeczek. - Podwiózł mnie Elliott Kimball.

- Kto? - spytał Vance. Nazwisko brzmiało jakoś znajomo.

- Znasz go - rzuciła niefrasobliwie. - Bogaty, skończył prawo na Harvardzie. Wydaje mi się, że grałeś kiedyś w rugby przeciwko jego zespołowi.

Vance poszperał w pamięci i przed oczami stanął mu obraz jasnowłosego mężczyzny, którego spotkał na przyjęciu po konferencji.

- Wysoki blondyn? - upewnił się. Suzanne skinęła głową, z ustami zapchanymi następnym kęsem brioszki.

- Tak - powiedział z roztargnieniem, myślami wciąż jeszcze przebywając w przeszłości. - Przypominam go sobie mgliście.

- No cóż, wydaje się, że on dobrze cię pamięta - oświadczyła.

- A skąd ty go znasz?

- Z college'u.

- Czy on tu jest? - spytał Vance z rezerwą.

- Nie wiem - odparła. - Wysadził mnie przy moim hotelu - zatrzymałam się w Villa d'Este w Cernobbio - i odjechał. Powiedział,

że zostawi dla mnie wiadomość.

- Villa d'Este. - Vance gwizdnał z podziwu. - To szykowne miejsce. Metropole wygląda przy nim jak trzeciorzędny motel.

- Pamiętasz, że moje wydatki są wliczone w koszt? Płaci za niego pismo.

Vance potrząsnął głową. Villa d'Este to prawdopodobnie najbardziej ekskluzywny i najdroższy hotel nad jeziorem Como. W przeszłości był kolejno prywatną letnią siedzibą członków kilku rodzin królewskich, a i dziś oferował najbardziej wyrafinowany luksus i przepych.

- No cóż, pomimo twoich królewskich upodobań przypuszczam, że przyjechałaś tu z powodów zawodowych. Podejrzewam, że pozwolenie ci, abyś się do mnie przyłączyła będzie mniej kłopotliwe niż próby pozbycia się ciebie.

- To bardzo rozsądne z twojej strony - odrzekła. - Jeśli chcę, potrafię sprawić mnóstwo kłopotów.

- Wiem - powiedział, myśląc o ostatnich dwóch latach. - Nie po raz pierwszy byłabyś dla mnie utrapieniem.

- To prawda, ale z tego, co widzę, tkwisz po uszy w kłopotach o wiele poważniejszych niż te, którymi ja ci kiedykolwiek przysporzyłam.

Kiwnął ponuro głową, przypominając sobie liczbę śmiertelnych ofiar z ostatnich kilku dni. Śmiertelne ofiary i morderca, który brał na celownik jego i wszystkich wokół niego. To był prawdziwy kłopot i nie da się go zbyć przeprosinami.

## *Rozdział 11*

---

- Nadal nie rozumiem, dlaczego to robisz - oznajmiła Suzanne Storm, przekrzykując warkot potężnego silnika wodolotu. Vance kiwnął głową na znak, że usłyszał, podczas gdy statek oddalał się od eleganckiej, skąpanej w bursztynowym świetle Villi Carlotta i położonej nad jeziorem wioski Tremezzo. - Jesteś' oburzony, że wszystko to wydarzyło się w łagodnym świątku badaczy dorobku Le-

onarda, prawda?

Vance popatrzył milcząco w inteligentne zielone oczy Suzanne, nie chcąc przyznać jej racji.

- Oczywiście, że mam rację - ciągnęła. - Nie zapominaj, że interesuję się tobą już od kilku lat. Jak na człowieka tak ekscentrycznego, masz silnie rozwinięte poczucie przyzwoitości i skłonny jesteś bronić do upadłego spraw, które uważasz za ważne. I oto ludzie, którzy według ciebie nie należą do świata Leonarda, kradną jego kodeksy, zabijają uczonych i ścigają cię.

- No, cóż... to chyba każdego wyprowadziłoby z równowagi - rzekł Vance z rezerwą. - Zresztą, spiski i intrygi były w czasach Leonarda na porządku dziennym. Pamiętaj, że on często współpracował z Machiavellim.

- Wiem, wiem - odparła niecierpliwie. - Ale ty uważasz, że dzisiejszy świat nie powinien już tak wyglądać. - przerwała i spojrzała mu bacznie w oczy. - Myślę, że w gruncie rzeczy bardziej niż śmierć wszystkich tych ludzi dotknęło cię, że ktoś śmiał pogwałcić twoje zasady.

Wytrzymał jej wzrok i odpowiedział twardym spojrzeniem.

- To nieprawda - rzekł. Dotknęła kwestii bardzo osobistej. Rozgniewało go to, lecz ukrył wzburzenie. - Poza tym pobudki mojego działania w gruncie rzeczy nie mają znaczenia.

- Uważam, że nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa - przerwała mu Suzanne. - Dlaczego sądzisz, że możesz dokonać więcej niż policja?

- Do diabła, sam nie wiem - przyznał. - Masz rację, nie jestem gliniarzem. Ja...

- Jesteś zarozumiały - przerwała mu ponownie. - Musisz mieć niezwykle przerośnięte ego, jeśli sądzisz, że uda ci się przetrwać - a tym bardziej przewyciężyć - tarapaty, w które wpadłeś.

- Mówisz, jakbyś chciała mnie odwieść od jakiegokolwiek działania.

- Uważam, że powinieneś zostawić tę sprawę profesjonalistom. Po prostu nie zastanowiłeś się, co ci grozi, jeśli się nie wycofasz.

- Myślę, że przesadna obawa o to, co robimy, nie ma sensu -

powiedział. - Gdybyśmy za każdym razem zastanawiali się, co może nam się przydarzyć na autostradzie, nigdy nie wsiedlibyśmy do samochodu. Gdybyśmy na serio rozważyli wszystkie okropne rzeczy, jakie mogą nas spotkać w ciągu naszego życia, jedyną rozsądną decyzją byłoby palnięcie sobie w łeb.

Suzanne potrząsnęła głową z ubolewaniem. To było ryzykowne, ale z drugiej strony, Vance jest bystry i zaradny. Może powie mu się tam, gdzie zawiedliby zawodowcy - choćby dlatego, że nie zdaje sobie sprawy, iż jest to niemożliwe.

Wodolot zwolnił. Zbliżali się do przystani w Bellagio; strome dachy starych domów miasteczka lśniły jaskrawym różem w promieniach przedpołudniowego słońca, a nad nimi górowała wieża kościoła z niebieskawozieloną miedzianą kopułą przypominającą piuskę. Vance przyglądał się, jak kapitan statku daje całą wstecz i łagodnie przybija do nabrzeża. Po prawej stronie kelnerzy sprząтали nakrycia po śniadaniu w kawiarnianym ogródku pod drzewem. Na drugim końcu przystani trzej księża cumowali siedmiometrową motorówkę i wyciągali z wody jej podwieszany silnik.

Było już prawie południe, gdy zeszli ze statku wraz z turystami i chmarą ich małych dzieci.

Bellagio było w przeszłości luksusowym kurortem, przyciągającym zamożnych Anglików, lecz z upływem lat osada straciła swój urok i obecnie przypominała zaniedbaną matronę podejrzanego konduity. Miejsce ekskluzywnych ristorante zajęły podrzędne lokale z niesmacznym jedzeniem i opryskliwą obsługą. Urocze uliczki, gdzie niegdyś sprzedawano diamenty i złoto, okupowały teraz kioski z tandetnymi pamiątkami. Jedyne imponujące podmiejskie rezydencje zachowały swą klasę. Bellagio nastawiło się na masowy ruch turystyczny oraz zaspokajanie podstawowych potrzeb ludzi, którzy mieszkali lub spędzali wakacje w swych willach.

Vance ujął Suzanne za łokieć, odciągnął ją od gromady ulicznych przekupniów, oferujących sztuczną biżuterię i pamiątki z Wioch produkowane w Chinach, i skierował ku stromym, wąskim schodom prowadzącym na wzgórze j wijącym się przez zabytkową dzielnicę Bellagio, obok wejść do małych sklepików i restauracyjek oraz bram

biur i prywatnych posiadłości.

W miarę jak wchodzili pod górę, cichł zgiełk roju turystów. Po drodze Erikson opowiedział Suzanne o okolicznościach dokonanego przez siebie zakupu Kodeksu Caizzich dla Harrisona Kingsbury'ego.

- Agentem i pełnomocnikiem rodziny Caizzich był Bernard Southworth - wyjaśnił - i wszystkie negocjacje dotyczące sprzedaży kodeksu odbywały się za jego pośrednictwem. Hrabia Caizzi pojawił się dopiero podczas samego przekazania kodeksu, które odbyło się w bibliotece zamku Castello Caizzi, stojącego poza miastem, na szczycie wzgórza.

- To ten olbrzymi biały pałac, który widzieliśmy z wodolotu?

- Tak. Rozciąga się z niego widok na wszystkie trzy odnogi jeziora. Jest olśniewający, wprost niewiarygodny.

Southworth nie brzmi jak włoskie nazwisko - zauważyła Suzanne.

W tym momencie ze schodów zbiegł zwinnie jakiś tragarz objuczony kosztami pełnymi otulonych słomą butelek chianti. Ustępując mu drogi, Vance i Suzanne weszli w próg małego zakładu naprawczego i kątem oka spostrzegli dwóch księży, nalegających, aby niezwłocznie, jeszcze dziś, naprawiono im jakieś elektryczne urządzenie. Właściciel warsztatu wyglądał na przerażonego.

Gdy roznosiciel chianti już ich wyminął i wznowili wspinaczkę po schodach, Suzanne zapytała:

- Widziałeś tego człowieka w warsztacie? Był śmiertelnie przerażony.

- Widok księży czasem tak działa na wiernych.

- Nie - potrząsnęła głową. - Myślę, że on się ich naprawdę bał. To było coś więcej niż zwykły szacunek czy respekt.

- Prawdopodobnie przybyli z klasztoru - rzekł. - Tutejsi mnisi mają reputację pożeraczy niemowląt, czy czegoś w tym guście, wywodzącą się zapewne jeszcze z czasów Inkwizycji. To nie nasze zmartwienie.

Stanął przed niewielkimi eleganckimi drzwiami z wypolerowaną do połysku mosiężną tabliczką, na której widniał wygrawerowany napis: Bernard Southworth, Esq. II.

- Och, tak - powiedział Vance, przypominając sobie jej wcześniejsze pytanie. - Southworth to Anglik, który przyjechał do Bellagio w latach trzydziestych, zakochał się w tym miasteczku i osiadł w nim na stałe.

Ujął błyszczącą mosiężną kołatkę i mocno zastukał cztery razy. Ciemne mahoniowe drzwi otworzyła tłusta kobieta w stroju służącej.

- Signore Southworth, *perfayore* - odezwał się Vance.

- *Momento* - odparła kobieta i zamknęła drzwi. Po chwili wróciła.

- Pan Southworth jest teraz bardzo zajęty. Czy mogliby państwo przyjść jutro?

Vance i Suzanne wymienili szybkie spojrzenia.

- Ale przecież dzwoniłem do niego dzisiaj rano - zaprotestował Vance. - Powiedział, że się ze mną spotka.

- Jest bardzo, bardzo zajęty - powtórzyła z uporem kobieta.

- Muszę się z nim zobaczyć w niezwykle ważnej sprawie.

- A ja panu mówię, że to niemożliwe - rzekła ze złością i chciała zamknąć drzwi. Vance zrobił szybki krok naprzód i unieruchomił je stopą.

- Zaczekam tutaj - oświadczył. - A skoro pan Southworth jest tak zajęty, że może się ze mną spotkać dopiero jutro, zostanę tu do tego czasu. - Kobieta spojrzała na niego gniewnie. - Dalej, niech pani dzwoni na policję.

- Vance! - rzuciła ostro Suzanne. - Nie rób sceny.

- Cieszę się, że zauważyłaś - odrzekł z uśmiechem. - Mam nadzieję, że Southworth również tego nie przeoczy. Podobnie jak większość dobrze wychowanych Anglików, nienawidzi takich scen.

Dwie stare kobiety niosące pranie zatrzymały się i zaczęły na nich gapić.

- Ciekaw jestem, dlaczego zmienił zdanie - zastanawiał się Vance. - Rozmawiałem z nim przez telefon zaledwie dwie godziny temu. Co się mogło stać?

- Nie wiem. Ale to takie żenujące.

- Owszem - uśmiechnął się. - Właśnie takie ma być.

- Signore, Signore! - zawołała służąca.

Zza jej pleców dobiegł głęboki basowy głos Southwortha,



mówiącego z brytyjskim akcentem.

- Wpuść go - powiedział adwokat ze znużeniem. - Wpuść go, bo inaczej nie da mi spokoju.

Kobieta rzuciła Vance'owi mordercze spojrzenie i otworzyła szeroko drzwi. Erikson i Suzanne weszli do środka i znaleźli się w słabo oświetlonym pokoju, zastawionym wyściełanymi meblami z ciemnego drewna, nadającymi mu wygląd prywatnego angielskiego klubu. W powietrzu unosił się zapach drogiego tytoniu fajkowego.

- Dzień dobry, panie Erikson - odezwał się Southworth chłodnym, opanowanym tonem. Był szczupły, wyglądał niemal na wychudłego. Miał na sobie szary, prążkowany trzyczęściowy garnitur ze złotą dewizką przy kieszonce kamizelki. Jego srebrzyste włosy były nienagannie uczesane, lecz starannie przystrzyżony siwy wąs drgał ledwo dostrzegalnie, znamionując tłumioną złość.

- Och, nie musi pan witać nas aż tak gorąco - rzekł sarkastycznie Vance. Wskazał ręką Suzanne. - Panie Southworth, to moja... współpracowniczka, Suzanne Storm.

Southworth skinął jej głową.

- Miło mi. A więc, panie Erikson, proszę powiedzieć, coż to za niezwykle ważna sprawa kazała panu wtargnąć bezceremonialnie do mojego biura w czasie, gdy rozmawiam z klientem.

- Chce się zobaczyć z signore Caizzim – oświadczył Vance. - Chciałbym...

- To niemożliwe - przerwał mu Southworth.

- Czy mógłby pan zadzwonić do niego w moim imieniu?

- Wykluczone. Pan Caizzi kategorycznie polecił, aby mu nie przeszkadzano. Minione dwa tygodnie były dla niego bardzo ciężkie, a do tego ubiegłej nocy nadeszła jeszcze ta straszna wiadomość.

-Jaka wiadomość?

-Jego jedyny żyjący jeszcze brat zmarł na atak serca.

- Jedyny żyjący brat? - powtórzył z niedowierzaniem Erikson. - A co się stało z pozostałymi dwoma?

- Właśnie usiłuję to panu powiedzieć.

- Miałem wrażenie, że usiłuje pan niczego mi nie powiedzieć - mruknął Vance pod nosem.

- Dwa tygodnie temu Enrico i Amerigo zginęli w katastrofie samolotu pilotowanego przez tego pierwszego.

- A tej nocy zmarł...?

- Piętro - powiedział Southworth.

- Więc pozostał tylko Guglielmo - Siwowłosey adwokat milcząco skinął głową. - O mój Boże - rzekł Vance, jednocześnie myśląc intensywnie. Kolejny atak serca, kolejne zerwane poważanie z da Vincim. Enrico był doskonałym pilotem i skrupulatnie dbał o stan techniczny swego samolotu. - Czy wiadomo, co spowodowało katastrofę?

- Zabrakło mu paliwa - odpowiedział Southworth.

- Wobec tego będę musiał odwiedzić Guglielma - oświadczył Vance.

- Nie! - rzucił Southworth podniesionym głosem. Odchrząknął. - Nie wolno panu tego zrobić.

Vance przyjrzał się uważnie jego twarzy, na której agresywny wyraz ustąpił miejsca lękowi. Czego ten człowiek się bał?

Nagle w drzwiach gabinetu Southwortha pojawił się wysoki, barczysty ksiądz, trzymający w prawej ręce rewolwer. Stojąca z tyłu służąca Anglika wydała stłumiony okrzyk. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Nie chciałby pan chyba obciążyć swego sumienia tym, iż przyczynił swemu bliźniemu dodatkowego cierpienia i smutku, prawda? - zapytał ksiądz.

- Czy to część jakiegoś nowego sakramentu? - odparował Vance.

Ksiądz wykonał odmierzony krok naprzód i stanął obok Southwortha. Adwokat dopiero teraz zobaczył broń i wyraźnie zbladł.

- Myślę, że to nie jest konieczne - rzekł. - W każdym razie nie tutaj. Nie w moim biurze.

Kapłan pozostał niewzruszony.

- Zamknij się - rzucił.

Vance wpatrywał się w wylot lufy.

- Zaczynam mieć poczucie déjà vu - powiedział. - Mimo to chyba nigdy nie przywyknę do widoku księży celujących do mnie z rewolweru. - Kątem oka zerknął na Suzanne; wyglądała na opanowaną.

- Jesteś nieznośnym utrapieniem, Erikson - warknął ksiądz, odciągając kurek broni. Nim w pokoju zagrzmiały wystrzały, Vance i Suzanne padli na podłogę i pełzając na czworakach schronili się za obitą brokatem kanapą.

- O Boże, o Boże! -jęczała służąca, trafiona pierwszą kulą.

Huknął następny strzał. Pocisk rozerwał oparcie sofy i wyżłobił rowek w podłodze z twardego drewna.

- Niech to wszyscy diabli! - zawołał Southworth. - Oddaj mi to, człowieku. Nie masz prawa...

Suzanne i Vance, skuleni za sofą, przysłuchiwali się kłótni.

- Puszczaj, ty zwariowany Angolu! - krzyknął ksiądz.

Vance zerwał się na nogi, poślizgnął się przez moment na wywoskowanej posadzce i rzucił w wir walki. Southworth wczepił się obiema rękami w rewolwer; ksiądz usiłował wyrwać broń, a jednocześnie wolną ręką okładał prawnika. Pierwszy cios pięści Vance'a trafił kapłana w bok głowy i zachwiał nim; drugi wylądował na jego nosie. Rozległ się trzask miażdżonej chrząstki.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął ksiądz, rozluźniając chwyt dłoni ściskającej broń. Southworth szarpnął z całej mocy ciągnąc ją do siebie. Ksiądzjednak otrząsnął się i z niezwykłą siłą odwrócił lufę ku twarzy adwokata, po czym pociągnął za cyngiel.

Krzyk Southwortha rozbrzmiał wraz z hukiem wystrzału.

Adwokat puścił rewolwer, upadł na podłogę, zadrżał i znieruchomiał.

Erikson skoczył po broń i jedną ręką już jej niemal dosięgnął, gdy ksiądz zadał potężny cios na odlew, trafiając Vance'a w szczękę, aż głowa odskoczyła mu do tyłu. Poprzez galaktykę kolorowych gwiazd, eksplodujących mu przed oczami, Vance zdołał zobaczyć, że napastnik celuje w niego. Przeturlał się błyskawicznie na bok, zanim rewolwer znów wystrzelił. Płomień tryskający z lufy osmalił mu włoski na karku. Niewyraźnie słyszał jęki rannej służącej, a zza zamkniętych drzwi dobiegły go podeksycytowane głosy ludzi na dworze. Ktoś szaleńczo walił kołatką.

Vance chwycił ciężką mosiężną lampę. Ksiądz uśmiechnął się demonicznie i wymierzył do niego. Vance wyszarpnął wtyczkę lampy z gniazdka i usłyszał szcęk odwodzonego kurka rewolweru. Zadrżał ze

strachu. Wtem rozległ się strzał, lecz nie tak grzmiący, jak z rewolweru księdza, tylko bardziej przytłumiony, a zarazem ostrzejszy. Po nim zaś zabrzmiała cała szybka seria. Erikson patrzył zdumiony, jak pod prawym okiem księdza pojawiła się mała czerwona dziurka, potem kolejna w skroni i jeszcze dwie w szyi. Rewolwer wypadł mu z ręki na podłogę i wypalił samorzutnie w listwę przy ścianie. Pod księdzem ugięły się nogi; osunął się na kolana, a potem upadł twarzą na ziemię. Vance upuścił lampę i odwrócił się powoli. Obok sofy klęczała Suzanne Storm, trzymając fachowo oburącz mały automatyczny pistolet. Vance spojrział na martwe ciało służącej przy drzwiach, potem na Southwortha, który leżał na plecach, z szeroko rozrzuconymi nogami i dziurą ziejącą w miejscu, gdzie powinien mieć twarz, następnie na księdza i z powrotem na Suzanne.

- Wdepnęliśmy w jakąś niezgorszą aferę - powiedział drżącym głosem.

Podniosła się z klęczek, podeszła do niego wolno i stanęła tak blisko, że owionął go jej przyspieszony ze strachu oddech.

- Skąd to masz? - zapytał wskazując na pistolet.

Zignorowała jego pytanie.

-Jazda, wynośmy się stąd - rzuciła szorstko. Podniosła torebkę i włożyła do niej broń. Zgiełk za drzwiami nasilił się. Ktoś szarpał za klamkę. - Lada chwila tu wejda - dodała szybko - prawdopodobnie razem z policją.

- Masz rację - odparł ponuro, wsuwając za pasek rewolwer księdza. - Chodźmy tędy.

Przez biuro Southwortha na pierwszym piętrze i kuchnię na tyłach domu wyprowadził ich na wijące się zboczem schodki, podobne do tych od frontu. Ruszyli nimi do góry, niedbałym krokiem, niczym dwoje niewinnych turystów wędrujących z dala od utartych szlaków.

Ciało Suzanne instynktownie rwało się do ucieczki, lecz jej wytrenowany umysł nakazywał powolny spacer. Ujęła Vance'a pod rękę, by upewnić się, że on również idzie wolnym krokiem. Zetknięcie z ciepłym, muskularnym ramieniem mężczyzny pokrzepiło ją i uspokoiło.

Gdy po pięciu minutach znaleźli się na szczycie wzgórza, zapytała cierpko:

- No dobrze, i co teraz?

- Nie wiem - odrzekł z niepewnym uśmiechem. - Po drodze zastanawiałem się nad tym wszystkim i myślę, że najlepiej będzie stąd zniknąć. Moglibyśmy pójść do Grand Hotelu. To tylko kilka kroków stąd, a w tłumie nikt nas nie rozpozna. Wynajmiemy samochód, a potem... potem pojedziemy do Castello Caizzi. Mam wrażenie, że Guglielmo Caizziego bardzo ucieszy nasza wizyta.

Odwrócił się i długim, szybkim krokiem ruszył na północ.

- Obawiałam się, że wymyślisz właśnie coś takiego - mruknęła i podbiegła, by go dogonić.

\*\*\*

- Nie, signore, nie wynajmujemy samochodów - oznajmił recepcjonista w Grand Hotelu. - Przykro mi, ale rezerwujemy je wyłącznie dla hotelowych gości.

Po marmurowych schodach wyszli z eleganckiego hotelu na chodnik i skierowali się w stronę centrum Bel-lagio.

- Czeka nas długi spacer - powiedział Vance.

- Nadal uważam, że powinienes zostawić tę sprawę policji.

Gdzieś z oddali dobiegł ostry dźwięk samochodowego klaksonu.

- I co mielibyśmy powiedzieć policjantom? - zapytał. - Że zamordowano trzech braci Caizzi i przypuszczamy, że Guglielmo będzie następny... o ile już nie żyje? Kto nam uwierzy?

Suzanne skinęła głową.

- Mimo to uważam, że nie powinniśmy się tam pokazywać - rzekła.

- Jeżeli chcesz, możesz wrócić do Como - odparł - albo zaczekać na mnie tutaj w kawiarni. Ale ja odwiedzę Guglielmo Caizziego.

Zza zakrętu z rykiem silnika i piskiem opon wypadł czarny mercedes 450SL. Ujrzeli z przerażeniem, że samochód wali prosto na starego robotnika, jadącego na zdezelowanym rowerze z grubymi oponami i zardzewiałym drucianym koszykiem, w którym wioził jajka i mleko. Mężczyzna zeskoczył z roweru w chwili, gdy zderzak mercedesa zahaczył z metalicznym zgrzytem o koszyk. Rower przewrócił się na krawężniku, siatka z rozbitymi jajkami wypadła na chodnik, a dwa kartony mleka uderzyły o ścianę pobliskiego domu i eksplodowały białą fontanną.

Oszołomiony stary człowiek usiadł z trudem, podczas gdy kierowca gwałtownie zahamował i zawołał:

- Uważaj, jak jedziesz, ty bezzębny stary śmieciu! Masz szczęście, że cię nie rozjechałem.

Po czym wcisnął gaz i ruszył dalej, zostawiając na jezdni czarne ślady po hamowaniu, a w powietrzu swąd spalonej gumy.

Kipiąc z wściekłości Vance obserwował, jak mercedes wjechał na parking Grand Hotelu i po chwili znikł mu z oczu.

- Łajdak - mruknął i podszedł do Suzanne, która pomagała się podnieść staremu mężczyźnie.

- Nic mi nie jest, naprawdę - powtarzał tamten, trzęsąc głową. Dźwignął się na nogi, podszedł do roweru, podniósł go, wtoczył na ulicę i odjechał, pedałując wolno.

- Krzepki starzec - zauważył Vance. - Pewnie przeżyje nas oboje.

- To nie będzie zbyt trudne, zważywszy wydarzenia ostatnich paru dni.

- Chodź- przerwał jej. Ujął ją pod ramię i poprowadził z powrotem w kierunku Grand Hotelu.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Mam pewien pomysł.

- Och, do diabła, tylko nie to!

- Owszem - odparł Vance. - Teraz uważaj. - Podeszli do mercedesa 450SL, należącego do młodego Włocha, który widzieli przed chwilą. Stygnąca maska poskrzypywała cicho. - Wsiądź razem ze mną, jakby to był twój samochód. Jeżeli parkingowy wyjdzie z budki, nie patrz w jego stronę.

- Vance, co my...

- Po prostu wsiądź jakby nigdy nic.

- Ale to sprzeczne z prawem!

- Podobnie jak napadanie na biednych starych ludzi. Zaufaj mi. Zachowuj się, jakby to był twój wóz, a nikt nie zwróci na nas uwagi.

Wsiadli i zgodnie z oczekiwaniem Vance'a znaleźli kluczyki w stacyjce.

- To nielegalne - powiedziała Suzanne, wpatrując się w boczne lusterko, gdy jechali krętą drogą wiodącą do Castello Caizzi.

-Już to mówiłaś.

Wyboista asfaltowa szosa wiła się serpentynami wśród wzgórz nad Bellagio, mijając tarasowe gaje oliwne, przydrożne wiejskie domki i winne latorośle uginające się pod ciężarem winogron. Ruch był tu niewielki.

\*\*\*

Vance się zmienił, pomyślała Suzanne, przyglądając się, jak prowadzi samochód. Kilka dni temu wydawał się podenerwowany, niepewny i nadmiernie drażliwy. Teraz, skonstatowała patrząc na jego żywą, inteligentną twarz z mocną, kanciastą szczęką i przenikliwymi niebieskimi oczami, odzyskał równowagę.

Podobały jej się te promieniejące energią oczy. Są tak pełne wyrazu, powiedziała do siebie, że gdybym tylko potrafiła pojąć ich mowę, mogłabym odczytać każdą jego myśl.

Przed nimi wyrastały białe kamienne mury Castello Caizzi - dumny symbol dumnej rodziny. Vance zwolnił przed ostrym zakrętem, a potem znów przyspieszył i wrzucił trzeci bieg. Usiłował przypomnieć sobie jakieś szczegóły dotyczące zamku, przeklinając w duchu, że nie był bardziej sprostregawczy, gdy wraz z szefem, Martinim i gromadą prawników zjechali tam, by podpisać końcowe dokumenty, wystawić gigantyczny czek i wejść w posiadanie Kodeksu Caizzich, zwanego odtąd Kodeksem Kingsbury'ego.

- Ta budowla stanów skrzyżowanie średniowiecznego zamku z osiemnastowieczną rezydencją, podobną do tych nad jeziorem - powiedział do Suzanne. - W roku 1427 hrabia Caizzi otrzymał stary zamek, pochodzący mniej więcej z 1100 roku, zrujnowany podczas licznych bitew i oblężeń. W ciągu następnych stuleci hrabia i jego potomkowie odnowili go, przerobili i powiększyli. Do masywnych kamiennych murów otaczających 175-akrową posiadłość dodali fosę, zasilaną przez akwedukt i stopniowo rozbudowali pomieszczenia mieszkalne.

Kątem oka zauważył, że Suzanne naładowała ponownie swój pistolet i sprawdziła, czy ma w torebce zapasowy magazynek.

- Świetnie strzelałaś - rzucił. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Na kursie - odparła.

- I na tym kursie nauczyłaś się strzelać tak celnie i... ee... profesjonalnie? - spytał beznamiętnym tonem.

Na słowo „profesjonalnie” poderwała głowę i rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, ale ostatecznie uznała, że powiedział to bez ironii.



- Byłam jedną z najlepszych kursantek. I dużo ćwiczyłam w domu.

- Toteż wcale nie żartowałem - zapewnił ją. - I założę się, że tamten ksiądz, gdyby mógł, dałby ci na końcowym egzaminie ocenę celującą.

- Jak możesz dowcipkować w ten sposób? - powiedziała z wyrzutem. - Tam zginęli ludzie.

- A co mamy robić, płakać? - odparował. - Cała ta historia jest tak absurdalna, że oboje powinniśmy śmiać się do rozpuku: geolog uważający się za eksperta od Leonarda da Vinci oraz zadzierająca nosa reporterka z magazynu kulturalnego zamierzająca wytropić tajne stowarzyszenie, które morduje ludzi na prawo i lewo. I proszę, jesteśmy uzbrojeni w nasze dwa stopnie naukowe, rewolwer z jednym nabojem, twoją małą pukawkę oraz wiele tupetu.

- I jeszcze więcej głupoty - dodała.

- O tak, całe mnóstwo - przyświadczył.

Zjechał ze względnie gładkiego asfaltu na prowadzącą w las zwirową drogę, która wkrótce zmieniła się w wyjeżdżone w ziemi koleiny. Wciąż jeszcze znajdowali się poniżej szczytu wzgórza i poza zasięgiem wzroku mieszkańców zamku. Kiedy mercedes skrył się w kępie młodych topoli, Vance wyłączył silnik i zapadła cisza. W dole hydroplan musnął powierzchnię jeziora w pobliżu Tremezzo i z gracją przybił do mola. Od czasu do czasu gdzieś w oddali czekały psy, lecz w istocie jedynym dźwiękiem był szelest poruszanych wiatrem listków topoli, wiodących swe niezrozumiałe rozmowy.

Oboje poszli bez słowa krętą leśną ścieżką wśród drzew, a pod ich stopami cicho szeleściły zwiędłe liście i sucha trawa. Przez około półtora kilometra ścieżka biegła równoległe do szosy, a potem skręciła w górę, ku alabastrowo białym murom zamku. Gdy wyszli na łąkę, widok zasłoniły im wkrótce wybijające krzaki jeżyn i zarośla, które zastąpiły leśne poszycie.

Raptem te dziko rosnące krzewy ustąpiły miejsca rzędom starannie pielęgnowanych winorośli i uprawnej ziemi. Vance zatrzymał Suzanne gestem dłoni i przykucnął, a dziennikarka poszła za jego przykładem.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, wspierając się na jego ramieniu.

- W winnicach rodziny Caizzi - odparł szeptem, odwracając ku niej głowę. Twarz Suzanne była tak blisko, że poczuł delikatny zapach jej perfum. - Caizzi od niepamiętnych czasów uprawiają winną latorośl i wytwarzają wino - wyjaśnił. - W piwnicach przechowują wyłącznie szampana. Nie jest na sprzedaż; podają go na swych przyjęciach, balach i uroczystościach.

Przeglądali się winoroślom, uginającym się pod ciężarem winnych gron, pokrytych białym osadem naturalnej fermentacji. Czekali, nasłuchując i rozglądając się, czy ich nie zauważono. Może się mylę, pomyślał Vance. Może nie zaszło tu nic złego i nie ma żadnych strażników. Może znów zbyt puściłem wodze wyobraźni.

Odczekali jeszcze pięć minut, aż w końcu rozboleły go kolana od kucania w niewygodnej pozycji.

- Chodźmy - rzekł, wstając. Od zamkowych murów dzieliło ich niecałe dwieście metrów. Wejście dla leśniczych i reszty służby znajdowało się w ich południowym krańcu. Spróbują dostać się tamtędy.

Kryjąc się za ostatnim rzędem winnych krzewów, sięgających im do piersi, podeszli okreśną drogą do południowej części murów.

Zbocze było tu zbyt strome dla winorośli i porastały je tylko drzewa i krzaki, pośród których wały się stopy śmieci. Nawet najwięksi z nas dopuszczają się takich skandalicznych uchybień, pomyślał Vance. Pozostając w cieniu drzew, przyjrzał się uważnie białym murom, wysokim na przeszło dwanaście metrów i niemożliwym do pokonania, z wyjątkiem pojedynczych drzwi u podstawy. Obok nich 40 ściany przylegała schludna drewniana przybudówka.

- Tędy wejdziemy - rzekł, wskazując na nią. Łagodny wietrzyk zamarł na chwilę i w ciszy usłyszeli dochodzące ze środka głosy oraz dźwięki telewizora.

- Tam ktoś jest - zauważyła Suzanne.

- Nie powiedziałem, że to będzie łatwe, prawda? - odparł. - No, idziemy!

Sto pięćdziesiąt metrów dzielących ich od przybudówki przebyli

biegiem. Słyszeli teraz rozmowę wyraźniej, tak że niemal mogli ją zrozumieć. Rozróżnili dwa głosy -jeden mówiący szorstkim dialektem góralskim i drugi, przemawiający tonem melodyjnym i kulturalnym, zdradzającym osobę wykształconą. Był to głos z rodzaju tych, jakie można usłyszeć z kościelnej ambony. Dobiegłszy do przybudówki, wcisnęli się w załom pomiędzy jej ścianą a potężnym kamiennym murem.

- No dobrze, a co teraz? - zapytała Suzanne.

- Zaczekaj tutaj - polecił. Skinęła głową i wyjęła z torebki pistolet.

Vance przebiegł sprintem przez odkryty teren, a gdy dotarł do drzew, zwolnił i ruszył niespiesznie w stronę wysypiska śmieci. Na jego skraju stał mały spychacz na gąsienicach. W nozdrza uderzył go charakterystyczny odór metanu, towarzyszący rozkładającym się odpadkom. Doskonale, pomyślał, to ułatwi mi zadanie.

Podszedł do ciągnika, otworzył wlew zbiornika paliwa i powąchał. W środku był olej napędowy. Wystarczy, by rozpalic ogień.

\*\*\*

Co on, u diabła, robi, zastanawiała się nerwowo Suzanne. Nie była tu bezpieczna; zauważyłby ją każdy spacerujący wokół murów lub wychodzący przez drzwi. Może powinna dołączyć do Vance'a. Przełożyła pistolet do lewej ręki, a prawą otarła z czoła zimny pot. Rozejrzała się. Nie było się gdzie ukryć. Wokół wałało się tylko kilka kartonowych pudel oraz baryłka po oleju. I wówczas, jakby jakiś demon postanowił urzeczywistnić jej najgorsze obawy, usłyszała odgłos kroków w przybudówce i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Do dwóch mężczyzn dołączył trzeci. Gdy wyszli na zewnątrz, ich głosy zabrzmiały wyraźniej.

Suzanne szybko opadła na kolana, chowając się za beczką. Po chwili wyjrzała znad jej krawędzi i zobaczyła tył głowy z lśnącymi czarnymi włosami. Gdy mężczyzna zaczął się odwracać, schyliła się i odbezpieczyła pistolet. Wjej stronę poleciał tłący się niedopałek, uderzył w mur i upadł nieopodal.

Mężczyźni śmiali się i żartowali. Nie robili wrażenia czujnych wartowników. Wkrótce mogła już rozróżnić pojedyncze słowa. Któryś,

najwidoczniej dozorca, dźwigał kubel pełen śmieci. Pozostali dwaj - jednego z nich nazywano „ojcem” - zaśmiewali się z jakiegoś dowcipu, opowiedzianego jeszcze w przybudówce.

\*\*\*

Słyszając narastające głosy, Vance schował się za ciągnikiem. Ze swego punktu obserwacyjnego zobaczył mężczyzn wychodzących z przybudówki. Suzanne! pomyślał ze zgrozą. Z pewnością ją zauważył! Z bijącym sercem przyglądał się, jak starszy, łysy mężczyzna z krzaczastym wąsem, pcha na ręcznym wózku wielki pojemnik na śmieci, a potem przystaje i ze śmiechem wdaje się w rozmowę z młodym człowiekiem w kombinezonie - być może dogląającym winnic - oraz wysokim księdzem w czarnej sutannie.

Potem ksiądz i młodszy mężczyzna weszli z powrotem do środka, starszy zaś został, żeby opróżnić kubel ze śmieciami i odpadkami.

Vance nie zwlekając, wpełzł pod ciągnik i wymacał zawór do spuszczenia oleju ze zbiornika. Kurek stawiał opór, ale ustąpił, kopnięty lekko obcasem buta. Paliwo rozlało się ciemną strugą na ziemię, a potem popłynęło po zboczu w dół, w kierunku wysypiska. Wyjął otrzymane od Suzanne pudełko zapalek, zapalił jedną i przytknął do wciąż ciekącego strumyczka oleju. Rozległ się głuchy, stłumiony huk i w niebo wzbily się płomienie oraz kłęby czarnego dymu.

Vance wrócił pędem do Suzanne, zanim mężczyźni w przybudówce, wciąż opowiadający sobie dowcipy, zauważyli ogień. Gdy go wreszcie dostrzegli, wypadli na zewnątrz i puścili się biegiem ku wysypisku. Sutanna księdza łopotąła jak czarne skrzydła.

- Teraz! - zakomenderował Vance i oboje z Suzanne wbiegli do środka.

Przeszli szybko przez słabo oświetlone wnętrze przybudówki i znaleźli się w jeszcze ciemniejszym korytarzu, biegnącym wewnątrz murów. Wilgotne kamienne ściany, oświetlone słabymi żarówkami, rozmieszczonymi w nieregularnych odstępach, zakręcały w obie strony. Z prawej dobiegły ich odległe głosy. Ruszyli więc w lewo.

Minęli ostrożnie kamienne schody prowadzące w górę, na szczyt murów, skąd padała nikła niebieskawa poświata. Poszli dalej korytarzem, który wkrótce stał się niemal zupełnie ciemny, lecz po

chwili znów znaleźli się w miejscu oświetlonym, przy drewnianych drzwiach z zardzewiałymi zawiasami, zamkniętych na równie przerdzewiałą kłódkę. Przez szczelinę w starych zmurszałych deskach prześwie-

cało dzienne światło. Vance przytknął twarz do chłodnego chropawego drewna i zerknął na zewnątrz.

- Popatrz - powiedział. Suzanne przez szparę ujrzała fosę, w której pływały lilie i inne wodne rośliny, a za nią następny mur. Drzwi wychodziły na wewnętrzną alejkę biegnącą wzdłuż wałów. Po prawej zobaczyła przerzucony nad fosą kryty most, łączący przybudówkę z bramą zamku, a po lewej małą kładkę z poręczą.

Vance luźną rewolweru księdza wyważył starą kłódkę, która pękła z przeraźliwym zgrzytem.

- Cholera! - zaklęła Suzanne szeptem.

- Mówi się trudno - odparł, uchylając drzwi na tyle, by mogli się przez nie przecisnąć. - Jeżeli ktoś nas usłyszał, nic już na to nie poradzimy.

Pobiegli dróżką, a potem przez most i sklepione łukowe przejście na jego drugim końcu. Znad zewnętrznego muru wydostawały się gęste kłęby czarnego dymu. Zza muru dochodziły nawoływania strażników.

- Kiedy przyjechałem sfinalizować transakcję, oprowadzono mnie po zamku - powiedział. - Są tu jeszcze trzy podobne przejścia, przebite w murach o niemal dwumetrowej grubości, mające umożliwić dostęp do fosy. Po drugiej stronie każdego wejścia, na niewielkim podwórzu znajduje się ogródek. Takie podwórza, wydzielone z centralnego dziedzińca, spotyka się w większości dużych zamków.

Suzanne kiwnęła głową. Zeszli ze ścieżki i okrążyli ogródki na dziedzińcu pod wysuniętymi balkonami, wspartymi na marmurowych kolumnach. Idąc rzuciła zachwycone spojrzenia na rozmaite detale, od ozdobnych rzeźb po freski na ścianach ocienionych balkonami.

- To Brunini - rzekła. Po kilku krokach znów przystanąła. - Ten posąg... - wskazała na wyrzeźbionych marmurze mężczyznę i kobietę, nagich, splecionych w uścisku - jest dłuta Canovy. Nie przypuszczałam, że znajduje się tutaj.

Nagle z zewnętrznego dziedzińca dobiegły ich krzyki, przywracając Suzanne poczucie rzeczywistości. Oboje wcisnęli się w jakąś wnękę, czekając, aż miną ich mężczyźni rozprawiający głośno i z podnieceniem o wybuchu pożaru. Vance otarł pot z górnej wargi i pomyślał z żalem, że w rewolwerze księdza została już tylko jedna

kula.

Kiedy głosy się oddaliły, wyszli z ukrycia i skierowali się ku schodom.

- Okna wszystkich sypialni i salonów wychodzą na balkon nad głównym dziedzińcem - wyjaśnił Erikson, gdy spieszyli w górę po szerokich marmurowych stopniach. - Wjednym z tych pomieszczeń musi być Caizzi... o ile jeszcze żyje.

Dotarłszy do szczytu schodów ujrzeli kolisty kolumnowy portyk. Zaczęli go okrążyć zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zaglądając w okna wszystkich pokoi. Gdzie jest pan tej posiadłości, hrabia Guglielmo Caizzi?

Za murami krzyki coraz bardziej się wzmacniały. Vance przypuszczał, że metan, wydobywający się z wysypiska śmieci, podsycił pożar i przekształcił go w istne morze ognia, a do jego ugaszenia potrzebna będzie pomoc wszystkich pracowników hrabiego. Z oddali dobiegło wycie syren. To zapewne wozy strażackie pokonywały krętą, niebezpieczną drogę do zamku.

Po obejściu jednej trzeciej dziedzińca natknęli się na pokój z zasłoniętymi oknami. Popatrzyli na siebie i kiwnęli głowami: to musi być tu.

Przez szczelinę w jedwabnych kotarach, ciężkich jak gobeliny, zobaczyli bladego starszego mężczyznę, leżącego nieruchomo w łóżku i przykrytego po pierś kołdrą, spod której wystawały tylko ręce i ramiona w piżamie. Hrabia Caizzi wyglądał na chorego.

Przy łóżku stał wysoki ksiądz i krzyczał coś z wściekłością, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Jednak szczelnie zamknięte okna tłumiły wszystkie dźwięki. Ksiądz był wzburzony i w trakcie rozmowy przechadzał się od ściany do ściany. Zrozumieli, że muszą działać szybko. Jeśli ich przeciwnicy odkryją otwarty zawór zbiornika w traktorze i domyśla się, że ktoś podpalił wysypisko, rozpoczną poszukiwanie intruzów.

- Dobra, chodźmy tędy - szepnął Vance. Wrócili biegiem do rzeźbionego portalu prowadzącego do wewnętrznego korytarza.

Zatrzymali się przed wejściem i przywarli do ściany, nasłuchując. Najpierw usłyszeli czyjeś kroki w holu. Potem dobiegł ich

stłumiony, gniewny głos księdza rozmawiającego przez telefon.

Jak obezwładnić wartownika bez zaalarmowania całego zamku?

- Mam pomysł - szepnęła Suzanne do ucha Vance'owi.

- Uważaj.

Zanim zdołał ją powstrzymać, ruszyła śmiało korytarzem i podeszła do strażnika.

- Szybko! - rzuciła ostro, gestykulując gwałtownie. - Chodź tutaj, musisz nam pomóc! Pospiesz się!

Nawet księża są tylko mężczyznami, pomyślała, a z mężczyznami nieraz już radziła sobie w ten sposób.

- Och, proszę, to bardzo ważne. Możesz się pospieszyć? - Doskonale odegrała zrozpaczoną młodą damę.

Strażnik zbliżył się do niej nieufnie. Zrobiła dwa nieśmiałe kroki w jego stronę.

- Och, tak się cieszę, że tu jesteś - rzekła bez tchu, chwytając go za prawą rękę. - Powiedzieli, że będziesz mógł mi pomóc. Chodźmy, nie ma czasu.

I pociągnęła mężczyznę w kierunku wejścia.

Vance przysłuchiwał się z podziwem jej improwizacji.

Niezwykła kobieta, pomyślał, przyciskając się do ściany i rozpaczliwie usiłując uspokoić swój głośny, zdyszany oddech. Suzanne wyszła pierwsza z za załomu, a za nią pojawił się opasły mnich o czerwonej twarzy, z błyszczącą łysą czaszką i rudymi brwiami.

Suzanne udała, że się poślizgnęła, i upadła na podłogę, chwytając się kurczowo dłoni księdza. Gdy ten wyciągnął do niej drugą rękę, Erikson zamachnął się i rąbnął go z całej siły kolbą rewolweru w tył głowy.

Łysy mnich wydał ciche westchnienie, po czym z głuchym łoskotem osunął się na podłogę i znieruchomiał.

Vance podał rękę Suzanne i pomógł jej wstać.

- Cieszę się, że jesteś po mojej stronie - rzekł z uśmiechem.

Pobiegli na palcach do pokoju Caizziego. Erikson nacisnął klamkę, ale drzwi były zaryglowane. Wrócił więc do nieprzytomnego wartownika, lecz nie znalazł przy nim żadnych kluczy. Oboje z Suzanne zaczęli nasłuchiwać przy drzwiach, ale ksiądz w pokoju mówił



teraz niewiele, ograniczając się do burkliwych „tak” i „nie”. Wreszcie pożegnał się i rzucił słuchawkę. Vance zapukał do drzwi. Usłyszeli zgrzyt staroświeckiego klucza w zamku. Drzwi otwarły się i ujrzeli wysokiego księdza, a za jego plecami leżącego bez ruchu na łóżku hrabiego Caizzi.

- Piśnij choć słowo, a rozwalę ci łeb - rzekł Vance, wymachując rewolwerem. Na twarzy księdza w miejsce gniewu pojawiło się zdumienie. Otworzył usta do krzyku, lecz nim zdążył wszczać alarm, Erikson uderzył go kantem dłoni w krtań i mężczyzna wydał z siebie tylko zduszony gulgot. Gdy chwycił się dłońmi za obolałe gardło, Vance rąbnął go pięścią w splot słoneczny. Ksiądz upadł na kolana, daremnie usiłując złapać oddech.

Vance stanął nad nim. Krew uderzyła mu do głowy.

- Nie próbuj znów wzywać pomocy - ostrzegł – bo skończy się to jeszcze gorzej.

Wziął kilka chusteczek higienicznych z nocnego stolika przy łóżku Caizziego i wepchnął je księdzu w usta, po czym rozejrzał się za jakąś taśmą. Ostatecznie rozwiązał sznur przepasujący sutannę księdza i posłużył się nim jak kneblem.

Kapłan wpatrywał się w niego wzrokiem, w którym ból mieszał się z nienawiścią. Przez chwilę zakrzusił się pod kneblem, a potem zaczął głośno oddychać przez nos. Vance zdjął swój skórzany pasek i mocno skrępował mu ręce na plecach.

- A teraz wstań - nakazał - i podejdź tam. – Ustawił księdza metr od ściany, po czym kazał mu pochylić się i dotknąć jej głową. - Rozstaw nogi - polecił, a kiedy tam ten się zawahał, kopnął go w szerokie pośladki i rzucił: - Nie ruszaj się!

W międzyczasie Suzanne wciągnęła bezwładne ciało strażnika do pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

Podczas całego tego zamieszania woskowo blade Caizzi leżał niemal bez ruchu na łóżku. Suzanne i Vance obszukali obydwu księży, lecz nie znaleźli przy nich broni. Wówczas odwrócili się do człowieka na łóżku.

- Hrabio Caizzi - rzekł cicho Vance, delikatnie potrząsając nim. - Zauważył, że mężczyzna jest skrajnie wychudzony; zostały z niego

dosłownie sama skóra i kości.- Hrabio Caizzi - powtórzył. Stary człowiek poruszył się, skrzywił i oblizał wargi. - Nazywam się Vance Erikson. pamięta mnie pan, hrabio? Pracuję dla Harrisona Kingsbury'ego.

- Erikson - powiedział starzec z zamkniętymi oczami, jakby mówił przez sen. - Tak, tak, pamiętam. – Pokręcił głową, usiłując otworzyć oczy. - Erikson, nie sądziłem, że pan z nimi trzyma. - Musieli się nachylić, żeby go usłyszeć. - Gdybym wiedział, nigdy... nigdy nie sprzedałbym kodeksu.

Uniósł powoli kredowobiałe powieki i popatrzył na nich mętным, otumanionym wzrokiem.

- Z kim trzymam? - zapytał Vance.

- Z nimi - odrzekł Caizzi, unosząc na moment z wysiłkiem rękę z kołdry w nikłym gościu, ogarniającym pokój.

- Z Braćmi.

Spojrzenie Vance'a padło na nocny stolik. Na białej emaliowanej tacy leżały porzucane strzykawki i ampułki. Podniósł jedną z nich.

- Morfina - rzekł bezbarwnym głosem. - Ten człowiek jest oszołomiony narkotykiem. - Nie, nie trzymam z nimi - zwrócił się do hrabiego. - Przybyliśmy tu, żeby panu pomóc.

- Za późno - odparł Caizzi, usiłując skoncentrować wzrok na twarzy Vance'a. -Tak... za późno dla moich braci... za późno dla mnie. Zostawcie mnie w spokoju, pozwólcie mi umrzeć.

Zamknął oczy.

- Nie! - zawołał głośno Erikson i potrząsnął jego kościstym ciałem. - Zabierzemy pana stąd.

- To na nic - odrzekł Caizzi, odzyskując przytomność.

- Bracia są wszędzie. Znajdą mnie.

- Kim są ci Bracia? - zapytał Vance.

- Są wszędzie - powtórzył Caizzi. - Bracia Wybrańcy... -jego głos niemal zanikł - ... świętego Piotra. Jego bękarci pomiot.

- Wszyscy ci księża? - upewnił się Vance. - Z klasztoru?

- Tak... tak... - odpowiedział z trudem. - Przez lata próbowałem ich powstrzymać... chciałem... Nie udało mi się... w końcu zwyciężyli.

Suzanne podeszła do nieprzytomnego księdza, uklękła przy nim i zbadła mu puls. Był słaby i urywany. Spojrzała na drugiego, wciąż stojącego przy ścianie. Świnie, pomyślała. Wstrętne śmierzące świnie. Jak mogli zrobić to temu staremu człowiekowi?

- Kodeks - odezwał się Caizzi, gdy stanęła znów przy jego łóżku.

- Zrobili to z powodu kodeksu? - spytał Vance z niedowierzaniem. - Dlaczego?

- Ponieważ go sprzedałem - rzekł hrabia z dumą. - Od wieków Bracia chcieli zdobyć ten kodeks, ale im go nie oddaliśmy. - Wydawało się, że odzyskuje siły. Mówił teraz mocniejszym, wyraźniejszym głosem. - Wszystko było dobrze, dopóki kodeks pozostawał w zamku. Kiedy go wam sprzedałem, Bracia... brat Grzegorz powiedział, że za to zapłacę... I zapłaciłem.

- Mój Boże! - wykrzyknął Vance. - Ale dlaczego? Dlaczego?

- Bo ten kodeks ich zniszczy - powiedział żarliwie Caizzi.

- Sprowadził was i sprowadzi innych. - Zaniósł się suchym piersiowym kaszlem. - Umrę z jego powodu, ale zrobiłem, co do mnie należało. - Znów się gwałtownie rozkaszał. - Umrę, nie tracąc do siebie szacunku. - Zakaszał ponownie, przymknął oczy i oddychał ciężko, chrapliwie.

- Przed czym trzeba ich powstrzymać? - zapytał Vance.

- Odpowiedź znajduje się po drugiej stronie jeziora - odparł ze znużeniem hrabia. - Oni...

Wtem okna balkonowe rozprysły się zamiecią odłamków szkła, strzaskane serią z pistoletu maszynowego z tłumikiem, która poszarpała białe zasłony i wprawiła je we frenetyczny taniec. Kule wbiły się w materac i w kruche ciało starca. Vance, rzucając się pod łóżko poczuł, jak gorąca smuga przecina mu ramię.

\*\*\*

Psiakrew, psiakrew, psiakrew! klął w duchu brat Grzegorz, kiedy wiekowy szary fiat zatrzymał się przy zwodzonym moście Castello Caizzi. Poczul słodkawy odór płonącego oleju napędowego, gdy szofer opuścił szybę, żeby zamienić kilka słów z bratem Antonim, który pełnił wartę przy głównej bramie.

-Jeźdźcie z Bogiem, bracie Piotrze - powiedział muskularny

ksiądz do kierowcy, a potem skłonił głowę przed siedzącym z tyłu bratem Grzegorzem.

Samochód ruszył przez kryty drewniany most, a brat Grzegorz poczuł palący ból wrzodu żołądka. Minione trzy godziny były istną zmurą. Najpierw ten cymbał Kimball z Legacji. Flaki mu się przewracały na myśl o dzieleniu się władzą z niewiernymi pokroju Kimballa i jego zwierzchników. Lecz to był jego błąd z przeszłości. Bracia nie godzili się na dzielenie władzy ze świeckimi organizacjami, wskutek czego nigdy nie udało im się utrzymać jej na tyle długo, by mogli osiągnąć swe ostateczne cele. Panie Jezu Chryste, modlił się w duchu, podczas gdy samochód wjechał na główny dziedziniec, proszę wybaczyć mi, Twemu pokornemu słudze, grzech przestawiania z niewiernymi i daj mi siłę do ich zgniecenia, kiedy posłużą już Twoim zamiarom.

Kimball uosabiał wszystko, czego Grzegorz nienawidził: bogaty protestant, gwiżdżący na swoje nieuchronne wieczne potępienie. Lecz Kimball stanowił zaledwie preludium do dzisiejszych udręk. Wkrótce po jego wyjściu powiadomiono Grzegorza telefonicznie, że brat Annunzio został zamordowany podczas wizyty u tego prawnika Caizzich, Southwortha. Z opisu Grzegorz domyślił się, że zabójcą był Vance Erikson.

A teraz jeszcze ten pożar. To też z pewnością sprawka Eriksona. Co ten człowiek knuje? Niestety, od Caizziego nic się nie dowie. Bracia rozmięczyli jego mózg umiejętnie dobraną mieszanką narkotyków. Hrabia zapłacił za swoje, pomyślał z uśmiechem Grzegorz. Tak, zapłacił za swoje. Jeszcze jeden dzień tej... kuracji i podpisze akt przekazania zamku Castello Caizzi Bractwu Wybrańców. Potem zaś można już będzie z nim skończyć.

Przekleństwo na brata Annunzio, że dał się zabić. Przekleńci niech będą bracia, strzegący zamku, którzy pozwolili Eriksonowi wywołać takie zamieszanie. Fiat zatrzymał się przy schodach, lecz brat Grzegorz wciąż siedział w środku, usiłując powściągnąć gniew. Był zły na siebie, że dał ujść Eriksonowi z życiem. To był poważny błąd w ocenie sytuacji i trzeba go naprawić.

- Możesz mi podać ingrama z tłumikiem? - zwrócił się do

szofera. - Erikson pozostał żywy z mojej winy i ja muszę ją zmasać.

Kierowca szybko wy dostał ze schowka pistolet maszynowy, wkręcił tłumik, a następnie wyjął zapas amunicji i włożył długi magazynek.

\*\*\*

- Diabli, niech to wszyscy diabli, jak to cholernie boli - cedził przez zęby Vance, trzymając się kurczowo za ramię. Pociski nadal pustoszyły sypialnię hrabiego.

- Słuchaj, daj mi spojrzeć - rzekła Suzanne odrywając jego palce od rany. Erikson skrzywił się, lecz pozwolił, by podwinęła mu rękaw koszuli.

-Au! - krzyknął.

- Mazgaisz się jak dziecko - stwierdziła. - To tylko małe przecięcie skóry.

- Małe? - powtórzył, znów krzywiąc się z bólu. -Jak małe?

- Długie na jakieś dziesięć centymetrów. Wygląda na dosyć głębokie, ale krew zaczęła już krzepnąć.

- No dobrze - powiedział wyciągając zza pasa rewolwer. - Więc wynośmy się stąd, zanim ktoś nas naprawdę poważnie postrzeli.

Usłyszeli na balkonie czyjeś ostrożne stapanie po potłuczonym szkłe, lecz nie widzieli nikogo za poszarpanymi zasłonami, trzepoczącymi żałośnie w lekkich podmuchach wiatru. Suzanne wystrzeliła i kroki ucichły.

Wypadli z pokoju i pobiegli w prawo, zostawiając za sobą korytarz, na którym niedawno ogłuszyli wartownika.

- Tutaj, tutaj - zawołał z pokoju ksiądz. - Biegną na północ!

Za plecami usłyszeli tupot pogoni. Oboje pognali jak szaleni w głąb korytarza, stukając obcasami po marmurowej posadzce.

- Tam! - krzyknął po włosku ktoś za nimi.

Gdy skręcili za załom korytarza, kula świsnęła tuż obok głowy Suzanne i strzaskała romboidalną szybę z ołowiowego szkła. Mijali w pędzie jedne drzwi po drugich, aż dotarli do schodów wiodących w dół.

- Przypuszczam, że obiegliśmy już prawie jedną trzecią zamku - wydyszał Vance, spazmatycznie łapiąc oddech. - Założę się, że te schody prowadzą do jednego z ogródków na dziedzińcu.

Gdy zwolnili przed zakrętem, ujrzeli mężczyznę biegnącego ku nim po schodach w górę.

- O, cholera! - zaklął Vance. Oboje próbowali się za trzymać i ukryć w kącie korytarza, lecz poślizgnęli się, stracili równowagę i pojechali po wypolerowanej podłodze niczym baseballiści wpadający do bazy. Za ich plecami, na wysokości półtora metra, pociski wyryły regularną linię w kremowej ścianie, eksplodując białymi obłoczkami odłupanego tynku. Gdyby się nie potknęli, już by nie żyli. Ścigający byli coraz bliżej.

Wzdłuż schodów biegła kryta balustrada. Wturlali się za nią w chwili, gdy wchodzący po schodach mężczyzna oddał do nich serię z automatu, odłupując odłamki z marmurowej posadzki. Suzanne wystrzeliła na oślep za róg.

- Oni są uzbrojeni! - krzyknął ktoś. Mężczyzna z auto matem powoli wchodził po schodach. Po chwili z korytarza rozpoczęto istną kanonadę. Vance wyrwał rewolwer z pasa i wystrzelił ostatni nabój w pierś najbliższego na pastnika, odrzucając go do tyłu na dwóch podążających za nim. Suzanne poszła za jego przykładem i opróżniła cały magazynek, trafiając trzykrotnie czwartego z nich - potężnego mężczyznę, który mimo to wciąż parł naprzód.

Wpełzli za balustradę, poza linię ognia. Mężczyzna na schodach ostrożnie wystawił głowę z za odległego załomu.

W braku innej broni, Vance cisnął w niego rewolwerem, lecz tamten uchylił się.

Sytuacja naszej drużyny nie przedstawia się zbyt dobrze, pomyślał ponuro. Lecz Suzanne potrzebowała tylko ułamka sekundy, by wyjąć ze swego pistoletu pusty magazynek i włożyć następny. Obserwował z respektem, jak błyskawicznie przeladowała broń, oddała następny strzał na ślepo z za rogu w stronę grupy czterech napastników, a potem kolejny do mężczyzny na schodach, który wrzasnął z bólu.

-Trafiłam go! - krzyknęła triumfalnie. Podczołgali się do skraju balustrady, w nadziei, że uda im się zbiec po schodach. Suzanne, która podążała pierwsza, strzeliła z za załomu, a potem w dół, do ranionego przed chwilą mężczyzny. Rozległ się następny okrzyk bólu.

Na czworakach podpełzli do stopni, na których z roz-

krzyżowanymi rękami, głową w dół leżał niski jasnowłosy mężczyzna, patrząc w przestrzeń niewidzącymi oczami, nieświadomy czerwonej strużki ciekącej mu z dziury w czole na zimne marmurowe stopnie. Vance sięgnął po jego krótki, masywny automat, którego nazwę Ingram znał z sensacyjnych filmów.

Chwycił broń w chwili, gdy nad balustradą pojawił się potężny mężczyzna postrzelony przez Suzanne, a za nim dwóch pozostałych. Erikson nacisnął spust i przejechał serią po balustradzie, z trudem panując nad skaczącym mu w rękach automatem. Trzej napastnicy schylili się. Zaraz potem skończyła mu się amunicja, więc odrzucił bezużyteczny automat, który ze szcękami potoczył się po stopniach. Oboje podążyli szybko w ślad za nim. Na dole zamarli, oszołomieni. Klatka schodowa nie przypominała w niczym tej, którą zapamiętał Vance. Nie było tam żadnego dziedzińca ani w ogóle żadnych drzwi na zewnątrz, a jedynie biegnący w dwu kierunkach korytarz i następne schody w dół. Którędy powinni pójść, żeby się stąd wydostać? W murach otaczających zamek są tylko dwa wyjścia - obydwa z pewnością dobrze strzeżone.

Suzanne strzeliła w górę schodów, a potem znów wymieniła magazynek.

- Ile ty ich masz? - zapytał zdumiony Vance. - Dziennikarka, która nosi w torebce cały arsenał?

- To już ostatni - odparła krótko. - Dziewięć naboji.

- Wspaniale! - skrzywił się. Kule zaczęły gwizdać w pobliżu. - Zabierajmy się stąd - rzucił. - Ruszyli w dół następnych schodów, które ku ich rozczarowaniu skończyły się kolejnym korytarzem. - Niedobrze - mruknął. - Znowu to samo.

Podszedł do ciężkich drewnianych drzwi z okratowanym okienkiem. Pchnął je; otworzyły się powoli, ale gładko. Przeszli przez nie pospiesznie i znaleźli się w okrągłej studni z kamiennymi stopniami schodzącymi spiralą w dół.

- Idź pierwszy - poleciła Suzanne. - Ja mam broń. Bę dę nas osłaniać.

Coś w jej spojrzeniu powiedziało mu, że lepiej się z nią nie spierać. Zbiegli szybko na dół w kierunku odwrotnym do ruchu

wskazówek zegara.

Wysoko nad sobą usłyszeli czyjś głos, dochodzący wyraźnie przez kamienną rurę studni:

- Dokąd one prowadzą?

Vance z drżeniem rozpoznał księdza z kościoła Santa Maria delie Grazie.

- Nie wiem, Ekscelencjo - odrzekł ktoś. Trzej inni mężczyźni oświadczyli, że również nie wiedzą, dokąd prowadzą te schody.

- Do diabła, co wy tu robiliście przez ostatnie trzy tygo dnie, jeśli nie macie o niczym pojęcia? - rzucił ksiądz, a kiedy odpowiedział mu chór zmieszanych głosów, wykrzyknął niecierpliwie: - Och, nieważne! Idźcie za nimi.

Suzanne i Vance wciąż schodzili w dół. Gdy dotarli do podestu schodów, usłyszeli jak goniący przeklinają, potykając się na wąskich, krętych stopniach.

Powietrze ochłodziło raptownie i oboje dostrzegli w ślali światłe pot parujący z ich rozgrzanych ciał. Suzanne a zarumieniona z wysiłku, ale oddychała głęboko i swobodnie, jak dobrze wytrenowana sportsmenka. Obserwowała uważnie klatkę schodową, trzymając pistolet luźno przy boku.

Z małego podestu prowadziły dwa wyjścia: jedno, pozbawione drzwi, wychodziło na ciemny korytarz, drugie zaś stanowiły ciężkie drewniane wrota. Vance pchnął je. Za nimi znajdowała się jeszcze jedna spirala schodów, tym razem nieoświetlonych i gubiących się w ciemności. Taką ciemność widzimy niekiedy w nocnych koszmarach, z których jedyną ucieczką jest przebudzenie.

- Suzanne - odezwał się. Stanęła obok niego u szczytu schodów. Chciał mówić dalej, gdy wtem kroki goniących ucichły i usłyszał głuchy metaliczny odgłos, jakby coś spadało z górnej kondygnacji schodów, a potem potężną eksplozję, która wstrząsnęła ścianami małego podestu.

Na ułamek sekundy rozblęsnęło światło setki słońc, a potem, niczym stalowa pięść, powaliła ich fala uderzeniowa, jakkolwiek wytłumiona przez grube kamienne ściany. Wybuch ręcznego granatu w niewielkim pomieszczeniu wtłoczył Suzanne pomiędzy ciężkie dębowe



drzwi i ciało Vance'a.

Te drzwi zatrzymały główny podmuch eksplozji, pomyślał Erikson, spadając w ciemność. Rozpaczliwie próbował po omacku się czegoś uchwycić i wreszcie natrafił na żelazną poręcz. Trzymał się jej przez chwilę, dopóki z impetem nie wpadła na niego Suzanne, odrywając go od niej. Poczuł przeszywający ból w kostce, paskudnie skręconej na skraju stopnia, a potem ponownie trafił na poręcz i tym razem już jej nie puścił.

Staął chwiejnie na schodku i pomógł dziewczynie wstać. Usłyszał swój głos, przytłumiony jakby dochodził spod wody, pytającą, gdzie ma pistolet. Wydawało się, że go nie usłyszała. Ujął ją za rękę i stwierdził że zgubiła broń. Stracili jedyny środek obrony. Pociągnął Suzanne w dół ciemnych schodów. Słuch stopniowo im powraca! i usłyszeli odgłosy zbliżającej się pogoni.

Schodzili z trudem. Vance odczuwał boleśnie każdy krok w swej skręconej kostce, a w dodatku Suzanne wciąż na niego wpadała. Minęła wieczność, nim zszedł z ostatniego stopnia i omal nie upadł, próbując postawić nogę na następnym, którego już nie było. Także i te drzwi, podobnie jak ich bliźniaczy odpowiednik na górze, miały niewielkie okienko osłonięte żelazną kratą. Przez jej pręty zobaczył szereg piwnic z szampanem Caizzich.

- Czy już mnie słyszysz? - zapytał Suzanne.

- Tak - odparła - z moim słuchem jest wszystko w porządku.

- To dobrze - rzekł. Pchnął drzwi i oboje weszli do ogromnej sklepionej sali. - Mam pewien pomysł.

Mroczne pomieszczenie wypełniały rzędy ciemnozielonych butelek szampana, leżących ukośnie, dnem do góry, z szyjkami spoczywającymi na drewnianych stojakach zwanych *pupitrt*. Hrabia miał obsesję na punkcie produkowania swego szampana w tradycyjny, a zarazem bardzo drogi sposób. Podczas gdy komercyjni producenci win zmechanizowali *methode champenoise*, Caizzi pozostał przy dawnych metodach.

Winogrona wyciskano, a ich sok po pierwszej fermentacji rozlewano do butelek, które korkowano i umieszczano w stojakach, by sfermentował powtórnie. Codziennie specjalny pracownik, tak zwany

opukiwacz, delikatnie ostukiwał każdą butelkę i nieco ją przekręcał. Lekkie opukiwanie powtarzane przez wiele tygodni sprawiło, że osad przemieszczał się do szyjki butelki, skąd można go było później usunąć.

Ta praca byłaby śmiertelnie nudna, gdyby nie wiążący się z nią element ryzyka. W trakcie drugiej fermentacji w butelkach wytwarza się olbrzymie ciśnienie, czyniące z nich potencjalne bomby. Wystarczy jedno zbyt mocne puknięcie, skaza w szkłe butelki lub jej upuszczenie, by spowodować eksplozję odłamków szkła, rozerwanego potężną wewnętrzną siłą. Przez wieki opukiwacze tracili wzrok i ginęli przy wykonywaniu swego precyzyjnego zajęcia.

Podczas wcześniejszych wizyt na zamku Vance dowiedział się, że Caizzi kupuje u miejscowego producenta butelki ozdobnie malowane i trawione kwasem, stanowiące wytworne przedmioty sztuki i nawet po opróżnieniu z szampana wysoko cenione za ich piękny wygląd. Jednakże specjalne szkło używane do produkcji oraz proces trawienia osłabiał ich wytrzymałość i sprawiał, że były bardziej kruche niż butelki wytwarzane przemysłowo.

Po metalowych schodkach weszli na pomost, umożliwiającą pracownikom piwnicy dostęp do wyżej położonych warstw butelek. Vance zostawił Suzanne naprzeciw wejścia do piwnicy, sam zaś wrócił szybko na drugi koniec ogromnej sali - szerokiej na co najmniej pięćdziesiąt metrów i dwakroć dłuższej - i przykucnął na metalowym pomoście pomiędzy dwoma stojakami. Delikatnie podniósł butelkę ze jej *pupitre*, starając się, żeby nie zdrząły mu ręce i opanowując chęć ucieczki. Kilka chwil później z cienia klatki schodowej wyłonił się niski ksiądz w okularach z grubymi czarnymi oprawkami i rozejrzał się ostrożnie, wodząc po sali lufą pistoletu automatycznego Ingram MAC-10, zakończoną podobnym do parówki tłumikiem.

Ksiądz długo stał w drzwiach. Słabe żarówki odbiły się w soczewkach okularów, gdy jego spojrzenie poczęło wolno wędrować w górę.

Wchodźcie, wchodźcie! ponaglał Vance w duchu pozostałych napastników. Pojawił się następny mężczyzna i stanął obok swego szefa. Ksiądz uważnie lustrował stojaki naprzeciwko Vance'a. Za kilka

sekund go dostrzeże.

Jakiś niewyraźny ruch przykuł wzrok Suzanne. Spojrzała w dół i zobaczyła mężczyznę przekradającego się chyłkiem między stojakami. Zauważył już Vance'a i szukał lepszego miejsca do oddania strzału. Dziewczyna popatrzyła na niego, potem na Eriksona i znów na tamtego mężczyznę. Musiał wejść innymi drzwiami. Vance! chciała zawołać.

Ujrzała, że ksiądz oraz trzej inni mężczyźni weszli do pomieszczenia, w którym dokonywała się druga fermentacja. Samotny strzelec podkraść się bliżej. Wyciągnęła ze stojaka butelkę. Była ciężka. Czy zdoła dorzucić ją do napastnika? Stał w odległości dobrych trzydziestu metrów. Chwyliła butelkę za szyjkę jak cyrkowy żongler, wstała szybko i cisnęła ją w mężczyznę, który mierzył już w głowę Vance'a.

W tym samym momencie Erikson po cichu rzucił butelkę w powietrze, a gdy roztrzaskała się z grzmiącym hukiem, sięgnął po następną. Odwrócił przy tym głowę i spostrzegł mężczyznę, który upuścił rewolwer i z okrzykiem bólu złapał się za twarz; spomiędzy palców ściekała mu krew. Potem rozbrzmiała kolejna eksplozja - butelka rzucona przez Vance'a trafiła do celu. Zaczął ciskać flaszki jedną po drugiej w zbitą gromadkę mężczyzn, którzy wycofali się do wyjścia. Krew spływała po twarzy księdza, zalewając mu oczy. Vance rzucił w niego następną butelką, która roztrzaskała się o ścianę, zmuszając go do schronienia się na klatce schodowej i zamknięcia za sobą drzwi.

- Och, Matko Boska, pomóż mi - jęczał mężczyzna, który próbował zastrzelić Vance'a. Ubrany w zwykły kombinezon robotnika, klęczał w powiększającej się kałuży szampana, barwiąc jego róz krwią. Zakrył twarz rękami i wił się z bólu, zawodząc: - Och, moje oczy, moje oczy. O, Matko Jezusa, jak boli!

Vance szedł po metalowych stopniach i skinął na Suzanne, by do niego dołączyła, a potem podbiegł do rannego i odebrał mu pistolet - kolejnego ingrama.

- Którędy on wszedł? - zapytał dziewczynę, gdy znalazła się przy nim.

Wskazała na drugi koniec sali.

- Są tam jeszcze jedne drzwi.

Usłyszeli odległy tupot nóg. Vance ruszył pospiesznie do wyjścia, popychając przed sobą Suzanne. Kilka pistoletów maszynowych ostrzelało miejsce, gdzie przed chwilą stali, trafiając zamiast w nich w rząd butelek, które eksplodowały i spowodowały wybuch sąsiednich. Zapoczątkowana w ten sposób reakcja łańcuchowa doprowadziła do potężnej eksplozji, zalewającej salę deszczem odłamków szkła i potokami piany.

Jedna z butelek rozerwała się obok nich i nagle piwnica stała się miejscem bardziej niebezpiecznym niż podest, na którym stał ksiądz i jego żołnierze. Wybiegli więc przez drzwi, podczas gdy napastnicy musieli cofnąć się przed gradem pękających flaszek.

- Czytałem o tym - wydyszał Vance. - Bywa, że wybuch jednej butelki wywołuje reakcję łańcuchową, która niszczy większość zgromadzonych w piwnicy zapasów szampana.

Odgłosy eksplozji cichły, w miarę jak wchodzili po stopniach, biegli korytarzem, a potem pokonywali jeszcze dwie kondygnacje schodów. Kiedy wypadli w końcu w jaskrawe światło słońca, musieli zmrużyć oczy. Zaledwie dziesięć metrów przed sobą ujrzeli szarego fiata i samotnego księdza siedzącego wygodnie na zderzaku, niczym szofera limuzyny czekającego na swego szefa.

- Odsuń się od samochodu i nie odzywaj albo zginiesz -zawołał Vance, biegnąc szybko w stronę mężczyzny i mierząc do niego z ingrama. Niemal w tej samej chwili z bramy oddalonej o jakieś siedemdziesiąt metrów wyłonił się niski ksiądz w okularach, a za nim jeszcze dwaj osobnicy. Gdy Vance i Suzanne wskakiwali do fiata, kule napastników zabębniły o zderzak.

- Weź ten i zobacz, co jest wart - rzekł, podając jej zdobyczny pistolet i jednocześnie zmagając się z silnikiem fiata, który nie chciał zapalić, a tylko obracał się ospale po włączeniu rozrusznika. Suzanne wystrzeliła z ingrama i przeciwnicy rozproszyli się.

- Krata! - zawołał niski ksiądz. - Opuście kratę!  
Vance włączył ssanie. Strażnik przy bramie szarpnął wielką dźwignię i masywna żelazna krata zaczęła powoli opadać. Suzanne strzeliła do

drugiego strażnika, który upadł bezwładnie, podczas gdy stara kratownica z pionowymi prętami zgrzytając, zjeżdżała wolno w dół - relikwium średniowiecza poruszany współczesną maszyną. Vance wrzucił gwałtownie pierwszy bieg i fiat skoczył do przodu. Pociski przeciwników roztrzaskały tylne okno.

- Padnij! - krzyknął do Suzanne, ale nie posłuchała go i nadal klęczała odważnie na przednim siedzeniu, strzelając z automatu przez otwór po tylnej szybie.

Brama wciąż opadała. Jej ozdobne, zastrzone u dołu pręty przypominały włócznie.

- Uważaj - zawołał Vance. - Przejedziemy na styk.

Przyspieszył, wyciskając z tego silniczka od ogrodowej kosiarki wszystko, co się dało i omijając leżące na jezdni ciało strażnika postrzelonego przez Suzanne. Wjechali pod opadające lance bramy z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ich ostrza zarysowały przód dachu. Wtem fiat wyraźnie zwolnił. Jego dach zaczął się zapadać i usłyszeli przeraźliwy zgrzyt metalu trącego o metal. Jeden z zastrzonych prętów przebił karoserię i trzymał samochód na uwięzi. Silnik jęczał jak zarzynany wół. Wreszcie pręt złamał się i odpadł. Motor zawył z wdzięcznością i wyswobodzony fiat wyprysnął naprzód. Gdy przejeżdżali przez zwodzony most poza obręb murów, kratownica opadła do końca, przygważdżając rannego mężczyznę, którego Vance przed chwilą ominął. Suzanne zamknęła oczy.

## *Rozdział 12*

---

Sprawy układają się doskonale, pomyślał z zadowoleniem Hashemi Rafiqdoost, wciągając głęboko w płuca mocny haszysz z wodnej fajki. Wszystko jest już przygotowane; pozostaje tylko czekać. Gniew wezbrał mu w piersi, gdy pomyślał o jasnowłosym Amerykaninie, tym aroganckim sukinsynu, który śmiał go pouczać i proponować swą pomoc przy wykonaniu tej roboty. Nie, uśmiechnął się Hashemi na myśl o zemście, załatwie Kimballa i jego bandę

amatorów na dobre. Tylko ja ryzykuję i tylko ja zbiorę owoce.

Gniew minął i Hashemi otworzył oczy. Siedział przy oknie na pierwszym piętrze wynajętego domu i przyglądał się słońcu zachodzącemu nad małymi ogródkami w tej starej willowej dzielnicy Rzymu.

Rozsiadł się wygodnie w wyściełanym fotelu. Cóż za dziwaczną parę tworzą Kimball i brat Grzegorz, pomyślał. Kimball pracuje dla faszystowskiej grupy międzynarodowych korporacji, a Grzegorz prowadzi religijną krucjatę niewiernych. Hashemi potrząsnął głową ze zdziwieniem i wolno wypuścił z płuc dym. Zaś jeszcze większą zagadkę niż sam klasztor stanowiła kwestia, co ma wspólnego brat Grzegorz z tym Amerykaninem. Co łączyło niepoohamowaną zachłanność członków korporacji z celem religijnym zakonu? Dlaczego taka faszystowska grupa jak Brenieńska Legacja do dokonania zabójstwa wynajęła właśnie jego, Hashemiego Rafiqdoosta? Nie, żeby naprawdę go to obchodziło. W przeszłości zamordował lewicowego dziennikarza w Istambule na zlecenie prawicowej junty generałów, a potem zabijał prawicowych generałów w Ankarze dla Tureckiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Uważał obie strony za obłąkane. Jedyne słuszne ustrój to fundamentalistyczna republika islamska, rządzona przez mułłów.

Uśmiechnął się, sięgnął znów po fajkę, potarł krzaczaste brwi i ponownie przymknął ciemne złowrogie oczy, które jeden z członków TLAW nazwał „oczami Szatana”. Te oczy go wyróżniały i dlatego zazwyczaj musiał nosić ciemne okulary. Urzędnicy celni mogli przeoczyć jego niepozorną postać, krótko ostrzyżone włosy i wzbudzający szacunek garnitur biznesmena, jaki zwykł nosić podczas podróży. Lecz wiedział, że żaden z nich nigdy nie zapomni jego oczu. Nawet gdy był małym dzieckiem, te oczy wzbudzały w ludziach strach i przerażenie.

Zachodzące słońce przeświecało przez jego zamknięte powieki, tak że widział ich drobno żyłkowane wnętrze. Pomyślał o swych wszystkich tajnych składach broni, starannie ukrytych i łatwo dających się przystosować do harmonogramu zajęć jego ofiary. Gdyby zwierzyna zmieniła plany i wyjechała, aby uniknąć zamachu na swe

życie, nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Wystarczy sygnał od Kimballa lub Grzegorza, a ten człowiek będzie martwy.

Z wolna ogarnęła go senność. Zastanawiał się leniwie, jaki przybrać przydomek. Carlos był Szakalem. On będzie... „Mieczem Allacha”. Tak, pomyślał, gdy ustnik fajki wyśliznął mu się z ręki, to dobry pomysł. Świat zdrzży, kiedy usłyszysz o Mieczu Allacha.

\*\*\*

Zanim Suzanne i Vance dotarli z powrotem do Como, słońce już zaszło. Powitali z ulgą zapadające ciemności; teraz przynajmniej nie będą narażeni na ciekawskie spojrzenia innych kierowców, którzy gapili się na roztrzaskaną szybę i poszarpany, zmiażdżony dach ich fiata. Gdy dojeżdżali do miasta, przydarzyło im się coś jeszcze bardziej niewiarygodnego niż ucieczka z Castello Caizzi: znaleźli wolne miejsce do zaparkowania. Wprawdzie obok stał znak zakazu postoju, ale Erikson postanowił postąpić jak Włoch i bez skrupułów zostawił tam samochód.

Wysiedli i milcząc ruszyli w stronę trzypasmowej promenady Lungo Lario Trieste. Kiedy dotarli do szerokiego chodnika, skąd widać było falochron i niewielką przystań, Suzanne przysunęła się do niego bliżej.

- Możemy równie dobrze iść razem - powiedziała, biorąc go pod rękę. Wokół spacerowały pary młode i starsze. Vance poczuł na ramieniu jej ciepłą, mocną dłoń. Podeszli do barierki, udając że patrzą na zacumowane łodzie, podczas gdy w rzeczywistości lustrowali tłum, sprawdzając czy ktoś ich nie śledzi. Erikson westchnął. Zaczynał się powoli oswajać z tą obcą atmosferą intryg i przemocy. Przywykał do gwałtu i oszustw, stał się ostrożny i czujny, dostrzegał rzeczy, których wcześniej nie zauważał.

Jednak zaszła w nim również inna zmiana, ważniejsza niż rozwinięcie się instynktu przetrwania. Z każdą chwilą był coraz bardziej świadomy obecności Suzanne Storm. Gdy teraz stali w milczeniu nad jeziorem przy czarnej żelaznej poręczu, wspomniał z podziwem, jak przechytrzyła strażnika przed drzwiami sypialni Caizziego, a także jej spokój i zimną krew przez resztę popołudnia. Niezwykła kobieta.

Czuł jej dłoń i lekki dotyk biodra. Czy naprawdę chciała tylko sprawić na przechodniach wrażenie, że... idą razem, jak to ujęła? Uświadomił sobie, że pragnie, aby to było coś więcej, może nawet coś, co wypełniłoby uczuciową pustkę w jego życiu.

Ścisnęła delikatnie jego łokieć i przysunęła się bliżej. Chłodna wieczorna bryza od jeziora rozwiewała jej włosy. Światła miasta tańczyły wesoło, odbite w grzywach fal, które rozsiewały ten blask, by wreszcie rozbryznąć się oślepiająco o falochron i zniknąć z łagodnym szumem piany.

- Przemyślałem to wszystko - powiedział cicho, niemal szeptem. - Od początku miałaś rację. Byłem szalony sądząc, że sam sobie poradzę. Poszedłbym na policję jeszcze dziś wieczorem, gdybym nie był tak cholernie zmęczony.

Popatrzyła na niego. Pomimo znużenia jego oczy rzucały mocne, uparte błyski, które już tak dobrze poznała. Tak, wcześniej była pewna, że pójście na policję to najlepsze, co mogą zrobić. Lepiej, żeby zajęli się tym zawodowcy. Lepiej, żeby to oni zostali ranni, a nie amatorzy. Lecz teraz coś ją nurtowało, choć nie potrafiła tego precyzyjnie nazwać. Podczas gdy Vance uznał, że miała rację, ona właśnie zmieniła zdanie. Doszła do wniosku, że powiadomienie policji nie jest dobrym rozwiązaniem.

Wciąż idąc pod rękę, skierowali się ku tonącemu w potokach światła Piazza Cavour. Po obu stronach ulicy na chodnikach rozłożyły się kawiarniane ogródki z rzęście oświetlonymi stolikami i krzewami w betonowych donicach.



Poszli w stronę północnego rogu placu, do kawiarni przed hotelem Metropole, zatrzymując się, by przepuścić gromadkę dzieci i ich rodziców, zmierzających do kiosku z lodami. Usłyszeli, jak jakaś wytworna korpulentna ma-trona powiedziała po włosku do córeczki:

- Ależ, *cara*, to ci odbierze apetyt! Jeszcze nie jadłaś obiadu.

Popatrzyli na siebie zaskoczeni i roześmiali się.

- Wydaje się, jakby upłynęły miliony lat, odkąd jedliśmy śniadanie, prawda? - powiedział Vance, potrząsając głową ze zdziwieniem.

- Co najmniej - przytaknęła Suzanne. – Umieram z głodu.

Zeszli z krawężnika i skręcili do hotelu.

- Zaczekaj! - rzekła ostro, ciągnąc Vance'a za ramię, tak że prawie stracił równowagę. - Spójrz tam, pomiędzy Metropole a biurem turystycznym.

Erikson zmrużył oczy. Światło oślepiło tak, że trudno było dostrzec cokolwiek, co nie było jaskrawo oświetlone.

- Samochód policyjny - rzekł w końcu. - Nie, dwa samochody. I co z tego?

- Czy policyjne samochody zwykle parkują przed hotelem Metropole?

- Cholera.

- Chodź - rzuciła, ciągnąc go przez ulicę do przystanku autobusowego.

- Dokąd idziemy?

- Do mojego hotelu.

Vance mruknięciem wyraził zgodę i podążył za nią.

Po niespełna dziesięciu minutach wsiedli do pomarańczowego autobusu i bez słowa zajęli miejsca obok siebie. Autobus pojechał wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, obok Villa Olmo i brudnawych domków krytych czerwoną dachówką, rozsianych wokół krętej szosy wciśniętej między jezioro a strome zbocza wzgórz. Mijali ogromne, imponujące wille, ukryte przed wzrokiem ciekawskich dzięki pomysłowo rozplanowanym ogrodom. Przez wieki jezioro Como przyciągało bogaczy jak magnes. Wznosili na jego brzegu rezydencje i osiedlali się w nich, gdyż zapewniały im odosobnienie i prywatność.

Miejscowe władze nie wtrącały się do nich. Do dziś krążyły niezliczone opowieści o tajemniczych wypadkach i uprawianej tu rozpucie, o traktatach politycznych zawieranych przez możnych tego świata i wytyczaniu granic państw. Wiele spośród tych opowieści było prawdziwych.

W końcu autobus, sapiąc dychawicznie na niewielkim wzniesieniu, wjechał do Cernobbio i zatrzymał się z klekotem. Suzanne i Vance szybko wysiedli.

Znów ujęła go pod ramię i ruszyli główną ulicą na północ, obok zrujnowanej stacji benzynowej, przypominającej dekorację z filmu *Grona gniewu*, a potem zeszli łagodnym stokiem, mijając nieliczne sklepy i łuszczący się blichtr hotelu Regina.

Stopniowo odstępstwa pomiędzy latarniami ulicznymi stawały się coraz większe, a miejskie zabudowania ustąpiły miejsca drzewom oraz - po jednej stronie - wysokiemu kamiennemu murowi. Niebawem skręcili w prawo, na drogę prowadzącą do Villa d'Este.

Rezydencję, w której obecnie mieścił się hotel, wzniesiono w drugiej połowie szesnastego wieku dla Tolomepa Gallio, nadzwyczaj bogatego kardynała Como, a zarazem potężnego sekretarza stanu przy papieżu Grzegorz XIII. W ciągu stuleci posiadłość trafiała w ręce rozmaitych bogatych wielmożów, między innymi Karoliny z Brunszwiku, byłej żony króla angielskiego Jerzego IV, której libertyńskie obyczaje dały początek legendom o jej nienasyconym temperamencie seksualnym. Ostatnią prywatną właścicielką Villa d'Este była caryca Fiedorowna, matka cara Rosji Aleksandra II.

W roku 1873 budowlę przekształcono w okazały luksusowy hotel, który dziś jako jeden z niewielu w okolicy nadal kultywował elegancję i królewski przepych - niestety -wraz ze stosownymi cenami.

- Ciekawe, jak zamierzasz mnie tu wprowadzić? - zapytał Vance. Minęli pole golfowe i szli szpalerem pięknych, efektownie oświetlonych drzew, odgradzających hotel od ulicy. - Z pewnością ktoś zwróci uwagę na moje ubranie. - Po pełnym przygód dniu jego koszula była brudna i poplamiona krwią, a spodnie khaki miały dziury na kolanach. - Ciebie wpuszczają, bo tu mieszkasz. Poza tym twój ubiór tak bardzo nie ucierpiał. Wygląda, że to ja przyjąłem na siebie większość

ciosów.

Suzanne roześmiała się, powiedziała żeby się nie martwić i wtajemniczyła go w swój plan.

Dwadzieścia minut później Vance po metalowych schodkach pożarowych wszedł przez okno do jej pokoju. Suzanne zamknęła je i zaciągnęła zasłony, on zaś w tym czasie otrząpał ubranie.

Apartament utrzymany był w eleganckim angielskim stylu: meble z ciemnego drewna, skórzane fotele, jedwabie, ałtasy i brokaty. Odnosiło się wrażenie, że gruby pluszowy dywan skryłby małego psa, a nawet dziecko. Tapety poniżej boazerii miały spokojny, klasyczny wzór, zaś ściany w kolorze migdałowym harmonizowały z wieńczącym je gzymsem. Pośrodku stało szerokie królewskie łóże, a obok niego kanapa oraz dwa krzesła i lampa z podstawą rzeźbioną w cherubiny. Nad łóżkiem wisiała reprodukcja obrazu Maneta, nad sofą zaś Pissarra. Vance rozejrzał się, oceniając cały ten luksus. Ruszył ku Suzanne, która wciąż stała odwrócona do niego plecami przy zasłoniętym oknie, lecz zatrzymał się raptownie, słysząc jej stłumione łkanie. Dziewczyna skuliła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Psiakrew! - rzuciła gniewnie przez łzy. - Zawsze to samo. Trzymam się, dopóki trzeba, ale potem... - Odwróciła się, zalana łzami, i spojrzała na niego. Odruchowo objął ją i przygarnął. Wtuliła twarz w jego pierś i rozplakała się na dobre.

Stał i głaskał jej włosy, starając się ją uspokoić, choć zarazem wiedział, że musi się wyplakać. Doskonale ją rozumiał. Bywają ludzie, którzy w sytuacji kryzysowej są twardzi niczym hartowana stal - chłodni, opanowani, bystrzy, podejmujący właściwe decyzje. W sytuacji zagrożenia życia można na nich polegać, natomiast załamują się, gdy presja znika.

Pociągnęła nosem i popatrzyła w górę na niego zaczerwienionymi oczami. Usta wciąż jej drżały, ale próbowała się opanować.

- Masz mnie pewnie za jeszcze jedną głupiutką kobietkę - powiedziała, przygryzając wargę.

Nie - odparł Vance stanowczo, lecz łagodnie. - Nie uważam tego za głupie. To całkiem normalna reakcja.

Poczuł, jak wzbierają w nim jakieś nowe, nieznane uczucia. Oto ktoś, kto go potrzebuje, przynajmniej w tej chwili. Ogarnęła go tkliwość; zapragnął otoczyć Suzanne najczulszą opieką. Nie doznawał takich uczuć od wielu miesięcy i z radością skonstatował, że wciąż jest do nich zdolny. Zarazem jednak wiedział, że sam też wiele zawdzięcza tej kobiecie, którą trzymał teraz w ramionach.

Pomyślał o minionym dniu i o tym, że kilka razy uszedł z życiem tylko dzięki jej odwadze i rozsądkowi. To było całkiem nowe doświadczenie: ktoś się o niego troszczył. Patty z pewnością nie była do tego zdolna.

Suzanne objęła go. Przytulił ją mocno. Jej łkania powoli ucichły.

Oto, pomyślał, dwoje ludzi, którzy cudem uniknęli śmierci, złączonych na zawsze wspólnym niezapomnianym przeżyciem.

Dziewczyna uniosła głowę. Była tuż przy nim. Zapatrzył się w jej oczy.

Przymknęła powieki. W jego wzroku, pomyślała, jest tyle uczucia, tyle... miłości. Chwilę później poczuła na ustach jego wargi.

Przywarła do niego całym ciałem, a on objął ją tak mocno, że przez moment nie mogła odetchnąć. Rozchyliła usta. Potem rozgorzał płomień i ogarnął ich oboje, gdy pociągnęła go na łóżko.

Vance całował jej usta i szyję, czując pieszczotę jej dłoni. Suzanne jęknęła z rozkoszy, gdy zaczął całować jej piersi. Nagle jego uczucia skupiły się w jednym momentalnym błysku i wszystko zrozumiał.

-Ja... - zaczął.

- Wiem - odrzekła. -Ja też cię kocham.

## *Rozdział 13*

---

W myślach Harrisona Kingsbury'ego panował chaos i zamęt, gdy wyjeżdżał wynajętym mercedesem z korka koło lotniska Fiumicino. Dawniej nieraz zastanawiał się, dlaczego miejscowi tak rzadko używają jego oficjalnej nazwy: port lotniczy imienia Leonarda da Vinci.

Lecz tego letniego dnia miał większe zmartwienia. Przyleciał do Rzymu, gdyż prezes zarządu największej na świecie spółki naftowej, z którym Kingsbury od ponad trzech dekad prowadził wojnę na śmierć i życie, zadzwonił do niego i uprzejmie, niemal z szacunkiem zaprosił go na spotkanie w siedzibie firmy nad jeziorem Albano, na południowy wschód od stolicy Włoch. Człowiek ten dotychczas nigdy nie okazał mu choćby cienia uprzejmości, odkąd Kingsbury w ciągu niespełna pół roku uzyskał najpoważniejsze na świecie koncesje na wydobycie ropy w Libii, Peru i jeszcze kilku innych krajach. Był żalonym nieudacznikiem i Kingsbury uważał go za słabego i bezbronniego.

Zachichotał w duchu, lawirując zręcznie i szybko w gęstym ruchu ulicznym. Inni ludzie z tego sfery poruszają się w limuzynach z szoferami, otoczeni tłumem ochroniarzy. Głupcy, pomyślał sadowiąc wygodniej za kierownicą swe żylaste, blisko dwumetrowe ciało. Tego rodzaju luksusy czynią mężczyzn - a także, jak sądził, kobiety - miękkimi i słabymi. Tacy ludzie uzależniają się od podwładnych, którzy za nich pracują, i wkrótce stają się żalonymi słabeuszami, szukającymi bardziej zbytku, zewnętrznych oznak prestiżu i dodatkowych korzyści płynących z pracy, niż wyzwania, jakie ona sama ze sobą niesie.

Weźmy takiego Merriama Larsena, rozmyślał Kingsbury, energicznie trąbiąc klaksonem na jakiś wolniejszy pojazd, by ustąpił mu drogi. Co osiągnął Larsen w ciągu trzech dziesięcioleci prezesowania największej w świecie spółce naftowej? Obrósł tłuszczem i stał się nieznośnie leniwy. Jego firma osiąga wprost nieprzyzwoite zyski - nie, żeby Kingsbury uważał każdy zysk za nieprzyzwoity, tylko że firma Larsena zbija majątek dzięki śrubowaniu cen, przekupywaniu polityków, morderstwom, wymuszeniom, zmwom cenowym i kupczeniu wpływami. Ludzie o przywiedłych umysłach, rządzący olbrzymimi korporacjami, muszą uciekać" się do takich ordynarnych bezprawnych sposobów, gdy ich kreatywność, inwencja i żyłka przygody obumiera, stłumiona niepohamowaną żądzą zbytku.

Pomyślał z dumą, że on sam osiąga zyski - i to większe niż spółka Larsena - dzięki znajdywaniu ropy tam, gdzie leniwym wielkim

koncernom nie chciało się jej szukać, oraz dzięki inwestycjom w nowe technologie, których obawiały się naftowe giganty. Jego zyski pochodzą z wydajności, podczas gdy Larsena ze zdzierstwa. Kingsbury spo chmurniał. Wydaje się, jakby Larsen i jego bandyci z Bremeńskiej Legacji sami wprost prosili się o ukaranie przez rządy państw, w których działają. Nie płacą praktycznie żadnych podatków dochodowych, gwałcą, łupią i rabują światową gospodarkę i prą ślepo naprzód niczym olbrzymi chciwy walec, wykorzystując uczciwą pracę biedaków i przedstawicieli klasy średniej. To się musi kiedyś skończyć. Najbardziej zaś niepokoiło Kingsbury'ego, że jego firma - uczciwie płacąca podatki, a mimo to wciąż przynosząca zyski - zostanie niezasłużenie dotknięta karami, które zniszczą tamten międzynarodowy koncern.

Potrząsnął głową. Wygląda na to, że wielkie spółki naftowe coraz bezczelniej zagarniają nienależne zyski przed samym nosem ustawodawców na całym świecie, domagając się zarazem od nich wciąż nowych podatkowych ulg, a jednocześnie bez żenady wydają miliardy bezprawnie zarobionych dolarów, by wchłonąć mniejsze firmy.

Gniew błysnął w jego srebrnoszarych oczach, gdy wspomniał ofertę, jaką spółka Larsena przed zaledwie pół rokiem przedstawiła ConPacCo. Kingsbury podjął wówczas walkę z Larsenem w sądach, komisjach i na parkietach światowych giełd. Tylko dzięki publicznemu zawiadomieniu o odkryciu przez firmę ConPacCo złóż naturalnego gazu, które spowodowało gwałtowną wyżkę jej akcji na giełdzie, udało się udaremnić tę próbę wrogiego przejęcia jego przedsiębiorstwa. Kingsbury uśmiechnął się. Wygrał, ponieważ nieoczekiwanie stał się zbyt dużym kęsem do przełknięcia dla naftowego giganta. Obecnie tylko jego firma oraz kilka innych niezależnych spółek zmuszały jeszcze wielkie koncerny do zachowania przynajmniej resztek przyzwoitości. Od dawna dawał się tym koncernom we znaki, demaskując ich kłamstwa przedstawiane Kongresowi i amerykańskiej opinii publicznej. „Nie możemy płacić podatków i jednocześnie prowadzić wierceń w poszukiwaniu ropy”, mówili. Zaś Kingsbury odpowiadał:

„Płacę podatki, a mimo to znajduję więcej ropy niż oni”. Te tłuste ślimaki zarządzające wielkimi korporacjami nie miały pojęcia, na czym polega wolna konkurencja, i nie rozpoznałyby jej, nawet gdyby się z nią zderzyły i upadły na swe spalone tyłki.

Przy zjeździe do jeziora Albano odegnał gniewne myśli i sprawnie skręcił z autostrady w węższą, dwupasmową szosę prowadzącą na południe. Co go czeka w Albano? I dlaczego tamci w rozmowie telefonicznej tak zagadkowo wspomnieli nazwisko Vance'a Eriksona? Wprawdzie przed kilkoma dniami Vance próbował się z nim skontaktować, ale wiadomość, jaką zostawił sekretarce, nie zawierała niczego niepokojącego. Także brak numeru, pod który Kingsbury mógłby do niego oddzwonić, nie był niczym niezwykłym. Młody mężczyzna często wyruszał na wyprawy do miejsc, gdzie w ogóle nie było telefonów. Mimo to Kingsbury'ego dręczył jakiś nieokreślony niepokój.

Słońce stało niemal w zenicie, gdy przejeżdżał przez Gandolfo. Tutaj, wysoko nad poziomem jeziora, znajdowała się letnia rezydencja papieża, Castel Gandolfo. Zajrzał do wskazówek, podyktowanych mu przez Larsena, po czym skręcił na północny wschód, w stronę Albano i zaczął wjeżdżać krętą drogą na Colli Albani, najwyższe wzgórze nad jeziorem.

\*\*\*

Larsen powitał go osobiście przy masywnej żelaznej bramie rezydencji. Dwaj uzbrojeni strażnicy zamknęli ją za mercedesem i wrócili do białego kamiennego bunkra przy murze. Kingsbury z uśmiechem otworzył drzwi po stronie pasażera i zapytał:

- Może pana podwieźć?

Larsen odpowiedział z wymuszonym uśmiechem:

- Chętnie, dziękuję. Przespacerowałem się już, gdy pan wjeżdżał na wzgórze.

Nigdy nie raczysz nikogo przywitać, co, Merriam? chciał powiedzieć Kingsbury, lecz zamiast tego rzekł:

- Spacerować dobrze robią na zdrowie.

- Owszem - przytaknął Larsen, podejmując tę grę.

- Zwłaszcza tu, gdzie jest tyle wolnej przestrzeni - zauważył

Kingsbury i jęknął w duchu, gdy Larsen zaczął po raz kolejny zasypywać go dobrze znanymi mu już informacjami: trawniki mają ponad sześćset lat; kaplicę poświęcił osobiście papież; rezydencja została zbudowana w 1602 roku i mieści pięćdziesiąt dziewięć pokoi.

Kosztowała spółkę naftową czterdzieści milionów dolarów odliczonych od podatku.

Jeszcze zanim Kingsbury zdążył zatrzymać mercedesa na kolistym podjeździe przed budowlą z szarego kamienia, ozdobionym urnami rzeźbionymi w cherubiny i obowiązkową fontanną, po marmurowych stopniach zbiegli młodzi mężczyźni, by otworzyć drzwiczki samochodu. Młode lizusy po wydziale zarządzania, skonstatował szydlerczo Kingsbury, które woła zrobić karierę jako posłuszne dworskie eunuchy niż dzięki wykazaniu się rzutkością i przedsiębiorczością.

- Dzień dobry panie Kingsbury. Dzień dobry panie Larsen - zaszczebiotali gorliwie chórem.

Wnętrze rezydencji odpowiadało wyobrażeniom większości Amerykanów o pałacach potentatów naftowych; wyobrażeniom, które - jak usiłują wmówić im wielkie koncerty - nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Gdyby tylko, pomyślał cierpko Kingsbury, ciężko pracujący przedstawiciele klasy średniej, których nie stać na spłacenie hipotek swych domków, mogli zobaczyć na własne oczy, na co idą ich podatki, być może w powietrzu zapachniałoby krwią. Przynajmniej w przenośni, powiedział sobie, a najlepiej dosłownie.

Weszli do ogromnego holu o łukowym sklepieniu i podłodze z misterną kafelkową mozaiką. Nie mieli do oddania płaszczy, więc kamerdyner zamknął tylko za nimi drzwi i zniknął dyskretnie za beżowo-brązową marmurową kolumną.

-Tędy - rzucił krótko Larsen. Kingsbury podążył za nim długim korytarzem, wyłożonym ozdobnym, szafiro-wo-złotym dywanem. Przystanął na chwilę, by przyjrzeć się jego bogatemu wzorowi, i stwierdził, że przedstawia logo korporacji naftowej. Pośrodku korytarza cztery łuki łączyły się pod ostro zarysowanym sklepieniem, skąd zwiślał olbrzymi kryształowy żyrandol.

Waterford - skomentował Larsen, gdy pod nim przechodzili.



Przemierzyli sale ozdobione rzeźbami i fryzami, w których Kingsbury rozpoznał dzieła Miłliary i Hayeza oraz bezcenne prace pomniejszych artystów. Po przejściu ponad stu metrów dotarli w końcu do orzechowych drzwi z wypolerowanymi do połysku mosiężnymi klamkami i okuciami, które otworzył przed nimi flegmatyczny mężczyzna w szarym garniturze, wyglądający jak agent CIA z kiepskiego filmu sensacyjnego. Gdy pochylał się nad klamką, Kingsbury dostrzegł pod jego pachą kaburę z rewolwerem.

Zamknięto za nimi drzwi. Kingsbury stanął pośrodku pokoju i popatrzył najpierw na autentyczne neoklasyczne meble, a potem wbił z niedowierzaniem wzrok we fresk, zupełnie nieznany, lecz bez wątpienia pędzla Leonarda. Nieświadom rozbawionego spojrzenia Larsena, podszedł z czią do malowidła i przyjrzał mu się z bliska. Stwierdził,

że fresk został wycięty z jakiegoś innego muru i wpasowany w ścianę tego pokoju. Ale skąd? zastanawiał się. Historycy sztuki często podkreślają, iż znamy niewiele dzieł Leonarda. Gdzie znajduje się reszta, a zwłaszcza skąd pochodzi ten fresk?

- Siadaj proszę, Harrison.

Kingsbury zachnął się na to poufałe zwrócenie się do niego po imieniu, niemniej oderwał niechętnie wzrok od ściennego malowidła i usiadł w wyściełanym brokatem fotelu z prostym oparciem. Larsen usadowił się na niewielkiej sofie, również obitej złotobordowym brokatem. Fresk - umieszczony śmiało, lecz ze smakiem nad akwamaryno-wą boazerią - dominował nad całym pokojem.

- Tak, jest autentyczny - rzekł Larsen, podążając za wzrokiem Kingsbury'ego. - Ale - dodał porozumiewawczo - nie zależy nam na tym, by komisje Kongresu dowiedziały się, że go posiadamy, nieprawdaż?

- Wiesz, co o tym myślę - odparł ostro Kingsbury. Larsen pobłaźliwie pokiwał głową.

- Tak, obawiam się, że istotnie znam twoje stanowisko w tej sprawie... i w stu innych.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie nieustępliwie, niczym zapaśnicy oczekujący na sygnał sędziego do rozpoczęcia walki.

Pierwszy odezwał się Kingsbury:

- Ale chyba nie przyszliśmy tu, żeby rozmawiać o sztuce?

- Poniekąd tak - odezwał się ktoś za jego plecami.

Zaskoczony Kingsbury odwrócił się i spojrzął w kąt ogromnego pokoju. Przed chwilą był tak pochłonięty freskiem Leonarda, że nie zauważył młodego jasnowłosego mężczyzny, który teraz podszedł do nich i usiadł na drugim końcu sofy.

- Kimball, prawda? - rzekł Kingsbury, rozpoznając jego pewne siebie zachowanie.

Mężczyzna uśmiechnął się blado.

- Nie sądziłem, że będzie pan mnie pamiętał.

- Jak mógłbym zapomnieć? Kiedy to było? - Kingsbury przerwał i w zamyśleniu zacisnął wargi. - Pięć lat temu pan i ten tutaj pański szef wciągnęliście mnie wbrew mej woli do waszej złodziejskiej szajki. Do Bremeńskiej Legacji. - Wymówił tę nazwę z gryzącą ironią.

- Nie uważam, Harrison, żeby to było fair - powiedział Larsen.

Znowu, pomyślał Kingsbury. Dlaczego on zachowuje się tak poufale? - Nigdy nie widziałem, żebyś zrobił coś wbrew swej woli. Choć Bóg mi świadkiem, że często próbowałem cię do tego zmusić.

To prawda, pomyślał Kingsbury. W swoim czasie z wielkimi zastrzeżeniami zgodził się przyłączyć do Bremeńskiej Legacji -jedynie w tym celu, by pilnować, co knują jego przeciwnicy. Ten zamysł się jednak nie powiódł i z wyjątkiem zawarcia kilku pożytecznych znajomości z urzędnikami rządowymi w Japonii i Europie nie odniósł żadnych korzyści z członkostwa w tej organizacji. Zresztą Legacja, przestraszona jego śmiałymi populistycznymi poglądami, sama wykluczyła go ze swego wewnętrznego kręgu. Nigdy nie zdołał dociec, po co w ogóle próbowano go tam wciągnąć.

- Tak... no cóż... - odparł. - Chyba nie urządziliście te go sekretne spotkanie po to, by dyskutować o moim członkostwie w Legacji, prawda?

Zmarszczył brwi, gdy Kimball założył nogę na nogę, gdyż w kieszeni jego marynarki dostrzegł nóż w pochwie. Wszystko to z każdą chwilą robi się coraz dziwniejsze, pomyślał. Zapadła długa, wymowna cisza.

- Panie Larsen - rzeki w końcu. -Wiem też, że nie spotkaliśmy się, aby rozmawiać o freskach. Wzywają mnie obowiązki związane z moją firmą. Toteż proponuję, byśmy przeszli do sedna. - Tym sednem, jak się domyślał, jest niewątpliwie propozycja fuzji ich przedsiębiorstw. Już za chwilę miał się przekonać, jak bardzo się mylił.

- Chodzi o twojego... pracownika, Harrison - powiedział Larsen, celowo podkreślając użycie imienia, by go zirytować. - O Vance'a Eriksona.

- Wygląda na to - wtrącił Kimball - że on zajmuje się sprawami dość niezwykłymi, jak na geologa poszukiwawczego. W ciągu ostatnich tygodni wydał wielkie sumy w związku ze spuścizną Leonarda da Vinci.

- Doskonale o tym wiem, panie Kimball. Zainteresowanie Leonardem mieści się w zakresie jego obowiązków -odparł ostro Kingsbury.

-Ale czy wie pan, że Erikson uwikłał się w pewne... niefortunne wypadki? - ciągnął Kimball. - Wypadki, których nie da się zbyć zwykłym wzruszeniem ramion.

- Vance działa w niekonwencjonalny sposób - powiedział spokojnie nafciarz. - Większość swoich sukcesów osiągnął, ponieważ - podobnie jak i ja - nie pozwala sobie na popadnięcie w rutynę, jak to czyni większość ludzi.

- Ach tak? - uśmiechnął się złośliwie Larsen. - A czy morderstwo uważasz za dopuszczalny sposób unikania rutyny?

Kingsbury poderwał się, jakby dostał w twarz.

- Nie sądzę, żeby...

- Morderstwo, Harrison, morderstwo.

- Nie wierzę w to!

Kimball nachylił się i podał mu rozłożoną gazetę. Było to dzisiejsze mediolańskie wydanie *Il Giorno* z niewielkim artykułem zakreślonym na czerwono. Kingsbury wziął ją i po chwili zwrócił.

- Nie piszą tu, że Vance jest poszukiwany za morderstwo, a jedynie że mediolańska policja chce przesłuchać go w związku z zabójstwami trzech innych specjalistów od Leonarda da Vinci. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Erikson blisko z nimi współpracował i

jego życiu również może zagrażać niebezpieczeństwo.

Larsen uśmiechnął się jadowniczo.

- A czy wiesz, że Erikson wziął udział w strzelaninie, podczas której zginęło trzech ludzi? - Kingsbury potrząsnął przecząco głową, zastanawiając się jednocześnie z niepokojem: czy właśnie dlatego Vance do mnie dzwonił? - Czy wiesz, że hotelowa pokojówka zginęła od wybuchu bomby umieszczonej w jego pokoju? Że Erikson odwiedził adwokata w Bellagio, a za chwilę ten prawnik i pewien ksiądz zostali zastrzeleni? I że służąca zidentyfikowała go jako zabójcę? I czy wiesz, że wtargnął też do Castello Caizzi, a po jego wyjeździe znaleziono tam ciało zastrzelonego hrabiego?

- Co sugerujesz? - odparł gniewnie Kingsbury. - Że to wszystko robota Vance'a Eriksona? Daj spokój, myślisz, że w to uwierzę?

Larsen potrząsnął głową z fałszywym smutkiem.

- Nigdy cię nie oszukiwałem, Harrison. To ty od trzydziestu lat stale mnie oszukujesz.

Kingsbury zignorował tę uwagę.

- Co ty opowiadasz, Larsen? Przestań kręcić i choć raz powiedz coś wprost, bez kluczenia.

Zdaniem mediolańskiej policji twój chłopak jest zamieszany we wszystkie te wydarzenia. Wyjechał z miasta zaraz po strzelaninie, w której, nawiasem mówiąc, zginął przydzielony mu ochroniarz. - Larsen z satysfakcją zauważył niepokój Kingsbury'ego i ciągnął dalej: - Opowiem ci pewną historię, która być może otworzy ci nieco oczy.

\*\*\*

Godzinę później Harrison Kingsbury opuścił neoklasycyście umeblowany pokój, nawet nie spojrzawszy na fresk Leonarda da Vinci. Nie szedł już tym sprężystym krokiem, jakim tu wkroczył, a w sercu czuł bezdenną pustkę. W głowie wirowała mu tylko jedna myśl: Udało mu się, Larsenowi w końcu się udało. Ten człowiek, którym pogardzał, trzymał go w szachu. Usiadł za kierownicą wynajętego mercedesa i wolno pojechał z powrotem do Rzymu. Po raz pierwszy w życiu czuł się starym człowiekiem.

## *Rozdział 14*

---

Nadchodzący ranek wyrwał Vance'a z przyjemnych snów, bardziej ulotnych niż rosa znikająca w promieniach letniego włoskiego słońca, które wznosiło się powoli po bezchmurnym niebie.

Erikson poczuł ten ranek, jeszcze zanim się obudził. Zza zamkniętych okien dobiegły go odgłosy rozmów i ożywionej ludzkiej aktywności, które wplotły się w jego sny, aż wreszcie mocno naciągnęły delikatne nitki rzeczywistości i wydobyły go łagodnie na jawę.

Zmrużył oczy, a potem zamrugał i otworzył je szeroko, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest. Popatrzył na leżącą obok Suzanne i jego dezorientację zastąpiła ulga. Wiedział już, dlaczego tej nocy nie nawiedziły go zwykłe koszmary.

Oparł się na łokciu i przyjrzał dziewczynie. Jej kasztanowe włosy płonęły czerwienią, oświetlone smugami porannego słońca, które przenikało przez szczeliny w zasłonach. Uśmiechnęła się lekko przez sen.

Czy naprawdę powiedział jej, że ją kocha? I czy możliwe, że odpowiedziała mu to samo? To było tak nieprawdopodobne, że nie mieściło mu się w głowie, lecz jego serce wiedziało lepiej. Ale przecież nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, powiedział sobie i natychmiast uśmiechnął się wspomniawszy, iż była to raczej nienawiść od pierwszego wejrzenia. Tylko czy naprawdę? I czy w ogóle ten fakt ma jakieś znaczenie? Przyszłość pokaże -przyszłość złożona z nieskończonego szeregu wspólnie przeżywanymi dniami.

Wstał i po cichu przeszedł przez pokój do łazienki, skąd przez telefon zamówił śniadanie. Wprost umierał z głodu. Potem podszedł cicho do łóżka i zapatrzył się w Suzanne. Nagle otworzyła oczy, wrywając go z zadumy.

- Nie bądź taki zaskoczony - powiedziała. - Poza tym, to raczej ja powinnam się przestraszyć.

Przyjrzała mu się uważnie. Vance uświadomił sobie raptem, że jest nagi.

Matka zawsze przestrzegała mnie przed przebywaniem w pokojach hotelowych z nagimi mężczyznami - powiedziała, wyciągając do niego ręce. - Ostrzegała, że bym nigdy nie pozwoliła im odejść. Chodź do mnie.

- Ale właśnie zamówiłem śniadanie - zaprotestował bez przekonania.

- Zawsze uwielbiałam zimną jajecnicę - odparła, obejmując go za szyję.

\*\*\*

Suzanne popijała herbatę z porcelanowej filiżanki stojącej na tacy ze śniadaniem, przyniesionej przez hotelową służbę.

- A na Sorbonie dostawałam marne stopnie – mówiła - bo ciągle wyjeżdżałam na poszukiwanie tematu tak efektownego, żeby *New York Times* musiał zatrudnić mnie jako zagraniczną korespondentkę. Ależ byłam wówczas naiwna - dodała ze śmiechem.

Vance popatrzył na nią ze zdumieniem.

-Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ciebie naiwnej -powiedział, wyciągając rękę i gładząc jej ramię. Siedzieli obok siebie na skraju łóżka.

Uśmiechnęła się smutno.

- Sądzę, że dojrzałam po ostatnim wyjeździe do Bejrutu.

- Byłaś w Bejrucie i wróciłaś stamtąd żywa? - spytał z niedowierzaniem Vance.

- Och, tak... trzy razy - odparła nonszalancko. - Ale ostatnim razem przeżyłam szok. Chciałam przeprowadzić wywiad z jednym z przywódców strony muzułmańskiej i dostałam się pod ostrzał moździerzy. Przeraziłam się śmiertelnie i nagle zatęskniłam za jakąś miłą spokojną pracą.

- Czy to właśnie w Bejrucie nauczyłaś się strzelać? Skinęła głową. Nie dodała nic więcej, a Vance nie chciał jej wypytować.

Długo wpatrywali się w siebie, a potem Suzanne ujęła jego rękę i uścisnęła. Wzrok miała rozmarzony.

- Wydajesz się taka nieobecna - rzekł. - O czym myślisz?

- O Saratodze i tym przyjęciu w college'u Skidmore, kiedy po raz

pierwszy cię spotkałam i zauważyłam.

- Też o tym myślałaś?

- A ty także? - spytała zaskoczona.

- Pewnie, że tak. Za każdym razem, gdy wbijałaś mi szpilę w swoich artykułach.

- Ach, Vance - powiedziała czule i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Byłam wtedy taka głupia, taka niedojrzała. Ja... - spojrzała na niego. - Wiesz, powiadają że niewiele dzieli nienawiść od miłości. Może zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, lecz zarazem znienawidziłam cię, bo nie mogłam cię zdobyć.

- Ależ mogłaś.

Popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

-Umówiono mnie tam z jakąś nieznaną dziewczyną - wyjaśnił.

- To była randka w ciemno. Zauważyłem cię, gdy tylko wszedłem do sali, ale... no cóż, nie mogłem wtedy tak po prostu zostawić jej i przepchnąć się do ciebie. Chociaż chciałem tego i miałem nadzieję, że sama do mnie podejdziesz. - Nawet po tak długim czasie wszystko stało mu żywo przed oczami. - Lecz nie zrobiłaś tego, a przez resztę wieczoru, ilekroć na ciebie zerkiałem, wyglądałaś jak królowna z lodu.

Potrząsnęła głową.

- Och, Vance, gdybyśmy tylko... gdybym tylko...

Urwała.

- Nie byliśmy wówczas tacy, jak teraz - powiedział. - Nie powinniśmy niczego żałować. Może nawet gdybyśmy się wtedy poznali, nie przypadlibyśmy sobie do gustu. To, czego od tamtej pory doświadczyliśmy, ukształtowało nas.

Mnie w każdym razie podobasz się taka, jakajesteś obecnie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

\*\*\*

Dwie godziny później Vance przemierzał tam i z powrotem luksusową sypialnię, jakby chciał doścignąć uciekające myśli, rozwiązania, które wciąż mu się wymykały. Suzanne zaryzykowała wyprawę do Como, żeby kupić mu jakieś ubrania zamiast tych, które zostawił w swym pokoju hotelowym, a także dowiedzieć się, dlaczego policja wypytywała o niego w Metropole.

Został więc sam ze swymi myślami, które nie dawały mu spokoju. Telefon do Kingsbury'ego był tylko stratą czasu.

Sekretarka poinformowała go, że szef przebywa w Hiszpanii lub we Włoszech, finalizując umowę o fuzji przedsiębiorstw. Będzie próbowała się z nim skontaktować; czy Vance może zostawić swój numer? Po chwili wahania podał jej numer telefonu w pokoju Suzanne. To było bezcelowe. Kiedy Kingsbury angażował się w tego rodzaju przedsięwzięcie, mijało wiele dni, zanim odpowiadał na telefony.

Usiadł przy zabytkowym wiśniowym biurku i wyjął hotelowy papier listowy. Może uda mu się pojąć coś z całej tej afery, jeśli zanotuje sobie najważniejsze fakty. Lecz nawet po zapisaniu kilku stron nie wpadł na żaden pomysł. Odsunął więc krzesło i zaczął znów spacerować po pokoju, przyspieszając w miarę, jak narastała w nim frustracja.

- Cholera! - wykrzyknął w pustym pomieszczeniu. Gdyby tylko Kingsbury zechciał zadzwonić. Wiedział, że magnat naftowy potrafi rozwiązać najbardziej nawet zawiłą zagadkę.

Lecz nie mógł teraz liczyć na pomoc Kingsbury'ego. Tylko ty i ja, chłopie, powiedział do siebie, po czym wrócił do biurka i zajrzał do swych zapisków. Kronika ostatnich kilku dni wypełniła ponad pół tuzina arkuszy hotelowej papeterii, rozrzuconych na blacie.

Biorąc przykład z dziennikarzy, spróbował sporządzić listę w kolumnach „kto, co, kiedy, gdzie, dlaczego i jak”. Szybko odrzucił „kiedy” i „gdzie” jako nieistotne. Wszystkie zabójstwa były jednym wielkim „co”, natomiast doskonale wiedział kiedy, gdzie i jak zamordowano ofiary. Nigdy tego nie zapomni.

Pozostało „kto” i „dlaczego”. Kto? rozmyślał wpatrując się w kartki, z brodą wspartą na dłoniach. Mężczyzna w Amsterdamie z dziwnym znamieniem na szyi, grupa oszalałych księży. Pomysł był prawie niedorzeczny, lecz gromady nawiedzonych fanatyków religijnych, od Bliskiego Wschodu po Kaszmir i Irlandię Północną, czyniły z religijnego fanatyzmu istotną składową ogólnoswiatowej przemocy. Kto: profesor Martini oraz dobroduszni uczeni, znawcy Leonarda da Vinci z Wiednia i Strasburga - zamordowani; kolejny uczone, Tosi - zaginiony. Kilku Bogu ducha winnych przechodniów w



Mediolanie - zastrzelonych. I wszystko to koncentrowało się wokół niego: nieco ekscentrycznego amatorskiego znawcy Leonarda, do szaleństwa zakochanego w dziennikarce, która nosi przy sobie pistolet - a raczej nosiła, póki go nie zgubili. Potrząsnął powoli głową. Odpowiedź na pytanie „kto” stała się nieco jaśniejsza, lecz najbardziej nurtowała go kwestia „dlaczego”.

Rozłożył inaczej kartki, w nadziei, że jakiś ich nowy układ przyniesie rozwiązanie. Księża i autor dziennika, de Beatis, byli katolikami. Ten ostatni pełnił funkcję sekretarza kardynała Aragonii, był zafascynowany rękopisami Leonarda i pisał o nim z entuzjazmem. I co z tego? Vance porzucił ten kierunek rozważań.

Tosi jest z wykształcenia fizykiem. Podobnie jak ja, pomyślał Vance, odebrał formalną edukację w dziedzinie innej niż sztuka. Ja wciąż żyję, a Tosi być może również nie zginął. Zakarbował sobie w pamięci, żeby przejrzeć dzisiejsze wydanie *Il Giorno*, dostarczone razem ze śniadaniem. Jeżeli odnaleziono ciało Tosiego, w gazecie będzie wzmianka o jego śmierci. Martini i dwaj pozostali uczeni znawcy Leonarda da Vinci nie mieli ścisłego wykształcenia, nie byli naukowcami. Dlaczego ktoś miałby oszczędzać naukowców - a może to tylko zwykły zbieg okoliczności?

Niech to wszyscy diabli! Erikson odepchnął do tyłu krzesło, wstał i podszedł do okna. Spojrzał w dół na piękną okolicę i jezioro, lecz niczego nie widział. Zawrócił i znów usiadł przy biurku. Zaczął pisać. Nauka - czy to był jakiś ślad? Może w Kodeksie Kingsbury'ego było coś związanego z nauką... Kodeks poruszał szerokie spektrum tematów: od zagadnień cienia i perspektywy, aż po burze z piorunami. Burze! Właśnie w tym fragmencie odkrył fałszerstwo! Studium naukowe dotyczące burz... Vance zamknął oczy i usiłował przywołać z pamięci odnośne stronicę. Były tam liczne szkice oraz wzmianki o elektrycznej naturze błyskawic. Rysunki były wspaniałe. Leonardo był obdarzony zdumiewającą szybkością i rozdzielczością widzenia. Jego wizerunki ptaków, fal, płynącej wody czy błyskawic zdradzały niemal stroboskopową sprawność i precyzję oka. Rysunki przedstawiające błyskawice były równie dokładne, jak współczesne fotografie, i o wiele bardziej efektowne.

Nauka, naukowcy, Kościół katolicki. Zsumowane, mogłyby oznaczać herezję. Kościół potępił Kopernika za jego zuchwałą teorię, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie, jak głosił kościelny dogmat. Lecz z wyjątkiem sprzeciwu Watykanu wobec prowadzenia przez Leonarda pewnych badań fizjologicznych - mianowicie sekcji zwłok - nie było żadnych dowodów na to, by papież wszczął przeciwko niemu jakiegokolwiek postępowanie.

A może jednak? Może na sfalszowanych stronach... Czy Kościół znalazł w kodeksie coś, co uważał za heretyckie lub niebezpieczne, i dopuścił się fałszerstwa, aby zatuszować sprawę? Nie, bez sensu. I dlaczego interesowali się tym ci zwariowani księża? Z tego co Vance usłyszał podczas swej pierwszej wizyty w Como, zakonnicy z tamtejszego klasztoru sami sprawiali wrażenie gromady odszczepieńców - heretyków albo kogoś w tym rodzaju. Niektórzy mieszkańcy Como twierdzili nawet, że już dawno temu cały zakon został ekskomunikowany. Ale nikt nie wiedział tego na pewno, a poza tym ludzie niechętnie rozmawiali o klasztorze. „Krążą różne opowieści, signore”, cedzili i odmawiali dalszych wyjaśnień. „Nasi przodkowie zostawiali ich w spokoju i my też tak robimy”.

„Nauka, naukowcy, burze, de Beatis, księża, Kościół”, napisał Vance na osobnej kartce.

Czuł, że między tym wszystkim istnieje jakiś związek, lecz nie potrafił go precyzyjnie określić.

Jego myśli wciąż powracały do zakonników, do klasztoru nad Bellagio, po drugiej stronie jeziora. Może tam znajdzie odpowiedź. Im dłużej rozważał ten pomysł, tym bardziej wydawał mu się logiczny. Tak, skinął energicznie głową, już wkrótce, niezapowiedziany, odwiedzi ten klasztor.

Położył pióro na stosiku notatek i powoli odsunął krzesło.

Wstał i znów podszedł do okna. Coś go dręczyło - i to bynajmniej nie obawa, iż zostanie tam schwytany. Przez długą spokojną chwilę przyglądał się żaglówkom tnącym niewielkie fale jeziora. W oddali kadłub wodolotu lśnił jaskrawą czerwienią na tle głębokiej zieleni wybrzeża. Nagle zdał sobie sprawę, że gnębi go lęk, że już nigdy nie zobaczy Suzanne. Jego uczucie do niej skomplikowało całą sytuację,

ale na Boga! jakże wdzięczny był losowi za zesłanie mu takiej komplikacji.

Odwrócił się od okna, a potem, przypomniawszy sobie, że miał poszukać w gazecie wzmianki o Tosim, wziął ją z łóżka, gdzie leżała pośród pogniecionej pościeli. Zasiadł w wygodnym fotelu i zaczął ją przeglądać. Na pierwszej stronie niczego nie znalazł, więc rozłożył ją i oczy rozszerzyły mu się z przerażenia na widok własnej podobizny i zamieszczonego obok artykułu.

\*\*\*

Elliott Kimball siedział rozparty w fotelu przy małym okrągłym dwuosobowym stoliku w modnej kawiarni na chodniku modnej ulicy Via Veneto. Sącząc Chivas z wodą sodową, po raz piąty z satysfakcją przeczytał notatkę w gazecie. Obok niewielkiego zdjęcia Vance'a Eriksona widniał artykuł zasadniczo powtarzający historię, którą Kimball opowiedział mediolańskiemu oficerowi śledczemu i polecił przekazać prasie. Terrorysta - tak nazwał Eriksona w rozmowie z tym policjantem. Erikson miał rzekomo wykorzystywać swą pozycję w firmie ConPacCo jako pretekst do odbywania podróży po całym świecie, jakich wymagała jego funkcja kasjera rozwozącego pieniądze terrorystom. Nie był fanatykiem religijnym, jak jego pracodawcy. Nie, kierowała nim wyłącznie chciwość; robił to z chęci zysku. Lecz gdy z czasem zaostrozono kontrolę międzynarodowych przepływów finansowych, jego działalność zaczęła mieć kluczowe znaczenie dla wspomagania fanatycznych ruchów wielkimi sumami pieniędzy, służącymi do finansowania komórek terrorystycznych na całym świecie. Oficer śledczy zyskał potwierdzenie swych podejrzeń i był ogromnie zadowolony, że dane mu jest współpracować z przedstawicielem wielkiej międzynarodowej organizacji, znanej z przeciwstawiania się terroryzmowi.

Kimball uśmiechnął się. Geniusz, absolutny geniusz, pomyślał o sobie odkładając gazetę na stolik. Jednym zręcznym posunięciem unieszkodliwił Eriksona i jego mecenasa, Harrisona Kingsbury'ego. W artykule napisano, że Vance Erikson jest poszukiwany przez mediolańską policję i podejrzany o współudział w zabójstwie profesora Martiniego w Amsterdamie oraz uczonych, specjalistów od Leonarda,

w Strasburgu i Wiedniu. Artykuł stwierdzał również, że Erikson odpowiada za strzelaninę w Mediolanie, a także za śmierć pokojówki w hotelu Hilton.

Natomiast jeśli chodzi o Kingsbury'ego, historyjka o Eriksonie była zaledwie pierwszym zadany mu ciosem.

Kimball spojrzął na zegarek i jego zadowolenie momentalnie zmieniło się w irytację. Gdzie jest ten przeklęty irański wariat? I gdzie podziwia się Suzanne Storm? Bardzo mu się już przydała przy zlokalizowaniu Eriksona w Como. Gdyby teraz mógł ją znaleźć, odnalazłby również Vance'a.

Zresztą, pomyślał, to w gruncie rzeczy bez znaczenia. Erikson i Kingsbury zostali zneutralizowani, przynajmniej w tym sensie, że nie mogą przeszkodzić w zawarciu transakcji. Pomimo to... Kimball nie znosił niedokończonych spraw. Pragnął wytropić Vance'a Eriksona i pozbyć się go. Teraz, kiedy dosięgnęli Kingsbury'ego, nie było żadnego powodu, by Erikson nadal miał żyć.

Ponownie zerknął na zegarek. Pospiesz się, ty pieprzony irański sukinsynu! Nie będę tu czekał całą noc.

\*\*\*

Z kupnem odzieży poszło łatwo, pomyślała Suzanne, siedząc w holu hotelu Metropole, w fotelu z wysokim oparciem, tyłem do recepcji, dzięki czemu była niewidoczna dla hotelowego urzędnika, a także dla policjantów, którzy wciąż przechodzili- tamtędy w drodze do apartamentu Eriksona. Kupiła nowe ubrania dla Vance'a i zapłaciła sówicie, żeby dostarczono je do jej pokoju - ich pokoju, poprawiła się - a potem przyszła tu, aby spróbować się dowiedzieć, dlaczego mediolańska policja tak gorączkowo go poszukuje.

To było już znacznie trudniejsze. Nie odważyła się podejść wprost do żadnego z policjantów, z obawy że mogą mieć jej rysopis z wczorajszego zajścia w Bellagio. Usiadła więc w holu z egzemplarzem *Il Giorno*, udając, że go czyta, a w istocie chowając za nim twarz, ilekroć zbliżył się jakiś policjant. Po raz dziesiąty przeczytała ten sam nagłówek, nie znajdując nic ciekawego w artykule pod nim.

Wokół niej policjanci prowadzili ze sobą typowo włoskie męskie rozmowy, obracające się wokół tematu kobiet, dziewczyn i znów

kobiet. Cóż za szeroki wachlarz zainteresowań, pomyślała. Uważała młodych Włochów za najokropniejszy na świecie gatunek ludzi. Rozpieszczani w młodości przez swe matki i siostry, przekonujące ich, że są największym cudem świata obok kromek panini, a nieco później przez żony i kochanki, które powtarzają im to samo - co najgorsze, wierzą w to wszystko i oczekują, że amerykańskie kobiety będą ich traktowały z podobną czołobitnością.

Wierciła się w krześle, zakładała nogę na nogę i rozprostowywała gazetę. Potem wbiła w nią wzrok, lecz jej myśli błądziły gdzieś daleko. Wspomniała swego kota Kierkegaarda, pozostawionego u sąsiadki. Pomyślała o domu, o swym przytulnym i bezpiecznym mieszkaniu. Miała nadzieję, że kwiatki nie zwiędną, zanim wróci. Przede wszystkim jednak myślała o Vance'ie Eriksonie i wydarzeniach, które ich połączyły.

Wczoraj naprawdę przyjechała za nim do Como z powodów zawodowych. A przynajmniej tak sobie wmawiała.

Była to zresztą całkiem przyjemna podróż. Elliott Kimball szybko i sprawnie prowadził wynajęte lamborghini. Nie знаła nikogo innego, kto jeździłby takimi samochodami.

Nie widziała Kimballa od czasów college'u. Jego pojawienie się na mediolańskim sympozjum poświęconym da Vinciemu zaskoczyło ją i zdziwiło. Nie wydawało się, by wiedział zbyt wiele o Leonardzie. Był teraz chłodnym, zamkniętym w sobie, skrytym człowiekiem. W jego zachowaniu wyczuwała coś podstępnego i... groźnego.

Tak, Kimball w jakiś niejasny sposób niepokoił ją i przerażał. Przypisywała to jednak stanowi swych nerwów. Dał jej wczoraj numer telefonu swojego biura w Bremie, na wypadek gdyby chciała zostawić dla niego wiadomość. Wyjęła jego wizytówkę spomiędzy kartek reporterskiego notatnika i znów jej się przyjrzała. Może mógłby pomóc, pomyślała. Może powinnam do niego zadzwonić. Ale już po raz kolejny tego dnia zawahała się i włożyła ją z powrotem do notesu.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk czyjegoś głosu, który wmieszał się w pogawędkę policjantów. Ten głos wydał jej się skądś znajomy... Nagle zamarła i ze strachu zaschło jej w ustach. Nowo przybyły mężczyzna opisywał wygląd kobiety zamieszanej w incydent w

Bellagio - opisywał ją. Spróbowała przełknąć ślinę, lecz gardło miała ściśnięte ze zgrozy. To był ten niski stary ksiądz w okularach, który ściagał ich w podziemiach zamku.

Człowiek, który usiłował ich zabić, stał tuż za nią! Jeśli ją spostrzeże, z pewnością spróbuje tego ponownie. Muszę się jakoś stąd wymknąć, pomyślała. Ale nie mogę rzucić się do ucieczki, bo zwrócę na siebie jego uwagę. Po prostu zaczekam, aż odejdzie. Rozłożyła gazetę i zasłoniła nią twarz.

Przysłuchiwała się z drżeniem, jak ksiądz rozmawiał poufale z którymś policjantem. Znal go. Czy policja pomaga mu ich szukać? Miała nadzieję, że ksiądz wreszcie sobie pójdzie, ale zdawało się to trwać całą wieczność. Może policja jej nie rozpozna. Zapragnęła wrócić jak najszybciej do Vance'a, znaleźć się znów przy nim.

Głosy nasiliły się, gdy ksiądz żegnał się z policjantami. Muszę się ruszyć, pomyślała odruchowo, muszę stąd wyjść. Złożyła gazetę i zawahała się, drżąc ze strachu jak spadochroniarz przed pierwszym w życiu skokiem. Wstań i wyjdź! ponagliła się. Zmusiła się do podniesienia z krzesła. A teraz tylko spokojnie, błagała swoje stargane nerwy.

Przeszła przez hol i była już przy wyjściu, gdy ktoś zawołał za nią:

- Signorina! - To był oficer, który rozmawiał z księdzem. - Proszę się zatrzymać - powiedział po włosku.

Szła dalej. Usłyszała za sobą pospieszne kroki mężczyzny na wyłożonej dywanem podłodze i puściła się biegiem przez krótki, ciemny korytarz zakończony przedsiódkiem jadalni. Oszlone drzwi po prawej były zamknięte. Drugie drzwi wychodziły na ogródek kawiarni, gdzie ona i Vance jedli wczoraj śniadanie. Pchnęła je, lecz również nie ustąpiły. Za plecami słyszała tupot nóg policjantów i okrzyki „Signorina!”. Rozpaczliwie szarpnęła zasuwę i zdołała ją odsunąć. Wypadła na zewnątrz i zbiegła po schodkach. Wejście do kawiarni tarasowały krzesła. Roztraściła je i wybiegła na Piazza Cavour.

Rzuciła okiem na wejście do hotelu, a potem odwróciła się i już miała ruszyć biegiem w stronę jeziora, gdy usłyszała za plecami głos księdza:

- Dobry wieczór, signorina.

Za nim biegło truchtem kilku policjantów w cywilu i dwóch mundurowych.

- Nie radziłbym pani próbować ucieczki - rzekł oficer z rewolwerem w ręku.

Suzanne zadygotała, lecz natychmiast się opanowała.

- Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych - powiedziała oficjalnym tonem. - Żądam, by umożliwiono mi kontakt z najbliższą ambasadą.

- Nie ma żadnej potrzeby, moja droga - odezwał się ksiądz.

- Jeśli mam zostać aresztowana, przysługuje mi do tego prawo - zaprotestowała.

- Ależ nikt zamierza pani zaaresztować - powiedział ksiądz.

Suzanne popatrzyła ze zdziwieniem na stojących obok niego agentów i dwóch oficerów w mundurach.

- To prawda - odezwał się jeden z policjantów w cywilu, przerywając zakłopotane milczenie.

- Ale... ale wobec tego co...

- Pojedziemy na krótką przejażdżkę - rzekł do niej kapłan.

- Och, nie - zawołała Suzanne z rosnącą zgrozą. Woląла już raczej areszt; z tym dałaby sobie radę. - Och, nie. Nie! - Policjanci najwyraźniej chcieli przekazać ją księdzu. - Nie wolno wam tego zrobić - zwróciła się do oficera. - Nie możecie oddać mnie w ręce tego człowieka. To morderca, szaleniec. Aresztujcie mnie, zabierzcie do więzienia.

Przenosiła dziko wzrok z jednej twarzy na drugą, lecz w żadnej nie dostrzegła współczucia ani zrozumienia.

- Jestem pewien, że nie zamierza pani oskarżyć brata Grzegorza, człowieka tak oddanego Bogu, o to, że jest mordercą - powiedział z niedowierzaniem oficer.

Suzanne wrzasnęła tak przeraźliwie, że ludzie siedzący spokojnie na ławeczkach na Piazza Cavour poderwali głowy. Raptem wszyscy policjanci przyskoczyli do niej, któryś zatkał jej usta dłonią, drugi wykręcił jej ręce do tyłu i poczuła na przegubach zimne ciasne kajdanki. Kopnęła szaleńczo na oślep i z satysfakcją usłyszała jęk

mężczyzny trafionego w krocze. Lecz zaraz inny unieruchomił jej nogi i policjanci wspólnymi siłami zanieśli ją na tylne siedzenie niebiesko-białego wozu policyjnego, który właśnie podjechał do krawężnika.

Zakryto jej usta i nos jakąś szmatką o ostrej, piekącej woni. Dziewczynie pociemniało w oczach i straciła przytomność.

## *Rozdział 15*

---

Mrok nocy był równie ponury jak nastrój Vance'a. Nie powinien był w żadnym razie puścić jej samej. Skręcił z pustej wiejskiej drogi na południe, w stronę jeziora, i poszedł przez tarasowe zbocza wzgórz, porośnięte krzewami oliwnymi. Lecz Suzanne nie była osobą, której można byłoby czegokolwiek zabronić. Robiła to, co chciała. Jego nowe ubrania dostarczono tuż po rozmowie telefonicznej, jaką odbył z Harrisonem Kingsburym. Nigdy jeszcze szef nie był tak zgaszony i przygnębiony.

- Daj temu spokój - powiedział mu apatycznie. - Ciągnięcie tej sprawy dalej do niczego dobrego cię nie doprowadzi.

Kroki Vance'a szeleściły w wysokiej trawie. Wyszedł ostrożnie na odkryty teren oświetlony blaskiem gwiazd i czubkiem prawego buta wymacał skraj tarasu. Gaje oliwne pięły się po zboczu góry jak olbrzymie stopnie schodów. Czekало go trudne zadanie i nie mógł pozwolić sobie na potknięcie i upadek z wysokiego na dwa albo trzy metry tarasu, co z pewnością zakończyłoby się poważną kontuzją.

Nie chciał ryzykować zaświecenia kieszonkowej latarki kupionej na pchlim targu w Cernobbio, więc po ciemku usiadł na brzegu z nogami w dół, opuścił się na rękach, na ile zdołał, i skoczył. Poczł lekki ból w kostce, nadwyrężonej wczoraj w Castello Caizzi.

Powtarzał ten manewr przy kolejnych tarasach, zbliżając się powoli do klasztoru od najtrudniejszej strony. Miał nadzieję, że strażę będą tu mniej czujne.

W ciągu dnia przyplłynął promem do Varenny i wyszedł z miasta na północ, minął jedyną bramę w sześciometrowych murach



otaczających klasztorną posiadłość, a potem szedł wzdłuż nich drogą półtora kilometra, póki nie skręciła w las. Pokonał teraz następny próg, a po nim jeszcze jeden i przeszedł trzy metry, potem sześć, nie natrafiając na skraj tarasu. W końcu uświadomił sobie, że opuścił już winnicę. Przemierzył wąskie, świeżo zaorane pole i westchnął z ulgą, natrafiając na takie same wysokie drzewa, jakie widział przy drodze. Jego świecący w ciemnościach zegarek pokazywał dziesiątą. Vance wpatrzył się w mrok i w odległości jakichś trzydziestu metrów dostrzegł zarysy wysokiego muru. Zrobił krok, po czym popatrzył nagle w dół na swe białe tenisówki. Wrócił do zaoranego pola i wtarł w buty kilka garści wilgotnej ziemi, aż upodobniły się kolorem do ubrania.

Skrajem lasu podkradł się do muru i obmacał rękami jego chłodną, chropawą powierzchnię. Była solidna i pozbawiona występów, po których można by się wspiąć.

Rozejrzał się i spostrzegł smukłą topolę, rosnącą tuż przy murze. Szkoda, pomyślał, że nie ma tu żadnych wielkich dębów z rozłożystymi konarami sięgającymi poza szczyt ogrodzenia. Nie, zreflektował się zaraz, bracia są zbyt sprytni, by na coś takiego pozwolić.

Oszacował wzrokiem drzewo, a potem podszedł do niego i powoli, cicho zaczął się na nie wspinać. Była to typowa lombardzka topola, wysoka na jakieś dwanaście metrów. Dotarł na wysokość wierzchołka muru i po drugiej stronie nie zobaczył niczego prócz następnych topoli, które tworzyły gęstą ścianę, chroniącą klasztor przed wścib-skimi spojrzeciami. Pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć, i dostrzegł przeciągnięty wzdłuż krawędzi muru, ostry jak brzytwa drut kolczasty. Poza tym, pomyślał, muszą tam być ukryte jeszcze jakieś sensoryczne lub podczerwienne czujniki alarmowe, czy coś w tym rodzaju. Nie wolno mi dotknąć jego szczytu.

Siedział tam niemal pół godziny, czując w rękach i nogach coraz większe zmęczenie. Nic nie przyszło mu do głowy i miał już zejść, gdy poczuł dochodzący zza muru zapach dymu. Spojrzał w tamtą stronę i zauważył mały punkcik, jarzący się czerwono w ciemnościach. Ktoś zaciągnął się papierosem. Vance obserwował, jak ognik robił się coraz większy, a potem znikł, zasłonięty przez szczyt muru. Po chwili

usłyszał szelest kroków na zeschniętych liściach.

Ich odgłos narastał, a potem zaczął cichnąć, w miarę jak nieznajomy się oddalał. Erikson odczekał jeszcze dziesięć minut. Teraz! powiedział sobie. Wspiął się na topolę tak wysoko, jak tylko zdołał i zaczął wychylać się na przemian w przód i w tył, żeby rozkołysać cienkie młode drzewo. Smukły pień zaskrzypiał i ugiął się pod jego ciężarem, po czym nachylił się łukiem nad murem i cisnął go między gałęzie topoli rosnącej po drugiej stronie. Vance chwycił jakiś konar, a następnie podciągnął się bliżej pnia. To drzewo było mniejsze i zatrzeszczało pod nim jak zginana do granic wytrzymałości i bliska pęknięcia witka. Przesunął się znów na konar, w nadziei, że wymaca inne drzewo, zanim ta topola złamie się i zrzuci go na ziemię sama zaś upadnie na mur, uruchamiając system alarmowy. Jeszcze kilka centymetrów, pomyślał wyciągając rękę i natrafił na grubszy pień. Uchwycił się go i przerzucił nań. Drzewo zakołysało się, ale po chwili wprostowało. Nie zabrzmiał żaden sygnał alarmowy.

Vance spojrział w dół, w atramentową czerń, i pomiędzy liśćmi dostrzegł niewyraźny zarys szarej ścieżki. Nocny wiatr powiał w stronę jeziora, gwiżdżąc cicho w gałęziach i niosąc zimne powietrze z alpejskich lodowców, odległych o kilka kilometrów na północ. Vance zadygotał, czując na spoconej skórze jego chłodny podmuch.

Poniżej, w obrębie kilometrowego pasa między brzegiem jeziora a przebytym przez niego murem, widniało kilka budynków. Tuż przy brzegu stała trzypiętrowa rezydencja, wpatrzona dumnie w noc szczelinami wysokich oświetlonych okien. Pośrodku kolistego podjazdu znajdowała się podświetlona fontanna. U stóp wielkich schodów wiodących do drzwi budynku zaparkowano dwa małe, niepozorne samochody. Vance zauważył, że droga dojazdowa prowadzi w jedną stronę do bramy w klasztornych murach, obok której wcześniej przechodził, w drugą zaś do olbrzymiego hangaru dla łodzi, położonego nad samą wodą.

Po jego lewej ręce, w odległości około stu metrów stał długi kamienny budynek, przypominający dormitorium, z rzędami prostych okien rozmieszczonych w jednakowych odstępach. Za nim znajdował się drugi, podobny lecz nieco mniejszy i z okratowanymi oświetlonymi

oknami. Pośrodku posiadłości wznosiła się kaplica, wydobyta z mroku przez światło reflektorów. Kilka samotnych postaci spacerowało źle oświetlonymi ścieżkami, mijając kolejne kręgi słabego, mdłego światła.

Trzypiętrowa rezydencja, pomyślał, to z pewnością najważniejsza budowla. Budynek podobny do dormitorium spełnia zapewne tę właśnie funkcję: mieści kwatery zakonników. Zsunął się z drzewa i ruszył w jej kierunku.

Dróżka, wysadzana po obu stronach ozdobnymi krzewami i rabatami, była równa i wygodna. Vance stąpał po niej ostrożnie i tak cicho, że sam ledwie słyszał odgłos swych kroków, wdychając woń kwiatów, których nie potrafił rozpoznać. Gdy wszedł w zagajnik drzew iglastych, woń tę zastąpił charakterystyczny zapach żywicy.

Wtem zatrzymał się, gdyż z oddali dobiegł go cichy wprawdzie, lecz narastający odgłos szurania znużonych stóp po ścieżce. Erikson szybko przekroczył niski płotek, biegnący wzdłuż dróżki od strony wzgórza, i przeszedłszy przez wąską grządkę kwiatów, przykucał pomiędzy dwoma sięgającymi mu do ramion krzakami azalii. Przeczytał się tam, kroki zaś stawały się coraz głośniejsze.

Ponieważ wciąż się zbliżały, opuścił swą kryjówkę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Rozpaczliwie grzebał rękami w miękkiej wilgotnej ziemi pośród kwiatów i w końcu z westchnieniem ulgi natrafił na cegły, którymi obmurowano kwietnik. Pchnął jedną - drgnęła. Usłyszał ciche pogwizdywanie wartownika. Obruszył ją, wyjął z obmurowania i chwycił w prawą dłoń, po czym czmychnął z powrotem między azalie.

Kilka chwil później zza zakrętu ścieżki wyłoniła się niewyraźna, ciemna sylwetka wartownika.

Vance zamarł w napięciu. Wystarczy jeden dźwięk, jeden krzyk strażnika, a wszystko przepadnie.

Mężczyzna był niski. Jego twarz i dłonie błyskały bielą w nocnym mroku. Do uszu Vance'a dotarł cichy brzęk jakiejś broni palnej, zawieszanej na ramieniu i uderzającej wartownika w bok. Teraz! Rzucił się na niego z cegb w rękę.

Trafił go w tył głowy z głuchym młasczącym dźwiękiem. Strażnik osunął się cicho na wysypaną drobnym żwirem dróżkę.

Oddychając ciężko, Vance stał nad nim długo na szeroko rozstawionych nogach, wciąż ściskając w ręce cegłę i wpatrując się w nieruchomy czarny kształt leżący na białych kamkach.

Wreszcie cisnął cegłę w krzaki, przykleknął i odwrócił nieprzytomnego mężczyznę na plecy. Obok jego głowy widniała na żwirze ciemna plama krwi. Zabrał mu broń i zaczął ściągać z tego niskiego muskularnego mężczyzny coś, co wydawało się w dotyku sutanną z jakiegoś szorstkiego materiału. Mnich z karabinem maszynowym, pomyślał. Współczesne wcielenie braciszka Tucka.

W ciągu kilku sekund, które wydały mu się godziną, Vance ukrył ciało wartownika w krzakach, włożył sutannę na swoje ubranie i ruszył ścieżką, z bronią zawieszoną na ramieniu. Rozpoznał w niej typ pistoletu maszynowego uzi.

Uzbrojony i w przebraniu, poczuł się bezpieczniej - mimo iż sutanna niskiego mnicha była dla niego za mała. Ile czasu mu zostało, zanim odkryją zniknięcie strażnika?

Ścieżka wyprowadziła go na rozległą otwartą przestrzeń. Ośmielony przebraniem Erikson ruszył samym jej środkiem i był już w połowie drogi, gdy zdał sobie sprawę, że idzie przez cmentarz. To zupełnie naturalne w pobliżu klasztoru, pomyślał. Jednak po chwili w odległym kącie cmentarza dostrzegł ogromne mauzoleum z białego marmuru, zwieńczone swastyką. Może nie ma w tym niczego dziwnego, jeśli pamiętać o długim milczeniu Kościoła katolickiego w obliczu nazistowskiej eksterminacji Żydów. Mimo to... pomyślał i zboczył ze ścieżki, aby przyjrzeć się bliżej białemu gmachowi, majaczącemu widmowo w ciemności i górującemu nad otoczeniem.

Lecz gdy podszedł do niego, odkrył coś, co po prostu nie mogło pomieścić mu się w głowie. Na ścianie grobowca wyryto napis w języku niemieckim. Z twarzą tuż przy nim, odczytywał go wciąż od nowa, a potem, zaszokowany, przesunął palcami po literach, jak gdyby chcąc je w ten sposób wymazać. Gdyby uwierzyć inskrypcji - a nie potrafił się na to zdobyć - trzeba by przyjąć do wiadomości fakt, że w grobowcu spoczywało ciało Adolfa Hitlera. Jak również to, że Hitler żył jeszcze wiele lat po drugiej wojnie światowej i zmarł dopiero w roku 1957. Istniały ponoć niezbite dowody, że fihrer zginął pod koniec

wojny w swoim bunkrze. Vance przypuszczał, że mogły wobec tego zostać sfalszowane, lecz nie potrafił się z tym pogodzić.

Czując chaos w głowie przeszedł przez cmentarz, oglądając na chybił trafił kamienie nagrobne. Po pół godzinie doszedł do wniosku, że ta nekropolia jest albo okrutnym perwersyjnym żartem jakiegoś obłąkanego umysłu, albo częścią gigantycznego oszustwa o nieobliczalnych konsekwencjach dla historii współczesnej cywilizacji. Bowiem nagrobne tablice informowały, iż obok rzekomego grobowca Adolfa Hitlera spoczywają tu ciała bardzo wielu najrozmaitszych osób, zmarłych w ciągu ostatnich sześciuset lat, których nie łączyły żadne wspólne przekonania polityczne czy moralne, a jedynie sława i światowy rozgłos w ich dziedzinach - a także tajemnicze okoliczności śmierci. I tak znalazł tu groby Amelii Earhart, Martina Bormanna, pisarza Ambrose'a Bierce'a, Daga Hammarskjolda i szefa orkiestry jazzowej, Glenna Millera. Nazwiska ciągnęły się bez końca. Niektóre rozpoznawał, inne nic mu nie mówiły. O co tu, u diabła, chodziło?

Lecz nie dane mu było dłużej się nad tym zastanawiać gdyż w oddali usłyszał czyjeś głosy. Wrócił więc pospiesznie na ścieżkę i podjął swój marsz.

Żwirowa dróżka opuściła cmentarz i biegła teraz nad niewielkim urwiskiem. Vance zatrzymał się przy metalowej barierce, wychylił przez nią i w niebieskawym świetle lampy rtęciowej ujrzał dwóch mężczyzn wychodzących z grubych drewnianych drzwi wpasowanych w zbocze wzgórza.

Nie chcąc, by go zauważyli, wrócił na ścieżkę i ruszył dalej. Głosy, które przed chwilą usłyszał, zbliżyły się i nasiliły, a wówczas zdał sobie sprawę, że mówią po angielsku. Okrążył wierzchołek wzgórza i przygotował się na spotkanie z rozmawiającymi. Czy go zdemaskują?

- ... powinno zająć jeszcze najwyżej miesiąc - rzekł ktoś z włoskim akcentem.

Odpowiedział mu głos należący bez wątpienia do Amerykanina:

- Wydaje się, że to rozsądny termin. Wolałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o całej transakcji.

- Przykro mi, ale brat Grzegorz ma swoje powody, by zachować

dyskrecję, i obawiam się, że będziemy musieli je uszanować.

- Myślę, że... buona sera. -Amerykanin przerwał rozpoczęte zdanie i pozdrowił Vance po włosku, najwidoczniej biorąc go za wartownika. Vance odpowiedział tym samym i minął ich bez zatrzymania. Jednakże serce przestało łomotać mu w piersi dopiero, gdy tamci się oddalili.

Szedł dalej, lecz w głowie miał zamęt. Nie rozpoznał Włocha, ale ten drugi... Otrząsnął się, jakby chciał odegnać wspomnienie jakiegoś złego snu. To niemożliwe. Trent Barbour, amerykański kongresman, wpływowy przewodniczący komisji sił zbrojnych, zginął przecież jedenaście lat temu w katastrofie lotniczej nad Alaską.

Chociaż, pomyślał przypominając sobie szczegóły tamtego wydarzenia, doniesiono tylko, że wówczas zginął, gdyż jego ciała - podobnie jak wielu innych ofiar - nigdy nie odnaleziono. Jeszcze jedna zagadkowa śmierć, zupełnie jak tych pochowanych na cmentarzu. Tyle, że Trent Barbour z całą pewnością żyje. O ile to istotnie jego przed chwilą spotkał.

Doszedł do schodów prowadzących w dół do drzwi wbudowanych w zbocze wzgórza. Zatopiony w myślach, postawił nogę na pierwszym stopniu, usiłując przypomnieć sobie, co łączyło wszystkie te osoby. Glenn Miller zginął w tajemniczych okolicznościach w 1944 roku i jego ciała nigdy nie odnaleziono. Amelię Earhart widziano po raz ostatni w Burbank, skąd wystartowała do samotnego lotu przez Pacyfik. Podobnie zginął Ambrose Bierce w roku 1914. Lecz w przypadku Hammarskjolda było inaczej.

Schodził powoli po stopniach, odtwarzając w myślach szczegóły tego wydarzenia. Sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjold zginął w 1961 roku w katastrofie lotniczej w Afryce. Tak samo jak Barbour? Ale przecież ciało Hammarskjolda odnaleziono. Raptem uderzyła go nowa myśl. A jeżeli on wcale nie zginął, tylko ktoś podrzucił zamiast niego jakieś inne zwłoki? Ofiary wypadków lotniczych są zwykle zmasakrowane nie do poznania. Wystarczyło jedynie przekupić lekarza, żeby wystawił fałszywy akt zgonu.

W jego umyśle zapanował chaos. Zakonnicy usiłowali go zabić. Zamordowali najwybitniejszych na świecie specjalistów od Leonarda

da Vinci. Obecnie był już tego pewien. I ci sami zwariowani mnisi trzymali u siebie kolekcję ludzi - żywych i martwych. Wszystko to nie miało najmniejszego sensu.

Oparł się chęci powrotu na cmentarz i przekonania się, kto jeszcze jest tam pochowany. Zszedł po schodach, minął drzwi w zбочu i ruszył przez odkryty teren w stronę małego budynku z okratowanymi oknami. Przyspieszył, lecz nie na tyle, by ściągnąć na siebie czyjąś uwagę. Szedł energicznym krokiem, jednak bez zbędnego pośpiechu, ze spuszczonym oczami, jakby wykonywał jakieś ważne zadanie.

Zbliżywszy się do niewielkiego kamiennego domu z kratami w oknach, rzucił ukradkowe spojrzenie na drzwi, strzeżone przez dwóch mnichów z pistoletami maszynowymi uzi, takimi samymi jak ten, który miał na ramieniu. Czy należało podać jakieś hasło? Nie podnosił wzroku, by uniknąć spojrzenia im w oczy. Lepiej zrobić wrażenie zaaferowanego i roztargnionego, niż powiedzieć coś, co go zdradzi.

Przeszedł obok wejścia, przez nikogo nie nagabywany, i zniknął za rogiem budynku. Tam zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Nie podniesiono z jego powodu żadnego alarmu. Szybko wśliznął się w krzaki, otaczające dom, po czym przykucnął w ciemnościach i czekał... choć sam nie wiedział, na co.

Po kilku ciągnących się niemiłosiernie minutach wyprostował się, wciąż jednak zasłonięty przez wysokie krzewy. Tuż przy jego nogach znajdowało się długie i wąskie ciemne okienko piwniczne, natomiast okno jakieś dwa metry nad nim było jaskrawo oświetlone. Ciekawość wzięła w nim górę nad ostrożnością. Chwycił pręt kraty. Był teraz widoczny dla każdego, kto spojrzałby w tę stronę, ale koniecznie chciał się dowiedzieć, co jest w środku.

Sprawdził, czy krata nie narobi hałasu, kiedy uwiesi się na niej całym ciężarem, a potem podciągnął się powoli. Kiedy jednak zerknął ponad parapetem, ze zdziwieniaomal jej nie puścił. Wewnątrz, na skraju przykrytego kołdrą łóżka siedział nagi do pasa profesor Tosi. Vance przyglądał się ze zdumieniem, jak profesor wyciągnął rękę do zastrzyku, który zrobił mu pielęgniarka w białej kurtce. Tuż pod mostkiem Tosiego widniała świeża blizna, wciąż jeszcze czerwona i

zaogniona - najwyraźniej ślad po niedawnej operacji chirurgicznej.

Muszę dostać się do środka, postanowił Vance, opuszczając się z powrotem na dół. Wciąż ukryty za krzakami, przesunął się pomału w kierunku wejścia do budynku, pilnowanego przez dwóch strażników. Jak do wielu budowanych współcześnie domów, wchodziło się do niego po schodach i przez portykowy ganek. Poniżej schodów były drugie drzwi, prowadzące do piwnicy. Vance przekradł się do nich chyłkiem, po czym stanął skonsternowany, ujrawszy metalową kratownicę, chroniącą ich wielką szklaną tafłę, oraz kilka solidnie wyglądających zamków.

Obszedł budynek, lecz nie znalazł żadnego innego wejścia. Jedyne droga do środka, oprócz tej strzeżonej przez wartowników, wiodła przez piwniczne drzwi. Wszystkie okna były zakratowane. Odrzucił pomysł, by podejść tamtych podstępem. Cholera, cholera, cholera! zaklął cicho, po czym usiadł, żeby się zastanowić.

Słuchaj, chłopie, powiedział do siebie, powinieneś wynieść się z tego cudacznego miejsca, pókiś cały. Wiedział jednak, że nie może zostawić tu Tosiego. A co z tym dziwacznym cmentarzem i Trentem Barbourem? I z morderczymi mnichami? Zdjął z ramienia automat uzi i położył go na parapecie piwnicznego okna. Zawadził przy tym dłonią o beton, w który wmurowane były pręty kraty, i niechcący odkruszył kawałek.

Chwycił ukruszony odłamek i przyjrzał mu się z bliska. Był stary i rozmiękły od przygruntowej wilgoci. Vance opadł na czworaki i z podnieceniem zaczął wyłamywać beton. Pręty były najwyraźniej stare. U góry okna osadzono je w otworach wywierconych w kamieniu, u dołu zaś wmurowano w beton wylany na parapet. Widocznie przy skokach temperatury kamień oraz beton rozszerzały się i kurczyły w różnym tempie i w ciągu wielu lat ten drugi stopniowo uległ zniszczeniu. Dzięki temu w niecałe dwadzieścia minut Erikson usunął wszystkie pręty.

Nie myte od lat, brudne okno było niemal zupełnie nieprzejrzyste. Otwierało się do środka; jego metalową ramę osadzono na dwóch zawiasach, umieszczonych w dolnych rogach. Vance otworzył je bez trudu i opuścił ostrożnie, aż zwisło pionowo przy wewnętrznej ścianie.



Zajrzał do środka, lecz nie mógł niczego dostrzec. Było tam ciemniej niż na zewnątrz w bezksiężycową noc. Mimo to bez namysłu ściągnął z siebie sutannę krępego księdza, przecisnął się nogami naprzód przez wąski otwór okienny i zeskoczył na jakąś drewnianą skrzynię, która wydała stłumiony, głuchy odgłos. Następnie ostrożnie wciągnął przez okno pistolet maszynowy i sutannę, a potem z powrotem wstawił pręty, na ile się dało. Pomyślał, że odkryto by włamanie podczas dokładnej kontroli, lecz było mało prawdopodobne, aby przeprowadzono ją tej nocy.

Zeskoczył na twardą betonową podłogę. Stał chwilę bez ruchu, usiłując rozeznaczyć się w ciemnościach. Poczł stęchły zaduch niewietrzonego od dawna pomieszczenia. poskonale, pomyślał. To jakiś nieużywany składzik, więc tym bardziej bezpieczny.

Gdy ostrożnie starał się wymacać rękami drogę, odkrył je wszędzie stoją sterty skrzynek, sięgające mu powyżej głowy. Skręciwszy za róg, dostrzegł wąską smugę światła u dołu jakichś drzwi i mógł wreszcie dojrzeć kształt pokoju, choć poświata była zbyt nikła, aby wydobyć z mroku barwy.

Teraz, kiedy już coś widział, śmieiej posuwał się naprzód. Dotarł do drzwi i zbadal ich zasuwę. Otwierała się od wewnątrz! Poszukał po omacku najpierw po prawej stronie drzwi, potem po lewej, i w końcu znalazł staroświecki wyłącznik światła z dwoma przyciskami. Nacisnął ten bardziej wystający i pokój wypełniło mdle żółtawe światło słabej żarówki, rzucającej ostre cienie.

Rozejrzał się po skrzyniach z nieheblowanego drewna i ponownie osłupiał ze zdumienia, a jego napięte do granic wytrzymałości nerwy niemal odmówiły posłuszeństwa. Wszystkie skrzynie były oznakowane swastykami i symbolami hitlerowskiego SS. Pochylił się, by obejrzeć poplamione i podarte nalepki przewozowe. W słabym świetle trudno było odczytać wyblakłe napisy na pociemniałym ze starości papierze, ale na jednej zdołał odcyfrować nazwisko „Goering”.

Co tu się dzieje, do niezbyt jasnej i całkiem niespodziewanej cholery?! Zapomniawszy chwilowo o Tosim, wspiął się na stertę skrzyń i podważył wieko tej na samej górze. Wysznięte i skruszałe deski łatwo poddały się jego wysiłkom. Ze zmarszczonymi brwiami

zajrzał w głąb skrzyni i dostrzegł krawędź ramy jakiegoś obrazu. Wyciągnął go i gwizdnął cicho. Z podziwu zapało mu dech. Było to malowidło Tycjana, jedno z tysięcy bezcennych skarbów sztuki, zrabowanych przez nazistów podczas drugiej wojny światowej i nigdy nie odzyskanych. Goering zasłynął z tego, że kolekcjonował dzieła sztuki kradzione w całej Europie, a tu oto znajdowało się jedno z najcenniejszych!

Vance umieścił ostrożnie obraz z powrotem w skrzyni i przykrył ją wiekiem, po czym rozejrzał się z respektem po magazynie. Czy wszystkie skrzynie mieszczą równie oszałamiające skarby? Przywdział z powrotem sutannę, mając nadzieję, że nikt nie zauważy pod nią jego białych tenisówek ani rąk wystających na piętnaście centymetrów ze zbyt krótkich rękawów - i że w ogóle nie napotka nikogo, kto mógłby to dostrzec.

Gdy zgasił światło, otworzył zasuwę i nacisnął klamkę, poczuł przyływ spokoju. Sprawdził, czy pistolet maszynowy jest odbezpieczony, a potem wyszedł na korytarz.

\*\*\*

Biegący wzdłuż całego budynku korytarz był pusty.

Vance poszedł w stronę przeciwną do tej, w której znajdowali się dwaj wartownicy, i na końcu korytarza znalazł nieoświetlone schody, prowadzące na górę. Zaczął po nich ostrożnie wchodzić. Piętro wyżej był Tosi.

Wyszedł na tyły wielkiej kuchni, ciemnej teraz i opustoszałej. Za wahadłowymi drzwiami zobaczył światło.

Pchnął je ostrożnie i przeszedł przez jadalnię po grubym dywanie, tłumiącym odgłos kroków. Znalazł się w pustym holu, wiodącym aż do wejścia. Nie widział strażników; stali za dwuskrzydłymi drzwiami z ciemnego drewna. Oprócz nich chyba nikogo tu nie było. To świetnie, pomyślał. W tutejszym systemie ochrony jest więcej dziur niż w szwajcarskim serze. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Policzył drzwi w holu. Tosi powinien być za drugimi od frontu. Podeszedł do nich cicho. Nie miały żadnych zamków, a tylko obrotową zasuwę. Przekręcił ją i nacisnął klamkę - ustąpiła.

Drzwi otwierały się na zewnątrz, tak żeby nikt nie mógł od środka usunąć zawiasów. Wśliznął się do ciemnego pokoju i na łóżku ujrzał Tosiego, zwiniętego w kłębek pod kołdrą. Zanim zamknął drzwi, przesunął dłonią po nich wewnętrznej stronie. Tak jak się spodziewał, nie natrafił na żadną klamkę ani dostęp do zasuw. Kiedy lokatorów tego pokoju zamykano, nie mogli wyjść, dopóki ktoś ich nie wypuścił. Przymknął drzwi, uważając, by się nie zatrzasnęły.

- Tosi! - wyszeptał. Leżąca w łóżku postać poruszyła się. Podniósł nieco głos: - Profesorze Tosi, niech pan się obudzi!

- Kto to? - odezwał się zaspany, półprzytomny głos. - Kim jesteś... i dlaczego...?

Zaszeleściła pościel.

- Za późno dostałem pańską notkę - powiedział po włosku Vance. Szelest ustał.

- Vance? - spytał niepewnie Tosi. - Vance Erikson?

- Tak, profesorze. Niech się pan ubierze, zabiorę pana stąd.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko oddechy obydwu mężczyzn. Wreszcie Tosi rzekł ze smutkiem:

- Nie mogę tego zrobić..

- Co to znaczy, że pan nie może? Musi pan jedynie wyjść stąd ze mną. Chodźmy, razem nam się uda.

- Tobie może się udać, mój młody przyjacielu - powiedział ze znużeniem Tosi. - Ale nawet gdyby mnie tu nie uwięzono, w żadnym razie nie dotrzymałbym ci kroku. Młodzieńcze, ratuj lepiej swoją młodą przyjaciółkę.

- Suzanne? - rzucił Vance bez tchu, tak wzburzony, że nieomal zatrzasnął drzwi. - Ona tu jest? Suzanne Storm? Skąd pan wie? Kiedy ją tu...

- Uspokój się, Vance - powiedział łagodnie Tosi - i wysłuchaj mnie. - Pościel znów zaszeleściła i Erikson dostrzegł niewyraźnie sylwetkę starego profesora, który wygramolił się z łóżka, poszukał czegoś na toaletce, a potem podszedł do niego. - Weź to - rzekł, podając Vance'owi kawałek taśmy izolacyjnej. - Oderwałem to od sznura do radia tego dnia, kiedy mnie tu przywieźli. Myślałem, że się tym posłużę, ale potem uwięzali mnie tutaj i teraz jest już dla mnie

bezużyteczne. Lecz ty możesz tego użyć.

Erikson nie poruszył się, więc Tosi odebrał mu taśmę i podszedł do drzwi. Uchylił je lekko, wcisnął zatrząsk i unieruchomił go taśmą.

- I już - powiedział. - Dzięki temu stąd wyjdiesz. - Domknął całkowicie drzwi, ale wyczuwając napięcie Vance'a dodał: - Nie denerwuj się. Gdy już zamkną mnie na noc, wszyscy wychodzą, z wyjątkiem tych dwóch przy wejściu. Widzisz, kiedy nas tu uwiążą, nie mamy szansy stąd wyjść. A teraz podejdź tutaj, usiądź i porozmawiaj ze mną chwilę. Potem będziesz musiał zniknąć.

Uwiążą? Nas? pomyślał Vance. Więc Suzanne tu była! Czy ją też „uwiązali”? I co to w ogóle znaczy? Pytania wirowały mu szaleńczo w głowie.

Usiadł w prostym krześle, a Tosi wrócił do łóżka i siadł na brzegu. Spoglądali na siebie przez chwilę, po czym Vance zapytał:

- Trzymają tu Suzanne? Jest pan tego pewien?

- Tak - odparł profesor. - Przywieźli ją dziś wieczorem.

Wywołało to zresztą spore poruszenie. Wygląda na to, że oboje zdołaliście w krótkim czasie nieźle zaleźć im za skórę. Zabiliście kilku z nich, prawda? Żałuję, że ja nie miałem takiej okazji. Och tak, tutejsi żołnierze wiele o tym rozmawiali - właśnie dzięki temu ja i inni dowiedzieliśmy się o tobie i o niej. Oczywiście nie widziałem jej. Nowo przybyli są trzymani osobno, dopóki nie zostaną uwiązani.

- Uwiązani? Co to, u diabła, znaczy?

- Och - westchnął żałośnie. - To znaczy... - Urwał. - No więc... uwiązanie, to coś, co ci robią, żeby uniemożliwić wyjście stąd. Popatrz - powiedział rozpinając bluzę pizamy. - Podejdź tu i spójrz, jeśli zdołasz po ciemku coś dostrzec. - Rozchylił jej poły i wskazał na bliźnę, którą Vance już wcześniej widział. - W gruncie rzeczy to bardzo pomysłowe. Rodzaj toksyny w syntetycznej membranie, wszczepionej w jamę klatki piersiowej. Jak twierdzi brat Grzegorz...

- Brat Grzegorz?

- Przeor klasztoru. Podobno spotkałeś go wczoraj i omal nie zabiłeś. Niski facet w okularach.

- Tak - powiedział z goryczą Vance, przypomniawszy sobie księdza z kościoła Santa Maria delie Grazie w Mediolanie i z podziemi

Castello Caizzi. - Doskonale go pamiętam. On tu rządzi?

Tosi skinął głową. Erikson usadowił się możliwie najwygodniej w twardym krześle.

- Grzegorz ma istną manię wielkości - mówił dalej profesor. - Zdaje się, że chce zostać papieżem. - Vance poderwał głowę. - Naprawdę - potwierdził Tosi. - I co gorsza, dysponuje środkami, by to osiągnąć.

- Trudno mi w to uwierzyć - rzekł Erikson z niedowierzaniem. Nie miał ochoty wysłuchiwać bajeczek o jakimś domorosłym religijnym Napoleonie. - Niech mi pan lepiej powie, co z Suzanne.

- Za chwilę - odparł Tosi spokojnie. Zbyt spokojnie pomyślał Vance. - Jak już wspomniałem - podjął monotonnym tonem akademickiego wykładowcy - implanty zawierają śmiertelną truciznę. Przynajmniej tak utrzymuje brat Grzegorz, a potrafi tego dowieść. Trucizna ta jest otoczona półprzepuszczalną syntetyczną błoną, której pory pozostają zamknięte, dopóki wypijamy niewielkie ilości pewnego płynu albo cztery razy dziennie dostajemy zastrzyki. To ulepszona wersja dawnych dwustronnych błon osmotycznych, bardzo popularnych w latach sześćdziesiątych.

Tosi mówił dalej, a Erikson słuchał go, osłupiały ze zgrozy. Wszystkim tutaj - zarówno braciom, jak i ich „gościom” - wszczepiono implanty, wskutek czego nie mogą opuścić klasztoru bez zezwolenia. Próba ucieczki skończyłaby się dla każdego niechybną śmiercią, gdyż dostęp do antidotum mają jedynie czterej najbardziej zaufani współpracownicy Grzegorza.

- Ale przecież można by pojechać szybko do szpitala i poprosić o usunięcie wszczepu - zauważył Vance.

- O tym też pomyśleli, mój młody przyjacielu - odparł Tosi. - Błona jest cienka i delikatna. Grzegorz poinformował nas, że każda próba jej usunięcia nieuchronnie spowoduje uwolnienie zawartości i śmierć delikwenta. A przypuszczam, że nie powiedział nam wszystkiego.

- A może on tylko blefuje - podsunął z nadzieją Vance. - Może to po prostu zwykła bajeczka, która ma was zastraszyć. Skąd jakaś banda mnichów mogłaby mieć zaawansowaną wiedzę medyczną, niezbędną

do wytworzenia takiego implantu?

- Nie zapominaj, że wiele odkryć naukowych, szczególnie w dziedzinie genetyki, było dziełem zakonników - odparł profesor. - W ciągu ostatniego tysiąclecia liczne zakony osiągnęły zadziwiający poziom wiedzy. Zaś ten zakon... ten zakon przoduje wśród nich wszystkich. Nienawidzę jego wynalazków jako ich ofiara, lecz jako naukowiec podziwiam ich perfidny geniusz.

-Ale skąd pan to może wiedzieć? - upierał się Erikson. - Skąd ma pan pewność, że ten wszczep naprawdę istnieje? Wiem, że nie przyjąłby pan takich rewelacji na wiarę, zwłaszcza jeśli pochodzą od gromady zwariowanych księży.

-Jestem pewien, że część tego, co brat Grzegorz powiedział nam o implantach, jest zmyślona - odparł Tosi. -Lecz nawet jeśli dziewięćdziesiąt procent to kłamstwo, nie wiemy, które z pozostałych dziesięciu jest prawdą. A żaden z nas nie ma ochoty ryzykować - z wyjątkiem tych, których rozpacz popchnęłaby do targnięcia się na swe życie. Bo właśnie tym byłaby ucieczka: samobójstwem. Lecz nawet ono jest mało prawdopodobne. Bowiem śmierć od trucizny bywa najczęściej potworną męką.

Vance siedział w milczeniu, próbując uświadomić sobie konsekwencje tego, co usłyszał. Pojmował teraz, dlaczego środki bezpieczeństwa są tu surowe, lecz nie nazbyt wyrafinowane, a budynku strzeże zaledwie dwóch ludzi.

- Czy kiedykolwiek udało się komuś stąd uciec? - zapytał po chwili.

- Brat Grzegorz twierdzi, że nie.

-Ja po prostu... - przerwał mu Vance, szukając odpowiednich słów - po prostu nie potrafię w to uwierzyć. -Z drugiej strony po znalezieniu w piwnicy obrazu Tycjana i po obejrzeniu cmentarza, był już w stanie uwierzyć niemal we wszystko. - Ale w jaki sposób? - zapytał. - Dlaczego...? Po co to wszystko?

- Na to pytanie trochę łatwiej odpowiedzieć - rzekł Tosi. - Dla każdego „gościa”, który zostanie zaakceptowany..

- Tych, którzy nie są zaakceptowani, zabija się?

Tosi skinął głową w mroku.

- Tak. Dla każdego gościa, który zostaje przyjęty, organizuje się sesję indoktrynacyjną - ciągnął. - Prezentuje się nam historię i cele zakonu, a potem pozostawia wybór: albo zgodzimy się wykonywać pewne użyteczne dla nich zadania, albo umrzemy. Tylko niewielu „gości” odmówiło.

- Dlaczego?

- Ponieważ goście są starannie dobrani. Ich praca i zainteresowania pokrywają się z celami klasztoru, a propozycja, którą się im przedstawia, jest tak kusząca... no, po prostu nieodparta.

- Nie rozumiem - powiedział z uporem Vance. - Cóż takiego może zaoferować klasztor, żeby skłonić pana, czy kogokolwiek innego, do współpracy? Zwłaszcza pana. Eks-komunikowanie przez papieża nie uczyniło z pana chyba dobrego kandydata na akolitę.

Stary człowiek westchnął.

- Pozwól, że wytłumaczę ci rzecz dokładnie, zaczynając od początku, a dopiero potem powiem, dlaczego zdecydowałem się do końca życia pić cztery razy dziennie szklaneczkę tego nieco gorzkiego płynu.

Wyjaśnił, że Bracia Wybrańcy św. Piotra odłączyli się od Kościoła jeszcze przed wielką schizmą. Bracia uważali Kościół katolicki za instytucję przeżartą złem i nadmiernie skłoną do kompromisów z wymogami świata, w zamian za powiększanie liczby wyznawców. Byli w tym - i wciąż są - bardzo podobni do fundamentalistów muzułmańskich z Bliskiego Wschodu, traktujących nawet śmierć jako zbyt lekką karę za pogwałcenie ich religijnych dogmatów. Islamscy fanatycy, zabójcy prezydenta Egiptu Anwara Sada-ta, posługują się tą samą logiką, która rządzi poczynaniami Braci Wybrańców.

- Bracia Wybrańcy św. Piotra zyskali bogatych i potężnych sprzymierzeńców, którzy, podobnie jak oni, chcą usunąć obecnego papieża. W ciągu stuleci Bracia zawiązywali tajne spiski z coraz to innymi sojusznikami. Powoływali antypapieży, dopuszczali się zabójstw i otruc wśród Kolegium Kardynałów, organizowali powstania przeciw Kościołowi, a w roku 1427 przyłączyli się nawet do najazdu Francuzów plądrujących Watykan. Pośród zrabowanych wówczas

przez nich relikwii i dokumentów były kości św. Piotra, które zastąpili anonimowymi szczątkami, wykradzionymi z jakiegoś rzymskiego grobowca.

- Co więcej, mówił dalej Tosi, wszyscy Bracia Wybrańcy wywodzili się w prostej linii od samego świętego Piotra, będąc potomkami jego jedyne, nieślubnego syna.

- To niesamowite - rzekł oszołomiony Vance. - To obala doktrynę o celibacie.

- Owszem - zgodził się profesor. - Gdyby świat katolicki dowiedział się, że w grobowcu świętego Piotra spoczywają kości jakiejś nieznaney osoby, wstrząsnęłoby to podstawami Kościoła. Poddano by w wątpliwość wiele prawd, które katolicy uważają za święte i niewzruszone. Możliwe nawet, że Kościół katolicki w obecnym kształcie przestałby istnieć.

- I właśnie tego chce brat Grzegorz?

- Nie. Chociaż podczas sesji indoktrynacyjnej nie powiedziano nam tego wprost, wywnioskowałem że Bracia muszą uczynić więcej, niż tylko ujawnić fakt posiadania kości św. Piotra - powiedział Tosi, kładąc się znów na łóżku. - Widzisz, w przeszłości Bracia mieli już kilka okazji, aby zniszczyć Kościół. W istocie, udało im się usunąć wielu papieży, lecz nigdy nie zdołali przez to utrwalić swej władzy. Zawiązywane przez nich przymierza niezmiennie się rozpadały, a ich tak zwani sojusznicy powoływali bardziej posłusznych sobie papieży spoza zakonu. Obecnie Bracia muszą znaleźć jakiś sposób umocnienia swej potęgi. Zakon usiłował budować ją od wewnątrz, aby ograniczyć konieczność współdziałania z niewierzącymi. Zakładał własne uniwersytety i laboratoria naukowe, przyciągając do nich najświetniejsze umysły. Grupki mnichów zjawiały się u wybitnych naukowców lub artystów, porywały ich i sprowadzały do klasztoru. Początkowo zabobonne społeczności przypisywały owe tajemnicze zniknięcia działalności demonów. W końcu jednak, po kilku przypadkach, kiedy cudem uniknęli zdemaskowania, Bracia zaczęli upozorowywać śmierć swych ofiar, podpalając ich domy i podkładając wewnątrz czyjeś ciała lub aranżując inne tego typu wypadki. Ściągnięci w ten sposób ludzie zostali pierwszymi gośćmi klasztoru.



- Z czasem Bracia zaczęli stosować bardziej wyrafinowane metody. Umieszczali własnych członków w innych zakonach, aby ci stwierdzali śmierć wskutek choroby ludzi, których w rzeczywistości porywali i sprowadzali do klasztoru.

Vance wspomniał swoje dziwne odkrycie sprzed kilku godzin.

- Ten cmentarz... - rzekł z wahaniem.

- Tak - powiedział profesor, domyślając się, o co mu chodzi. - To niezwykle miejsce. Jest tam pochowany Galileusz... ten prawdziwy, bo jego oficjalny grób to falsyfikat. A oprócz niego masa innych geniuszy. Mozart, Monteverdi... Nawet król Francji Henryk III, zamordowany ponoć w roku 1589 przez jakiegoś mnicha. Możesz łatwo zgadnąć, z jakiego zakonu pochodził ten mnich.

-Ale czy żaden z tamtych ludzi nie mógł uciec? - spytał z powątpiewaniem Erikson. - Przecież nie mieli wtedy implantów.

- To prawda, lecz zakon, zgromadziwszy już wówczas zestaw wybitnych umysłów, dysponował całą sumą ówczesnej wiedzy. Wydaje się, że Bracia już na początku piętnastego wieku odkryli truciznę zawartą w grzybach amanila - jej potoczna nazwa to „anioł śmierci” - którą można zneutralizować za pomocą specjalnego wyciągu z roślin takich, jak ziele jaśminu. Chociaż dopiero czterysta lat później dowiedzieli się, że ten wyciąg z jaśminu jest w istocie siarczanem atropiny, zaś sama trucizna z grzyba to muskaryna.

Grzyby dodawano gościom codziennie do posiłków, a potem, aby zapobiec ich trującemu działaniu, podawano im atropinę. Ustalenie odpowiednich dawek i dopasowanie ich do wagi ciała pochłoneńcy życie kilku „gości”, ale ostatecznie Bracia opanowali ten system do perfekcji i stosowali go aż do wczesnych lat 50. dwudziestego wieku.

Vance powoli potrząsnął głową. Ileż ludzkiego geniuszu zmarnotrawiono dla osiągnięcia tego wstrętnego, perfidnego celu!

- W gruncie rzeczy Bracia stali się kolekcjonerami geniuszy - kontynuował Tosi. - Gromadzili nie tylko idee, dzieła i rezultaty twórczej pracy najwybitniejszych umysłów nowożytnej historii, lecz również samych ludzi. Kolekcjonowali istoty ludzkie w taki sam sposób, jak hobbysta zbiera znaczki lub monety.

- W miarę jak Bracia Wybrańcy sprowadzali coraz więcej ludzi,

rozrastał się też klasztor. Wzniesli pomieszczenia dla zakonników, a później kwatery dla „gości”. Potem wybudowali wewnątrz wzgórza wygodniejszą i lepiej chronioną siedzibę dla swych sojuszników, mieszczącą też bezpieczny magazyn ich zbiorów.

- Ale przecież widziałem cenny obraz Tycjana w piwnicznym składzie - przerwał Erikson. - Dlaczego nie przechowują go w tamtym magazynie?

Tosi siedział nieruchomo w półmroku.

- Jakkolwiek trudno przyjdzie ci to pojąć Vance - odezwał się po chwili milczenia dzieła sztuki w piwnicy są najmniej cennymi ze zgromadzonych tutaj skarbów.

- Nieznane oryginalne utwory Mozarta, skomponowane już po rzekomej śmierci tego geniusza; teorie autorstwa najwybitniejszych naukowców wiadome jedynie Braciom; obrazy mistrzów przewyższające ich słynne dzieła, a stworzone długo po tym jak ofejalnie zmarli i zostali pochowani. Wszystko to wypełnia pieczołowicie strzeżony

magazyn, wykuty w zboczu góry

- W rezultacie swej wielowiekowej działalności - ciągnął profesor - Bracia Wybrańcy stali się ekspertami w dziedzinie porwań i zabójstw.

- Ich zachowanie w ciągu ostatnich paru dni świadczyło raczej o czymś przeciwnym zauważył Vance. - Nie, żebym tego żałował, ale spartaczyli niemal każdą podjętą przeciw nam akcję.

Tosi pokiwał głową.

- Z podsłuchanych przeze mnie plotek i rozmów strażników wywnioskowałem, że wynikało to ze sporów o przywództwo pomiędzy bratem Grzegorzem a Bremeńską Legacją.

- Bremeńską Legacją? - wykrzyknął półgłosem Vance. Kingsbury był członkiem tej międzynarodowej organizacji!

- Tak jest - potwierdził Tosi. - Ale zaczekaj chwilę, dojdę i do tego. Muszę opowiedzieć o wszystkim po kolei, inaczej zostanie ci w głowie jeszcze większy mętlik.

Wraz ze zmieniającą się w ciągu stuleci sytuacją polityczną, wyjaśniał dalej, pomimo dysponowania przez zakon rosnącym zasobem

plodów ludzkiego geniuszu wkrótce stało się oczywiste, że świat zrobił się po prostu zbyt wielki i skomplikowany. I oto Bracia raz jeszcze musieli znaleźć sobie jakiegoś świeckiego sprzymierzeńca.

- Przez niemal cały dziewiętnasty wiek im się to nie udawało, aż wreszcie zawarli sojusz z Alfredem Kruppem.

Słyszając to znajome nazwisko, Erikson wyprostował się raptownie na krześle.

- Krupp! Prawie boję się usłyszeć dalszy ciąg.

- Zaczekaj - rzekł profesor. - To, co ci teraz powiem, szczególnie cię zainteresuje. W zamian za pomoc w umieszczeniu członków zakonu w Watykanie, Krupp uzyskał dostęp do kilku nieznanych dotąd szkiców i wynalazków Leonarda da Vinci.

A zatem o to chodzi, pomyślał Vance. O klucz do potęgi.

- Trzeba ci wiedzieć - mówił dalej Tosi — że Bracia posiadają największy na świecie zbiór dzieł Leonarda. De Beatis był jednym z ich ludzi. Po śmierci da Vinciego zdołał o kilka godzin ubiec wysłanników Watykanu w drodze do Cloux. Mnisi z zakonu Braci Wybrańców odebrali siłą większość notatników i prac geniusza i przywieźli tutaj. Ludzie papieża zjawili się, gdy de Beatis ładował na wóz ostatnie z nich. Nawiasem mówiąc, w tej partii znajdował się kodeks zakupiony niedawno przez twojego szefa Kingsbury'ego. Zabrano je do Watykanu i dokładnie przestudiowano. Później kolejni papieże i urzędnicy watykańscy rozdali większość z nich jako prezenty lub ciekawostki.

Erikson siedział w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami, oniemiały ze zdumienia.

- Widzisz, Vance - powiedział Tosi tonem usprawiedliwienia, mającym oznaczać: zrozum, proszę, dlaczego to zrobiłem - nieodparta propozycja, przedstawiona mi przez brata Grzegorza, polega na tym, żebym spędził resztę życia, używając mej wiedzynaukowej do badania potężnej kolekcji dzieł Leonarda, nieznanym współczesnym ludziom. Nie uwierzyłbyś, czego ten geniusz dokonał. Koncepcje, które opracował na długo, zanim technologia była w stanie wcielić je w życie, są zdumiewające. Z tego, co zdołałem przestudiować w ciągu tych kilku dni, odkąd mnie tu sprowadzono, zorientowałem się, że wiele jego pomysłów jest tak skomplikowanych, że nasza technika

wciąż nie potrafi im sprostać.

- Vance milczał z niedowierzaniem. - Czy nie rozumiesz? - zapytał profesor. - Jako fizyk mam okazję przekonać się, czy potrafię zastosować geniusz Leonarda w dzisiejszym świecie.

W jego głosie pobrzmiwała nuta szaleństwa człowieka, którego zmuszono do podjęcia straszliwej decyzji dotyczącej życia lub śmierci, dając mu zbyt mało czasu, by mógł się z nią w pełni uporać. Był tak bliski obłędu, jak tylko może być zwykły rozsądny człowiek, wrzucony w ekstremalną sytuację. Brat Grzegorz i jego zwariowani mnisi ozywili faustowski kontrakt. W zamian za dostęp do wiedzy wypracowanej przez najświetniejszy umysł w historii, skonstatował w duchu Erikson, Tosi niemal zaprzedał duszę diabłu. Brat Grzegorz, niczym współczesny Mefistofeles, obiecał mu mądrość i życie, zyskując za to jego oddanie. Vance musiał ze smutkiem przyznać, że na miejscu Tosiego być może postąpiłby tak samo.

Profesor mówił dalej. Teraz, gdy opowiadał o przeszłości, z jego głosu ulotniło się szaleństwo.

- Podobnie jak wcześniejsze sojusze, ten z Kruppem również się rozpadł, tym razem dlatego, iż Niemcy przegrały pierwszą wojnę światową. Przypuszczam, że gdyby wyszły z niej zwycięsko, historia papieżstwa wyglądałaby zupełnie inaczej. Tak czy owak, sojusz z Kruppem zastąpiło jeszcze ściślejsze przymierze z Hitlerem...

- Co tłumaczy obecność jego ciała na cmentarzu?

- Och, tak - odrzekł Tosi. - Jest tam cała kwatera poświęcona zaginionym nazistom. A jak się zapewne domyślasz, jeszcze większa ich liczba dożywa swoich dni w apartamentach w zboczach wzgórz. W istocie to jedyny powód, dla którego Watykan tak długo zwlekał z potępieniem Hitlera. Zarówno brat Grzegorz, jak i papież usiłowali zawrzeć pakt z fuhrerem. Dopiero po tym, jak Hitler podpisał układ z Braćmi, papież zdecydował się go potępić. Wynikało to bardziej z urazy wzgardzonego konkurenta niż z moralnego oburzenia. Nie zapominaj nigdy, że Watykan kieruje się przede wszystkim racjami politycznymi, a nie religijnymi. Władza ma pierwszeństwo przed duchem.

Tosi mówił z goryczą człowieka odrzuconego przez Kościół. Był

jednym z niewielu współczesnych ludzi wyklętych za herezję. Nigdy nie wyjawiał żadnych szczegółów i Vance sądził, że lepiej o to nie pytać.

Zdał sobie sprawę, że słucha tej niedorzecznej opowieści już bez niedowierzania. Relacjonowane fakty były tak fantastyczne, że gdyby Tosi powiedział mu, iż w sąsiednim pokoju mieszka Jezus Chrystus z implantem w piersi, uwierzyłby bez zastrzeżeń. Ludzki umysł jest zadziwiającym tworem, pomyślał. Elastyczność i zdolność do natychmiastowej adaptacji stanowi jego największą zaletę, a zarazem wadę. Bowiem z jednej strony, ta inna jętność adaptacji pozwoliła naszemu gatunkowi prze trwać; zarazem jednak owa łatwość przystosowania się do najokrutniejszych i najbardziej nieludzkich potworności i zaakceptowania ich jako godnych wprowadzić pozałowania, lecz czasami nieuniknionych elementów rzeczywistości, kryje w sobie załóżki zagłady. Umysł ludzki, zdolny dokonać eksterminacji sześciu milionów Żydów, a jednocześnie umieścić człowieka na Księżycu, potrafi z pewnością stworzyć ideę rządów brata Grzegorza i wcielić ją w życie.

- Okazało się, że kolejne szkice Leonarda da Vinci, przekazane Hitlerowi przez poprzednika brata Grzegorza, umożliwiły Niemcom skonstruowanie pierwszych rakiet i udoskonalenie podwodnych działań wojennych -mówił dalej Tosi. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że szkice Leonarda nie były precyzyjnymi rysunkami technicznymi. Niemniej jego niewiarygodnie błyskotliwy umysł wypracował rozmaite koncepcje i unikalne sposoby rozwiązywania problemów, które pozwoliły współczesnym inżynierom i naukowcom wyszlifować i doprowadzić do perfekcji ich własne pomysły.

- Tak, Leonardo i naziści nieomal wygrali drugą wojnę światową. - rzeki Tosi i dodał cicho ze smutkiem: - Da Vinci zapłakałby nad takim wykorzystaniem jego wynalazków. Ale... - w głosie profesora zabrzmiała histeria człowieka usiłującego przekonać samego siebie do jakiejś rządzącej się pokrętną logiką rzeczywistości - on nie mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość... a ja muszę kontynuować tutaj moją pracę... albo zginę.

Zapadł w ponure milczenie. Jakąż torturą, pomyślał Vance,

muszą być dla jego umysłu próby usprawiedliwiania współpracy z tymi potworami - nawet jeśli jej odmowa oznacza śmierć.

- Bremeńska Legacja - przypomniał mu delikatnie. - Co oni mają wspólnego z tym wszystkim?

- Co takiego? - rzekł zaskoczony profesor. - Bremeńska Legacja? Ach, tak, naturalnie... no więc... zaraz do tego dojdę. - Głos starego człowieka odzyskał nieco swej energii. - Oczywiście po wojnie - a właściwie tuż przed jej zakończeniem - Bracia z radością przyjęli do siebie faszystowskich uczonych i inżynierów, natomiast spośród polityków tylko tych najbardziej prominentnych, takich jak Bormann i Hitler, a i to dopiero wówczas, gdy ci oddali im swe zbiory sztuki oraz złoto. W gruncie rzeczy właśnie ten napływ niemieckich naukowców pozwolił zakonowi wyprodukować implant. To był wynalazek nazistów, opracowany dzięki intensywnym testom - często kończącym się śmiercią - na Żydach w hitlerowskich obozach zagłady.

Tosi zamilkł na długą chwilę, jakby rozważał konsekwencje tej ostatniej uwagi. Wreszcie rzekł:

- Ale... zgubiłem się. Na czym stanąłem? Ach, tak. Więc gdy stało się jasne, że wojnajestjuż przegrana, wszyscy oni usiłowali dostać się tutaj. Nawet Mussolini, lecz schwytano go niedaleko stąd nad jeziorem, w Dongo. I tam powieszono - dodał z satysfakcją.

\*\*\*

Na zewnątrz, na terenach klasztornych zapanowało gorączkowe poruszenie. W ogrodach i wzdłuż alejek zapalono setki lamp i potoki światła wypłykały głębokie cienie, pod których osłoną Vance przed godziną przemykał się do pensjonatu. Przypadkowym spacerowiczom polecono wrócić do budynków. Zastąpiły ich dwójkowe patrole uzbrojonych strażników, szybkim energicznym krokiem przemierzające posiadłość w poszukiwaniu intruza. Znaleziono ukryte w zaroślach ciało wartownika, z głową zmiażdżoną uderzeniem cegły.

Suzanne przytknęła oko do centymetrowej szczeliny w okiennicach, próbując zorientować się w sytuacji. Wciąż jeszcze czuła ból głowy od eteru, którym obezwładniono ją w Como. Kiedy to było? Nie wiedziała, ile czasu minęło, bo zabrano jej zegarek. Niech ich diabli! zakłęła po raz tysięczny, odkąd się obudziła. Pozbawili ją nawet

możliwości sprawdzenia, która jest godzina.

Jednakże, pomyślała, obserwując nasilający się gwałtownie ruch na sieci alejek, odniosła swe małe zwycięstwo: zaaplikowano jej wówczas zbyt małą dawkę środka nasennego i odzyskała świadomość na tylnym siedzeniu samochodu, jeszcze zanim dojechali do klasztoru.

Udając, że nadal jest nieprzytomna, dała się wnieść do środka. Z dochodzącego do jej uszu gwaru wywnioskowała, że znalazła się w jakimś ważnym miejscu. Od czasu do czasu odważyła się zerknąć przez zmrużone powieki i dostrzegła niewyraźnie wielki hol, wypełniony elegancko ubranymi gośćmi w otoczeniu ciemno odzianych księży i mnichów. Zaniesiono ją do gabinetu i ułożono na skórzanej sofie.

- Wciąż jest nieprzytomna, bracie Grzegorz - usłyszała. Zaintrygowało ją nienaturalnie wysokie brzmienie tego głosu, przypominające niemal głos dziecka. Leżała spokojnie, ciągle jeszcze oszołomiona po zastrzyku, i nasłuchiwała.

- Doskonale - odrzekł Grzegorz. - Gdy się ocknie, przesłucham ją, a potem zostanie umieszczona w oddziale dziecięcym. Zaglądaj do niej, żeby zobaczyć, kiedy się obudzi.

Ile czasu minęło? zastanowiła się teraz. Z pewnością kilka godzin, co najmniej cztery lub pięć. Leżała wtedy nieruchomo, podczas gdy Grzegorz prowadził w swoim gabinecie naradę. Dyskutowano o czymś, co ją przeraziło: o szczegółach planowanego zabójstwa. Nie słyszała wszystkich wypowiedzi; niektórzy mówili zbyt cicho. Lecz dowiedziała się wystarczająco wiele z uwag brata Grzegorza, wypowiedzianych ostrym, przenikliwym tonem. Jakiś człowiek o imieniu Hashemi zamierzał nazajutrz o czwartej po południu zamordować kogoś bardzo ważnego. Brat Grzegorz wciąż wspominał o jakiejś „transakcji”, a zabójstwo miało być jej częścią.

Suzanne ujrzała teraz w dole grupki strażników prowadzących... a raczej prowadzonych przez olbrzymie psy o kwadratowych pyskach. Mastify, pomyślała. Polowali na kogoś. Proszę Cię, Boże, modliła się w duchu, jeśli szukają Vance'a, pozwól mu się stąd wydostać.

Zdenerwowana, odwróciła się od okna i podeszła do przeciwległej ściany małego, ciasnego pokoiku, w którym znajdowało się tylko łóżko, krzesło, umywalka i nocnik. Trzy kroki, zwrot; trzy

kroki, zwrot; trzy kroki, zwrot. Zerknięcie przez okno, zwrot; trzy kroki, zwrot. Po tym, jak brat Grzegorz ją przesłuchał, jeden z eunuchów - powiedziano jej, że zatrudnia się ich w oddziałach dziecięcych, a żeby przysposobić do tej pracy, kastruje we wczesnej młodości - zaprowadził ją do tego pokoju.

- To tylko tymczasowa kwatera - oznajmił. - Dopóki nie zostaniesz przygotowana do hodowli.

Wciąż jeszcze płonął w niej gniew. Wspomniała swój wybuch wściekłości na tego człowieka. Hodowli? Za kogo, do cholery, ją uważają? spytała. Za kobietę, odparł eunuch, wymierzając jej policzek. A kobiety nadają się tylko do jednego: rodzenia dzieci. Przerazona, z twarzą jeszcze piekącą po jego mocnym uderzeniu (zastanawiała się, czy kastratom nie powinny wiotczeć mięśnie), nie odważyła się już powiedzieć niczego, co mogłoby go rozżłościć, a jedynie zapytała skruszonym tonem, czego ma się spodziewać. Jego odpowiedź oszołomiła ją swą potwornością. Jej strach zmienił się w zgrozę, a potem we wściekłość.

Wróciła do okna i znów zaczęła przyglądać się pospiesznej krzątaniu w dole. Dziwne, że jest tak cicho - żadnych syren, klaksonów czy sygnałów alarmowych. Być może, pomyślała, nie chcą wszystkich obudzić. Spojrzała na niewielki kwadratowy budynek obok koszar. Jego okna pozostawały nadal ciemne, chociaż w tym momencie grupa sześciu czy ośmiu mężczyzn weszła po schodach i zbliżyła się do stojących przy drzwiach dwóch wartowników, oświetlonych teraz jaskrawym blaskiem reflektorów.

Znowu odwróciła się od okna i po raz dziesiąty przetrząsnęła pograżony w mroku pokój w poszukiwaniu jakiejś broni, narzędzia, czegoś, co pomogłoby jej się stąd wydostać. Lepiej zginąć podczas próby ucieczki, niż pozwolić zrobić z siebie celną krowę, pomyślała. Do diabła! To odrażające.

Jak twierdził eunuch, już setki lat temu klasztor wynalazł i stosował sztuczne zapłodnienie, żeby zachowując wśród Braci celibat, dostarczać jednak zakonowi nowych członków, w miejsce tych, którzy umierali. Niemowlęta płci żeńskiej zabijano zaraz po urodzeniu. Nawet kobiety ze „stada hodowlanego" mordowano, skoro tylko przestawały



być zdolne do rodzenia dzieci, i zastępowano innymi, pozyskiwanymi za pomocą rozmaitych metod, w tym także porwań.

- Miałaś mnóstwo szczęścia, kobieto - powiedział jej eunuch. - Brat Grzegorz mógł kazać cię zabić. Ostatecznie nieźle dałaś mu się we znaki.

Boże, błogosław jego dobre serduszko, pomyślała sarkastycznie.

- Uznał jednak - ciągnął kastrat - że twój materiał ge netyczny się nam przyda. Pewnie masz przed sobą dzie sięć albo nawet więcej lat rodzenia. Możesz uważać się za szczęściarę.

Shczęściarę! Ponownie przeszukała pomieszczenie, macając na oślep w ciemnościach. Dźwignia, pomyślała, potrzebuję tylko jakiejś dźwigni, żeby wyłamać kłódkę w okiennicach. Potem, kiedy wszystko tam na zewnątrz się uspokoi, będę mogła spuścić się z tego pierwszego piętra po skręconej z prześcieradeł linie.

Wiedziała, że musi to zrobić tej nocy. Nazajutrz miano ją „uwiązać”. Podniosła się, rozczarowana. To ostatnie poszukiwanie okazało się równie bezowocne, jak wszystkie poprzednie. Drżąc, stanęła przy oknie, a łzy wściekłości napłynęły jej do oczu. Chciała się stąd wydostać. Pragnęła zapobiec planowanej zbrodni. A przede wszystkim pragnęła Vance'a Eriksona.

- To niesprawiedliwe - załkała cicho. - To po prostu cholernie niesprawiedliwe.

\*\*\*

Vance poruszył się niespokojnie w krześle, nagle zaniepokojony poczuciem, że spędził tu zbyt wiele czasu. Tosi wciąż mówił:

- Tak więc, po wojnie Bracia starali się odzyskać swą pozycję, osłabioną fatalnym przymierzem z nazistami...

Z pewnością do tej pory odnaleziono już ciało strażnika.

- Sądzę - kontynuował profesor - że początkowo zakon współpracował z niektórymi hitlerowcami snującymi plany powrotu do władzy. Z czasem jednak, gdy nazistowscy przywódcy starzeli się i umierali, zamiary te spaliły na panewce. I znów Bracia nie mieli żadnego sojusznika, który pomógłby im zrealizować zamysł opanowania Watykanu. Lata 50. i 60. były dla nich złym okresem.

Umarło wówczas kolejno dwóch przywódców zakonu. Gdy w roku 1970 władzę objął brat Grzegorz, już po kilku miesiącach zawarł przymierze z Bremeńską Legacją. Zrazu rozwijało się ono powoli. Bracia handlowali z Legacją lub sprzedawali jej wynalazki i technologie przemysłowe, opracowane w Trzeciej Rzeszy i powierzone klasztorowi. Później współpraca przekształciła się w ścisły sojusz i przypuszczam, że obecnie szykuje się coś ważnego, co ma się wkrótce wydarzyć.

- Coś ważnego? - powtórzył Erikson. - Ale co?

- Nie wiem - odparł ze znużeniem Tosi. - Prawdopodobnie i tak dowiedziałem się o wiele więcej, niż powinienem. W każdym razie w ciągu ostatnich kilku dni brat Grzegorz bardzo często prosił mnie o pomoc.

- O co pana pytał?

- O zagadnienia z dziedziny fizyki - odpowiedział stary profesor, odzyskując na nowo wigor. - O kwestie dotyczące niektórych pism Leonarda. Widzisz, w kodeksie zakupionym przez Harrisona Kingsbury'ego, znajdował się pierwotnie fragment dotyczący burz i błyskawic. Da Vinci zaczął opracowywać metodę wytwarzania sztucznych piorunów. Właśnie to zawierały brakujące strony, których szukasz.

- Ale dlaczego? Dlaczego ten kodeks miałby być dla kogoś na tyle ważny, aby skłonić go do dokonania fałszerstwa w celu zatuszowania braku paru stron? Przecież zaginęło tyle innych pism Leonarda?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Wiem tylko, że kodeks był częścią niewielkiej partii dokumentów odebranych de Beatisowi i przechowywanych w Rzymie. Wiem również, że członek zakonu Braci Wybrańców, działający w Watykanie jako szpieg, zdołał dotrzeć do tego kodeksu, zdjęć oprawę, rozłożyć go na części, ukraść wzmiankowane strony i zastąpić je podróbką. Następnie zaczął przemycać je z Rzymu i udało mu się przesłać tutaj, do klasztoru, mniej więcej połowę, zanim schwymano go i stracono. Reszta pozostała w Watykanie. Brat Grzegorz i jego ludzie połączyli się z Bremeńską Legacją, aby zdobyć tę drugą połowę.

- To nie ma żadnego sensu - zaprotestował Vance. -Dlaczego potężny zespół międzynarodowych korporacji, jakim jest Bremeńska Legacja, miałby współdziałać z bandą zwariowanych mnichów dla zdobycia zbioru rysunków Leonarda? Do Bremeńskiej Legacji należą wszystkie wielkie światowe koncerny przemysłowe. Nie potrafię sobie wyobrazić, by potrzebowały one szkiców da Vinci.

- Podobnie wyobrażenia zawiodła Alfreda Kruppa - odrzekł cicho Tosi.

- Co pan ma na myśli?

- Tylko to... - profesor zawahał się. - Nie znasz wszystkich pism i szkiców, które ja oglądałem. Nie zdajesz sobie sprawy, że wszystko co wiemy o Leonardzie, wszystkie jego znane obecnie światu wynalazki są toporne i prymitywne, w porównaniu z tymi, które widziałem w zbiorach klasztornych. Niewykluczone - to wprawdzie tylko domysł, ale oparty na mojej wiedzy z zakresu fizyki - że szkice dotyczące natury błyskawic zawierają idee, mające kluczowe znaczenie dla udoskonalenia pewnej potężnej, przerażającej broni masowej zagłady. Jeżeli mam rację, broń, która mogłaby powstać w wyniku połączenia dwóch połówek dokumentu Leonarda, będzie tak potworna, że w porównaniu z nią bomba neutronowa wyda nam się niewinna jak sobotni telewizyjny program rozrywkowy.

Na dworze zabłyśły nagle światła, rysując ostro sylwetki obydwu siedzących w pokoju mężczyzn. Erikson zerwał się z krzesła i ostrożnie zerknął przez okno. Z koszar wybiegali ludzie.

Widocznie znaleźli wartownika - rzucił ponuro i odwrócił się od okna. - Powiedział pan, że jest tu Suzanne. Gdzie? Gdzie ją trzymają?

W głównej rezydencji, gdzieś na drugim piętrze. Kiedy dziś wieczorem brat Grzegorz wezwał mnie, by zasięgnąć mojej opinii w pewnej sprawie, słyszałem jak z kimś o niej rozmawiał.

Erikson z walącym mocno sercem podniósł uzi i ruszył do drzwi.

- Dziękuję panu, profesorze - rzekł i przystanął. - Nie zmieni pan zdania? - Pograżony w ciemnościach Tosi pokręcił przecząco głową. - A zatem idę. Muszę jej pomóc.

Szybko zdjął taśmę z zatrasku, zamknął za sobą drzwi i dziarski krokiem ruszył w stronę wyjścia. Gdy doszedł do końca korytarza,

zawiązał mocniej w pasie sznur habitu. Zza frontowych drzwi dochodziło znacznie więcej głosów niż tylko dwóch wartowników, których poprzednio widział. Nie będzie się już więcej skradał ukradkiem. Pora zaatakować. Chwycił klamkę i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

- Szybko! Z tej strony! - wykrzyknął ponaglająco po włosku, wybiegając na zewnątrz. Kilku zaskoczonych strażników, ubranych tak samo jak on, wycelowało w niego broń. Potem zobaczyli habit Vance'a i spojrzeli tam, gdzie pokazywał ręką: na boczną ścianę budynku, skąd uprzednio dostał się do środka.

- Ktoś próbował włamać się do tego domu! - krzyknął.  
- Za rogiem, po tej stronie, przez okno piwnicy. Szybciej, może uda nam się go złapać.

To wystarczyło. W pośpiechu nikomu nie przyszło do głowy zapytać go, dlaczego był w środku.

- Zostanę tutaj, żeby przypilnować wejścia - powiedział. - Pospieszcie się, nie pozwólcie mu uciec.

Grupa sześciu czy ośmiu mężczyzn zbiegła po schodach. Pozostał tylko jeden, który od początku strzegł drzwi.

- Pomogę ci - oświadczył, podchodząc do Vance'a. - Czekał - rzekł, przyglądając mu się uważnie. - Nie znam cię. Kto ty jesteś?

Gdy mężczyzna uniósł karabin, Erikson rąbnął go kantem dłoni w grdykę, wkładając w to uderzenie całą swoją siłę. Strażnik otworzył usta do krzyku, lecz wydał tylko zdławiony jęk i chwycił się za szyję. Vance natarł na niego i zaczął okładać go pięściami. Lecz było to zbyt słabe. Pierwszy cios zmiażdżył mężczyźnie chrząstki krtani i uszkodził tchawicę. Dusząc się, siny z braku powietrza, osunął się po kamiennej kolumnie wejściowego portyku i upadł na ziemię, z szeroko rozwartymi oczami, w których zastygł wyraz niedowierzania. Z jego gardła wydobywało się okropne rżenie.

Drżąc, Erikson wciągnął strażnika w cień rzucany przez jedną z kolumn. Chwycił jego pistolet maszynowy, zszedł pospiesznie po schodach i skierował się w stronę głównego budynku. Wokół niego wszyscy poruszali się biegiem, więc on również zaczął biec. Minął dwóch mężczyzn, prowadzących na smyczach groźnie wyglądające

mastyfy. Zmierzali do miejsca, gdzie zostawił ciało strażnika.

Gdy tak biegł, z każdym krokiem jaskrawo oświetlona reflektorami rezydencja rosła mu w oczach. Oddychając lekko i swobodnie po kilkusetmetrowym sprincie, przeciął okrągły podjazd i wbiegł po schodach. Ozdobnie rzeźbione mahoniowe drzwi pogrążone były w cieniu, z którego wyłonili się dwaj strażnicy.

- W jakiej sprawie?! - rzucił wyższy z nich. Z drugiego krańca terenów klasztornych dobiegły podniecone krzyki. Znalaziono mężczyznę, którego przed chwilą zabił. Wrzawa zaniepokoiła wartowników. Nie wiedzieli, czy mają biec na pomoc, czy dalej indagować Vance'a.

- Mam pilną wiadomość dla brata Grzegorza - powiedział Erikson. - Chodzi o to, że tam - wskazał ręką w stronę, skąd dochodził zgiełk głosów - zauważono tego intruza.

Wartownicy popatrzyli na niego z dezaprobatą.

- Dobrze, zaprowadzę cię do niego - rzekł wyższy. - Idź za mną. Giacomo, ty zostań tutaj i nie odchodź nawet na krok.

Jego towarzysz kiwnął głową. Strażnik otworzył drzwi i ustąpił na bok, puszczając Eriksona przodem. Vance przełknął z trudem ślinę; gardło miał ściśnięte ze strachu. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

- Idź za mną - warknął znowu strażnik.

Hol był okazały i przestronny, choć urządzony na średniowieczną, ascetyczną modłę. Inaczej niż w większości rezydencji, nie było tu żadnych bogatych religijnych ozdób, żadnych malowideł przedstawiających narodzin, chrzest czy ukrzyżowanie Chrystusa. Jedyne z matowej kamiennej podłogi wyrastał wysoki na trzy metry, zwykły prosty krzyż. Po prawej schody wiodły na wyższe piętra. Mężczyzna poprowadził Eriksona obok nich, w głąb holu, a potem w lewo. Zatrzymali się na końcu wąskiego ciemnego korytarza. Strażnik zastukał do drzwi i odezwał się tonem pełnym szacunku:

- Bracie Grzegorzu, wybacz że ci przeszkadzam, ale jest dla ciebie wiadomość.

Vance usłyszał za drzwiami szelest papieru, a potem odgłos odsuwania drewnianego krzesła.

- To wbrew przepisom! - rzucił gniewny głos. Drzwi uchyliły się

i w szparze ukazała się rozzłoszczona twarz. Nie był to jednak brat Grzegorz i wydawało się, że nie rozpoznał Vance'a. Strażnik odsunął się, by tamten mógł się lepiej przyjrzeć.

- A więc, o co chodzi? - spytał niecierpliwie mężczyzna z rosnącą irytacją. - No, mówże! Pospiesz się! Mamy kłopoty!

Erikson wiedział, że musi coś zrobić, zanim tamten zauważy jego tenisówki wystające spod przykrótkiej sutanny. Na pewno nie przegapi ich w pośpiechu, jak wartownicy na dworze. Wtem zza frontowych drzwi dobiegł głośny hałas, który wzmógł się jeszcze i wypełnił cały hol, gdy je otwarto. Vance domyślił się, że nadbiegli strażnicy z budynku dla gości.

\*\*\*

Uwagę Suzanne przykuł cichy okrzyk z drugiego końca podwórza, sprzed wejścia do pensjonatu dla gości. Kilku mężczyzn w sutannach zbiło się w gromadkę u szczytu schodów, a potem zbiegło na dół i zniknęło za domem, pozostawiając na stopniach dwóch ludzi, którzy zaczęli się ze sobą szamotać. Po chwili jeden z nich upadł, drugi zaś ruszył sprintem w stronę rezydencji. Zauważyła, że był dziwnie ubrany. Miał na nogach jakieś białe buty.

Przyglądała się, jak w ciągu kilku sekund lekko i bez wysiłku pokonał dystans między pensjonatem a rezydencją. Wydał jej się znajomy, lecz nim zdołała lepiej mu się przyjrzeć, zniknął z jej ograniczonego pola widzenia.

Zza rogu, od strony drzwi wejściowych doszły ją zdyszane, podekscytowane głosy, jednak nie potrafiła rozróżnić słów. Wtem rozpoznała jeden z nich. To był Vance! Przyszedł po nią.

- Tam! To ten! To on!

Mężczyźni biegli pospiesznie w kierunku Vance'a, tupiąc butami po kamiennej podłodze.

Krzepki strażnik, który eskortował Eriksona do gabinetu brata Grzegorza, spojrział na niego z wściekłością i sięgnął po swój pistolet maszynowy. Zaś na twarzy człowieka stojącego w drzwiach pojawił się wyraz zaskoczenia i lęku. Mężczyzna usiłował je zatrzaskać.

- Nie! - krzyknął Vance, pochylając się i blokując drzwi barkiem. Musiał dostać się do środka, to była jego jedyna szansa. Gwałtowny

ruch wepchnął mężczyznę w głąb pokoju i drzwi otwarły się na tyle, że Erikson mógł się w nie wśliznąć bokiem, nim znów zaczęły się zamykać. Strażnik ściągnął automat z ramienia. Od środka ktoś jeszcze naparł na drzwi i Vance uwiązł nagle między nimi a framugą. Strażnik unosił już lufę, mierząc w jego głowę. Tupot nóg w korytarzu stał się głośniejszy i Erikson zobaczył, że ścigający również, wyciągnęli broń.

Z całą mocą wparł się zgiętymi w kabłak plecami w drzwi i udało mu się uchylić je nieco szerzej. Opadł na kolana i wcisnął się w powstałą szczelinę w momencie, gdy strażnik otworzył ogień. Pistolet maszynowy zaryczał i pociski ze świstem rozłupały framugę. Huk strzałów oszołomił mężczyznę za drzwiami, które nagle ustąpiły. Vance uderzył strażnika prawą pięścią w krocze, miażdżąc mu jądra. Mężczyzna stęknął i skulił się. Erikson zerwał się na nogi i splecionymi dłońmi rąbnął go w nos. Przeciwnik upadł, wypuszczając z rąk automat, który zagrzechotał bezsilnie na kamiennej podłodze.

Odezwały się za to inne automaty, od strony nadbiegających strażników. Kule odłupywały od ścian wielkie kawały tynku i roztrzaskiwały drewnianą boazerię. Vance padł na podłogę i wturlał się do gabinetu Grzegorza. Obserwował samego siebie niczym w koszmarnym śnie, poruszającego się w zwolnionym tempie, podczas gdy pociski szyły równą Jinię po łupkowej podłodze, zostawiając na niej małe białe punkciki.

Zerwał się desperacko i uskoczył przed ścigającym go śmiercionośnym gradem kul, aż znalazł się poza linią ognia.

- Zamknijcie drzwi! - rozkazał, zdejmując z ramienia pistolet maszynowy i celując w brata Grzegorza i jego asystenta, kucających za drzwiami. Popatrzyli na niego w oszołomieniu. - Zamknijcie je natychmiast albo rozwalę wam wasze cholerne łby!

Ujrzał w ich oczach błysk strachu. Brat Grzegorz podniósł się powoli.

- Szybciej! - krzyknął Vance. - Powiedz swoim ludziom, żeby zostali na zewnątrz, jeśli ci życie miłe.

Grzegorz zawałał się chwilę. Erikson odbezpieczył broń.

- Stójcie! - zawołał mnich. - Rozkazuje wam w imię Boże, zatrzymajcie się!

Był już najwyższy czas. Najszybszy z gromady strażników wpadł w drzwi, omal nie zbijając Grzegorza z nóg. Spojrzał na ukrytego za niewielką sofą Eriksona, potem na brata Grzegorza, znów na celującego z pistolem Vance'a i z powrotem na Grzegorza, który odzyskał już pewność siebie.

- Zostaw nas samych, bracie - odezwał się przeor do zakłopotanego strażnika, który stał, oddychając ciężko, z twarzą zlaną potem. Spod nasuniętego na oczy kaptura brat Grzegorz bystrym spojrzeniem omiótł pokój, a potem nachylił się do strażnika i coś do niego szepnął.

- Przestań! - wrzasnął Vance i wystrzelił nad ich głowami. Przerażony Grzegorz odskoczył do tyłu, strażnik zaś odruchowo wycelował broń w Eriksona, który otworzył do niego ogień. Krótka seria pocisków trafiła strażnika w pierś, odrzucając go za uchylone drzwi.

- A teraz zatrzaśnij je i zamknij na klucz - wycodził Erikson przez zaciśnięte zęby. - I nawet nie próbuj odzywać się do swoich ludzi.

Powoli, z ponurą miną przeor klasztoru wypełnił polecenie. Gdy drzwi były już zamknięte, Vance wyszedł zza sofy. Asystent Grzegorza wciąż kucał przy biblioteczkę obok wejścia. Był w średnim wieku, z rzadkimi kasztanowymi włosami i zażawionymi szarymi oczyma. Miał na sobie zwykły garnitur, który wisiał luźno na jego chudym ciele. Przez dłuższą chwilę wszyscy trzej przypatrywali się sobie nawzajem ze zdziwieniem, starając się odzyskać równowagę, oszacować przeciwnika i rozpatrzeć się w sytuacji. W końcu Vance przerwał milczenie.

- Podejdźcie do okien.

Obaj mężczyźni usłuchali bez słowa. Spartańsko umeblowany gabinet miał trzy wielkie dwuskrzydłowe okna z balkonem, wychodzące na jezioro Gonio.

Erikson wskazał okna lufą pistoletu maszynowego.

- Zaciągnijcie zasłony - polecił ostrym tonem. – Tylko dokładnie.

Lecz pomimo szorstkiego zachowania, trząśł się ze strachu i zmęczenia. Odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze ze słyszalnym drżeniem. Brat Grzegorz zareagował na ten odgłos spokojnym, błogim



uśmiechem, który nieoczekiwanie rozwścieczył Vance'a. Poczul nagle niemal nieodpartą chęć, by pociągnąć za cyngiel i jedną serią przeciąć tego nikczemnika na pół. Pohamował się jednak. Przeor mógł być jego gwarancją wydostania się z klasztoru.

-Ja także się boję - powiedział Grzegorz, robiąc krok w kierunku Vance'a. - Obaj się boimy. - Wyciągnął rękę. - Można to wszystko rozwiązać pokojowo. Daj mi pistolet.

- Stój w miejscu, dupku - rzucił gniewnie Erikson. - Nie będę słuchał żadnych księżyich bredni.

Grzegorz zrobił następny krok. Vance ustawił uzi na pojedynczy strzał i posłał kulę pod jego stopy. Książdz natychmiast wrósł w ziemię, wykrzywił znów twarz w grymasie nienawiści i furii, a dłonie zacisnął w pięści na fałdach czarnej sutanny.

- Tak już lepiej - stwierdził Erikson. Drugi mężczyzna nawet nie drgnął, tylko jego ręce, ściskające krawędź krzesła, wyraźnie drżały. - Dobra, zaprowadź swego przyjaciela do tamtych drzwi.

Ustawił obydwu mężczyzn razem i obszukał ich. Najpierw włożył do kieszeni portfel asystenta, jego kluczyki samochodowe i drobne monety. Potem zrewidował brata Grzegorza, polecivszy mu stanąć w szerokim rozkroku, a ręce oprzeć o ścianę.

- No, no, co my tu mamy - rzeki z udawanym zdziwieniem, wyjmując z kieszeni jego sutanny automatyczny pistolet beretta, kaliber 25. -Jakiś nowy rekwizyt mszalny^ Do udzielania ostatniego namaszczenia, jak sądzę.

Zostawił ich tam, gdzie stali, podszedł do biurka i powoli zasiadł w fotelu, wciąż trzymając w rękach uzi. Krewnie szumiała mu już w uszach jak sztormowe fale uderzające o brzeg, a ręce przestały drzeć.

W głowie zaczął mu już świtać pewien prosty plan. Będzie jednak musiał działać natychmiast, póki strażnicy są jeszcze zdezorientowani i oszołomieni.

- Bracie Grzegorzu - odezwał się - obaj zaraz stąd wyjdziemy. Najpierw jednak chcę, żebyś kazał sprowadzić tu Suzanne. - Grzegorz nic nie odpowiedział. - Słyszysz mnie, ty kupo kościelnego gówna?!

- Nie musisz bluźnić - odparł mnich stłumionym głosem, gdyż mówił odwrócony twarzą do ściany. - Słyszałem cię. Ale... - urwał -

myśle, że powinieneś wysłuchać, co ja mam ci do powiedzenia.

- Dobrze - rzucił niecierpliwie Erikson. - Tylko się pośpiesz.

- Mógłbym stanąć w jakiejś wygodniejszej pozycji? - zapytał Grzegorz uprzejmym tonem. - Chciałbym porozmawiać z tobą twarzą w twarz.

- Zostań tam, gdzie jesteś - odrzekł Vance. - Przykro mi, że ranię twoje uczucia, ale ci nie ufam.

- Doskonale - westchnął Grzegorz. - Jak wiesz, miałeś przynajmniej jedną okazję, by się do nas przyłączyć. Wolelibyśmy, żebyś był z nami niż przeciwko nam. Jesteś bardzo utalentowanym człowiekiem. Twoje zdolności naukowe i techniczne są powszechnie znane, a ponadto jesteś najwybitniejszym na świecie specjalistą od Leonarda da Vinci.

- Być może teraz tak jest - odparł zjadliwie Erikson - kiedy już wymordowaliście wszystkich pozostałych. Nigdy nie zapomnę widoku zmasakrowanego ciała Martiniego. powinienem to samo zrobić z tobą.

- Nie popełniliśmy tych potworności, o które nas oskarżasz - powiedział Grzegorz z oburzeniem. - Mieliśmy zbyt wiele szacunku dla wiedzy Martiniego. To robota kogoś innego.

- Kogo? - zapytał zbity z tropu Vance.

- Powiem ci, jeżeli się do nas przyłączysz.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Panie Erikson, posiadamy kolekcję skarbów sztuki, nieskończenie przewyższającą wszystkie inne zbiory na świecie. Mamy dzieła plastyczne i muzyczne; prace naukowe, których świat nigdy dotąd nie widział ani nie przestudiował. Wszystko to stanowi intelektualne wyzwanie, zdolne uszczęśliwić prawdziwego uczonego na całe życie. Ty zaś, Vance'ie Eriksonie, masz właśnie taki rodzaj umysłu, jakiego potrzebujemy. Potrafisz nie tylko docenić nasze zbiory i dokonania, lecz również wnieść olbrzymi intelektualny wkład w rozwój nowej cywilizacji - cywilizacji, której zostanę duchowym przywódcą.

Vance przypomniał sobie skrzynie wypełnione skarbami sztuki, a także usłyszany od Tosiego opis pism i szkiców Leonarda, będących, wedle jego słów, w posiadaniu zakonu. Lecz zaraz wspomniął też

bezbrzeżny smutek w głosie starego profesora. Pomyślał także o odrażających osobnikach, którym klasztor udzielił schronienia, o tych nieludzkich potworach, którym pozwolono skryć się tutaj przed karzącą ręką sprawiedliwości. Ale przede wszystkim pomyślał o Suzanne.

- Nie, jeśli zdołam temu zapobiec - rzekł ostro.

- Słucham?

- Nie zostaniesz duchowym przywódcą niczego, jeśli tylko zdołam temu zapobiec.

- Ale właśnie na tym polega problem, mój młody przyjacielu - powiedział Grzegorz przypochlebnym tonem. - Nie możesz temu zapobiec. Wszystko to się stanie i nie zdołasz nic na to poradzić. Nie da się odwrócić wyroków Opatrzności.

- Mogę spróbować.

- Wówczas zginiesz - odparł szorstko Grzegorz.

- Trudno - powiedział Vance. - W Tołę umrzeć, próbując.

Brat Grzegorz westchnął ze znużeniem.

- To bardzo wzniosłe, ale daremne. Dlaczego nie posłuchasz raczej głosu rozsądku? Mogę ci pomóc. Mogę włączyć cię w nasze przedsięwzięcie. Byłoby naprawdę wielką stratą, gdybyś zginął i zaprzepścił taki intelekt. Czy nie chcesz przynajmniej tego ocalić?

- Nie za cenę stania się twoim więźniem.

- Erikson, błagam cię - rzekł mnich natarczywie. Po raz pierwszy wydawał się przestraszony.

- Błagam siebie, ile chcesz, to ci nic nie da - odparł Vance. - Albo obaj wyjdziemy stąd żywi, albo żaden z nas.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Słychać było tylko odgłos otwieranych i zamykanych szuflad biurka, w których Vance grzebał, przeglądając ich zawartość.

- Ach - rzekł, znalazłszy rolkę taśmy klejącej. Będzie mógł przymocować lufę rewolweru do głowy Grzegorza, a potem swój palec do cyngla. Jeśli ktoś go zastrzeli, zdąży rozwalić mnichowi głowę.

Odzyskał już spokój i opanowanie, lecz zdawał sobie sprawę, że tamci dwaj wciąż są napięci. Bali się go i drżeli o swoje życie. Nagle przepełniło go poczucie mocy, a potem, równie raptownie, poczuł mdłości z obrzydzenia. Władza, pomyślał, rzeczywiście deprawuje.

Z taśmą w jednej ręce, a pistoletem maszynowym w drugiej wstał powoli zza biurka. Zasłony za jego plecami poruszyły się lekko, jakby od podmuchu wiatru. Odwrócił się szybko i w tej samej chwili ukryta za nimi ogromna postać rzuciła się na niego i przez materiał chwyciła go mocnymi ramionami. Usiłował rozpaczliwie uwolnić się i wycelować w nią lufę automatu, lecz dołączyła do niej druga, łapiąc go za ręce i wrywając broń. Zaczął wrzeszczeć, ale krzyk uwiązł mu w gardle, gdy silny cios trafił go w tył głowy. Nim ogarnęła go ciemność, przeklął się jeszcze za to, że nie sprawdził, czy okna były zamknięte.

## *Rozdział 16*

---

Wciągał go bezlitośnie jakiś czarny wir, rozrzucając odłamki jego umysłu i ciała po najdalszych krańcach kosmosu.

Świadomość powróciła wraz z potwornym bólem, który eksplodował mu w głowie milionem rozpryskujących się gwiazd. Leżał nieruchomo, pragnąc, by znów otuliła go miłosierna ciemność. Potem stopniowo zaczął doznawać także innych wrażeń. Poczuł lekki, kojący dotyk na czole i włosach, i usłyszał głos Suzanne. Otworzył oczy.

- Och, Boże, nareszcie! - zawołała. Pochyliła się i pocałowała go.

Vance leżał na łóżku w jakimś ciemnym pokoju, z głową na kolanach Suzanne. Kiedy się poruszyła, poczuł jak mózg przeszyły mu ostre, rozpalone do białości lance.

- Ostrożnie - jęknął. - Czuję się, jakby pod czaszką wybuchła mi bomba atomowa.

- Ach! - Dziewczyna wyprostowała się natychmiast. - Przepraszam cię. Czy tak lepiej?

Potem objęła go i na moment zapomniał o pulsującym bólu. Odwrócił się do niej i pocałowali się długo i namiętnie.

- Och, jestem taka szczęśliwa - powiedziała.

-Ja też. - Odsunął się od niej i spytał wciąż jeszcze słabym głosem: - Suzanne... co się z tobą działo?

Opowiedziała mu, jak w Como zatrzymała ją policja i przekazała bratu Grzegorzowi.

- Widocznie pracują dla naszego dobrego braciszka - rzekł Vance.  
- Ciekawe, jak daleko sięgają jego wpływy.

- Ale nie powiedziałam ci najgorszego - ciągnęła. - Chcą mnie tu trzymać dla hodowli. Wyobrażasz sobie? Biorą kobiety i sztucznie je zapładniają, jak bydło, żeby rodziły małych mniszków. A zabieg przeprowadzają księża kastraci.

- Kastraci?! Sądziłem, że takie praktyki zarzucono już wieki temu. - Erikson zastanowił się chwilę. - Ale wówczas stosowała je Inkwizycja.

- O mój Boże - rzekła Suzanne, zniżając głos niemal do szeptu. - Ja prawie... Jak mogłam zapomnieć? Ci mnisi, wspólnie z kimś jeszcze, zamierzają zamordować jutro... nie, już dzisiaj... kogoś ważnego. Dziś po południu.

Ta wiadomość sprawiła, że Vance całkowicie oprzytomniał.

- Zamordować? Kogo?

- Nie wiem - odparła. - Podśluchiwałam z pokoju obok gabinetu brata Grzegorza. Myśleli, że jestem jeszcze odurzona narkotykiem. Usłyszałam, że rozmawiali o zabójstwie planowanym na następne popołudnie. Wyglądało, że chodzi o jakąś bardzo ważną osobę.

- Przypuszczam, że obecnie szykuje się coś ważnego, co ma się wkrótce wydarzyć. Przez zasłonę bólu przedarły się usłyszane niedawno słowa Tosiego. Sojusz między Bremeńską Legacją i Braćmi Wybrańcami św. Piotra. Dokumenty przechowywane w Watykanie. Sporządzone przez Leonarda da Vinci szkice jakiejś potężnej broni...

Broń masowej zagłady... w porównaniu z nią bomba neutronowa wyda nam się niewinna jak sobotni telewizyjny program rozrywkowy.

Połowa dokumentów znajduje się w Watykanie, drugą mają Bracia. Planowane na dzisiejsze popołudnie zabójstwo i słowa Tosiego, że... szykuje się coś ważnego, co ma się wkrótce wydarzyć.

Zaczynał już z grubsza ogarniać zarys szatańskiej intrygi. Pragnął odrzucić tę myśl jako nonsensowną, jako fantazję umysłu z piekła rodem, lecz nie zdołał. Gdyż, choć ten plan wydawał się wstrętny, spaczony i niegodziwy, był zarazem - o ile trafnie go odgadł - jedynym racjonalnym, logicznym krokiem, jaki Bracia mogli uczynić.

- Oni zamierzają zamordować papieża - powiedział cicho, sam

nie chcąc w to uwierzyć. - Posłuchaj - dodał, widząc zdumioną minę Suzanne - rozmawiałem długo z Tosim i....

Zrelacjonował pokrótce rozmowę z uczonym, jego opowieść o nadchodzącym nieuchronnie ważnym wydarzeniu, o opisanej przez Leonarda potężnej broni, o implantach i wielu innych sprawach, a także decyzję starego człowieka, by pozostać w klasztorze. Gdy mówił, na twarzy Suzanne pojawił się wyraz niedowierzania. Nawet w ciemności jej oczy zdawały się lśnić.

- Ja po prostu nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę! - wykrzyknęła. - Na litość boską, mamy przecież dwudziesty wiek! I co, zagraża nam banda psychopatycznych średniowiecznych mnichów i wynalazek człowieka, który zmarł prawie pięćset lat temu? To niemożliwe. To...

- A jednak to prawda. I jeśli odrzucimy hipotezę jakiejś gigantycznej mistyfikacji, musimy przyznać, że sami widzieliśmy dowody. Oni zabijali ofiary w całej Europie. Potrafią niewolić ludzi dzięki swym implantom. Policja z nimi współpracuje. Oni...

-Już dobrze - przerwała mu Suzanne. - Wiem o tym wszystkim. I wierzę ci... wierzę w to, choć zarazem nie chce uwierzyć.

Siedzieli objęci na łóżku, radzi że znów są razem.

- Musimy coś zrobić - rzekła wreszcie. - Ale oni zadbali, żeby nie dać nam żadnej szansy. - Opowiedziała mu o swych bezowocnych przeszukiwaniach pokoju. — Odkryłam jedynie, że da się odkręcić nogi łóżka -jeżeli może się to na coś przydać. Moglibyśmy użyć ich jako maczug. Lecz strażnicy w żadnym razie nie otworzą drzwi, póki nie będą dobrze przygotowani, a wówczas z parą metalowych prętów niewiele wskóramy przeciw broni maszynowej.

To prawda - przytaknął ponuro Vance. - Święta prawda.

Wstał i sam zbadał pomieszczenie. Nad umywalką znajdowała się oprawka z wykręconą żarówką. Ostrożnie, z wahaniem wsadził w nią palec i dotknął obu styków. Nic się nie stało. Poczuł ulgę, a jednocześnie rozczarowanie, że nie poraził go prąd. Drugą ręką wymacał łańcuszek kontaktu i pociągnął.

- Aaaach, niech to jasna cholera! -wykrzyknął, gdy potężny wstrząs elektryczny przebiegł mu przez ramię. Usiadł gwałtownie na

drewnianej podłodze, z rozrzucony mi nogami, jak dziecko w piaskownicy.

- Vance! - zawołała Suzanne, zeskakując z łóżka. – Nic ci nie jest?

Usłyszeli kroki na korytarzu. Szczęknęła klamka Upewniwszy się, że drzwi są nadal zamknięte, strażnik wrócił na swe stanowisko, parę metrów od ich pokoju.

- No - rzekł Erikson, oddychając głęboko. - Znalazłem to, czego szukałem.

- Czyli co? - spytała, pomagając mu wstać.

- Uuuh! - jęknął boleśnie. - Chryste, to wcale nie pomogło mojej głowie. Szukałem tego samego, co Ben Franklin, kiedy puszczał latawce podczas burz z piorunami.

- Wygląda, że istotnie znalazłeś - zauważyła sardonicznie. - I co teraz?

- Myślę, że może posłużyć nam do ucieczki - powiedział, podnosząc z łóżka materac. - Pomóż mi.

W kwadrans rozłożyli łóżko na części. Wymontowali z niego kilka sprężyn i ich ostrymi końcami rozerwali cienką powłokę materaca. Dwie z metalowych nóg oparli o ścianę. Przy listwie podłogowej pod umywalką, obok gniazdka elektrycznego, rozłożyli stertę wyciągniętej z materaca bawełny, wysoką na prawie metr.

- Dobrze, a teraz trzymaj mocno - rzekł, podając Suzanne kawałek drucianej siatki z łóżka, długości trzydziestu centymetrów, owinięty paskami materiału, oderwanymi z prześcieradła. Trzymając w rękę drugi, identyczny kawałek siatki, przykucnął po jednej stronie sterty bawełny, twarzą do dziewczyny.

- Musimy to zrobić perfekcyjnie - pouczył ją. - Przypuszczalnie będziemy mieli tylko jedną szansę.

Uważając, aby nie dotknąć gołego drutu, każde z nich wetknęło jeden jego koniec w otwór gniazdka elektrycznego- Vance wołał nie ryzykować, pamiętając wstrząs, jakiego przed chwilą doznał.

Chociaż operowanie drutem we dwoje było bardziej skomplikowane i niewygodne, jednak zmniejszyło możliwość, że któreś z nich dozna poważnego porażenia prądem.

-Włożyłaś swój drut do gniazdka? - spytał.

-Aha.



- Dobrze. Więc teraz wetknij drugi koniec w bawełnę - polecił.

Jednocześnie sam zgiął swój drut i zetknął z tym trzymanym przez Suzanne. Rozległ się skwierczący trzask, gdy prąd zaiskrzył między końcówkami. Pokój wypełniło błękitnobiałe światło i oboje odruchowo wzdrygnęli się, kiedy ten jasny blask oślepił ich przywykłe do ciemności oczy. Wyładowanie elektryczne trwało zaledwie sekundę lub dwie, dopóki nie przepalił się gdzieś bezpiecznik. Lecz ta chwila wystarczyła. Iskry trysnęły w stertę bawełny, rozżarzyły się, po czym buchnęły płomieniem tak gwałtownie, że oboje musieli odskoczyć do tyłu, by uniknąć poparzenia.

Na zewnątrz wartownik zawołał:

- Hej! Co się stało ze światłami?

Zniknął wąski pasek blasku pod drzwiami. Wszystkie światła były podłączone do tego samego obwodu.

- Dzięki Ci, Boże, za tę starą instalację - szepnęła Vance, trzymając Suzanne za rękę. Oboje obserwowali rosnące płomienie. - Pamiętaj, jeszcze się nie odzywaj. - Przyciągnęli bliżej resztę materaca i włożyli jeden koniec w ogień. - Nie chcemy, żeby odkryli pożar, zanim się po rządnie nie rozpali.

Trzeba było wyczuć odpowiedni moment. Musieli zaczekać, aż zacznie się palić drewniana podłoga, lecz nie mogli zwlekać za długo, żeby się nie podusić. Zbyt długa zwłoka groziła też tym, że ktoś wymieni bezpiecznik i pozbawi ich przez to osłony ciemności w holu. Vance zakasłał.

- Podejźmy do drzwi - powiedział. - I trzymaj się blisko podłogi; tam powietrze będzie czystsze.

Teraz, gdy ogień pożerał łakomie materac, pokój przypominał mały fragment jakiegoś obrazu Hieronima Boscha przedstawiającego piekło: dwie skulone ze strachu duszyczki, rzucone między kłęby dymu i tańczące płomienie.

Ogień doszedł już do ścian i w twarze palił ich coraz większy żar.

Strażnik, mamrocząc coś do siebie, kroczył tam i z powrotem po ciemnym korytarzu, oświetlonym tylko mdłym światłem dochodzącym z parteru od strony schodów. Ściskając w rękach automat uzi,

przechadzał się, próbując w ten sposób rozładować napięcie i lęk, dopóki ktoś wreszcie nie znajdzie i nie wymieni tego bezpiecznika. Doszedł do końca, odwrócił się i wtedy ujrzał coś niepokojącego: migotliwą linię żółtawego światła nad progiem drzwi. To niemożliwe. W tym pokoju nie było żadnych żarówek. Wiedział o tym, ponieważ sam usunął wszystkie na polecenie brata Grzegorza.

Wrócił szybko pod drzwi. Co tam się mogło świecić? Wzdrygnął się ze strachu, usłyszawszy dobiegające ze środka stłumione krzyki.

- Pali się! Incendiol Ratunku! Pożar! - zawołał. Chwycił za klamkę; była ciepła. Co powinien zrobić? Brat Grzegorz zabije go, jeśli ci Amerykanie uciekną. Puścił klamkę i pobiegł w kierunku schodów.

- Pali się! - wrzasnął. - Pożar na pierwszym piętrze!

W pokoju Vance i Suzanne leżeli na podłodze, otoczeni ogniem, który sami rozniecili, dusząc się od gęstego, tłustego dymu. Kiedy dobiegły ich krzyki strażnika na korytarzu, przestali wołać o pomoc. Nabrali otuchy, słysząc szcęk klamki, lecz po chwili znów upadli na duchu, gdy usłyszeli oddalające się kroki.

Płomienie pochłonęły już materac i zaczynały lizać ściany, zagarniając kurczącą się wciąż przestrzeń wokół nich.

Wtem usłyszeli tupot nóg.

- Nadchodzą posiłki - rzekł Erikson, ściskając mocniej dłoń dziewczyny.

- Vance... - Suzanne spojrzała na niego. - Bez względu na to, co się stanie, kocham cię.

-Ja też cię kocham. - Pocałowali się szybko, bo znów szcęknęła klamka. - Teraz, jak to mówią, uda nam się albo zginiemy.

Wstał pośród kłębow dymu, ściskając kurczowo w rękę żelazny pręt.

- Nie podnoś się - polecił. - Kiedy wbiegną, podetnij im nogi i uciekaj.

Podniecone głosy za drzwiami przerzucały się pospiesznie włoskimi słowami. Vance podszedł do umywalki. W płuca palił go gryzący dym. Wreszcie drzwi otwarły się gwałtownie, uderzając o zlew, i do pokoju wpadło dwóch ubranych w sutanny mężczyzn z bronią w rękach. Vance zamachnął się nogą od łóżka jak kijem

baseballowym i rąbnął pierwszego od tyłu w nerki, wpychając go w płomień. Mężczyzna rozkrzyżował ramiona, usiłując odzyskać równowagę.

Suzanne uderzyła drugiego przeciwnika żelaznym prętem w goleń. Upadł ciężko na twarz. Tuż przed nim pierwszy strażnik wrzeszczał pośród płomieni. Nadpalona podłoga skrzypnęła, zatrzeszczała, aż w końcu pękła i mężczyzna w fontannie iskier wpadł do pokoju na parterze. Płomień liźnęły szczelinę, a potem wzniosły się z rykiem do sufitu, podsycone strumieniem powietrza z dołu.

Ten świeży podmuch oczyścił na moment pomieszczenie z dymu, wywiewając go na korytarz. Wtedy Erikson wznosił żelazny pręt nad leżącym drugim przeciwnikiem i zadał mu starannie wymierzony cios, który byłby zabójczy, gdyby doszedł celu. Jednak strażnik zdołał się odtoczyć na bok i uderzenie strzaskało mu tylko rękę, wytrącając z niej uzi, który upadł z brzękiem na podłogę u stóp Suzanne.

Mężczyzna zerwał się na nogi. Za drzwiami rozległ się odgłos kroków ludzi wbiegających po schodach. Suzanne chwyciła pistolet, lecz nim zdołała wystrzelić do strażnika, ten rzucił się na Eriksona.

Vance poczuł, jak twarde pięści napastnika uderzyły go w mostek. Oszołomiony, instynktownie zadał cios, trafiając w coś miękkiego. Mnich jęknął i chwycił go za szyję. Obaj upadli i potoczyli się po podłodze, uderzając o otwarte drzwi, które z hukiem trzasnęły w umywalkę.

Gdy tupot nóg rozbrzmiewał już na korytarzu, nocną ciszę na dworze rozdarł nagle ryk syreny, a potem niewyraźny, monotony głos zakrakał przez głośniki: „Wzywa się wszystkich do głównego budynku w celu ugaszenia pożaru”.

Suzanne patrzyła z przerażeniem, jak Vance i strażnik, spleceni w walce, przeturlali się na skraj płonącej szczeliny w podłodze. Podniecone krzyki na korytarzu były coraz głośniejsze. Kucnęła nisko i oparła się plecami o framugę. Ujrzała trzy pary nóg - tułowia przesłaniały kłęby dymu ludzi biegnących korytarzem. Powstrzymała się przed strzeleniem do nich. Zerknęła za siebie i zdążyła zobaczyć, że strażnik rąbnął Vance'a łokciem w splot słoneczny, wyswobodził się z jego uścisku i chwycił żelazną nogę łóżka.

Oszołomiony Erikson, dysząc gwałtownie i usiłując złapać oddech, dźwignął się z wysiłkiem na kolana i próbował wstać, gdy mnich zamachnął się na niego żelaznym prętem. Vance rzucił się w bok i cios ominął go łukiem. Gdzieś za plecami usłyszał strzały.

Trzej biegnący zbliżyli się do otwartych drzwi. Suzanne wymierzyła z uzi i zamiotła serią po korytarzu. Huk automatu przebił się przez trzask płomieni. Pierwszy, drugi, a w końcu i trzeci napastnik upadli na podłogę.

Odetchnąwszy czystym powietrzem, Vance oprzytomniał i gdy mnich wzniósł żelazny pręt, by zadać następny cios, kopnął go wyprostowaną nogą w udo. Przeciwnik stracił równowagę, lecz zataczając się do tyłu, nad krawędź dziury w podłodze, chwycił go za stopę.

Vance zachwiał się i zaczął ześlizgiwać ku szczelinie, wymachując rękami, by się czegoś uchwycić. Z pokoju pod nim dobiegły podekscytowane krzyki.

W holu jeden z leżących na ziemi mężczyzn otworzył ogień do Suzanne. Pociski odłupały tynk wysoko nad jej głową. Zobaczyła błysk u wylotu lufy jego broni. Wycelowała, pociągnęła za spust i usłyszała, że karabin wypadł mu z rąk i głucho stuknął o dywan. Odwróciwszy się do Eriksona, ujrzała ze zgrozą, że mnich wczepił się w jego nogę i ciągnie go powoli ku szczelinie. Napastnik sam już w nią wpadł, tak że widać było tylko jego tułów oraz lizane płomieniami ręce. Wycelowała, modląc się, by nie trafić w Vance'a. Nacisnęła cyngiel. Cisza.

Boże! jęknęła w duchu, przecież my jesteśmy ci dobrzy nie może nam zabraknąć amunicji. Nie pozostało jej nic innego, jak skoczyć naprzód i cisnąć w przeciwnika bezużyteczną bronią. Ten popatrzył ze zdumieniem w górę gdy ciężki metalowy karabin zawirował w powietrzu i trafił go prosto w twarz. Wrzeszcząc z bólu, mnich zniknął w szczelinie.

- Vance - rzuciła Suzanne, pomagając mu się podnieść - nic ci nie jest?

Błysnął zębami w uśmiechu.

- W tej sytuacji to dość głupie pytanie. Zabierajmy się stąd!

Na schodach zatętniły kroki większej grupy strażników. Vance podniósł pistolet maszynowy jednego z mnichów i podał go Suzanne.

- Trzymaj - rzekł. - Wygląda na to, że potrafisz się nim posługiwać na wiele sposobów.

Sam wziął drugi automat i oboje pobiegli szybko w głąb korytarza, oddalając się od schodów. Gdy dotarli do końca, z kłębow dymu wyłoniło się dwóch mnichów. Vance położył ich krótką serią. Suzanne podbiegła do wąskich schodków dla służby, a Erikson podążył za nią. Z dołu dobiegł tupot kroków. Pozostała tylko droga w górę.

Na następnym piętrze przebiegli obok zaskoczonego wartownika. Ostrzelał ich, a Vance odpowiedział ogniem, zmuszając go do wycofania się. W dole kroki ścigających rozbrzmiewały coraz głośniejsze i bliżej. Suzanne była blada; kosmyk włosów przyłgnał do jej spoconego czoła. Erikson wiedział, że nie zdołają już długo uciekać. Duszący dym i walka ze strażnikami nadszarpnęły ich siły. Mimo to biegli wciąż w górę, a ich zdyszane oddechy odbijały się echem w wąskiej klatce schodowej

szczytu schodów wpadli na niewielkie drzwi, zamknięte na kłódkę. Vance bez słowa odsunął Suzanne od ścianę i wystrzelił w zamek, po czym podbiegł i pchnął je.

- Będziemy teraz potrzebowali sporo szczęścia - mruknął ponuro.  
- Skończyła mi się amunicja.

Ożywczy podmuch świeżego powietrza przywrócił im na chwilę energię i podniósł ich na duchu. Zbadali dokładnie mały ogrodzony taras z widokiem na jezioro, na którym stały białe metalowe stoliki z

parasolami. Za plecami mieli jaskrawo oświetlony dziedziniec klasztorny, pełen mężczyzn biegnących do głównego budynku. Lekki wietrzyk przynosił ledwie wyczuwalną woń spalenizny. Niebo nad szczytami gór pojaśniało. Wstawał świt.

Pobiegli co tchu do kawiarnianego barku. Zgodnie z oczekiwaniami Vance'a, była tam zwykła winda, zaś obok, przy kontuarze, druga, przeznaczona do transportowania jedzenia z kuchni - wystarczająco duża, by mogli nią zjechać na dół. Jeżeli zdołają się do niej dostać.

Lecz drzwiczki nie ustąpiły. Mechanizm zabezpieczający blokował je, gdy nie było za nimi kabiny.

- Winda osobowa jedzie w górę - zawołała Suzanne. - Założę się, że nie wiezie gości na obiad.

Za sobą usłyszeli podniecone głosy ścigających, którzy wychodzili z wąskiej klatki schodowej. Za chwilę nas dopadną, pomyślał Vance. Ogarnęła go rozpacz.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedział znużonym tonem do Suzanne, która wpatrywała się w niego z napięciem. - Schrząniłem to.

Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się z determinacją.

- Nie poddawaj się jeszcze - rzekła. - Chodźmy.

Wzięła go za rękę i pociągnęła na skraj dachu. W dole spienione fale obmywały fundamenty budynku. Jak większość rezydencji w Como, tę również wybudowano tuż nad jeziorem. Strome zbocze góry schodziło pionowo pod wodę. Wokół jeziora Como nie było plaż, z wyjątkiem dwóch na obu krańcach. Brzegi opadały wszędzie zbyt stromo. Trzy metry od brzegu powinno tu już być głęboko na jakieś siedem, dziesięć metrów. Chyba że, pomyślała z drzeniem Suzanne, jest o wiele płycej

- Wydostaniemy się tędy - powiedziała. Osłupiały Vance spojrział najpierw na nią, a potem na jezioro leżące jakieś dwadzieścia pięć metrów pod nimi.

- Tędy?

- Skoczmy - odparła z przekonaniem, którego bynajmniej nie czuła.

- Skoczmy? - Z trudem przełknął ślinę.

Za ich plecami huknęły wystrzały. Wokół zagwizdały śmiercionośne pociski.

Skoczyli trzymając się za ręce.

## *Rozdział 17*

---

Pokój był całkiem wygodny. W istocie można by go nawet nazwać luksusowym, ze względu na nowoczesne włoskie meble z chromowanego metalu, skóry i wyplatanej trzciny. Nawet oryginalny Matisse, wiszący na ścianie koloru kości słoniowej, świadczył o dobrym smaku. Szkoda tylko, pomyślał Harrison Kingsbury, podnosząc się z trzciniowo-skórzanego siedziska, pełniącego funkcję krzesła, że zupełnie nie jest w moim guście.

Wiedział jednak, że nie chodzi tu o gust.

Po puszystym, stalowoniebieskim dywanie podszedł bosy do okna, wychodzącego na zabytkową dzielnicę Bolonii.

- Vance, Vance, co ja nam obu zrobiłem?

Westchnął, spoglądając na znane mu już do znudzenia budynki o czerwonych dachach otaczające Duomo. Widok podzielony był na regularne prostokąty kratą z ozdobnych żelaznych prętów, zamontowaną niegdyś w obronie przed włamywaczami, a obecnie uniemożliwiającą mu ucieczkę. Znów poczuł się starym człowiekiem. Siedemdziesiąt trzy lata ciążyły mu niczym ołowiany balast.

Za kilka dni firma, której poświęcił życie, straci wszelką wartość, a człowiek, którego kochał jak syna, zostanie okrzyknięty przestępcą - martwym albo ściganym przez prawo. Jak do tego wszystkiego doszło? Przymknął oczy i potarł powieki zwiniętymi w kułak pięściami. Musi znaleźć słabe ogniwo Legacji...

Rozmowa w posiadłości na obrzeżach Rzymu trwała krótko, lecz wiedział, że po niej nastąpią szybkie i bezlitosne śmiertelne ciosy. Ten arogancki młody człowiek, Kimball, przedstawił mu ultimatum Legacji: albo Kingsbury podejmie z nią współpracę, albo on i Vance Erikson zostaną zrujnowani.

Kimball opisał mu pokrótce, jak wrobiono Eriksona i tę dziewczynę, Suzanne Storm. Zadziwiająca para, pomyślał Kingsbury, odwracając się od okna i siadając znów na znieciercierowanym krześle. Zegar na stole obok pokazywał 9:53. Nigdy by nie pomyślał, że tych dwoje wypowie sobie prywatną wojnę, a tym bardziej, że potem zostanie współnikami zbrodni.

Z pozoru pierwsza część żądania Kimballa wydawała się prosta: jeżeli będziesz z nami współpracować, sprawimy, że Vance zostanie oczyszczony z zarzutów i wycofa się wszystkie oskarżenia przeciw niemu; natomiast jeśli rzucisz nam wyzwanie, zniszczymy go. Był to dość obrzydliwy rodzaj emocjonalnego szantażu, który w dzisiejszych czasach zastąpił honorową walkę. Jednakże z tym sam by sobie poradził. On też miał wysoko postawionych przyjaciół i mógłby wypowiedzieć wojnę Legacji.

Ale nie, jego wrogowie o tym także wiedzieli. Przystudiowali go szczegółowo, niczym arcymistrz szachów uczący się na pamięć posunięć przeciwnika z jego wcześniejszych partii. Poznali go na tyle dobrze, by mieć w zanadrzu ostateczny cios, który, jak sądzili, powali go już na zawsze.

W jakiś sposób dowiedzieli się o dokonanych przez niego odkryciu olbrzymich złóż ropy naftowej w chilijskich Andach. Samo w sobie byłoby to niebezpieczne, ale jeszcze nie katastrofalne. Jednakże dowiedzieli się również, że aby móc eksploatować te zasoby, nadmiernie i ryzykownie rozbudował firmę ConPacCo. Ta wiedza mogłaby już go zniszczyć. Kingsbury poszedł do małej kuchenki, by zaparzyć sobie filiżankę herbaty. Lecz z drugiej strony, pomyślał, właśnie podejmowanie ryzyka, którego obawiały się wielkie spółki naftowe, stworzyło sukces ConPacCo.

Przy tej ostatniej operacji musiał zastawić praktycznie cały majątek własny i firmy. Większość ludzi uznałaby takie posunięcie za ryzykanckie, jednak jeśli inwestycja się powiedzie, stanie się najbardziej lukratywnym kontraktem w historii przemysłu naftowego.

Działał powoli i bez rozgłosu. Tylko on i Vance Erikson, który znalazł pokłady ropy, znali cały plan. Obowiązki w firmie podzielono w ten sposób, aby żaden pracownik kierowniczego szczebla nie poznał



całości przedsięwzięcia ani wiążącego się z nim finansowego zagrożenia. Kingsbury musiał działać potajemnie także dlatego, że większość zainwestowanych funduszy pożyczył pod zastaw pięćdziesięciu trzech procent akcji ConPacCo, będących jego prywatną własnością. Drastyczny spadek ich kursu -nieunikniony, gdyby inwestorzy giełdowi dowiedzieli się o operacji, zanim zaczęłyby przynosić zyski - unieważniłby wiele z tych pożyczek. Gdyby do tego doszło, trzeba by było zrezygnować z projektu, co w praktyce oznaczałoby ruinę ConPacCo. Musiałby wówczas sprzedać firmę którejś z wielkich kompanii naftowych.

I właśnie tym - pomyślał, gdy imbryk zaczął gwizdać -zagroziła Bremeńska Legacja. Włał wrzątek do dużej angielskiej filiżanki, obserwując unoszącą się z niej parę, a potem wrzucił torebkę Twinings English Breakfast i patrzył, jak nasiąka i opada na dno. Żałował że nie ma odpowiedniego czajniczka do herbaty. Saszetki uważał za barbarzyństwo.

Lecz postąpił teraz tak, jak zawsze, zdecydował, przyglądając się złotawobrazowej cieczy, która rozprzestrzeniała się w filiżance. Wielekroć już wychodził obronną ręką z piekielnie trudnych sytuacji, toteż poradzi sobie i tym razem. Życie dawniej też bywało nieludzkie i potworne. Był świadkiem, jak jego ojciec umarł z głodu w nędznym domku w walijskich górach podczas mroźnej zimy 1916 roku. On sam miał wówczas osiem lat i poprzysiął, że nie dopuści, by jego kiedykolwiek spotkało coś takiego. Widział, jak ojciec popadł w rezygnację, choć mógł się jeszcze uratować. Rezygnacja oznacza śmierć. Zamieszał herbatę i wyjął torebkę. Tak, śmierć.

Przypomniawszy sobie uśmiezek, ten cholerny pewny siebie uśmiezek na twarzy Kimballa, ujawniającego w rzymskiej rezydencji zamiary Legacji. Jeszcze teraz Harrisonowi tak trzęsły się ręce, że rozlał trochę herbaty na stalowoniebieski dywan. W firmie ConPacCo był zdrajca, który przekazał Legacji wszystkie potrzebne jej informacje.

Wracając wczoraj z rezydencji do Rzymu, Kingsbury doszedł do wniosku, że dostał mata. Potem jednak z Como zadzwonił Erikson i opowiedział o zamachach na swe życie. A więc Vance nie poddał się. Ten szalony chłopak sam zaatakował przeciwników. To dało

Kingsbury'emu do myślenia. Zdołał niemal przekonać samego siebie, że znajdzie jakiś sposób, żeby... jeśli nie zwyciężyć, to przynajmniej sprawić, by Bremeńska Legacja także nie odniosła zwycięstwa.

Ale dziś wczesnym rankiem ludzie z Legacji przyjechali po niego do hotelu. Powiedzieli mu, że Vance sprawia kolejne kłopoty. Zakłóca pewne przedsięwzięcie, w które Legacja się zaangażowała. Dlatego zabierają Kingsbury'ego jako zakładnika do jednej ze swych rezydencji w Bolonii, aby mieć pewność, że Erikson przestanie im brudzić.

Tak obecnie wygląda umowa, pomyślał Kingsbury, popijając ostrożnie gorący napój. Muszę powstrzymać Vance'a. Jeżeli tego nie uczynię, on, ConPacCo i ja pójdziemy na dno. Ale jak mam to zrobić? Skąd Vance będzie wiedział, że powinien przyjechać do Bolonii? W jaki sposób mnie znajdzie i co zrobię, gdy już się z nim spotkam?

Słońce wschodziło na zamglonym bolońskim niebie. Kingsbury nic potrafił odpowiedzieć na te wszystkie pytania, niemniej wierzył, że Erikson przyjedzie tutaj i odnajdzie go. Uśmiechnął się przelotnie i odstawił filiżankę na spodeczek.

- Kiedy już tu będziesz, mój chłopcze - powiedział głośno w pustym pokoju - zabawimy się trochę z nimi. Mam pewien plan.

\*\*\*

- Do wszystkich diabłów! - wykrzyknął ponownie Hashemi w języku farsy, przechadzając się tam i z powrotem po małym, obskurnym pokoiku. Co ten przekłetyjasnowłoty Amerykanin sobie myśli? Nie jestem żadnym amatorem, żebym do zabicia kogoś potrzebował pomocników. Ten amerykański imperialista jest nie lepszy niż cała reszta a on, Hashemi, nie pozwoli się powstrzymać. Sam zabije papieża. Nie dbał już o pieniądze. Musi zlikwidować na pieża, który w jego kraju jest symbolem chrześcijańskich krzyżowców.

Przystanął i znów zaciągnął się głęboko dymem z wodnej fajki. Haszysz przepłynął mu przez głowę, pozostawiając w sercu gniew i chęć mordu. Obok fajki leżał dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny browning. To jego miecz Allacha, który uciszy na zawsze tyrana w Watykanie.

Staął przy oknie i wyjrzał na aleję biegnącą wzdłuż brudnożółtego, pokrytego plamami muru. Wyobraził sobie swe

przyszłe bohaterskie czyny i to, jak udaremnia „awaryjny plan” aroganckiego jasnowłosego Amerykanina.

Ten Jankes i jego „pomocnicy” chcą koniecznie odebrać mu jego prawowite zadanie. Przeznaczeniem Hashe-miego, Miecza Allacha, jest zabicie papieża. Ci niewierni nie zasługują na chwałę, która tylko jemu się słusznie należy. Hashemi Rafiqdoost usiadł przy nędznym biurku, wyjął pomięty kawałek papieru i napisał wielkimi kulfonami:

„To ja zabiłem papieża”.

Zapałił się do pisania i sumiennie przelewał na papier swe rozmyślenia sprzed chwili. Kiedy pochowają papieża, ten list przejdzie do historii. Skończył pisać, wsadził kartkę do zatłuszczonej koperty, po czym zakleił ją i położył na biurku, pod kluczami do pokoju hotelowego numer 31.

- Allach Akbar - rzekł. Wsunął browning do kieszeni kurtki, zamknął za sobą drzwi i zbiegł po skrzypiących schodach na spotkanie ze swym przeznaczeniem.

\*\*\*

- Zgadza się: *Hashemi* - powiedziała Suzanne do słuchawki. Vance stał przy niej obok automatu telefonicznego na Dworcu Głównym w Rzymie. Serce mu zamierało, ilekroć w pobliżu pojawiał się jakiś policjant. Do diabła, dlaczego ona musi dzwonić właśnie stąd, gdzie aż roi się od gliniarzy? Czy postawiono ich w stan pogotowia? Nie miał pojęcia, jak działa policja we Włoszech.

- Nie, nie znam jego nazwiska - mówiła. Przyciskała słuchawkę do ucha i Vance nie słyszał głosu jej rozmówcy. - Ale takie imię oznacza, że jest prawdopodobnie... kim? Może Irańczykiem? - Słuchała przez chwilę. - Tony, jestem pewna, że dziś po południu zostanie dokonany zamach na życie papieża... o czwartej... Tak, tak, jestem zupełnie pewna.

Erikson przymknął ze znużeniem oczy, pragnąc by ta króciutka chwila odpoczynku rozciągnęła się w całą dobrze przespaną noc. Pożar w rezydencji klasztornej rozszerzył się błyskawicznie, ogarniając zabytkowe drewniane wnętrza. Wszystkich ludzi skierowano do gaszenia ognia - nawet strażników, którzy strzelali do nich na dachu - w przekonaniu, że oboje zginęli podczas swego skoku.

Lecz Suzanne się nie myliła. W miejscu, gdzie skoczyli, jezioro miało dobre dziesięć metrów głębokości. Weszli w wodę gładko, jak nóż w masło, nogami naprzód, a potem z łatwością dopłynęli do hangaru dla łodzi. Ponieważ wszyscy zajęci byli przy pożarze, bez przeszkód dotarli ukradzioną motorówką do Como. Przedtem jednak Erikson toporkiem przeciwpożarowym uszkodził wykonane z włókna szklanego kadłuby dwóch pozostałych łodzi. W Como zostawili motorówkę na przystani dla statków wycieczkowych w pobliżu Villa del Olmo i pociągiem pojechali na gapę do Rzymu.

- Tony, czy jesteś moim kumpłem?

Vance wychwycił zmianę w głosie Suzanne, gdy rozmawiała z tym tajemniczym Tonym. Nie chciała mu nic o nim powiedzieć, z wyjątkiem tego, że im pomoże.

- Proszę cię, Tony - rzekła melodyjnie. - Nie mam pieniędzy! Wyglądam jak uciekinierka... nie, musisz mi uwierzyć. Proszę... Kiedy już dodzwonisz się do gwardii szwajcarskiej w Watykanie, spotkaj się ze mną w... w tej małej kawiarence na Piazza delia Republica... Co? Oczywiście, ty głuptasie, że ją pamiętasz. To ta, w której siedzieliśmy tego popołudnia, kiedy poprosiłeś, żebym za ciebie wyszła... Tak, wiem że nie byłabym teraz w takich ta rapatach, gdybym się wtedy zgodziła... Przestań, Tony, to nie jest odpowiednia pora. Tak, tak... O drugiej? A nie możesz o pierwszej?... Wiem, że jest już południe, ale koniecznie chcę się z tobą zobaczyć. Dzięki, jesteś równy gość... pa.

Odwiesiła słuchawkę z westchnieniem ulgi i odwróciła się do Vance'a.

- Mówiłam ci, że to zrobi - powiedziała triumfalnie, z promiennym uśmiechem na znużonej twarzy. - On...

Urwała spostrzegłszy minę Eriksona.

- Uroczą kawiarenka, gdzie poprosił cię o rękę - rzekł. Kim, do cholery, jest ten Tony?

\*\*\*

Niech diabli wezmą tego Vance'a Eriksona! - zaklął Elliott Kimball, przechadzając się szybkim krokiem po włożonej puszystym dywanem podłodze rzymskiego biura Bremeńskiej Legacji przy eleganckiej ulicy Via Vittorio Veneto. Zatrzymał się przy narożnym

południowym oknie i obrzucił wściekłym spojrzeniem ambasadę amerykańską, a potem ruszył dalej, podejmując swój gniewny monolog.

- I niech diabli porwą twoją przeklętą duszę, bracie Grzegorzu!

Doszedł do kredensu na drugim końcu pokoju, zawrócił gwałtownie i ruszył znów w stronę okna. Gdyby tylko ten cholerny zwariowany ksiądz trzymał się od tego z daleka. Po diabla w ogóle ściągnął Eriksona w pobliże Mediolanu? I dlaczego nie zabił go w klasztorze?

Z pewnością Erikson nie jest kimś aż tak cennym, by włączać go do klasztornej kolekcji sławnych ludzi.

Trzęsąc się ze złości i frustracji Kimball oparł się o gładki blat palisandrowego biurka. Po chwili udało mu się jakoś opanować.

Gdyby, gdyby, gdyby... Gdyby brat Grzegorz zabił Eriksona; gdyby Erikson nie uciekł z klasztoru; gdyby kilka tygodni temu Carothers pozwoliła mu go zamordować; gdyby... gdyby Bremeńska Legacja nie musiała współpracować z fanatykami z zakonu. Lecz oczywiście wiedział, że wszystkie „gdyby” świata nie zmieniają faktu, iż musi jeszcze z nimi współdziałać.

Najbardziej niepokoił go ten Irańczyk. Był jeszcze większym fanatykiem religijnym niż Bracia. Nie można polegać na ludziach, którzy postępują zgodnie ze swymi przekonaniem, a nie z otrzymanym rozkazem. Lecz z drugiej strony, kto inny byłby na tyle szalony, by porywać się na papieża z pistoletem?

Kimball już trochę spokojniej zasiadł za biurkiem w prezydialnym fotelu ze skóry i chromu, który sam zaprojektował. Odetchnął głęboko, zamknął oczy i przebiegł w myślach elementy planu na dzisiejsze popołudnie. Jego rezerwowi snajperzy czekają w odwodzie i w razie niepowodzenia zamachowca dokonają dzieła. Bracia i Bremeńska Legacja dokonają wymiany i za trzy doby ta ostatnia będzie posiadała obie połowy najbardziej śmiercionośnego odkrycia naukowego w historii ludzkości.

Powoli otworzył oczy i z żyłkowanego, czerwono-czarnego blatu palisandrowego biurka podniósł arkusz papieru. Gdy czytał uważnie, ręka znów zaczęła mu drżeć.

Raport donosił, że tuż przed świtem Vance Erikson uciekł z klasztoru Braci Wybrańców Św. Piotra. Kimball próbował się pocieszać, że nie stanowi on żadnego zagrożenia dla transakcji i nie może wiedzieć o planowanym zabójstwie. Mimo to wciąż dręczyły go wątpliwości. Erikso-nowi udało się już zbyt wiele; ten uzdolniony amator dopiął czegoś, co było prawie niemożliwe.

Trapiła go jedna rzecz: Vance wciągnął w chaotyczny wir zdarzeń Suzanne Storm. Szkoda, pomyślał, przypominając sobie jej piękne ciemnozielone oczy. Ją też będzie musiał zabić. Ale takie jest życie, stwierdził filozoficznie, rozpierając się wygodnie w fotelu i uśmiechając do siebie po raz pierwszy dzisiejszego poranka. Życie... i śmierć. Nacisnął włącznik niszczarki dokumentów.

\*\*\*

Uroczą kawiarenka, odległa od dworca o jakieś dziesięć minut drogi pieszo, składała się z dwóch tuzinów stolików i dwakroć tylu krzesełek, rozstawionych dość chaotycznie w chodnikowej galerii przy Piazza delia Repubblica. Chłodny cień w galerii przynosił ulgę od gorącego popołudniowego słońca. Od marmurowej, ułożonej w szachownicę podłogi oraz kamiennej ściany budynku wiał ziąb, stwarzając iluzję, że ten ogródek pod gołym niebem ma klimatyzację.

Po jednej stronie wąskiej galerii, w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów przejeżdżały samochody.

przechodnie zaś przeciskali się przez pasaż i między stolikami, zdążając do sklepów otaczających kawiarnię. Przybyli na spotkanie za wcześniej.

- Nie wiem, jak zareaguje Tony, gdy zobaczy mnie z kimś innym - rzekła Suzanne. - Żądam od niego ogromnej przysługi i nie jestem pewna, czy będzie chciał zrobić to dla kogoś jeszcze - nie mam nawet pewności, czy uczyni to dla mnie. - Gdy Vance zaczął gwałtownie domagać się wyjaśnień, odparła stanowczo: - Opowiem ci później. W tej chwili to nieważne. Powiem ci wszystko, ale teraz musimy skupić się wyłącznie na decyzji, co robić dalej.

W innej sytuacji i wobec kogo innego Eriksona by to nie zadowoliło. Lecz teraz był bezradnym uciekinierem bez pieniędzy i to osłabiło jego zwykłą determinację. Tak bywa, gdy jest się zależnym od

innych, pomyślał ponuro, siadając w odległości dwóch stolików od dziewczyny, plecami do niej. Da Suzanne i temu typkowi Tony'emu godzinę na to, żeby coś wymyślili, a potem, do diabła, sam zacznie działać. Jego dewizą było zawsze: rób cokolwiek, nawet jeśli to grozi popełnieniem błędu, lecz nigdy nie pozostawaj bierny. Tylko godzina.

Rozmyślenia przerwał mu nieznajomy głos.

- Jesteś jak zawsze urocza, Suzanne.

Chryste! Vance przewrócił oczami. Kwestia jak z kiczowatego filmu.

- Wiesz, nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

Erikson zwarł mocno szczęki, aż uwydatniły mu się mięśnie na policzkach, i zacisnął usta w cienką linię.

- Proszę cię, Tony - odrzekła Suzanne słodko. - Nie zaczynaj od nowa. Wiesz dobrze, że nigdy by nam razem nie wyszło.

- To ty tak twierdzisz.

Dokładne wymawianie sylab przez Tony'ego i akcent z brytyjskich wyższych sfer działały Eriksonowi na nerwy. Z roztargnieniem podniósł widelec z sąsiedniego stolika i niezauważony przez Tony'ego przyjrzał się temu szczupłemu, nienagannie ubranemu Anglikowi. Miał około czterdziestki i był przystojny, z ciemnymi włosami, które zaczynały lekko siwieć przy skroniach. Vance zakreślił widelcem na obrusie nierówne kółko.

- Obawiam się, że nie mamy dzisiaj czasu na przywoływanie dawnych historii. Sprawa, o której chcę ci po wiedzieć, jest naprawdę niezwykle pilna – oświadczyła Suzanne. - I nie dotyczy przeszłości. Najlepsze, co możemy oboje zrobić, to iść własnymi drogami. Wiesz o tym.

- Być może się myślisz.

Vance narysował widelcem następne kółko, tym razem ciaśniejsze.

- Co do nas? Nie sądzę.

- Być może co do nas - powiedział Tony. - A z pewnością co do tego, że to spotkanie było takie pilne.

- Jak to?

- Dziś rano, tuż po twoim telefonie, zasięgnąłem języka we włoskim wywiadzie. Wygląda, że wczoraj wieczorem otrzymali

anonim z tą samą wiadomością, którą ty mi przekazałaś. Zapewniono mnie, że do drugiej po południu... czyli za niecałą godzinę... wszyscy zamieszani w to ludzkie zostaną zatrzymani i aresztowani.

- Ludzie - powtórzyła z zakłopotaniem Suzanne. - Ale... -

Powróciła myślami do strzępów rozmowy, które podsłuchiwała, udając nieprzytomną. Wspomniano tam o tylko jednej osobie. - Czy któryś z tych ludzi ma na imię Hashemi?

- To właśnie było dziwne - odparł Tony. - Udało mi się zdobyć nazwiska ich wszystkich i żadne nie jest nawet podobne. Wszyscy są Włochami i o ile wiadomo, żaden nie używa pseudonimu. Jesteś pewna, że dobrze usłyszałaś?

- Jestem pewna - rzekła. - Jestem zupełnie pewna, że ktoś o imieniu Hashemi ma zabić papieża.

- I w dalszym ciągu nie chcesz mi powiedzieć, skąd uzyskałaś tę informację?

- Słuchaj, Tony, to bez znaczenia. I mam powody, żeby o tym nie mówić - rzekła zdecydowanym, rzeczowym tonem. - Ważne jest, że zamachowiec przebywa na wolności.

- Tego nie wiemy - odparł z uporem Anglik. - Uważam, że zaszła tu pomyłka co do osoby.

- Nie, do diabła! Nie. To nieprawda.

- Suzanne, nie wiesz, czy masz rację. A dałaś mi zbyt mało informacji, bym mógł ci pomóc w ocenie faktów.

- Tony... - nachyliła się ku niemu nad stolikiem - wiesz, że nie mówiłabym czegoś takiego, nie mając całkowitej pewności. Wiesz o tym. - Chciał jej przerwać, ale uciszyła go gestem dłoni. - I sprzeczenie się o to nic nam nie da. — Usiłowała przybrać pojednawczy ton. - A jeżeli to ty się mylisz, jeśli istnieje choć cień szansy, że mam rację? Więc czy nie można by dotrzeć do watykańskiej służby bezpieczeństwa i powiedzieć im, żeby coś zrobili: zmienili trasę przejazdu, czas albo w ogóle odwołali audiencję?

Tony potrząsnął głową.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Znasz obecnego papieża. Dogląda swej trzódki bezpośrednio, a nie zza muru podwładnych i strażników. Nawet gdyby nasza informacja zaniepokoiła ochronę, i tak



drogę przejazdu ogłoszono wiele dni temu. Zmiana czasu albo trasy rozczarowałyby tysiące wiernych, którzy zgromadzili się, by go pozdrowić. Powiadomiliśmy Watykan i to jest najlepsze, co mogliśmy zrobić.

- Więc pomóż mi znaleźć Hashemiego.

- Jak? To dość popularne irańskie imię. Oczekujesz, że policja aresztuje wszystkich mężczyzn o imieniu Ha-shemi?

- Nie - odparła Suzanne znużonym tonem. Odczuła nagle przygniatający ciężar dramatycznych wypadków ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. - Wiesz, że nie przy-szłoby mi do głowy coś tak nierozsądnego.

- Przede wszystkim powinnaś oddać się w ręce policji.

- Co takiego?! - Poderwała się z nowym przyływem energii. - Co masz na myśli?

- To przyszło dziś rano dalekopisem - rzekł, wyjmując arkusik papieru z wewnętrznej kieszeni eleganckiego garnituru z Savile Row. Obserwował, jak Suzanne przebiega po nim wzrokiem. Wiadomość była krótka. Oboje z Van-cem Eriksonem są ścigani za morderstwa w Mediolanie i Bellagio. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał, kiedy skończyła czytać.

- A dlaczego zwlekałeś z pokazaniem mi tego? - zripostowała.

- Bo miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka. Po prostu nie mogłem uwierzyć. Ale...

- Ale moja reakcja jest dla ciebie wystarczającym dowodem? - Z wyrazu jego twarzy poznała, że istotnie tak jest.

- Wiem jednak, że musi w tym tkwić coś jeszcze - ciągnął. - Nikomu o tobie nie wspominałem. Pragnę przede wszystkim oczyścić cię z tych zarzutów i potrafię tego dokonać. Mogę ci pomóc. Jestem teraz szefem oddziału w Rzymie.

- Wiem, Tony - rzekła. - Ale to by ci zrujnowało karierę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - Przytaknął. - A jednak jesteś zdecydowany. - Ponownie skinął głową.

Ujęła go za rękę.

- Drogi, kochany Tony - powiedziała. - W żadnym wypadku nie mogłabym się na to zgodzić. Nie pozwoliłabym ci, nawet gdyby...

gdybym....

- A więc jest ktoś inny - rzekł Tony. Jego oczy błagały, by zaprzeczyła.

- Tak, jest ktoś inny. - Ścisnęła mocniej jego dłoń, gdy chciał ją wyrwać. - Czy nie pojmujesz, dlaczego nigdy nam ze sobą nie wyszło i w przyszłości byłoby tak samo? - Tony nic nie odpowiedział. - Proszę, spróbuj to zrozumieć. Proszę cię!

- Staralem się zrozumieć przez prawie trzy lata - rzekł po chwili milczenia. - Ale po prostu chyba nigdy tego nie zaakceptuję. Czy potrafisz to pojąć?

Nie, choć bardzo bym chciała.

Urwała, gdyż podszedł do nich kelner, by przyjąć zamówienie.

- Tony - podjęła. - Musimy trochę się od siebie oddalić. Nie możesz wiecznie żyć naszą przeszłością.

- Przypuszczam, że chodzi o tego faceta wspomnianego w notce, o tego Eriksona - rzucił.

- Tak. Chciałabym ci o tym opowiedzieć, wytłumaczyć ci wszystko.

- Nie mam ochoty tego słuchać.

- Proszę cię, Tony, wysłuchaj mnie. Kiedy ci wszystko opowiem, zrozumiesz mnie. Tylko mnie wysłuchaj.

I nie czekając na jego zgodę, zaczęła mówić. Opowiedziała mu o Como, o klasztorze, zabójstwach w Bellagio i śmierci hrabiego Caizzi. Zrelacjonowała wcześniejsze podróże Vance'a, śmierć Martiniego oraz uczonych w Wiedniu i Strasburgu. W miarę, jak kontynuowała opowieść wzrok Tony'ego zdradzał rosnące zaniepokojenie. Przerwał jej, by poprosić o dokładniejsze wyjaśnienie jakiejś kwestii, a potem ponownie pytając czy może notować. Od tego momentu gryzmołił pospiesznie, przerywając jej częściej i prosząc o przeliterowanie jakiegoś nazwiska, o podanie daty, godziny czy adresu.

Wyjaśniła mu, dlaczego Vance wszczął poszukiwanie zaginionych stronik kodeksu, opowiedziała o dokumentach przechowywanych w Watykanie, o uwięzieniu Tosiego. Wkrótce Tony nie podnosił już wzroku znad małego notatnika, w którym wszystko zapisywał. Wymamrotał jedynie: „Chryste panie”, gdy Suzanne doszła

do skoku ze szczytu płonącej rezydencji i podróży do Rzymu. Kiedy skończyła, poprosił by wróciła jeszcze do początku relacji, którego nie zanotował. Wciąż jeszcze był rozżalony, ale na koniec uniósł dłoń i rzekł rzeczowym tonem:

- Teraz już rozumiem. Dotąd sądziłem, że aresztowanie tych czterech morderców zamyka całą sprawę. Jednak to, co opowiedziałaś, trzyma się kupy i doskonale pasuje do pewnych informacji, których nie potrafiliśmy zinterpretować...

-Jakich informacji?

- Obserwujemy ludzi, posługując się niekiedy metodami, które grzeczni liberałowie mogliby uznać za odrażające. Ponadto bacznie przyglądamy się ważnym osobistościom zarówno z kręgu samych terrorystów, jak i ich potencjalnych ofiar, wykorzystując nasze kontakty w środowiskach imigrantów oraz w organach porządku publicznego i agendach wywiadu przemysłowego. Wszystkie zebrane informacje są następnie przetwarzane komputerowo i w efekcie uzyskujemy rodzaj codziennych prognoz, uwierających listę najbardziej prawdopodobnych ofiar zamachów terrorystycznych oraz ich sprawców. Suzanne skinęła głową.

- Mam nadzieję, że wasze prognozy są lepsze niż te WUSA.

W przeszłości współpracowała z agentami wywiadu Stanów Zjednoczonych przy opracowywaniu amerykańskiego odpowiednika tego programu. Potężny komputer wchłaniał codziennie miliony danych: wydarzenia na świecie i reakcje na nie ugrupowań terrorystycznych; trasy podróży szefów największych koncernów, wysokich urzędników państwowych i oficerów oraz potentatów finansowych; sytuacja i miejsca pobytu terrorystów i osób podejrzanych o działalność terrorystyczną, a także stany ich kont oraz miliony innych informacji. Komputer przetrwał je wszystkie po to, by -jak się spodziewano - móc następnie przewidywać zamachy terrorystyczne.

Niestety, podobnie jak w przypadku przepowiadania trzęsień ziemi, pojawiły się problemy. Komputer dostarczał tyleż prognoz trafnych, co i chybionych, wszczynając zbyt wiele fałszywych alarmów. Toteż z czasem niemal przestano zwracać uwagę na jego ostrzeżenia.

- W istocie, odnieśliśmy spory sukces - odparł Tony z nutką typowo angielskiej wyższości. - Skorzystaliśmy z usług słynnego londyńskiego bukmachera, który zdołał zwiększyć procent

niezawodności programu do ponad siedemdziesięciu. Oznacza to, że otrzymujemy co najmniej dwukrotnie więcej przepowiadni prawdziwych niż fałszywych. Tak czy inaczej, jak już mówiłem, w tym tygodniu dostaliśmy zagadkową prognozę: komputer wskazał pewną osobę i włączył ją zarówno do kategorii terrorystów, jak i ich spodziewanych ofiar. Suzanne wzruszyła ramionami.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego. Zapewne chodzi o konflikt pomiędzy dwoma odłamami jakiejś organizacji terrorystycznej.

- Owszem. Lecz niezwykle jest, iż według naszej wiedzy osoba ta nie jest członkiem żadnej grupy wywrotowej, tylko jednym z szefów Bremeńskiej Legacji. Właśnie dlatego twoja niewiarygodna opowieść tak mnie zaszokowała.

- I kto to jest?

- Niejaki Elliott Kimball. Skłonny jestem sądzić, że... -Przerwał, widząc że oczy Suzanne rozszerzyły się ze zdumienia. - Znasz go?

- Tak. - Wspomniała Mediolan i jazdę do Como. - Poznałam go w college'u. Jest niezmiernie bogaty. Wydaje mi się, że wpadł wtedy w jakieś kłopoty, co się często zdarza zamożnym młodym ludziom. A kilka dni temu podwiózł mnie z Mediolanu do Como.

- Wygląda, że złowiłaś dość grubą rybę.

- Elliott Kimball - powiedziała w zamyśleniu Suzanne. - Nigdy bym nie przypuściła...

- Ani ja. Prawdę mówiąc, zapisaliśmy to na konto trzydziestoprocentowego marginesu błędu komputera i nie przejmowaliśmy się tym... aż do teraz.

- Tony - rzekła podekscytowanym tonem, nachylając się ku niemu nad stolikiem. - Czy możesz pogrzebać trochę głębiej w pamięci komputera i dowiedzieć się czegoś więcej o Kimballu? Czegoś, co pomogłoby nam w wytropieniu Hashemiego?

- Sądzisz, że coś łączy Kimballa z tym tajemniczym Hashemim?

- Niewykluczone... Tak, my po prostu musimy przyjąć, że tak jest, nieprawdaż? Wiesz równie dobrze jak ja, że gdy dysponuje się tylko jedną drobną poszlaką, trzeba założyć, iż dokąds nas doprowadzi. Jeśli okaże się, że mieliśmy rację, być może znajdziemy naszego mordercę. Jeżeli nie, będziemy przynajmniej wiedzieli, że

sprawdziliśmy jedyny dostępny trop. Mam rację?

Tony zastanawiał się przez chwilę, delikatnie skubiąc dolną wargę, i w końcu powoli skinął głową.

- To jest jakaś szansa. Wprawdzie wątpa, ale chyba nic innego nam nie pozostało. - Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. -Już po drugiej - rzucił ponurym tonem. -Jeśli twoja informacja jest ścisła, do zamachu na papieża zostały niespełna dwie godziny.

Szybko wziął ze stolika rachunek za lunch, rzucił nań okiem, wyjął z portfela pieniądze i zapłacił. Potem z tylnej kieszeni wyciągnął białą kopertę.

- Weź to - powiedział, wręczając ją Suzanne. - W środku jest ponad pięć milionów lirów. Powinno ci wystarczyć na jakiś czas. - Suzanne z wahaniem wzięła pieniądze, przyglądając się uważnie twarzy Tony'ego. - No, przecież, prosiłaś mnie o to przez telefon - rzeki, patrząc na nią twardym wzrokiem. Był teraz znów stuprocentowym profesjonalistą.

- Zwróć ci je na pewno - oświadczyła.

- Nie musisz. Jako szef oddziału dysponuję sporym funduszem, przeznaczonym na wynagradzanie informatorów, a z tego, co od ciebie usłyszałem, wnoszę, że będą to dobrze wydane pieniądze.

Wstał.

- Tony - rzekła Suzanne - chciałabym, żebyś poznał Vance'a.

W jego oczach dostrzegła przez moment gniewny błysk, który niczym ostry nóż przeciął zasłonę zwykłej chłodnej uprzejmości.

Erikson podniósł się z krzesła i odwrócił do nich Przez dłuższy czas mężczyźni przyglądali się sobie w milczeniu, oceniając nawzajem w jakiś pradawny, atawistyczny sposób siłę, lęk i pozycję społeczną przeciwnika. Zaniepokojona Suzanne przenosiła wzrok od jednego do drugiego.

- Miło mi pana poznać - odezwał się Vance, ruszając w stronę Tony'ego z wymuszonym uśmiechem i wyciągając do niego rękę.

Anglik zawahał się, po czym uściśnął mu dłoń.

- Mnie również - odparł. Obydwaj długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Tony nie wytrzymał pierwszy. Zamrugał i spojrzał na Suzanne.

- No, cóż - rzekł, zerkając demonstracyjnie na zegarek. - Nie zostało nam zbyt wiele czasu. Proponuję, żebyśmy zabrali się do roboty.

Vance skinął głową. Suzanne uśmiechnęła się i z pieniędzy w kopercie zapłaciła za jego lunch. Wszyscy troje poszli do fiata Tony'ego, zaparkowanego w alei przy Via National, dwie przecznice od kawiarni. Suzanne usiadła obok kierowcy, zaś Vance zajął miejsce z tyłu.

- Gdyby ktoś dowiedział się, że spotkałem się z którymś z was, wezwano by mnie na dywanik za to, że nie powiadomiłem policji, chociaż jako szefowi oddziału mojej... - powstrzymał się przed podaniem nazwy -... firmy, byłoby mi łatwiej was usprawiedliwić. W każdym razie, będziecie musieli założyć kominiarki, żeby ukryć swą tożsamość. Ale nie przejmujcie się, to rutynowy sposób postępowania z informatorami, których trzeba przywieźć do centrali pamiętajcie tylko, żeby nie odzywać się w obecności personelu - nie możemy ryzykować, że ktoś rozpozna wasze głosy.

Oboje wymamrotali, że rozumieją, i usadowili się wygodniej, podczas gdy Tony wprawnie przemykał fiatem pośród zbitej masy pojazdów, prowadząc go z brawurą rzymskiego taksówkarza. O w pół do trzeciej zajechali przed niepozorne drzwi budynku przy wąskiej, krętej alei nieopodal Forum.

## *Rozdział 18*

---

W dźwiękoszczelnym pomieszczeniu znajdowały się trzy plastikowe krzesła, stół z laminowanym blatem, przypalonym wokół brzegów papierosami, oraz terminal komputerowy. W powietrzu unosił się ostry odór ludzkiego potu i strachu. Była godzina 15:11, a żaden z mężczyzn o imieniu Hashemi, których Tony'emu udało się wydobyć z pamięci komputera, nie okazał się tym poszukiwanym. Komputer raportował, że są w więzieniu, nie żyją bądź przebywają poza granicami Wioch. Zza pleców Tony'ego Vance i Suzanne obserwowali z niepokojem ekran.

- Nie mógłbyś wyciągnąć danych dotyczących Kimballa, żebyśmy otrzymali kontakt-listę? - zapytała Suzanne ponurym tonem.

Vance przyjrzał się obojgu w milczenie. Czym, u diabła, jest ta kontakt-lista? I gdzie Suzanne nauczyła się takiej terminologii? Był już pewien, że z Tonym Fairfaxem łączyły ją więzy nie tylko osobiste, ale i zawodowe. Co oznaczało, że była w przeszłości kimś w rodzaju szpiega.

Suzanne spostrzegła jego zdezorientowaną minę.

- Kontakt-lista to spis współników i wszystkich ludzi powiązanych z daną osobą - wyjaśniła krótko i natychmiast odwróciła się znów do ekranu i Tony'ego, który wstukał już na klawiaturze komendy i teraz skonsternowany potrząsnął głową.

- Chryste, to długa lista. W żaden sposób nie zdążymy jej sprawdzić - stwierdził i spojrzął na zegarek. Minęły następne dwie minuty. Skontaktowali się już ponownie z watykańską służbą bezpieczeństwa, lecz ich odpowiedź była zgodna z przewidywaniami: papież nie zmieni rozkładu dnia ani zapowiedzianej trasy przejazdu. Nie można zawieść wiernych.

- Zaczekaj - rzekła Suzanne z namysłem. - Przejrzyjmy tę listę według narodowości, zaczynając od Irańczyków i Arabów.

Zazwyczaj Tony zlecał wydobycie potrzebnych mu informacji swemu asystentowi i niemal zapominał, jak posługiwać się tym systemem, toteż z wdzięcznością przyjmował jej sugestie. Przebiegł szybko palcami po klawiaturze. Oprócz jej stłumionego klekotu w pokoju słychać było tylko szum klimatyzatora i przyspieszone, zaniepokojone oddechy wszystkich trojga.

Komputer wyświetlił, linijka po linijce, żądane informacje: nazwisko, a po nich narodowość oraz alfanumeryczny kod, umożliwiający dostęp do pełnego dossier. Na ekranie jarzyło się zielono siedemnaście nazwisk.

- Cholera - zakłęła Suzanne. - Żadnego Hashemiego.

- To może być pseudonim - podsunął Tony. - Ale by do niego dotrzeć, musimy przejrzeć po kolei każdy plik.

- Jest jakiś inny sposób? - spytała.

Potrząsnął przecząco głową i wprowadził pierwszy kod, aby



rozwinąć dossier.

Przejrzeni je, a potem następne. Erikson przyglądał się bezradnie, jak obsługują terminal. Za każdym razem, gdy kończyli sprawdzanie kolejnego pliku, zadawał sobie pytanie: gdzie znajduje się teraz papieska kolumna samochodów? I gdzie jest morderca? Czy temu Hashemiu - o ile naprawdę tak się nazywa - uda się dokonać zamachu? Pomyślał z goryczą, że oto jest świadkiem, jak najsprawniejsza na świecie służba wywiadowcza pozwala się przechytrzyć jednej osobie. I to jak przechytrzyć! Zagrożone jest nie tylko życie wybitnej światowej osobistości, lecz coś znacznie ważniejszego.

Jeśli bowiem Bremeńska Legacja i Bracia Wybrańcy św. Piotra istotnie zdołają połączyć obie połówki szkiców Leonarda, umożliwi to skonstruowanie najstraszliwszej broni, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. I broń ta znajdzie się w rękach tyranów i szaleńców. Vance spojrział na zamazaną, poplamioną fotokopię, którą ścisnął w spoconych z napięcia dłoniach. Był to dokładna trasa przejazdu papieskiej kolumny z rozkładem minutowym, uzyskana z Watykanu przez podwładnych Tony'ego. O godzinie 15:22 otwarty pojazd papieski skręci na Corso Vittorio Emanuele II, by stamtąd dojechać na plac św. Piotra. Tony zapewnił go, że ochrona papieża precyzyjnie trzyma się ustalonego harmonogramu i nie ustępuje punktualnością pociągom z czasów Mussoliniego.

Była 15:22. Papieżowi pozostało trzydzieści osiem minut życia.

W końcu Vance odezwał się:

- Czy możemy jeszcze cokolwiek zrobić?

- A co proponujesz? - rzucił Tony bez swej chłodnej, brytyjskiej flegmy. - Może chciałbyś pobiec na plac św. Piotra i szukać wśród kilkudziesięciotysięcznego tłumu ludzi? Chciałbyś zrewidować każdego z nich?

- Tony! - rzekła z wyrzutem Suzanne.

Spojrzał na nią z twardym i zaciętym wyrazem twarzy, ciskając wzrokiem gniewne błyski spod ściągniętych brwi.

- Po prostu się zastanawiałem - powiedział niepewnie Erikson. - Nawet gdybyśmy zjawili się tam ze zdjęciem Hashemiego, to jak go odnajdziemy?

Tony popatrzył na niego, a potem oboje z Suzanne jednocześnie zaczęli mówić.

- Proszę, Suzanne - ustąpił Fairfax.

- No więc, mamy marszrutę przejazdu - powiedziała. - Wiemy, gdzie dokładnie będzie papież o szesnastej, czyli w porze zaplanowanego zabójstwa.

- Wiemy również, że dachy oraz budynki, które mogłyby stanowić kryjówkę dla snajpera z karabinem, będą starannie strzeżone - dodał Tony. - Zajął się tym watykańska służba bezpieczeństwa.

- To znaczy, że zabójca będzie musiał wmieszać się w tłum - stwierdził Vance. Tamtych dwoje przytaknęło. - I znaleźć się blisko papieża, ponieważ niewątpliwie użyje rewolweru lub może ręcznego granatu, czyli czegoś, co można przy sobie ukryć, tak? A zgodnie z planem, o czwartej kawalkada samochodów wjedzie na plac św. Piotra, gdzie papież, jak to ma w zwyczaju, wejdzie w tłum, by osobiście przywitać się z wiernymi.

Tony i Suzanne spojrzeli na niego. Zaczynali już rozumieć. Dramatyczne wypadki tego popołudnia i zderzenie ze sobą trzech osób, mimo woli połączonych emocjonalnymi więzami sympatii bądź niechęci, zakłóciło i wypaczyło zdolność do chłodnej, profesjonalnej oceny sytuacji, jaka powinna cechować dwoje wyszkolonych oficerów wywiadu. Dlatego przeoczyli oczywiste miejsce, w którym może znaleźć się zamachowiec.

- Wiemy, gdzie papież będzie o czwartej po południu - powtórzył Vance. - Wie to także zabójca, a dzięki Suzanne znamy termin planowanego zamachu. Może więc zabierzmy... zabierz - popatrzył na Tony'ego - tam kilku ludzi i poszukajcie kogoś o podejrzanym wyglądzie.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - odparł Fairfax. - Są tam dziesiątki tysięcy i...

- Słuchaj, jaki jest skuteczny zasięg krótkiej broni palnej? - wtrąciła Suzanne. - Mówimy przecież o bliskiej odległości. Nasz zamachowiec musi podejść do papieża na jakieś dziesięć metrów... a nawet bliżej, jeśli ma mu się powieść. Tak więc, zakreślamy okrąg o tym promieniu wokół miejsca, w którym papież znajdzie się o czwartej,

i stamtąd rozpoczynamy poszukiwania.

-Ale będzie tam mnóstwo ludzi! - zaprotestował Fairfax.

- Tony - przerwał mu Vance - to nasza jedyna szansa. Jest już 15:33 i o ile czegoś nie zrobimy, papież za pół godziny zginie. - Popatrzył na tamtego, jakby chciał powiedzieć: „No, dalej, dlaczego się ociągasz?”.

Anglik usprawiedliwiająco wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie jesteśmy przygotowani, by natychmiast rozpocząć działanie. Jako element zagranicznej operacji wywiadowczej pozostajemy w dość delikatnych stosunkach z włoskim rządem. Aby wszcząć taką akcję, musielibyśmy zwrócić się do niego o pozwolenie i otrzymać je. Tego zaś w żaden sposób nie da się zrobić w ciągu dwudziestu siedmiu...

-Już tylko dwudziestu sześciu.

- ... minut. A nawet gdybym zdołał uzyskać zgodę rządu, musiałbym ujawnić moje źródła informacji, co oznaczałoby oddanie was w ręce władz, czego byście chyba nie chcieli, prawda?

Frustracja i niepokój Vance'a zmieniły się nagle w gniew.

- Do ciężkiej cholery! Zamierzasz trzymać się biurokratycznych reguł, nawet gdy papieżowi grozi śmierć? Co z ciebie za mięczak, Fairfax? Nie masz odwagi podrzeć tych swoich papierków, żeby ocalić czyjeś życie? - Odwrócił się do drzwi. - Chodź, Suzanne. - Skinął na nią ręką. - Weźmy się za to sami. Ja przynajmniej spróbuję. Nie będę siedział w tym milutkim klimatyzowanym pokoju i mastu-bował się za pomocą komputera, gdy tymczasem głowa Kościoła wpada w pułapkę!

- Zaczekaj chwilę, Erikson - odezwał się w końcu Tony. - Wcałe nie powiedziałem, że nie chcę pomóc. Wprawdzie nie mogę polecić moim podwładnym, by włączyli się do tej operacji, ale to nie oznacza, że sam nie wezmę w niej udziału.

Vance i Suzanne w gorączkowym pośpiechu nałożyli znów kominiarki i wraz z Tonym minęli posterunki ochrony, a kiedy znaleźli się na ulicy, pobiegli szaleńczo do jego fiata. No, pomyślał Erikson, gdy ruszyli z przeraźliwym rykiem niewielkiego silnika, jeżeli wyjdziemy z tego żywi, będę miał do Suzanne kilka pytań.

\*\*\*

Rozgniewany Elliott Kimball okrążył plac św. Piotra. Na żadnym z wyznaczonych stanowisk nie było jego rezerwowych snajperów. Co się, u diabła, stało?

Wysoki jasnowłosy mężczyzna, spacerujący zdecydowanym krokiem wokół wypełniającego plac olbrzymiego tłumu, wyglądał na zadowolonego z siebie biznesmena. Jego odprężona, łagodna twarz nie zdradzała kipiących w nim wściekłości i strachu. To z pewnością sprawka tego obleśnego Irańczyka. Widocznie Hashemi dowiedział się skądś o strzelcach stanowiących jego wsparcie i usunął ich. Tylko jak? Lustrując wzrokiem tłum, Kimball zastanawiał się usilnie, w jaki sposób tamten zdołał tego dokonać. Jedno w każdym razie było jasne: nie docenił tego małego zabójcy.

Kimball unikał dotąd, jak mógł, fizycznego kontaktu z otaczającymi go ludźmi, ale teraz nabrał powietrza, jak przed nurkowaniem, i zanurzył się w tłumie. Ta ludzka masa śmierdziała. Śmierdziały ich ciała i oddechy. Nawet myśli, które jedynie z rzadka nawiedzały ich mózgi, także cuchnęły. Perspektywa przejścia wśród nich napawała go wstrętem.

Lecz takie było jego zadanie i nie mógł powierzyć go nikomu innemu. Podobnie jak w przypadku Nauczyciela, wyłącznie on odpowiadał teraz za Hashemiego. To właśnie konieczność uśmiercenia Irańczyka dodawała mu siłę, kiedy przemykał się i wił pośród gęstej ludzkiej cizby, która wzbierała i wirowała niczym potężny morski przypływ.

Kimball wyróżniał się w tłumie. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu sprawiało, że głową i ramionami górował nad większością zebranych i mógł się bez przeszkód rozglądać wokoło. Jego jasne włosy i nienagannie skrojony garnitur odróżniały go od niskich, nijakich i przeważnie ciemnowłosych ludzi. Gdy przeciskał się do pierwszych rzędów, gdzie papież miał się zatrzymać, gęstniejący tłum stawiał mu coraz większy opór. Ludzie odwracali się do niego z irytacją, lecz widząc jego chłodny, stanowczy wyraz twarzy, szybko ustępowali mu drogi. Czuli instynktownie, że ten człowiek może być niebezpieczny. Przepchnął się obok przygarbionych starych tłustych kobiet w obszarpanych chustkach na głowach, starszych robotników w

drelichowych kombinezonach i młodych matek z kwilącymi niemowlętami na rękach, panował wilgotny upał i Kimball z odrazą poczuł pod pachami plamy potu.

Zatrzymał się raptownie. Jakieś dziesięć metrów przed sobą ujrzał tego niskiego, żylastego irańskiego zabójcę, przestępującego z nogi na nogę w pierwszym rzędzie ludzi, tuż przy linach wyznaczających trasę przejazdu. I równie nagle poczuł silny skurcz żołądka. To nie myśl o zabiciu Irańczyka wywołała jego niepokój. Przeciwnie, robi to z przyjemnością. Ale niech to diabli! Zerknął na zegarek. Będzie musiał poczekać jeszcze prawie kwadrans. Westchnął. Najpierw zabójstwo papieża, a dopiero potem uśmiercenie zabójcy. Naostrzona jak brzytwa Sescepita w pochwie obciążała mu nieco wewnętrzną kieszeń marynarki. Milczenie jest bezcenne, pomyślał, i tylko śmierć może je zagwarantować.

W pobliżu ktoś słuchał głośno z radia tranzystorowego doniesień o przejeździe papieskiej kawalkady. Wszyscy rozmawiali z podnieceniem, oczekując przybycia zwierzchnika Kościoła. Każdy miał nadzieję, że to właśnie jemu uda się go dotknąć. Podobno wiele cudownych rzeczy przydarzało się ludziom, którzy dotknęli tego człowieka, tego bożego namiestnika na ziemi. Może złagodzi mój artretyzm, zastanawiała się na głos przygarbiona stara kobieta z sękatymi, powykęcanymi chorobą palcami. Może... może... może... Kimball poczuł narastający gniew. Głupcy! Wszyscy jesteście głupcami! Zapragnął, machając rękami, wykrzyzczyć im, że są bandą pajaców, skoro wierzą w czary--mary tego oczywistego religijnego szarlatana.

Lecz dzięki latom praktykowania samodyscypliny, powściągnął swój gniew. Wiedział, że jest on przydatny tylko wówczas, gdy pomaga w działaniu.

Przystanął się nieco bliżej Hashemiego i stał teraz dokładnie za nim, w odległości najwyżej siedmiu metrów. Kiedy Irańczyk wystrzelił z rewolweru, tłum ruszy naprzód, a wraz z nim i Kimball. „Zabić mordercę!” krzyknie i w powstałym zamieszaniu jego Sescepita wślizgnie się niepostrzeżenie w kłębowisko rąk i nóg, zapewniając milczenie kolejnego słynnego zabójcy. Uśmiechnął się do siebie.

Zabójcy polityczni wiedzą zbyt wiele. A gdy się wie za dużo, można przyplacić to życiem. Gwar hałaśliwego tłumu omywał Kimballa niczym fale łamiące się na plaży, przywołując wspomnienia innych dni, innych morderców. Był ten Nauczyciel w Pizie; płatny zabójca, leżący w mediolańskiej alei w lśniącej purpurowej kałuży własnej krwi; scena w źle oświetlonym korytarzu gmachu sądu w Dallas. Wszyscy ci mordercy zginęli z rąk bądź samego Kimballa, bądź też ludzi, którzy później założyli Bremeńską Legację.

I gdy wspominał te zabójstwa, pomyślał o jednym, którego pragnął tak mocno, iż uczucie to przybrało niemal seksualny charakter: o zabiciu Vance'a Eriksona. To, że ten człowiek wciąż żył, Kimball traktował jako osobistą zniewagę, za którą będzie musiał mu odpłacić.

Od strony wjazdu na plac św. Piotra dobiegł go narastający ryk tłumu, wyrażający oddanie i uwielbienie. Papież był już blisko.

\*\*\*

- Powinien zatrzymać się mniej więcej w połowie placu - wydyszał Vance, gdy wszyscy troje biegli w szaleńczym tempie krętą aleją, równoległą do Via Aurelia. Porzucili fiata w korku po drugiej stronie Tybru i przebiegli już blisko kilometr. Suzanne zdołała dotrzymać mu kroku, ale Tony został z tyłu, więc zatrzymali się, by mógł ich dogonić.

Vance stał, łapiąc spazmatycznie wielkie hausty wilgotnego, zanieczyszczonego powietrza, a pot ściekał mu po twarzy i zalewał oczy. Suzanne klepnęła go w nadgarstek.

- Która godzina? - spytała.

- Trzecia czterdzieści sześć - odparł ponuro, po czym odwrócił się i zawołał w kierunku Anglika biegnącego ciężko po nierównym kamiennym bruku alei: - Pospiesz się, Tony!

Fairfax oddychał urywanie i z wysiłkiem. Dwukrotnie potknął się i upadł. Cały życie spędził pośród komputerów i biurowej pracy. Miał pod sobą ludzi, którzy dla niego pracowali i którzy teraz powinni byli za niego pobiec.

- Słuchajcie... - wykrztusił usiłując złapać oddech. - Lepiej mnie zostawcie. Chyba nie dam rady zdążyć na czas.

- Ale... - zaprotestowała Suzanne.

- Biegnijcie dalej sami! - rzucił, przynaglając ich machnięciem ręki. Usiadł ciężko na kamiennym ganku prowadzącym na cieniste, chłodne podwórze, skąd dochodziły śpiewne głosy bawiących się dzieci. - Nic mi nie będzie. Naprawdę, dam sobie radę. Nie macie czasu, żeby... - Twarz wykrzywił mu nagły grymas bólu. Tony przycisnął kurczowo prawą dłoń do klatki piersiowej. - Biegnijcie! - powtórzył z desperacją.

Suzanne gorączkowo spoglądała to na niego, to na Vance'a, niepewna, co robić. Wtem spoza kamiennych domów doszedł ich przytłumiony krzyk wiwatujących tłumów, wypełniając wąską alejkę.

- On ma rację, Suzanne - powiedział Erikson. - Musi-my biec dalej.

- Wrócimy do ciebie - obiecała. Podeszła i pocałowała go w policzek. - Na pewno.

- Weź to - odrzekł Tony, wyciągając z kieszeni marynarki rewolwer i podając jej. - Może ci się przydać.

Pokrzepieni tą chwilą wytchnienia, Vance i Suzanne pobiegli z nową energią, prac naprzód przez coraz gęstszy tłum i wymijając ludzi niczym szarżujący rugbiści. W końcu ujrzeni zakrzywiony szereg cętkowanych szaro-brązo-wych kolumn, otaczających z obu stron plac św. Piotra.

- Obok obelisku - Vance przypomniał w biegu swojej towarzyszcze. - On ma opuścić swój pojazd obok obelisku.

- Co zrobimy, kiedy się tam znajdziemy?

- Zobaczymy - odparł, gdy wbiegli w ciżbę wypełniającą przestrzeń między kolumnami. - Będziemy musieli coś wymyślić.

Oboje zaczęli przepychać się przez tłum w kierunku obelisku, lecz zdali sobie sprawę, że posuwają się coraz wolniej. Erikson był nieco wyższy od większości zgromadzonych, toteż ponad falującym morzem głów zdołał dojrzeć migające światła papieskiej eskorty motocyklowej, która wjeżdżała na Via delia Conciliazione. Pozostały nam zaledwie trzy minuty, pomyślał, po czym natychmiast skorygował smutno: jeżeli nam się nie uda, to papieżowi zostały zaledwie trzy minuty życia.

Dotarli w pobliże fontanny na południowej stronie placu i

łokciami torowali sobie do niej drogę przez hałaśliwy tłumek nastolatków.

Z niepewnego punktu obserwacyjnego na krawędzi fontanny Vance przyjrzał się ludzkiej masie. Poczł skurcz w żołądku. W żaden sposób nie uda im się odnaleźć w tym tłumie pojedynczej osoby. Jednego człowieka spośród dziesiątków tysięcy...

Wtem przed sobą, w odległości jakichś czterdziestu metrów dostrzegł głowę męczyzny ze starannie uczesanymi blond włosami, górującą nad tłumem.

- Kimball! - krzyknął z podnieceniem do Suzanne. - Zauważyłem Elliotta Kimballa. To na pewno on.

- Gdzie? - zawołała. Pokazał ręką.

- Tam, za obeliskiem.

Spojrzała we wskazanym kierunku i po chwili też go spostrzegła.

- Chodźmy - rzekł Vance zeskakując z krawędzi wodotrysku i potracając przy tym niechcący jakiegoś młodego człowieka i jego przyjaciółkę. Oboje z Suzanne przeciskali się przez ciżbę, ścigani obelgami urażonego w swej męskiej dumie młodzieńca. - Coś się tam dzieje - rzucił jej po drodze Erikson. - Myślę, że gdy dotrzemy do naszego jasnowłosego przyjaciela, odnajdziemy też Hashemiego. - Po czym zaczął głośno wołać: - Policja, proszę nas przepuścić. Jesteśmy policjantami na służbie.

Ludzie odruchowo usuwali im się z drogi.

Raptem przez plac przetoczył się ogłuszający ryk uwielbienia, odbił się gromkim echem od owalnej kolumnady, a potem wznosił ku niebu. Vance, porwany przez ten emocjonalny wir, na moment znieruchomiał. I wtedy zobaczył papieża, sunącego zda się przez tłum ku obeliskowi. Miał na sobie białe szaty i takąż piuskę i wznosił ręce ku wiernym, co upodabniało jego sylwetkę do krzyża ze zgiętymi ramionami. Nawet z odległości stu metrów Erikson dostrzegał energię i witalność tego człowieka i jego zniewalające spojrzenie.

Dwie minuty.

Wydawało się, że popołudniowe słońce nabrało blasku a kolory stały się głębsze i bardziej nasycone. Hashemi spojrzał na zbliżającą



się, odzianą na biało postać i poczuł jak serce zabiło mu gwałtownie i zatrzępotało w piersi. Policja oczyściła już z ludzi trzymetrowy pas po lewej, gdzie pojazd papieski miał się zatrzymać i gdzie papież wysiądzie, by wmieszać się w tłum. Kolumna samochodów była już tylko o pięćdziesiąt metrów od Irańczyka. Jego bystry wzrok przesunął się po twarzach policjantów w cywilu, którzy szli obok papamobile, i spoczął na poprzedzającej go eskorcie motocyklowej, uformowanej w szyk klinowy. Uśmiechnął się i wymamrota! modlitwę. Jedna minuta.

Niech diabli porwą tego olbrzymiego Amerykanina, pomyślała Anna Marie DiSalvo, prostując się na całe swoje sto pięćdziesiąt centymetrów i usiłując za wszelką cenę dostrzec papieża. Czekala tu już od dwóch godzin, mając nadzieję, że choć przez mgnienie ujrzy Ojca Świętego, gdy nagle ten opryskliwy, elegancko ubrany blondyn przepchnął się bezceremonialnie przed nią i stał tam teraz, zasłaniając jej widok. Znów zebrała się na odwagę, by poprosić, aby się odsunął. Kilka minut temu zwróciła się już do niego grzecznie w najlepszej angielszczyźnie, na jaką było ją stać - angielszczyźnie, której nauczyła się od Amerykanów, kiedy podczas drugiej wojny światowej przejeżdżali przez jej rodzinne miasteczko nieopodal Neapolu. Wówczas w odpowiedzi na jej prośbę mężczyzna warknął coś i spojrzał na nią gniewnie tymi przerażająco zimnymi oczami.

Otworzyła usta, aby się odezwać, lecz odwaga ją opuściła. Zawstydzona, zakręciła rączką parasolki, którą nosiła zawsze w słoneczną pogodę, by ocieniała jej głowę - a właściwie całą jej niską, krępa postać, gdyż tak rozległy był rzucany przez nią cień. To dobra parasolka, pomyślała przesuwając nerwowo dłonią po zakrzywionej rączce. Kupiła ją zaledwie przed tygodniem, w miejsce poprzedniej, która się złamała. Anna Marie nie była bogata. Trudno się wzbogacić, zarabiając na życie robieniem swetrów na drutach.

Opuściła pół dnia pracy, żeby tutaj przyjść. Miała nazajutrz dostarczyć swetry do eleganckiego butiku w Mediolanie i jego właściciele nie będą zachwyceni, kiedy okaże się, że jednego zabraknie. I po co to wszystko? zapytała siebie. Żeby mogła oglądać plecy tego nieznanomego w drogim garniturze? Ogarnął ją gniew. Muszę coś na to poradzić, postanowiła. Opanowała zdenerwowanie i

wyprostowała się, na ile potrafiła.

\*\*\*

*Trzydzieści sekund.*

Podchodzili do Kimballa od tyłu. Vance w milczeniu przeciskał się przez tłum, a Suzanne posuwała się tuż za nim. Gdzieś daleko, od strony Via Aurelia usłyszeli syrenę karetki pogotowia. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

Kogo Kimball tak bacznie obserwował? Otoczony zbitą cizbą Vance ugrzązł półtora metra za jego plecami i wspiał się na palce, usiłując to wypatrzeć. Wszyscy w pobliżu robili, co mogli, by choć przez mgnienie ujrzeć papieża, natomiast Kimball spoglądał w lewo, w kierunku... Wzrok Eriksona zatrzymał się na opanowanym, stojącym bez ruchu śniadym czarnowłosym mężczyzynie. Podczas gdy tłum kłębił się i rozprawiał z emfazą o nadjeżdżającym papieżu, ten człowiek spokojnie czekał. Zbyt spokojnie.

- Chyba go widzę - szepnął Vance do Suzanne.

-I co robimy?

- No cóż, jedyne co możemy zrobić, to przeszkodzić mu w wycelowaniu - odrzekł, szukając gorączkowo jakie goś rozwiązania. -Ale jest tu też Kimball. Może go osłania.

-Ja się zajmę Kimballem - powiedziała Suzanne. - A ty weź tamtego.

Usiłowała przełknąć ślinę, lecz gardło miała tak suche, że poczuła tylko bolesne tarcie w przelyku. Vance popatrzył na nią z niepokojem. Miała rację.

- Dobrze - zgodził się - ale jeśli spróbuje cię skrzywdzić, zacznij głośno wrzeszczeć: „Morderca”!

Pocałował ją szybko i zanurkował w tłum, w stronę Hashemiego. Piętnaście sekund.

- Proszę mi wybaczyć, młody człowieku - Anna Marie DiSalvo odezwała się najgłośniejszym głosem, jak mogła. Wysoki blondyn nie zareagował. - Młody człowieku! - krzyknęła i pociągnęła go za połą marynarki.

Pojazd papieża zwolnił i za chwilę miał się zatrzymać.

\*\*\*

*Dziesięć sekund.*

Hashemi zdjął ciemne okulary i spojrzał papieżowi w oczy. Chciał, by ten niewierny umierając, ujrzał wzrok Allacha. Wsunął rękę do kieszeni marynarki i ujął kolbę browninga.

*Pięć sekund.*

- Czego, do diabła, ode mnie chcesz, stara jędo?!  
Kimball odwrócił się i spiorunował wzrokiem Annę Marie DiSalvo.

Odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem. Nie pozwoli, żeby temu ordynarnemu chłystkowi uszło to na sucho. Ale, Najświętsza Panienko, ta nienawiść W jego oczach... Wyglądają jak oczy węża - nie, jeszcze groźniej. Już miała coś powiedzieć, gdy wtem jasnowłosy mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał za siebie.

- Erikson! - syknął pod nosem i szybko sięgnął do kieszeni po Sescępitę.

- Młody człowieku! - Anna Marie DiSalvo ciągnęła go uparcie za rękaw. Odwrócił się raptownie i uderzył ją na odlew w twarz. Zatoczyła się do tyłu, a ludzie w pobliżu aż jęknęli z oburzenia.

- Odpierdol się, starucho! - rzucił Kimball, ruszając za Vancem, który wciąż przedzierał się w kierunku Hashemiego. Muszę utrzymać go z dala od Irańczyka, pomyślał.

- Elliott! - Głos Suzanne przebił się przez głośny gwar. - Elliott, najdroższy!

Kimball gwałtownie odwrócił ku niej głowę.

Vance spojrzał szybko na Hashemiego, potem na Kimballa, Suzanne i znów na Irańczyka. Ten zaś, nieświadomy wypadków rozgrywających się za jego plecami, wyciągnął browning z kieszeni marynarki. W tym momencie Eriksonowi wydało się, że czas zwolnił bieg niczym w koszmarnym śnie. Runął w stronę Hashemiego, od którego dzielił go już niecały metr.

Suzanne rzuciła się na Kimballa. Zadał jej potężny cios w bok głowy. Czyjeś pomocne ręce chwyciły ją, ratując przed upadkiem na chodnik.

Pojazd papieski zatrzymał się niemal dokładnie przed Hashemim. Vance skoczył na Irańczyka, lecz ten zdążył spokojnie wymierzyć i wystrzelił z ogłuszającym hukiem. Papież zeszczywniał, dotknął dłonią

brzucha i spojrzął na zamachowca.

Usłyszawszy huk wystrzału Kimball poczuł ulgę. Wyciągnął sztylet z pochwy i ruszył na Vance'a. Transakcja dojdzie do skutku! Hashemi był świetnym strzelcem i z pewnością wystarczył mu jeden strzał.

Jednak hałaśliwy tłum i zbyt wiele wypalonego haszyszu zmały precyzję Irańczyka. Celował w serce, lecz zamiast tego trafił papieża w brzuch. Nacisnął teraz spust, usiłując ponownie wycelować.

Zaczął strzelać raz za razem, ale Vance popchnął go i kule chybiły celu. Jedna trafiła papieża w rękę, pozostałe zaś ugrzęzły w tłumie. Hashemi usłyszał czyjś jęk bólu, a potem krzyki ochroniarzy, którzy rzucili się na niego.

- Jestem mieczem Allacha! - wrzasnął. - Zabiłem papieża! Allah Akbar!

Wówczas oszołomiony tłum oprzytomniał i ruszył naprzód, przygważdżając go do ziemi.

Gdy Hashemi zniknął pod masą skłębionych ciał, Erikson odwrócił się, szukając wzrokiem Suzanne, lecz zamiast niej ujrzał czerwoną z wściekłości twarz Kimballa. Mężczyzna biegł ku niemu, a światło słońca odbijało się od jakiegoś metalowego przedmiotu, który trzymał w ręce. Bezbronny i niemal unieruchomiony w gęstej ludzkiej ciżbie Vance wpatrywał się z przerażeniem w Kimballa, który nacierał na niego z wielkim sztyletem.

- Nic pani nie jest? - kilka osób pytało Annę Marie DiSalvo, pomagając jej wstać.

- Nie, nie - wrzasnęła z furją, klnąc i wyszarpując łokcie z ich pomocnego uścisku. Gdy jasnowłosa mężczyzna zaczął się oddalać, zawołała za nim: - Ty sukiny! -

Podniosła z chodnika swą parasolkę, chwyciła ją za górny koniec i wepchnęła Kimballowi między nogi, zahaczając zakrzywioną rączką o jego jądra. Kimball wrósł w ziemię i krzyknął z bólu, zdziwienia i wściekłości. Sesecepta z brzękiem upadła na bruk.

Vance pochylił się nisko, jak obrońca w meczu rugby, i obok zgiętego w pół Kimballa przedarł się przez tłum do Suzanne.

- Czy ten łajdak coś ci zrobił? — zapytał.

Uśmiechnęła się blado.

- Nie. Jestem tylko trochę oszołomiona. Co... co się stało?

- Nie udało się nam. Hashemi zastrzelił papieża.

## *Księga druga*

---

## *Rozdział 19*

---

Papież nadal żył. Żył też wciąż Hashemi Rafiqdoost, a także Vance Erikson. Jedno jądro Elliotta Kimballa spuchło do rozmiarów piłki golfowej. Żałował, że on sam jeszcze żyje.

Skrzywiony z bólu, dźwignął się z sofy, pokuśtykał do biurka i wziął następną szpulę taśmy magnetofonowej. Przystanął na moment przy oknie, by popatrzeć na rzekę Arno wijącą się przez Pizę, po czym ze szpulą w ręce ostrożnie usiadł znów na sofie. Nachylił się z trudem nad stojącym na stoliku przenośnym odtwarzaczem i włożył doń taśmę. Po chwili w nędznym małym pokoiku rozbrzmiał głos Merriama Larsena, rozpoczynający w połowie zdania:

- ... żadnego innego wyjścia, jak tylko dać mu przykładną nauczkę.

Dźwięk był zbyt głośny i Kimball szybko go przyciszył, gdy wtrącił się inny głos:

- Ależ nie możesz tego zrobić. On jest zbyt ważnym członkiem Legacji. Ma więcej rozumu niż wszyscy inni razem wzięci. - To była Denise Carothers, szefowa Brenieńskiej Legacji, a zarazem sporadycznie kochanka Kimballa

W tym właśnie rzecz - ciągnął Larsen. Kimball rozparł się na sofie, zamknął oczy i wyobraził sobie pokój, w którym dokonano nagrania, oraz twarze mówiących. Rozmowa toczyła się w bibliotece miejskiej rezydencji w Bolonii. Larsen zapewne siedział rozwalony w fotelu, zaś Carothers spacerowała tam i z powrotem, gestykulując nerwowo.

Rzecz w tym - powtórzył z naciskiem Larsen - że tak bardzo polegamy na wiedzy i umiejętnościach Elliotta Kimballa, iż uzależniliśmy się od niego. A przez to zyskuje on nad nami władzę, zaś jego osiągnięcia i sukcesy stają się naszymi.

Zapadła cisza. Kimball wyobraził sobie, jak Carothers zatrzymuje się i bacznie przygląda rozmówcy. Potem z głośników dobiegł znów

niski, ponury głos Larsena. Był teraz mniej wyraźny, jakby mężczyzna oddalił się od mikrofonu.

- Jego porażki również idą na nasze konto, Denise -rzekł cicho, lecz dobitnie. - A my nie możemy sobie pozwolić na porażki. Teraz zaś pogрузył się już na dobre.

- No, nie, tu już się zagalopowałeś - zaprotestowała z oburzeniem Carothers.

- Nikt nie jest niezastąpiony, Denise. Ani ty, ani ja, ani ten twój Elliott Kimball! Nasza potęga bierze się właśnie stąd, że każdego można zastąpić, a pan Kimball naraził ją na szwank i trzeba się z nim rozprawić.

Znów zapadło milczenie. Kimball niemal widział jak Larsen pochylił się w fotelu i łyknął nieco koniaku.

- Wiesz, Denise - ciągnął Larsen -jestem rozczarowany, że ani ty, ani Kimball nie wyciągnęliście wniosków z tej małej nauczki w Pizie. Ostatecznie od tamtej pory Brenieńska Legacja funkcjonuje całkiem dobrze - mimo iż jej skarbnik został uduszony i nadziany na krzyż.

- Ale to zupełnie co innego - zaprotestowała Carothers. - Ten człowiek był zdrajcą! On...

- Tak, tak, to prawda, Denise. Jednak chcę... chcemy też dać nauczkę, którą zauważą wszyscy członkowie Legacji i pracujących dla nas grup. Naprawdę szczerze żałuję, że tego nie pojęłaś. Choć będzie mi brakować Kimballa, znacznie mocniej odczuję twoje odejście z zarządu.

- Moje odejście? - zapytała Carothers, podnosząc głos. - Co masz na myśli?

- Denise, chyba nie sądzisz, że pozwolimy ci zachować stanowisko po totalnym spartaczeniu zamachu?

- Nie bądź śmieszny, Merriam. - Wzbierająca w Carothers panika sprawiła, że głos jej drżał. - Jestem szefową Legacji. Tego rodzaju kwestię należałoby przedyskutować podczas zebrania zarządu... poddać pod głosowanie.

-Już to zrobiono. Wynik głosowania był jednomyślny.

Z głośników dobiegły jakieś stłumione odgłosy - może czyjeś kroki? Kimball otworzył oczy i nachylił się nad magnetofonem, nie



chcąc uрониć żadnego dźwięku. Usłyszał głośny metaliczny szcęk klamki.

- Zamknąłeś drzwi na klucz?

- Owszem, Denise - odpowiedział spokojnie Larsen. -

Zamknąłem.

- Nie! Nie! Nie! - Miarowo przesuwająca się taśma odtwarzała przenikliwe krzyki Carothers.

- Tak - odrzekł po prostu Larsen. Rozległ się cichy strzał pistoletu z tłumikiem.

- Ty łajdaku!

- Tak - powtórzył Larsen. Z głośników dobiegły jeszcze trzy stłumione wystrzały, a potem głuchy odgłos upadającego ciała.

- Tak. - Kimball usłyszał brzęk kieliszka z koniakiem, a potem jeszcze jedno zadowolone westchnienie. - Tak, moja droga, masz zupełną rację.

Kimball z grymasem bólu wyłączył odtwarzacz i opadł z powrotem na wyściełane poduszki sofy. Przypuszczał, że za dzień lub dwa będzie mógł znów normalnie chodzić. Dojdę do siebie, pomyślał ponuro, lecz już nigdy nie znajdę drugiego takiego noża jak Sescapita. Zamknął oczy i zobaczył, jak sztylet ześlizguje się na bruk.

Przypomnił sobie wściekłe razy, wymierzane mu przez ludzi, którzy widzieli, jak uderzył tę starą kobietę i Suzanne Storm. Przypomnił też sobie własne potężne ciosy i satysfakcję, jaką sprawiły mu okrzyki bólu przeciwników. Tylko w ten sposób mógł uciec. Teraz zaś wiedział, że musi zrobić wszystko, by pozostać przy życiu.

Oświadczenie Larsena, że ma zostać zamordowany, nie było dla Kimballa żadną niespodzianką. Dawno już obmyślił dla siebie plan przetrwania. Wysłuchana przed chwałą taśma stanowiła właśnie element tego awaryjnego planu.

W Pizie znajdowało się mała, lecz aktywna komórka KGB, zajmująca się przetwarzaniem i przekazywaniem informacji. Ulokowano ją właśnie tutaj, z dala od ważnych ośrodków strategicznych, aby nie przyciągnąć uwagi włoskich oraz NATO-wskich służb kontrwywiadowczych. W przeszłości Kimball wyświadczył zastępcy szefa tej komórki ogromną przysługę,

powiadaniając go o inwestycji, dokonanej w komunistycznych Chinach przez pewną międzynarodową korporację po ponownym nawiązaniu przez Nixona stosunków dyplomatycznych z tym krajem.

W ramach rewanżu KGB przy pomocy Kimballa zainstalowało podsłuch w bolońskiej rezydencji Bremeńskiej Legacji i dostarczało mu kopii dokonywanych tam nagrań, w tym także wysłuchanej przed chwilą taśmy z zapisem morderstwa.

Kimball krzywiąc się z bólu, wciągnął nogi na sofę i ułożył się wygodnie. Przez dłuższy czas leżał, zbierając siły, po czym znów zamknął oczy i zaczął rozważać pozostałe elementy swego planu ratunkowego.

Zdawał sobie sprawę, że jego jedyną szansą jest wyrwanie kodeksu da Vinciego z rąk Braci i sprzedanie go KGB. W ten sposób zapewni sobie życie w luksusie i możliwość dalszego zabijania. Lojalność nie ma znaczenia, pomyślał, zapadając już w sen. Liczy się tylko zabijanie. Po chwili zasnął z szerokim uśmiechem na twarzy.

\*\*\*

Nigdzie nie robią takiej lasagni jak w Bolonii. I choć zdarza się, że gdzie indziej gotują jakieś potrawy równie dobrze jak bolońscy mistrzowie patelni, nikt nie przyrządza ich lepiej od nich. Vance przypomniał sobie przydomek, jakim obdarzyły to miasto syte łakomczuchy z całego świata: *Bologna la Grassa*, czyli Tłusta Bolonia - mając na myśli nieuchronny skutek pochłaniania zbyt dużych ilości smacznego jedzenia. On sam czuł się teraz grassa. Powoli odłożył widelec na talerz. Jego oczy i podniebienie wciąż były głodne, lecz żołądek błagał już o zmiłowanie.

Spojrzał na Suzanne. Pogryzała wolno swoje tortellini, obierając rozsądne tempo, w przeciwieństwie do Vance'a, który obzał się jeszcze przed podaniem głównego dania.

*Bologna la Grassa*, pomyślał. Znana również powszechnie jako Bologna la Dotła - Uczona Bolonia - za sprawą posiadania najstarszego w Europie uniwersytetu.

*La Dotta, la Grassa.* Właśnie te nazwy ściągnęły tutaj jego i Suzanne. Ugryzł następny kęs lasagni i popił go łykiem miejscowego wina sangiovese.

Spojrzał na zegarek. Oboje z Suzanne niemal dokładnie dwadzieścia osiem godzin temu uciekli z placu św. Piotra wraz z resztą przerażonego tłumu. Za pieniądze otrzymane od Tony'ego kupili sobie porządne ubrania i wprowadzili się do niewielkiego schludnego pensjonatu na Via Nazionale, w pobliżu stacji kolejowej. Byli tak wyczerpani, że nawet nie zjedli kolacji, tylko natychmiast zasnęli przytuleni do siebie i obudzili się dopiero nazajutrz w południe.

Przespana noc pozwoliła im pozbyć się zmęczenia, a po części też przygnębienia, które nie opuszczało ich od zamachu na papieża. Ojciec Święty przeżyje, oświadczyli lekarze, dodając, że mniej żywotna osoba zginęłaby od tak ciężkiego postrzału.

Tony Fairfax również przeżył ciężkie chwile. Wczorajszego popołudnia Suzanne zadzwoniła do ich wspólnego przyjaciela i dowiedziała się, że Anglik przeszedł lekki zawał serca i znajduje się obecnie w szpitalu.

Ale najważniejsza wiadomość dotarła do nich, gdy Vance z rzymskiego urzędu pocztowo-telegraficznego na Via Fossalta, nieopodal Piazza Nertun, zatelefonował do głównej siedziby Continental Pacific Oil Company w Santa Monica. Powiedziano mu, że nie można skontaktować się bezpośrednio z Harrisonem Kingsburym, i polecono zaczekać, aż ten do niego oddzwoni.

Po niespełna dziesięciu minutach urzędnik skierował go do oszklonej dźwiękoszczelnej kabiny telefonicznej. Ku swemu zaskoczeniu Vance usłyszał w słuchawce ostry, lecz opanowany głos Merriama Larsena.

- Harrison Kingsbury przebywa obecnie u nas w areszcie domowym - oznajmił Larsen. - Jeżeli będzie pan nadal przeszkadzał Bremeńskiej Legacji w jej interesach, Kingsbury zginie. Czy to jasne?

- Najzupełniej - odparł Erikson, powściągając wzbierający w nim gniew. Po chwili odezwał się Kingsbury:

- Vance.. wszystko u ciebie w porządku?

- Owszem, sir - odpowiedział. - A co z panem? Gdzie pan jest?

- Czuję się dobrze. Jestem... - Przerwano mu nagle. Ktoś tam zasłonił dłonią mikrofon, lecz Vance zdołał usłyszeć, jak wymyślano jego szefowi. Potem w słuchawce znów zabrzmiał jego cichy, znużony głos:

- Vance?

- Słucham.

-Jak się zapewne domyślasz, nie mogę zdradzić miejsca mego pobytu. Surowo mi tego zabroniono. Najwidoczniej nieźle zalazłeś im za skórę. Ale pomówmy o czym innym. Chcę ci powiedzieć, że jestem wciąż tłusty i uczony. Tak, mój chłopcze, tłusty i uczony. I całkiem dobrze tu o mnie dbają.

W tym momencie połączenie raptownie przerwano.

*Tłusty i uczony.*

Kingsbury był wytwornie szczupły i nic miał nigdy choćby grama zbędnego tłuszczu. Zarazem ten potentat naftowy zakończył swą edukację na szkole średniej, co często podkreślał. Tak więc usiłował teraz przekazać coś, czego odgadnięcie nie zabrało Vance'owi wiele czasu. Bolonia! Kingsbury był świadom, że rozległa wiedza Eriksona o Włoszech pozwoli mu z łatwością rozszyfrować te wskazówki. I dlatego Vance i Suzanne przyjechali wieczornym pociągiem do Bolonii.

Wprowadzili się do wygodnego hotelu Milan Excelsior i kochali się tam spokojnie i łagodnie, świadomi tego, że wprawdzie uniknęli śmierci, lecz wkrótce znów będą musieli stawić jej czoło.

- O czym rozmyślasz? - spytała go teraz Suzanne w restauracji.

Vance z wysiłkiem oderwał się od wspomnień.

- O Kingsburym, o Tosim - odrzekł. - I o nas. O tobie.

- No cóż - rzekła, wyciągając do niego rękę nad małym okrągłym stolikiem. - Wiem, co myślisz o Kingsburym i Tosim. Ale co o mnie?

- Och, mnóstwo rzeczy- powiedział, ujmując jej dłoń.

-Jakich?

- Na przykład, dlaczego wcześniej nie zauważyłem pewnych twoich cech.

- No, mów - rzuciła poirytowana. - Wykręcasz się od odpowiedzi. Pamiętasz, że przyrzekliśmy niczego przed sobą nie ukrywać?

- Owszem... no, więc zastanawiałem się po prostu, dlaczego nie dostrzegłem wcześniej wszystkich tych drobnych oznak, wskazujących, że jesteś...

- Szpiegiem? - dokończyła i roześmiała się. - Oczywiście, że spostrzegłbyś to, gdybyśmy nie wpadali w takie groźne tarapaty. Choć z drugiej strony, wówczas nie miałbyś okazji niczego zauważyć.

Vance skinął żałośnie głową i rzeki:

- Ale nigdy nie wyjawiałś mi, dlaczego wybrałaś tę profesję.

- A dlaczego ty powiedziałeś całemu światu, żeby się odpięrzył, i zostałeś hazardzistą?

- Po pierwsze, nigdy nie byłem hazardzistą - odparował. - Właśnie dlatego zabroniono mi wstępu do kasyn. Mój system nie wiązał się z żadnym ryzykiem.

- No dobrze, przecież wiesz, co mam na myśli - naciskała. - Dlaczego tak postąpiłeś?

- Bo musiałem. Potrzebowałem pieniędzy.

- Akurat! - rzuciła z niedowierzaniem. - Mogłeś je zarobić w inny sposób. To nie dlatego wybrałaś hazard. Był inny powód.

- No, tak... - Vance czuł, że Suzanne przejrzała go na wylot. - Więc dobrze, zrobiłem to z przekory. - Niezbyt mu się podobało, że ktoś, a zwłaszcza kobieta, którą kocha, tak świetnie zna jego myśli. - Z przekory i żeby sprostać wyzwaniu.

- I dla dreszczyku emocji. Mnie właśnie to pociągało.

- Owszem, także dlatego - zgodził się. - Więc twierdzisz, że wstąpiłaś do CIA, żeby przeżyć emocjonujące przygody? - zapytał sceptycznym tonem. - Żeby podróżować do odległych krajów, poznawać interesujących ludzi i zabijać ich? Nie wierzę, że osoba, która przywiązuje tak wielką wagę do postępowania we „właściwy sposób”, mogłaby kierować się takimi pobudkami.

- Nie masz racji, ponieważ właśnie postąpiłam we „właściwy sposób” - sprzeciwiła się Suzanne. - Nie zapominaj, że w CIA są wykształceni ludzie z klasą, przynajmniej na szczeblu kierowniczym. Mój ojciec podczas drugiej wojny światowej pracował dla Biura Analiz Strategicznych, poprzednika CIA. I gdybym powiedziała mu o swojej decyzji, być może by ją pochwalił. Ale nie uczyniłam tego - nie tylko z

obawy, że mógłby jednak sprzeciwić się i użyć swych wpływów, by mnie nie przyjęto, lecz także, ponieważ nie chciałam dla siebie żadnych przywilejów, gdyby istotnie zaaprobował mój wybór.

Vance uśmiechnął się i powoli potrząsnął głową. - Jesteś naprawdę niesamowita, Suz.

- Dziękuję.

W tym momencie zjawił się kelner z dwoma talerzami potrawy cielecej.

- Wiesz - odezwał się Erikson już w trakcie jedzenia - mam wrażenie, że znasz znacznie lepiej moje pobudki niż ja twoje.

Suzanne uśmiechnęła się tylko zagadkowo.

Dochodziła już ósma i zapadały ciemności, gdy wreszcie wyszli z restauracji na ulicę. Suzanne wzięła Vance'a pod rękę.

- Naprawdę sądzisz, że coś dzisiaj osiągnęliśmy? - zapytała.

- Oczywiście - odparł. - Podczas poszukiwań ropy nawet pusty odwiert informuje nas, gdzie nie należy szukać.

To zabrzmiało bardzo optymistycznie.

Opuścili już cienistą Via Testoni i skręcili w prawo, włączając się w strumień przechodniów podążających łukowymi portykami na Via del il Indipendenza w kierunku Duomo.

- Muszę być optymistą - powiedział, kiedy wtopili się w tłum wieczornych spacerowiczów. - Rozpoczęliśmy od najbardziej prawdopodobnego założenia i musimy się go trzymać, dopóki nie zwyciężymy albo nie przegramy.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie jesteś hazardzistą.

- Kłamałem.

Szli przez chwilę w milczeniu, rozkoszując się tym niespiesznym spacerem. Wcześniej tego dnia chodzili od jednego kościoła do drugiego, próbując uzyskać u księży i zarządców jakieś informacje o Braciach Wybrańcach św. Piotra. Przez całe popołudnie obeszlili wszystkie większe kościoły i biura administracji kościelnej, odwiedzając też wydział teologii Uniwersytetu w Bolonii. Na prośbę Suzanne wynajęli dodatkowy pokój w hotelu w południowej części miasta, przeciwnej niż dworzec kolejowy, by służył im jako miejscowy adres. Bracia Wybrańcy z pewnością mieli w Bolonii swoich ludzi,

którzy zauważą, że ktoś węszy i wypytuje o nich - a już zwłaszcza nie przegapią pary, którą kilka dni temu usiłowali zamordować. Tak więc Suzanne i Vance będą telefonicznie dowiadywać się w tym hotelu na południu miasta o pozostawione dla nich wiadomości, a opłatę za pokój prześlą przez posłańca. Sami zaś nie przekroczą już jego progu, z obawą, by ktoś nie zaczął ich śledzić.

- A co zrobimy, jeśli oni nie zostawią dla nas żadnej wiadomości?  
- zapytał po chwili Vance.

- No, cóż - odrzekła Suzanne rzeczowym tonem - to by znaczyło, że postanowili obserwować hotel i czekać, aż się tam pojawimy. Jeżeli się nie odezwą, wówczas albo będziemy musieli namierzyć ich obserwatorów, bądź też któreś z nas wejdzie do hotelu i wywabi ich na zewnątrz.

- Niezbyt miła perspektywa.

- Masz rację. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Vance instynktownie pragnął ukryć gdzieś Suzanne, by uchronić ją przed niebezpieczeństwem. Wciąż jeszcze nie potrafił zaakceptować faktu, że z nich dwojga to ona była profesjonalistką i miała większe od niego szanse przeżycia. Wprawiało go to w zakłopotanie.

- Chcesz, żebyśmy wypróbowali teraz nasz awaryjny plan? - spytała, przywołując go znów do rzeczywistości.

- Teraz? - powtórzył zdezorientowany. - Dziś wieczorem? Sądziłem, że postanowiliśmy...

- Owszem. Ale pomyślałam, że jeśli wywołamy porządny zamęt, być może Bracia zareagują szybciej.

- Sam nie wiem - odparł. - Przypuszczam, że moglibyśmy spróbować. Prawdę mówiąc, myślałem jednak raczej o czymś bardziej...

- Bardziej odprężającym? - Zerknęła na niego z udawanym zawstydzeniem i ujrzała w jego oczach odpowiedź! Uśmiechnął się do niej. Zupełnie jak mały chłopiec, po-myślała. Jakim cudem podczas tych jego partii black-jacka udawało mu się skryć prawdę wyzierającą mu z oczu? Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Później - rzekła i przystanąła, by pocałować go w policzek.

Nieopodal kelner, nalewający kawę staremu mężczyźnie siedzącemu przy stoliku w ogródku, uśmiechnął się na ten widok. Stary człowiek również. Nikt nie kocha kochanków bardziej niż Włosi.

- Zostawmy to sobie na potem - szepnęła Vance'owi do ucha, gdy ruszyli dalej. Jeżeli będzie jakieś „potem”, przemknęło jej przez głowę. Zeszła z chodnika i poprowadziła Eriksona na drugą stronę Via Ugo Bassi, w kierunku rzędu taksówek stojących obok pomnika Neptuna. Kierowca pierwszej z nich przerwał pogawędkę z czterema kolegami, wyprostował się na całe sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i posłał promienny uśmiech pięknej kobiecie i jej towarzyszowi. Dziesięć minut później wysadził ich na cichej willowej uliczce w pobliżu stadionu.

\*\*\*

- Nie zatrzymali się tutaj - oznajmił brat Grzegorz z goryczą swemu asystentowi. - To tylko atrapa, przeznaczona zapewne do odbioru wiadomości.

Powinienem być się tego spodziewać, powiedział sobie. Erikson i ta kobieta trochę zbyt otwarcie i ostentacyjnie odwiedzali tutejsze kościoły. Niewątpliwie zamierzali w ten sposób wysłać sygnał do Braci Wybrańców św. Piotra i rzucić wyzwanie jemu jako generałowi zakonu. Do szóstej zadzwoniło do niego trzech księży, którym przed-  
nio polecił szukać Eriksona. Wszystkim trzem Vance zostawił ten sam numer telefonu w pokoju hotelowym.

Poirytowany brat Grzegorz podszedł energicznym krokiem do okna, rozsunął firanki i spojrzał gniewnie w dół na ulicę. Czy jesteś tam gdzieś, Vance'ie Eriksonie? W jaki sposób zdołałeś osiągnąć aż tak wiele? Mimo woli poczuł rodzaj niechętnego podziwu dla tego utalentowanego amatora.

Pod oknem z hukiem i łomotem przejechał jakiś zdezelowany fiat z silnikiem bez tłumika, lecz brat Grzegorz ledwie go usłyszał. Vance Erikson podczas zamachu był na placu św. Piotra. Na zdjęciu, zrobionym przypadkiem przez jakiegoś turystę i zamieszczonym później w gazetach, widać było, jak rzuca się na Irańczyka. W jaki sposób Erikson zdołał go odnaleźć pośród dziesiątków tysięcy ludzi



wypełniających tamtego popołudnia plac? Szkoda, powiedział do siebie Grzegorz, potrząsając wolno głową, że musimy zabić tego Amerykanina. To naprawdę będzie niepowetowana strata. Jednak nie możemy pozostawić go przy życiu. Miałeś szansę, mój synu, lecz z niej nie skorzystałeś, pomyślał. Odwrócił się od okna i popatrzył na dwóch wysokich, dobrze zbudowanych mężczyzn, stojących w pełnym szacunku milczeniu na środku pokoju. Unicestwienie bystrego, sprawnego umysłu Eriksona będzie niczym zniszczenie dzieła sztuki. Lecz Bóg stawia przed nami wyzwania, którym musimy sprostać.

- Dobrze - rzucił. Mężczyźni natychmiast wyprostowali się i spojrzeli na niego. Mieli po dwadzieścia kilka lat i odznaczeni tym rodzajem sprężystej muskulatury, jaką nabywa się jedynie dzięki regularnym wyłożonym ćwiczeniom fizycznym. - Niech jeden człowiek pozostaje stale w tym pokoju hotelowym. Chcę też, by pilnowano wszystkich wejść, choć nie sądzę, że to cokolwiek da, gdyż wątpię, czy Vance Erikson kiedykolwiek jeszcze tu wróci.

- Vincent - zwrócił się do wyższego z nich, mierzącego nieco ponad metr osiemdziesiąt i ubranego na sportowo. Pod bawełnianą koszulką wyraźnie odznaczały się mięśnie klatki piersiowej i ramion.

- Słucham, sir.

- Chcę, żebyś skontaktował się w magistracie z tym człowiekiem. - Na arkuszu papieru kancelaryjnego napisał pospiesznie nazwisko i wręczył mu kartkę. - On pracuje dla burmistrza, lecz nam też winien jest kilka przysług. Podobnie jak pozostali członkowie rady miejskiej Bolonii, należy do Włoskiej Partii Komunistycznej. Dla naszych celów masz mu powiedzieć, że Vance Erikson to amerykański agent CIA, *agent provocateur*, który przyjechał tu na spotkanie z grupami faszystowskimi, by wspólnie z nimi zdestabilizować tutejszy komunistyczny zarząd miasta. Powiedz mu, żeby kazał policji rozesłać jego zdjęcie do wszystkich hoteli i pensjonatów w Bolonii, ale zaznacz, że mają to zrobić bez rozgłosu. Posłuż się fotografią z okładki *il Giorno*. I przekonaj tego radnego, że na razie nie trzeba wszczynać alarmu.

Z całym szacunkiem, bracie Grzegorzu - odważył się odezwać mnich nazwany Vincentem. - Czy nie moglibyśmy po prostu poprosić

hotelarzy o spisanie numerów paszportów i porównać je z numerem paszportu człowieka, którego szukamy.

- Dobrze pomyślane, Vincencie - rzekł łaskawie Grzegorz. Mnich odprężył się z wyraźną ulgą. Brat Grzegorz bywał niekiedy nieprzewidywalny w swych reakcjach i mógłby potraktować tę radę jako kwestionowanie jego poleceń. - Lecz choć istotnie przy zameldowaniu w hotelu wymaga się paszportu, istnieje ryzyko, że nasz sprytny przeciwnik mógł posłużyć się fałszywym, wstawionym na zmyślane nazwisko.

- Święty Ojcie, jesteś bardzo mądry - powiedział szczerze Vincent. - Proszę, wybacz mi moją bezczelność.

- Została ci wybaczona, mój synu. A teraz idź. Mężczyzna bez słowa zrobił w tył zwrot i wyprostowany jak struna wyszedł z pokoju energicznym, wojskowym krokiem. W przeszłości klasztor wysłał go - jak również jego towarzysza - do włoskiej armii, gdzie odbyli przeszkolenie wojskowe, dochodząc do poziomu elitarnego oddziału komandosów, po czym zdezerterowali i wrócili do zakonu.

-Ty, Piotrze, zostaniesz ze mną. Wrócimy do swych pokoi i będziemy oczekiwać wiadomości o miejscu pobytu naszego nieuchwytnego przeciwnika. Potem zaś... - brat Grzegorz uśmiechnął się błogo - weźmiemy się naprawdę do dzieła.

Skreślił kilka słów na hotelowym papierze listowym, po czym starannie zwinął arkusik i włożył go do koperty, na której napisał nazwisko Vance'a Eriksona. Wychodząc, zostawił ją w hotelowej recepcji. W drugiej kopercie umieścił sto pięćdziesiąt tysięcy lirów - czyli równowartość mniej więcej stu dolarów - zakleił ją i opatrzył nazwiskiem zastępcy dyrektora hotelu. Jego usługi słono nas kosztują, pomyślał, ale ostatecznie Erikson zapłaci znacznie wyższą cenę.

\*\*\*

Gdy Vance i Suzanne wysiedli z taksówki, zapadły już kompletne ciemności. Jednak cieniutki sierp księżyca rzucał wystarczający blask, by oświetlić mroczne obszary pomiędzy rozstawionymi z rzadka ulicznymi latarniami. Nierówny, popękany betonowy chodnik wił się pod górę obok wąskiej, wyboistej asfaltowej jezdni. Okrzyki bawiących się dzieci mieszały się z cichszymi głosami dorosłych którzy terkotali

po włosku, stojąc w grupkach na chodniku, a częstokroć także na niemal pustej ulicy. Po drodze oboje pozdrawiali ich z inicjatywy Vance'a, który lepij władał włoskim.

Podczas gdy mężczyźni prowadzili długie pogawędki na dworze, kobiety przebywały w kuchniach. Z oświetlonych otwartych okien dochodziły ich śmiechy, brzęk rondli i smakowite zapachy jedzenia.

Przeszedłszy mniej więcej połowę długości ulicy, dotarli do stojącego po lewej, skromnego dwupiętrowego budynku. Podobnie jak większość tutejszych domów, zamieszkiwanych przez klasę średnią, otaczało go ogrodzenie wysokości człowieka, z bramą dla samochodów i furtką wejściową. Przed domem znajdował się wąski trawnik obsadzony kwiatami. Lecz w przeciwieństwie do innych posiadłości przy tej ulicy, okna były zamknięte i ciemne i nie dochodził z nich wesoły gwar ani aromat przygotowywanej kolacji.

- Nie ma go już od kilku dni - odezwał się za ich plecami czyjś uprzejmy głos. - Oboje odwrócili się zaskoczeni, lecz nikogo nie zobaczyli. Wówczas spojrzeli w dół i w słabym świetle odległej latarni ujrzeli niskiego mężczyznę w białej koszuli i ciemnych spodniach na szelkach, z wianuszkami siwych włosów okalającymi błyszczącą w mroku łysinę. Na jego twarzy, pobrużdżonej rozległą siecią zmarszczek, widniał promienny uśmiech.

- Przepraszam - dodał stary człowiek. - Nie chciałem was przestraszyć.

- Nic się nie stało - odparł Vance. - Jesteśmy oboje studentami profesora i pomyśleliśmy, że go odwiedzimy.

- Tak - rzekł starzec i uważnie przyjrzał się Eriksonowi. - Mam wrażenie, że gdzieś już pana widziałem, młody człowieku. Czy mieszka pan w tej okolicy? Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

-Nie, ja...

-Widocznie to mój starczy nawyk - powiedział tamten. - Profesor Tosi często wyjeżdża. Daje swej gospodyni wolne i znika na kilka tygodni. To niezwykły człowiek - dodał z dumą. -Jest prawdziwą chlubą naszej dzielnicy. Będzie go nam brakować.

- Nie rozumiem - rzekł Vance. - Powiedział pan przecież, że często przebywa poza domem.

- Owszem, owszem, powiedziałem tak, nieprawdaż? Nie zamierzam wprowadzać pana w błąd. To znaczy, nie próbowałem wprowadzić pana w błąd, ponieważ on istotnie wyjechał jak zazwyczaj, tylko że... - stary człowiek zniżył głos i nachylił się konspiracyjnie do Eriksona - rozmawiałem z jego gospodynią Angelą. Widzi pan, odkąd przeszedłem na emeryturę, często przesiaduję na mojej werandzie, o, tam - pokazał na drugą stronę ulicy - i dużo spaceruję. A podczas tych spacerów nierzadko odwiedzam Angelę. Niebrydka z niej dziewczyna. Jest... - zerknął na Suzanne, a potem chwycił Vance'a za ramię i odciągnął go kilka kroków na bok - jest świetnie zbudowana, młoda, ma zgrabne nogi i wielkie... - zarysował dłońmi półkule przed klatką piersiową i uśmiechnął się, jak jeden mężczyzna do drugiego. Erikson nie mógł się powstrzymać i też się roześmiał.

I zaledwie dwa dni temu Angelą powiedziała mi, że dostała od Tosiego list z pensją za sześć miesięcy - sześć miesięcy, da pan wiarę? - i wiadomością, że profesor nie będzie już potrzebował jej usług. Wyobrażam sobie, co to były za usługi. - Znów uśmiechnął się porozumiewawczo.

Rozumiem, a zatem...

- Nie, nie, to jeszcze nie wszystko - przerwał mu starzec. - Od wyjazdu profesora do domu codziennie przychodzi pewien ksiądz. Ma klucz do bramy i do drzwi wejściowych. Wchodzi, odbiera pocztę i znika. A wczoraj zajechała tu ciężarówka z rejestracją gdzieś z północy z okolic Mediolanu, i zabrała jakieś skrzynie. Żadnych mebli, tylko skrzynie.

Zapewne papiery Tosiego, pomyślał Vance.

- Kiedy przychodzi ten ksiądz? - zapytał.

- O różnych porach. W dzień, w nocy. Ale jaki tam z niego ksiądz. Po mojemu wygląda na samego diabła. - Stary człowiek przeżegnał się. - Nigdy nie zatrzyma się, żeby ze mną porozmawiać, a kiedy raz podszedłem, aby się przywitać, przeklął mnie. - Głos załamał mu się z oburzenia.

A więc Bracia zwolnili gospodynię i przejęli jej obowiązki, pomyślał Vance. Czegóż innego mógł się spodziewać?

Rozmyślał gorączkowo, usiłując poukładać sobie wszystkie

fakty. Zarazem udawał, że słucha starca, który nadal plotkował o sąsiadach niczym przekupka. Nikt nie pilnował domu profesora, ale codziennie zjawiał się ksiądz odbierający pocztę. Gdyby udało im się pójść za nim, doprowadziłby ich do siedziby Braci. A kiedy już się tam znajdą - serce zabiło mu mocniej - być może nadarzy się okazja wykradzenia papierów Leonarda da Vinci. Posiadając zaś te dokumenty mogliby niewątpliwie wynegocjować uwolnienie Kingsbury'ego. Lub też zniszczyć owe cenne szkice wykonane przez człowieka, którego dorobek Vance z czcią studiował przez całe życie.

Będą potrzebowali samochodu, lecz bez prawa jazdy nie uda się im go wypożyczyć. Ukradnij jakiś, chłopcze, rzekł do siebie. I tak już tkwisz w kłopotach po uszy.

Ale nie mogą szwendać się przed domem ani obserwować go z samochodu. Nieznajomi, parkujący wóz na wąskiej, nieuczęszczanej ulicy, ściągają na siebie uwagę nie tylko starego emeryta. Na tej małej willowej uliczce, z ciągiem domów, płotów i bram po obydwu stronach, nie było się gdzie ukryć. Pozostało im tylko jedno: muszą włamać się do domu profesora i poczekać tam na księdza. W ten sposób stanę się przestępcą całą gębą: mordercą, złodziejem i włamywaczem. Cóż za wspaniała kariera!

Suzanne podeszła do Vance'a, na co starzec zareagował niechętnym skinieniem głowy i ciągnął dalej:

- Ten mężczyzna, ten ksiądz, o którym panu wcześniej mówiłem, tak mnie rozgniewał, że zapisałem sobie numer rejestracyjny jego samochodu i poszedłem do syna Pietra.

Pietro to piekarz. Mieszka w sąsiednim domu, a jego syn Renato jest policjantem. Więc poszedłem do Renato i poprosiłem, żeby wyświadczył przysługę staremu człowiekowi - wie pan, znam Renato, odkąd był małym bambino - więc poszedłem do Renato i poprosiłem, żeby wyświadczył mi przysługę. Powiedziałem mu o tym księdzu i że chcę napisać list z protestem przeciw jego zachowaniu i poprosiłem Renato - czy wspominałem już panu, że znałem go, kiedy był jeszcze... no tak, oczywiście, już to mówiłem.

Zachichotał cicho. Vance powściągnął odruch zniecierpliwienia,

uśmiechnął się wyrozumiale i pokiwał głową.

- Och, mój drogi, na czym stanąłem? - Mężczyzna popatrzył na niego z zakłopotaniem.

- Renato? - podsunęła Suzanne uprzejmym tonem.

- Tak, dziękuję ci. Jesteś bardzo piękną kobietą - rzekł, uśmiechając się do niej szeroko. - Tak, Renato wyświadczył przysługę staremu człowiekowi, sprawdził w kartotece numer rejestracyjny samochodu księdza i nie dalej jak wczoraj dał mi jego adres. A ja napisałem list do jego proboszcza, o tak, napisałem! Ten ksiądz, kimkolwiek on tam jest, dostał już pewnie za swoje.

- Do proboszcza? - powtórzył Vance, starając się nie okazać nadmiernego zainteresowania.

- Tak. Do proboszcza kościoła Santuario di San Luca. Powiadam panu, to musi być jakiś okropny człowiek, skoro pozwala jednemu ze swych księży odnosić się w taki sposób do wiernych parafian. I pomyśleć, że ten kościół znajduje się zaledwie o kilka kilometrów stąd. Gdybym tylko nie był taki stary, poszedłbym tam i wygarnął mu wszystko prosto w oczy. Przecież ja...

- Signore - przerwał mu Vance najgrzeczniej jak potrafił. - Rozmowa z panem sprawiła mi wielką przyjemność, większą niż pan może przypuszczać. - Starzec rozpromienił się. - Ale naprawdę musimy już iść. Zamierzaliśmy spędzić u profesora tylko kilka minut i przekroczyliśmy już ten czas. My...

- Proszę się nie martwić - rzekł staruszek. Wziął znów Vance'a pod ramię i dodał przyciszonym głosem: - Gdybym był w towarzystwie takiej pięknej kobiety jak ona, też nie marnowałbym czasu na wysłuchiwanie starego człowieka.

I mrugnął porozumiewawczo.

- Nie zamierzałem... - zaprotestował Erikson.

Starzec uniósł dłoń.

- Oczywiście, że pan zamierzał. Ale tak właśnie powinno być. Doceniam, że poświęcił mi pan aż tyle czasu. Idź z Bogiem, młody człowieku - dodał, znów puszczając do Vance'a oko, po czym odwrócił się i odszedł. Oboje przyglądali się, jak znika w bramie posesji naprzeciwko domu Tosiego.

Suzanne stanęła obok Eriksona.

- Wygląda, że wreszcie nam się poszczęściło - powiedziała, obejmując go ramieniem.

Przyciągnął ją do siebie.

Najwyższy czas - rzekł.

Tak - powtórzyła cicho. - Najwyższy czas.

## Rozdział 20

---

Asystent burmistrza nie był zachwycony, że przerwano mu kolację. Jednak perspektywa udaremnienia faszystowskiej intrygi była dlań dostatecznym bodźcem, toteż wraz z ubranym na sportowo nieznajomym udał się na komendę główną bolońskiej policji. Wszedł tam sam, porozmawiał z zastępcą komendanta, pełniącym dyżur, po czym wydał mu polecenia. Następnie muskularny nieznajomy odwiózł go z powrotem do domu, gdzie spokojnie dokończył kolację. O północy wszystkim policjantom obejmującym nocną służbę wręczono powielone zdjęcia Vance 'a Eriksona. Sprawdzanie hoteli w poszukiwaniu uciekinierów, przestępców i osób zaginionych należało do rutynowych zadań policji. Jednakże tej nocy policjanci wypełniali je gorliwiej niż zazwyczaj. Każdy z nich pragnął okazać się tym, który odnajdzie słynnego mordercę.

\*\*\*

Zbliżył się do śpiącej spokojnie Suzanne i łagodnie ją obudził. Poczula, jak całuje jej policzki, szyję, piersi. Poruszyła się, chcąc pozostać jeszcze w słodkim, bezcielesnym świetle sennych marzeń, lecz zarazem zapragnęła tego, co obiecywały pocałunki. Przewróciła się na bok i nie otwierając oczu odnalazła ustami jego wargi. Pocałowała gorąco Vance'a i jęknęła namiętnie, gdy wziął ją w ramiona.

Kiedy zaczął delikatnie całować ją za uszami, otworzyła oczy. W pokoju było jeszcze ciemno.

- Co robisz? - spytała z udaną surowością. - Jest środek nocy.

- Nie - odparł, przestając na chwilę pieścić językiem płatek jej ucha. - Jest już po szóstej, sprawdzałem. Wstał już dzień.

- Uhm - mruknęła, przyciskając piersi do jego ciepłej, muskularnej piersi i kładąc się na nim. - Więc go nie marnujemy.

Pocałowała go w szyję, a potem zaczęła sunąć ustami po płaskim, twardym brzuchu. Gdy dotarła niżej, Vance jęknął z rozkoszy.

\*\*\*



Enrico Carducci zatrzymał niebiesko-białe policyjne alfa romeo przy krawężniku, po przeciwnej stronie ulicy niż dworzec kolejowy, i spojrzął na zegarek. Była już 6:11. Ziewnął szeroko. Jego partner chrapał rozgłośnie, wsparty o boczną szybę.

Niech sobie śpi, pomyślał Carducci, tłumiąc następne ziewnięcie. Poprawił na głowie granatową policyjną czapkę i otworzył drzwi. Przez całą noc zatrzymywali się przy kolejnych hotelach w swoim rewirze i pokazywali kierownikom nocnej zmiany kopię prasowej fotografii. Za każdym razem bez powodzenia. Zdjęcie, odbite na tanim, cienkim papierze, pogniotło się już i pobrudziło, ale twarz poszukiwanego mężczyzny wciąż była wyraźnie widoczna.

Carducci wysiadł z samochodu, delikatnie zamknął drzwiczki, by nie obudzić swego partnera, poprawił rewolwer w białej skórzanej kaburze i wszedł do pierwszego z trzech hoteli znajdujących się naprzeciw dworca. Może ten zabójca jest właśnie tutaj, pomyślał z nadzieją, otwierając oszklone drzwi.

\*\*\*

Co ja tu robię z tym mężczyzną? - zadała sobie pytanie Suzanne, leżąc na łóżku z przymkniętymi oczami i widząc wciąż pod powiekami obrazy ich miłosnych zmagania. Przyjrzała się Vance'owi, który stał przy toalecie i wycierał włosy ręcznikiem. Zachmurzyła się na moment, dziwiąc się, jak to możliwe, że kiedyś nie dostrzegła wszystkich jego zalet. Uświadomiła sobie, że żaden mężczyzna, z którym kiedykolwiek coś ją łączyło, nie traktował jej tak poważnie. Vance naprawdę traktował ją serio, jako nie tylko... no, tak, jako kobietę.

Oczywiście, niektórzy jej pracodawcy ją szanowali. Była doskonałą dziennikarką oraz świetnie wykształconą agentką wywiadu, aż do czasu... Bejrutu. Jednak żaden z mężczyzn, z którymi się umawiała bądź sypiała, nigdy nie brał jej poważnie.

Bejrut to był koszmar. Pojechała tam jako korespondentka francuskiego magazynu ilustrowanego i wzięła udział w zasadzce urzędzonej, jak powiedzieli jej zwierzchnicy z CIA, w celu rozbicia brutalnego odłamu Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Kiedy było już po wszystkim, chodziła oszołomiona wśród okaleczonych i zmasakrowanych ciał nastolatków. Ścisnęli w rękach karabiny

kałasznikowa, dostarczone im przez Rosjan, z których potrafili zabijać nie gorzej niż dorośli. To prawda, że ci młodociani żołnierze popełnili ohydne zbrodnie na bezbronnych cywilach, kobietach, dzieciach oraz chłopcach w tym samym wieku, co oni. Ale kiedy płacząc szła pośród ich zwłok, zastanawiała się, cóż to za świat, co wysłała swoje dzieci na rzeź, i z wściekłością myślała o rodzicach, zmuszających swe potomstwo, by za nich walczyło. A natychmiast po powrocie do Paryża, przygnębiona złożyła rezygnację.

Nie zadowalała jej jednak praca redaktorki *Haute Culture* i wycofanie się w hermetyczny świat sztuki ani często zmieniani, przelotni kochankowie.

Lecz teraz, pomyślała z leniwym uśmiechem, obserwując jak Vance wyciera sobie plecy, czuła się kimś ważnym, a jednocześnie wolnym. To nie tylko przeżywanie wspólnie niebezpieczeństwa, które sprawiają, że ludziom wydaje się, iż się w sobie zakochali. Nie, stwierdziła, rzecz nie tyle w tym, co Vance robi, lecz raczej jak to robi i w jaki sposób patrzy na świat. Podobało jej się jego lekceważenie oficjalnych autorytetów. Może, jeśli będzie miała szczęście, nauczy się tego od Vance'a.

Kierownicy nocnej zmiany we wszystkich trzech hotelach naprzeciw dworca nie rozpoznali ze zdjęcia Vance'a Eriksona.

Oczywiście mógł się zameldować w ciągu dnia - wyjaśnili. Na prośbę Carducciego sprawdzili też numer paszportu Eriksona, co również nic nie dało. Carducci pamiętał uwagę swego szefa, że ten człowiek może podróżować z fałszywym paszportem, toteż większą nadzieję wiązał ze zdjęciem. Wrócił do samochodu i delikatnie potrząsnął swego partnera, żeby go obudzić.

- Wróc samochodem na komendę - powiedział zaspanemu towarzyszowi. -Ja zaczekam tutaj do siódmej, kiedy przychodzą kierownicy dziennej zmiany, a potem pojedę do domu autobusem.

Tamten kiwnął ponuro głową, zirytowany, że wyrwano go z jakiegoś miłego erotycznego snu, i szybko odjechał.

W rzeczywistości Carducci nie liczył, że znajdzie tutaj poszukiwanego mężczyznę, ale mieszkał w odległości dziesięciu minut

jazdy autobusem, który miał przystanek tuż przy hotelach. Poza tym nie lubił tego dupka sierżanta na komendzie, a w ten sposób uniknie spotkania z nim, przy okazji zaś zdrzemnie się chwilę w wygodnym fotelu w holu. Za kwadrans siódma usadowił się obok frontowych drzwi w hotelu Milan Excelsior i zapadł w niespokojny sen.

\*\*\*

Cóż to za wspaniały hotel, pomyślał Vance, z łazienki o marmurowej posadzce wchodząc do sypialni i otwierając niewielką lodówkę obok telewizora.

- Napijesz się soku pomarańczowego? - zapytał Suzanne, która siedziała w łóżku i oglądała wiadomości.

- Chętnie - odparła. - Po porannych miłosnych igraszkach zawsze chce mi się pić. Słuchaj Vance, jest już po siódmej i musimy... - Urwała nagle, gdyż nadawano właśnie materiał o stanie zdrowia papieża.

Papież czuł się dobrze. Kule zamachowca uszkodziły jelita, więc zastosowano tymczasową kolostomię, aby umożliwić zagojenie się ran. Spiker powiedział, że papież jest przytomny i modlił się za zbrodniarza.

Zamachowiec, Irańczyk Hashemi Rafiqdoost, został aresztowany przez rzymską policję i oczekuje w więzieniu na proces. Spiker oznajmił z wyraźnym wstrętem, że Rafiqdoost jest poszukiwany w Niemczech za morderstwo i podejrzany o zastrzelenie tam irańskich dysydentów, przypuszcza się też, że wspiera go finansowo jakaś muzułmańska organizacja terrorystyczna, chociaż oskarżony utrzymuje, iż działał sam.

Na ekranie ujrzeli mężczyznę wyprowadzanego z radiowozu do miejskiego więzienia w Rzymie. Miał dzikie, hipnotyczne spojrzenie. Jestem Mieczem Allacha!" zawołał szaleńczo po włosku, a potem po angielsku i w języku farski. „Allah Akbar! Zabiłem papieża!"

Vance usiadł obok Suzanne na skraju łóżka i wpatrywał się w ekran, popijając z roztargnieniem sok pomarańczowy. Po reportażu o Rafiqdoosie pokazano zdjęcie zrobione przypadkowo tuż przed zamachem. Przedstawiało papieża oraz celującego weń zabójcę. Erikson przypatrzył się fotografii i nagle omal nie upuścił szklanki. W lewym rogu widać było wyraźnie jego wykrzywioną z wysiłku twarz, gdy rzucił się naprzód, aby powstrzymać zamachowca.

- O mój Boże - powiedziała powoli Suzanne. - O Boże, Vance.

Podano nazwisko turysty, który zrobił zdjęcie. Na ekranie białe podświetlone kółko wskazało najpierw wycelowany rewolwer, potem Rafiqdoosta, by na koniec otoczyć niczym pętla głowę Vance'a.

„Policji nie udało się odnaleźć tego mężczyzny” rzeki spiker.

„Twierdzi jednak, iż jest on już poszukiwany za udział w kilku atakach terrorystycznych w Mediolanie oraz okolicach jeziora Como. Policjanci oświadczyli również, iż nie jest jasne, czy człowiek ten pomagał zabójcy, czy też może usiłował udaremnić zamach”.

Dziennik błyskawicznie przeszedł do następnych informacji: wyrazów oburzenia na całym świecie z powodu zamachu na papieża, głosów żądających dla zamachowca kary śmierci, i tak dalej, i tak dalej. Lecz Vance już tego nie słuchał. Grzęzną coraz głębiej, pomyślał ponuro. Jego ukochane Włochy zmieniły się we wsysające go bezlitośnie bagno.

- Co? Ach, tak. Dzień dobry! - Boloński policjant Enrico Carducci zerwał się z fotela. Właśnie zjawił się kierownik dziennej zmiany. Było sześć minut po siódmej. Carducci oprzytomniał szybko i wyjął fotografię Vance'a Eriksona. Kierownik wpatrzył się w nią, wznosił wzrok do sufitu, oblizał w zadumie dolną wargę, zamyślony wymamrotał coś pod nosem, po czym rzekł:

- Tak, przypominam sobie tego człowieka.

Carducciemu natychmiast poprawił się humor. Może dzięki temu awansuje i uwolni się od nocnych patroli. Odnalazł poszukiwanego - i to pracując po służbie. Wyobraził sobie, co powie na to jego matka.

- A właściwie - ciągnął kierownik - przypominam sobie towarzyszącą mu kobietę. Piękna kobieta, naprawdę. Prawdopodobnie nie zapamiętałbym go, gdyby nie było z nim tej niezwyklej kobiety. Zameldowali się jako... - Przymknął oczy, usiłując wydobyć z pamięci nazwisko, a potem podszedł do kontuaru recepcji. Policjant podążył za nim, niemal skacząc radośnie po wypolerowanej mar murowej posadzce.

Podczas gdy kierownik przeglądał rejestr gości („Wczoraj przyjeśliśmy tylko dwanaście osób”), Carducci usiłował przypomnieć

sobie, czego nauczano go w akademii policyjnej odnośnie do podobnych sytuacji. Przychodziło mu to z trudem. Nie dlatego, że był słabym studentem - w istocie, ukończył akademię z drugim wynikiem na roku - lecz ponieważ wciąż wyobrażał sobie, jak kopniakiem otwiera drzwi pokoju i w pojedynkę aresztuje tego człowieka. Oczyma duszy widział już w gazetach nagłówki ze swoim nazwiskiem, a może nawet zdjęciem.

Lecz wspomniał również szkolenie i sierżanta z komendy, który - kiedy ucichną już pochwalne peany, a nazwisko Carducciego zniknie z łam prasy - niewątpliwie postara się, by go przykładowo zdegradowano za zlekceważenie ustalonej procedury. Toteż, jakkolwiek niechętnie, postanowił zadzwonić na komendę i poprosić o wsparcie. Kierownik, który kończył już przeglądać księgę wpisów, pozwolił mu skorzystać z telefonu.

- Do diabła! - zaklął Vance. - Dlaczego to wszystko musiało spaść na mnie naraz?

Był już ubrany w levisy i cienką niebieską koszulkę polo. Chodził tam i z powrotem po pokoju, podczas gdy Suzanne kończyła się ubierać w dżinsy i błękitną batystową bluzkę z krótkimi rękawami.

- Naszym największym atutem jest to, że nikt nie wie, iż tu jesteśmy - zastanawiał się na głos Erikson. - Nikt z wyjątkiem Braci, a z nimi sami sobie poradzimy.

- Chyba że współpracują z tutejszą policją, tak jak w Mediolanie i Como - wtrąciła.

Vance zatrzymał się raptownie.

- No cóż, zakładałam, że klasztor leży zbyt daleko od Bolonii, by Bracia mogli mieć tutaj równie wielkie wpływy. Niemniej musimy mieć się na baczności, by nikt nas... a właściwie mnie... nie rozpoznał. To oznacza konieczność trzymania się na uboczu aż do wieczora, kiedy złożymy wizytę w kościele Santuario di San Luca.

Mogą ukraść jakiś samochód i wyjechać poza miasto. Drogi na wzgórze są mało uczęszczane. Kupią chleb, ser, wino, wodę mineralną i urządzią sobie piknik. Tylko że... samochód będzie trudno ukryć. A więc motor. Zateśknił za swym kultowym motocyklem, stojącym bezpiecznie w podziemnym garażu biurowca ConPacCo w Santa Monica.

Jakże odległe wydawało się obecnie tamto życie!

Dziesięć minut później zamknęli pokój i ruszyli do windy. Nie usłyszeli nadjeżdżającej kawalkady policyjnych radiowozów, motocykli i furgonetek, ponieważ policjanci przyjechali cicho, bez syren alarmowych, a jedynie z błyskającymi światłami na dachach.

Na końcu korytarza Vance nacisnął guzik windy.

Słuchaj, coś mi przyszło do głowy - odezwała się Suzanne.

Co takiego?

- A jeśli kierownik hotelu nas rozpozna?

Erikson potrząsnął głową.

- Wątpię. W takich dużych hotelach ci faceci nie zwracają uwagi na gości. Obchodzi ich tylko, czy zapłacimy rachunek - najlepiej z góry, żeby nie musieli się denerwować.

-Ale jednak... - powiedziała z niepokojem. Nadjechała winda i drzwi się rozsunęły.

Enrico spacerował po holu, bawiąc się nerwowo klapą kabury z rewolwerem. Znal już numer pokoju podejrzanego, lecz posiłki jeszcze nie nadjechały. Dlaczego to trwa tak długo? Przecież posterunek jest tuż przy Piazza Maggiore, niedaleko Via dell'Indipendenza. Serce waliło mu mocno i niecierpliwiał się, mimo że minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd kierownik odszukał w rejestrze właściwe nazwisko. Carducci zobaczył, że wskazówka windy doszła do drugiego piętra i zatrzymała się. Może to on, pomyślał z nadzieją. Wówczas oboje wpadną prosto w moje ręce i cała zasługa ich schwytania przypadnie tylko mnie.

- Dobrze - powiedział Vance. Oboje zostali na korytarzu i poczekali, aż drzwi windy się zamkną. - Może masz rację.

- W każdym razie to nie zaszkodzi - zauważyła Suzanne. - Przynajmniej zażyjemy nieco ruchu.

Poszedł za nią do obudowanej klatki schodowej na drugim końcu korytarza. Ich niespieszne kroki odbijały się w niej echem, gdy schodzili po pięciu kondygnacjach betonowych schodów do piwnicy. Przemierzyli krótki korytarzyk, rojący się od hotelowej służby, i po schodkach wyszli na zaśmiecony parking, który Erikson widział z okna ich pokoju.

Przeszli przez brudny placyk, lawirując między bezładnie zaparkowanymi samochodami i skuterami. Parking z trzech stron otaczały domy, z czwartej zaś wysoki drewniany płot. Gdy zbliżali się do bramy, usłyszeli ryk silników i pisk opon.

Hałas narastał. Kiedy podeszli do bramy, wpadła przez nią policyjna furgonetka z migającym na dachu niebieskim światłem, wzniesając chmurę drobnego pyłu. Za nią wjechały jeszcze dwa wozy patrolowe i motocykl. Nad całym parkingiem unosiły się teraz kłęby kurzu.

- Padnij! - krzyknął Vance i pociągnął Suzanne za sobą na ziemię, za zdezelowanego czerwonego fiata z przerdzewiałymi błotnikami.

Wyjrzał zza samochodu i zobaczył, że z furgonetki wypadł oddział policjantów i wbiegł do budynku hotelu, a za nimi podążył motocyklista oraz załogi obu radiowozów.

- To nie wygląda na ćwiczenia - powiedział przestraszony Erikson. - Wynośmy się stąd.

Wstali i ruszyli do bramy, gdy nagle pojawił się trzeci radiowóz i zahamował gwałtownie, blokując im drogę.

- Stać! - zawołał jeden z policjantów, wyciągając rewolwer z kabury. - Jesteście aresztowani!

- Jeszcze nie - odparł Vance. Odwrócił się i pobiegł w przeciwnym kierunku, w gęszcz zaparkowanych samochodów, popychając przed sobą Suzanne.

Za ich plecami rozległ się strzał. Tuż obok rozprysła się przednia szyba czerwonego fiata. Silnik radiowozu ryknął na wysokich obrotach. Usłyszeli, jak spod tylnych kół samochodu trysnęła fontanna żwiru, gdy ruszył gwałtownie naprzód. Ciszę pięknego włoskiego poranka rozdarły następne wystrzały.

- Pochyl głowę! - wrzasnął Erikson.

Seria pocisków z broni maszynowej przeszła ziemię tuż pod ich nogami. Vance pociągnął dziewczynę do tyłu. Radiowóz zatrzymał się w pół drogi między bramą a tylnym wyjściem hotelu. Zabrzmiały podniecone krzyki, a potem drzwi samochodu otworzyły się i kroki biegnących zadudniły po ziemi.

- Masz jeszcze ten rewolwer Tony'ego? - spytał Suzanne. Spojrzał w dół i zobaczył, że już go wyjęła. – Oślaniaj mnie - rzucił. - Poszukam tego policyjnego motocykla.

Przebiegł pospiesznie przez otwartą przestrzeń między dwoma samochodami. Kiedy policjant z karabinem maszynowym wycelował do niego, posłała mu kulę pod nogi, zmuszając go do ukrycia się. Po chwili w jej stronę poleciał grad pocisków, więc szybko przemknęła pod osłonę następnego samochodu, bliżej bramy.

Podczas gdy Suzanne ściągła na siebie większość strzałów, Erikson przekradał się od jednego samochodu do drugiego.

Jeden z członków załogi radiowozu pobiegł, by wciągnąć rannego towarzysza w bezpieczne miejsce, zaś pozostali dwaj starali się przygwoździć dziewczynę do ziemi ogniem z rewolwerów.

Vance dotarł do motocykla - potężnego guzzi -i stwierdził z zadowoleniem, że kluczyk wciąż tkwi w stacyjce. Wskoczył na siodelko i przekręcił go. Za jego plecami policjanci z głośnym krzykiem wybiegali po schodach z hotelowej piwnicy. Erikson obrócił manetkę gazu, a silnik zakrzuszył się i zapalił.

Suzanne biegła do bramy, ścigana przez dwie grupy policjantów. Usłyszała ryk motocykla i raz jeszcze wystrzeliła do pogoni.

Silnik zawył na drugim biegu, gdy jadący ku bramie Vance zwolnił, by zabrać Suzanne. Goniący ją mężczyźni odwrócili się i unieśli rewolwery. Jeden z policjantów pobiegł za Eriksonem niczym myśliwy za umykającym jeleniem. Pozostali oparli łokcie na dachu czerwonego fiata i starannie wycelowali do dziewczyny. Erikson zobaczył, że trafiona pociskiem owiewka motocykla pokryła się nagle pajęczyną pęknięć. Obserwował w zdumieniu, jak Suzanne wyskakuje zza osłony drewnianego płotu i oddaje następny strzał. Za sobą usłyszał kanonadę rewolwerową.

Jechał zygzakami, żeby uniknąć trafienia, a potem zahamował tak gwałtownie, że motocykl zarzuciło. Jeszcze zanim stanął, dziewczyna wskoczyła na siodelko za nim. Tylne koło zabuksowało na piasku, lecz po chwili złapało przyczepność. Za ich plecami zabrzmiały strzały, ale kule zabębniły tylko o kamienny chodnik.

Popędzili na zachód ulicą Via Boldrini, lawirując wśród tłumów



przechodniów spacerujących ogrodami przy Porta Galliera, a potem pojechali na południe przez Via dell'Indipendenza. Dzięki fantastycznej mocy silnika błyskawicznie zostawili w tyle policyjne wozy patrolowe.

Wiedzieli jednak, że cała bolońska policja zostanie postawiona na nogi i będzie gorliwie tropić skradziony motocykl. Policjanci nie znają litości, kiedy postrzeli się jednego z nich.

Rano na ulicach panował niewielki ruch, więc Vance jeszcze przyspieszył. Jechał środkiem jezdni, gdy nagle zobaczył przed sobą migające niebieskie światła policyjne. W tej samej chwili z tyłu pierwszy ze ścigających go samochodów wyjechał już zza zakrętu.

Jeżeli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich, pomyślał Erikson, Puścił jedną ręką kierownicę i zaczął naciskać włączniki na niewielkiej desce rozdzielczej. Najpierw zamigotały niebieskie światła motocykla, a zaraz potem odezwała się syrena. Po obu stronach ulicy auta i ciężarówki przyskały na boki, zostawiając miejsce dla motocykla i ścigających go szaleńczo radiowozów, do których dołączyły teraz posiłki z posterunku.

Jadący na czele wóz patrolowy był już tak blisko, że Vance mógł niemal rozróżnić rysy jadących w nim dwóch mężczyzn. Wówczas skręcił raptownie w lewo na Piazza deli'Otto Agosto.

Suzanne obserwowała z rosnącym przerażeniem zbliżające się pojazdy, jedną ręką obejmując Vance'a w pasie, a w drugiej ściskając kurczowo torebkę z pistoletem Tony'ego i wszystkimi ich pieniędzmi.

Dwie rozpędzone kolumny policyjnych aut omal nie wpadły na siebie, gdy desperacko usiłowały jednocześnie wjechać za nimi na plac.

Erikson zmierzał w kierunku wąskich krętych uliczek zabytkowej dzielnicy miasta, chcąc wykorzystać nie tylko szybkość, lecz również zwrotność motocykla.

Z jaskrawego blasku Piazza dell'Oto Agosto wpadli w aleję Via Venturini, skrytą w głębokim cieniu, jako że słońce stało jeszcze nisko i oświetlało jedynie szczyty stojących przy niej domów. Ich najwyższe piętra jarzyły się czerwienią, podczas gdy motocykl gnał przez chłodne mroczne cienie. Gniewny ryk silnika odbijał się echem w tej uliczce tak wąskiej, że z trudem minęliby się na niej mały fiat i przechodzień.

Przeციęli Via Righi i zanurzyli się znów w cienistej alei. Na

skrzyżowaniu z Via Marsala skręcili w lewo i kątem oka dostrzegli nadjeżdżający z prawej wóz patrolowy, z którego otwarto do nich ogień. Po chwili pojawił się następny radiowóz. Erikson ponownie skręcił w prawo i znaleźli się na krętej alei, prowadzącej na południe. Kilka lat temu szedł tędy, i teraz poczuł w żołądku zimną grudę lęku, gdy przypomniał sobie, że na przestrzeni prawie kilometra nie ma tu żadnych przecznic. Jeśli na jej końcu będzie jakiś gliniarz, wszystko skończone.

Wyciskał z silnika całą moc. Na ostrych łukach opony motocykla ledwo trzymały się nierównego bruku. Wjechali na mały placyk, wychodzący na Via Zamboni. Skręcił gwałtownie w lewo, w kierunku uniwersytetu i jeszcze przyspieszył, gdy kolejny samochód policyjny wyprysnął zza rogu od strony komisariatu.

To alfa romeo było szybsze i nie zostało w tyle. Vance jechał zygzakami, ponieważ jeden z policjantów z samochodu zaczął ich ostrzeliwać. Z rykiem silnika minęli zabytkowe domy i nieskończone szeregi portyków oraz Piazza Verdi, gdzie stosunkowo szeroka dotąd ulica zmieniła się w węższą, jednokierunkową, którą jechali pod prąd. Oboje byli coraz bardziej przerażeni. Alfa romeo zbliżyło się i Erikson zobaczył, jak kula wbiła się w mur tuż obok jego głowy.

Jak to często spotyka się w Bolonii, wąską jednokierunkową uliczkę ograniczał po jednej stronie długi kryty pasaż z kolumnadą, po drugiej zaś kamienna ściana domu. Ulica wyglądała na pustą, lecz w momencie, gdy Vance przyspieszył, z Via del Gusto wyjechał autobus volkswagen, tarasując im drogę.

Suzanne zacisnęła powieki i uchwyciła się kurczowo Vance'a. On również zapragnął zamknąć oczy, kiedy zdał sobie sprawę, że nie zdąży wyhamować. Pochylił motocykl w lewo, niemal przewracając go na niskim krawężniku, i przejechał między dwoma wysokimi słupkami, odgradzającymi ruch uliczny od chodnika. Wjechali w ocieniony pasaż dla pieszych i mijali w pędzie jego kolumny.

Usłyszeli z tyłu rozpaczliwe dźwięki klaksonów i pisk opon, a potem brzęk pękającego szkła, gdy samochód policyjny zderzył się z autobusem. Erikson zwolnił i zjechał z powrotem na jezdnię. Dojechali szybko do końca Via Zamboni, pozostawiając za sobą gniewne krzyki i

ryk syren, i przez Porta San Donato wydostali się z miasta.

Przez nikogo już nie ścigani dotarli do autostrady A1 4. Oddychając z ulgą, Vance wyłączył migające światła i syrenę, a następnie dodał gazu i skierował się na zachód. W pobliżu lotniska autostrada zataczała łuk na południe, więc skręcił w pierwszy napotkany zjazd, zawrócił na zakręcie o 180 stopni i ruszył na południowy zachód, w stronę wzgórz.

Wjeżdżali coraz wyżej krętą szosą, mijając leżące na stromych zboczach regularne prostokąty winnic oraz gospodarstwa hodowlane lub warzywne, a najczęściej łąki porośnięte białymi kwiatami trybuli. Za kolejną serpentyną zakrętu ujrzeli okrągły masywny budynek z cegły, z omszałą cebulastą kopułą i mnóstwem szpiczastych wieżyczek. Przycupnięty na szczycie najwyższego z okolicznych wzgórz, wyglądał jak statek zwiadowczy przybyszów z kosmosu.

Vance zjechał na pobocze szosy.

- Na litość boską, co to jest? - spytała oszołomiona Suzanne.

- Santuario di San Luca - odparł i skinął na nią, by zsiadła z motoru. - Idę o zakład, że wewnątrz - lub może w którymś z mniejszych budynków kościelnych na zboczu - znajdziemy Braci Wybrańców św. Piotra, a jeśli dopisze nam szczęście, również szkice Leonarda da Vinci. - Wyłączył silnik. - To nasza jedyna szansa ocalenia. W przeciwnym razie...

- To będzie nasze ocalenie - powiedziała z wiarą.

Zeszła z siodła i pomogła Eriksonowi zepchnąć motocykl z drogi i ukryć go w kępie drzew akacjowych i zarośli. Potem zeszli szosą kilkaset metrów i zaszyli się w krzakach, by przeczekać do wieczora.

W Bolonii Enrico Carducci ciągle jeszcze starał się wytłumaczyć sierżantowi, dlaczego zarekwirował autobus volkswagen i przyłączył się do pogoni, zamiast spokojnie zostać w hotelu. Na swą obronę powtarzał wciąż:

- To przecież pan, sierżancie, jechał jednokierunkową ulicą pod prąd, a nie ja.

## *Rozdział 21*

---

Widziane z drugiego krańca doliny, Santuario di San Luca przypominało baśniową dziecięcą zabawkę. Kiedy jednak podchodzili do kościoła w zapadającym zmroku, jego wielka imponująca bryła rysowała się groźnie na tle ciemniejącego nieba. Santuario przyciągało za dnia licznych turystów i słynęło zwłaszcza z ponad cztero-kilometrowego portyku, ciągnącego się od południowej bramy Bolonii, Porta Saragozza, aż do stromego zbocza góry Monte Della Guardia, na której stał kościół.

Wzdłuż górnego odcinka kolumnowego pasażu, stanowiącego jedną trzecią jego długości, biegł solidny mur z rozmieszczonymi w regularnych odstępach malowidłami, rzeźbami oraz niepozornymi drzwiami, z których tylko niektóre miały tabliczki z numerami. Drzwi te prowadziły do biur i apartamentów kościelnych oficjeli, w ten czy inny sposób związanych z Santuario di San Luca. Adres, podany im przez gadatliwego starego człowieczka podczas rozmowy przed domem Tosiego, odpowiadał jednym z drzwi opatrzonych numerem.

Vance jechał powoli, aby jak najmniej było słychać potężny silnik motocykla. Kiedy znaleźli się na szczycie niższego wzniesienia, postanowił zupełnie go wyłączyć i zjechać na luzie.

Kiedy ustał warkot motoru, uderzyła ich nagła cisza, w której słychać było jedynie szum opon na asfalcie i szmer dobrze nasmarowanych łożysk, gdy motocykl coraz szybciej zjeżdżał w dół. Zanim jeszcze zatrzymał się u stóp najwyższego zbocza, zeskoczyli z siodełka, odcoczy-li pojazd na pobocze i ruszyli dalej pieszo.

W milczeniu szli obok siebie szosą. Gdzieś nad wzgórzem na nocnym niebie brzęczał jednosilnikowy samolot. Od autostrady dobiegał stłumiony szum samochodów, nasilając się bądź cichnąc, w zależności od zmieniającego się kierunku wiatru.

Vance przystanął, spojrzął na Suzanne i pocałował ją delikatnie.

- Bez względu na to, co się wydarzy - rzekł - wiedz, że cię kocham.

Stał długą chwilę, wpatrując się w ciemnościach w jej twarz i

rozmyślając, czy nie lepiej byłoby po prostu uciec. Lecz nie potrafił. Trzeba było ratować Kingsbury'ego, a także wyrównać rachunki za Martiniego, Tosiego i innych zamordowanych niewinnych ludzi.

- Chodźmy - powiedziała, wyczuwając jego niezdecydowanie. - Doprowadźmy to do końca.

Ruszyli. Po prawej minęli niewielki podjazd prowadzący pod drzwi kościoła i poszli dalej w górę wzniesienia. Gdy byli już niemal u szczytu, usłyszeli warkot potężnego silnika i wizg opon jakiegoś samochodu, zjeżdżającego szybko ze wzgórza po przeciwnej stronie. Resztę drogi pokonali biegiem.

- Widzę go - zawołał Erikson. - A ty?

- Nie. Ale ten dźwięk zabrzmiał znajomo -jak... -Jak lamborghini Elliotta Kimballa?

- No cóż, w każdym razie jak jakieś lamborghini. Zmarszczył brwi.

- Obawiałem się, że właśnie tak powiesz.

- Naturalnie. We Włoszech jest mnóstwo samochodów tej marki. Przecież tuje produkują.

- Wiem, ale jaka jest szansa przypadkowego napotkania któregoś z nich tutaj po zmroku?

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko do siebie pasuje - mówił dalej podekscytowany. - Kimball pracował dla Bremeńskiej Legacji. Był ich pośrednikiem. Do diabła! Spóźniliśmy się na tę transakcję. Za kilka minut Legacja dostanie papiery Leonarda, a ja stracę wszelkie nadzieje na uwolnienie Kingsbury'ego.

Odwrócił się od niej. Nagle ogarnęło go zwątpienie i zniechęcenie. Nie tylko nie poszczęściło się im, ale wręcz zawiedli na całej linii. Nigdy dotąd nie czuł takiej pustki i beznadziei. Lecz odraza bywa niekiedy potężnym bodźcem i w Eriksonie wezbrało pragnienie zemsty, choćby najmniejszej. Jeżeli pod adresem otrzymanym od staruszka mieszka brat Grzegorz... Poczul narastający gniew i gwałtowny przyływ adrenaliny.

- Zapłacą mi za to - powiedział stanowczo. - Daj mi ten pistolet Tony'ego.

Wręczyła mu go. Dzisiejszego ranka oszczędzała amunicję i w magazynku było jeszcze pięć naboji.

Okружили wierzchołek wzgórza i pobiegli drogą wzdłuż kolumnady. Zbliżywszy się do poszukiwanych drzwi, zwolnili kroku. Nie było tam okien, ale nad progiem widniała smuga światła. Czekali na drodze, skryci w mrocznych cieniach, i nasłuchiwali, czy z wnętrza nie dobiegają jakieś odgłosy, lecz słyszeli tylko swoje oddechy.

Oboje ostrożnie przeszli przez niski murek i w trzech krokach przemierzili portyk. Przywarli plecami do ściany po obu stronach drzwi i znów zaczęli nasłuchiwać. Nadal żadnego dźwięku. Vance podkrał się pod drzwi, uważając, aby ich nie potrącić i nie zdradzić się jakimś hałasem. W prawej ręce trzymał pokrzepiająco ciężki pistolet, z palcem na spuście, i aż korciło go, żeby strzelić do brata Grzegorza.

Ze środka doszedł go jakiś gardłowy dźwięk. Erikson delikatnie oparł się o drzwi, chcąc lepiej usłyszeć, gdy nagle otwarły się lekko.

Odskoczył do tyłu i znów przyłgnął do muru. Jednak w uchylonej szczelinie nikt się nie pojawił. Czekał, usiłując zebrać się na odwagę, by wejść. Napofkał wzrok Suzanne. Uśmiechnęła się. Chryste, pomyślał, ta kobieta ma nerwy komandosa. Odetchnął głęboko i kopnął drzwi, po czym odskoczył i ukrył się, kiedy otworzyły się do środka i walnęły w ścianę. Odczekał chwilę. Wciąż nie słyszał nic prócz stłumionego skomlenia. Suzanne wetknęła rękę w futrynę i szybko ją cofnęła. Nie rozległy się żadne strzały. Popatrzyła na niego z uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

Śmiało przestąpił próg, mając Suzanne tuż za sobą, i ujrzał koszmarny widok. Pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia. Wszędzie leżały porozrzucane martwe ciała. Krwawe ślady na podłodze znaczyły ostatnie poruszenia ofiar. Krew ściekła po nierównej posadzce i utworzyła kałużę w odległym kącie. Mężczyźni nie żyli od zaledwie kilku minut. Wszystkich pocięto jakimś ostrym nożem i poderżnięto im gardła. Na środku pokoju, przywiązany do krzesła i zakneblowany, siedział brat Grzegorz. Był nagi, nie licząc butów i skarpetek. Na jego piersi widniała poszarpana szrama, podobna do tej, jaką Vance widział u Tosiego.

Eriksonowi skojarzyło się to natychmiast z morderstwami

Mansona.

- Jezu Chryste - wyszeptał zdrętwiałymi wargami, gdy już odzyskał głos.

Suzanne odwróciła się na bok i zwymiotowała. Przypomniał jej się Bejrut i potworne, ohydne zbrodnie, do jakich zdolne są istoty ludzkie.

Vance machinalnie wepchnął pistolet do tylnej kieszeni dżinsów i podszedł do brata Grzegorza. Powietrze w pokoju przesiąknięte było wonią śmierci oraz zapachem sekretnych, ukrytych zazwyczaj przed światłem dziennym części ludzkich ciał. Przypomniało mu to Wietnam i pewnie też by zwymiotował, gdyby nie widział tam już setki razy podobnych scen.

Skowyty mnicha nasiliły się. W jego oczach tlił się strach, lecz nie był to strach przed Eriksonem.

- Co... - Vance z trudem dobył głos ze ściśniętego gardła. - Co tu się stało?

Nachylił się nad konającym mężczyzną i rozwiązał szmatę kneblującą mu usta. Za nim Suzanne kasłała i pociągała nosem.

- Kimball - wydyszał Grzegorz, gdy Vance usunął knebel. - On to zrobił. To robota tego łajdaka. - Pochylił głowę, a twarz skurczyła mu się w grymasie bólu. - Przyjechał tu i zabrał... - Znów się skrzywił.

- Papiery?

- Tak, papiery też. Ale zabrał także odtrutkę! - wysyczał z wściekłością, a potem skrzywił go konwulsje.

Vancem owładnęła osobliwa mieszanina współczucia i satysfakcji. Nie pragnął już pomsty na tym bezradnym nagim mężczyźnie. Jednak we wszechświecie musiała być jakaś sprawiedliwość, skoro ten człowiek umierał od wynalazku, którego wcześniej używał do niewolenia innych.

- Zastrzel mnie - odezwał się mnich. - Proszę.

Erikson pojął wówczas, że z oczu Grzegorza wyziera strach przed bólem i śmiercią w męczarniach. Przez moment serce przeniknęła mu niegodziwa, zła radość, której źródło nosi w sobie każdy człowiek. Wyobraził sobie, jak odwraca się i pozwala, by trucizna zebrała swe żniwo.

Suzanne przyglądała się temu z rosnącą obojętnością. Jej umysł usiłował odgrodzić się jakoś od odrażającego dramatu, którego finałowy akt rozgrywał się przed jej oczami. Oparła się o framugę drzwi, żeby nie upaść. Zapra gnęła mieć coś do zrobienia - wówczas odeszłyby ją mdłości.

- Masz wiele powodów, żeby mnie zabić - błagał żałośnie brat Grzegorz. Ból przeszywał mu ciało coraz częstszymi spazmami. - Przecież z pewnością musisz mnie nienawidzić... musisz, musisz! - Łzy napłynęły mu do oczu. - Błagam cię, błagam, na miłość boską - krzyknął -dobij mnie!

- Może to zrobię - odparł Vance. - Zawrę z tobą umowę.

- Czego ode mnie chcesz? Ja nic nie mam. Umieram i chcę jedynie umrzeć szybko!

- Owszem - rzekł Erikson beznamiętnie -jestem pewien, że tego chcesz. Przypuszczam, że widziałeś, jak twoje ofiary konały powoli w mękach, prawda? - Mnich zdołał skinąć głową, nim znów chwyciły go drgawki. - Zrobię, to o co prosisz, jeżeli powiesz mi, dlaczego Kimball urządził tę jatkę.

Grzegorz spojrział na niego z wdzięcznością.

- Dobrze — rzekł skwapliwie.

- Sądziłem, że zawarłeś układ z Bremeńską Legacją. Mielicieście podzielić się władzą. Dlaczego Kimball cię zabił? Czy to był jakiś podstęp?

- Nie... nie, to wcale nie o to chodzi. Kimball dowiedział się, że ma zostać zamordowany... że jego nieudana próba powstrzymania cię była kroplą, która przepełniła czarę.

- I wiedząc, gdzie są przechowywane papiery Leonarda, postanowił uprzedzić Legację i samemu je ukraść -domyślił się Vance. Grzegorz przytaknął.

- Ale dlaczego... - Erikson usiłował znaleźć odpowiednie słowa. - Dlaczego po prostu nie ukraść ich i nie odjechał? Czy to wszystko... - ogarnął gestem ręki pokój - było konieczne?

- On jest niegodziwym człowiekiem - odparł mnich pochylając głowę. - Wykorzystywał każdą okazję, by sponstponować Kościół, ośmieszyć naszą religię. - Oburzenie dodało jego głosowi siły. -



Pragnął, abyśmy przecierpieli męki. Sztydził ze mnie, kiedy zabijał moich braci. Upokorzył mnie, a przez to również naszego Pana i...

Świątoszkowaty do samego końca, pomyślał Vance, gdy mnich ciągnął swą diatrybę. Głośno zaś zapytał:

- Więc wykorzystasz papiery Leonarda, aby wynegocjować powrót do Legacji?

- Nie! Chodzi o coś innego - wysyczał Grzegorz. Oddychał szybko i konwulsyjnie. - Kiedy już zabił moich braci i upokorzył mnie, zaczął się przede mną przechwalać... wiedział, że jestem już martwy. Drwił ze mnie i chwalił się, że odda papiery Rosjanom. „To obróci wniwecz twoje nędzne plany, nieprawdaż?” powiedział, przechadzając się przede mną dumnie.

Vance odruchowo popatrzył w dół na krwawe ślady stóp Kimballa na podłodze. Nawet nie zauważył czerwonych smug na swych białych tenisówkach.

- Powiedział mi: „Rosjanie są dostatecznie mocni, by stawić czoło takim jak ty” ciągnął mnich. - Ten hardy, zadufany człowiek powiedział, że Rosjanie będą mu o wiele bardziej wdzięczni i potraktują go znacznie lepiej niż Bremeńska Legacja. On wiedział... wiedział, jak wiele dla mnie znaczy to, aby wreszcie przywrócić świętość sukcesji

Piotrowej... papieżowi. Wiedział i postarał się, abym w chwili agonii uświadomił sobie, że moje życie było... zupełnie bezsensowne i daremne.

Brat Grzegorz zaniósł się szlochem, przerywanym tylko przez spazmy bólu. Erikson rozwiązał mu ręce, które opadły bezwładnie na kolana.

- Czy zdradził, gdzie ma zamiar przekazać dokumenty Rosjanom? - zapytał.

Mnich spojrzał na niego pustym wzrokiem.

- Dokąd teraz pojechał? - rzucił Vance głośniej.

- Do Pizy - odpowiedział posłusznie Grzegorz. - Ma w tym mieście dom. Odwiedziłem go tam kiedyś. To niedaleko wieży. I właśnie na wieży ma się jutro rano spotkać z tym Rosjaninem. Dwaj turyści, którzy wymieniają się kopertami. Aaaach! - Jego ciało skrzęciło

się konwulsyjnie. -A teraz zabij mnie, proszę, zabij mnie już. Proszę, błagam cię!

Vance wyjął pistolet z tylnej kieszeni.

- Jeszcze jedno pytanie - rzekł.

- Mów szybko.

-Jaką broń można wyprodukować dzięki szkicom Leonarda da Vinci?

Wydawało się, że Grzegorz zbiera wszystkie siły, by raz jeszcze się skupić.

- Same szkice nie mogą posłużyć do wyprodukowania broni.

Podsuwają natomiast nowy sposób spojrzenia na pewną broń, zawierają unikalną koncepcję, która pozwoli naukowcom udoskonalić środek masowej zagłady wykorzystujący wiązkę naładowanych cząsteczek.

Wiązka naładowanych cząsteczek! Czyli słynne promienie śmierci. Ze skąpych informacji dotyczących tej super-tajnej broni, publikowanych na lamach periodyków naukowych, Erikson wiedział, że jest to gigantyczne urządzenie, które przyspiesza wiązkę naładowanych cząstek niemal do prędkości światła, by następnie wypromienio-wać ją w dany cel. Obszar rażony energią przewyższającą nawet wybuch jądrowy zostanie po prostu unicestwiony, zniknie podczas potwornej eksplozji i przekształci się w czystą energię. Ta broń nie powoduje żadnego opadu promieniotwórczego, działa z chirurgiczną precyzją i szybkością światła. Może zamienić w parę wyrzutnie nuklearne z ich głowicami bojowymi, zanim w ogóle zdąży się je odpalić i użyć do zaatakowania miast przeciwnika czy nieprzyjacielskich armii. Ta najdoskonalsza z możliwych ofensywnych i defensywnych broni odeśle uzbrojenie atomowe do muzeów, gdzie przechowuje się łuki i strzały.

Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja od lat usiłują udoskonalić ten rodzaj broni. Jednakże obydwaj kraje zmagają się z tym samym problemem: atmosferą. Wprawdzie skonstruowane już prototypy sprawdzają się doskonale w przestrzeni kosmicznej, lecz całkowicie zawodzą w ziemskiej atmosferze. Poruszające się z olbrzymią prędkością cząsteczki promieniowania, zderzają się z molekułami znajdującymi się w powietrzu i rozpraszają swą energię w

gigantycznych wyładowaniach burzowych o ograniczonej mocy i zasięgu.

- Leonardo rozwiązał kwestię udoskonalenia tej broni w trakcie swych badań nad fenomenem błyskawic - ciągnął mnich. - W zbiorze szkiców zawarł ideę wykorzystania powierzchni ziemi jako olbrzymiej naładowanej elektrody, zdolnej zarówno przyciągać, jak też odpychać wiązki cząstek. Wynałazł dwufazowy strumień cząstek -jego pierwsza część wypala w powietrzu tunel, którym kilka sekund później przemieszcza się druga część. Lecz jego prawdziwy geniusz objawił się w koncepcji uczynienia celu elektrodą. On... - Grzegorz urwał i wydał głęboki, gardłowy okrzyk bólu.

Vance obawiał się, że nie wydobędzie już z niego więcej informacji. Tylko czego jeszcze miałyby się dowiedzieć? Drżącą ręką uniósł rewolwer. Stawką było teraz coś znacznie więcej niż jedynie życie Harrisona Kingsbury'ego. To niewiarygodne, pomyślał, stając za plecami mnicha i przyciskając lufę pistoletu do jego potylicy. Leonardo uczyni wkrótce dla dwudziestego pierwszego wieku to samo, co ponad sto lat temu zrobił dla Kruppa. I wszystko to jest dziełem człowieka, który uważał wojnę za najbardziej bestialskie szaleństwo.

Co pomyślałby da Vinci, gdyby mógł wejść teraz do tego pokoju? zastanawiał się. Czy właśnie tego spodziewał się po rodzaju ludzkim? Brodzenia po kolana we krwi swych współbraci, czynów dokonywanych wyłącznie pod wpływem najniższych impulsów i zwierzęcych instynktów? Czy może znalazłby coś wykraczającego poza tę realność? Czy był artystą dlatego, że potrafił pośród tej odrażającej i krwawej rzeczywistości odnaleźć transcendentne piękno?

Suzanne odwróciła się i zatkała sobie palcami uszy. Co byś pomyślał, Leonardo? Vance zawahał się chwilę, po czym pociągnął za spust.

## *Rozdział 22*

---

Czerwone lamborghini stało zaparkowane dwoma kołami na chodniku wąskiej ulicy tuż przy Piazza Garibaldi, niedaleko Ponte di

Mezzo - środkowego mostu zabytkowej dzielnicy Pizy. Odnalezienie domu nie sprawiło im kłopotu. Znaleźliby go z łatwością nawet bez szczegółowych instrukcji brata Grzegorza.

Wczesnym rankiem znużeni Vance i Suzanne opadli na tylne siedzenie ciasnej taksówki fiat i zaczerwienionymi z niewyspania oczami przyglądali się czerwonemu samochodowi i drzwiom wejściowym domu Kimballa. Fiat stał w pobliżu skupiska pojazdów zaparkowanych bezładnie przed zamkniętymi żaluzjami jakiejś restauracji. Mogli z niego dokładnie obserwować wóz Kimballa i frontowe drzwi, odległe o dwadzieścia metrów. Erikson spojrzął na zegarek: była 6:11. Pomyślał tęsknie, co on i Suzanne robili zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Lecz nim zdołał zanurzyć się w miłych wspomnieniach, osaczyły go obrazy wypadków minionego dnia.

Zabójstwa, pościgi, brutalna masakra w Santuario di San Luca - wszystko to stało mu znów przed oczami. Oderwali wczoraj z motocykla światła policyjne, zamazali brudną ziemią oznakowania i pojechali nim na południe, unikając głównych autostrad i zostawiając za sobą Bolonię i zwłoki brata Grzegorza. Podróżowali wzgórzami w kierunku Florencji, lecz ominęli to wspaniałe renesansowe miasto od zachodu, wybierając drogę przez położone na wzgórzach miasteczka Rioveglio, Vernio oraz tuzin innych skupionych przy drodze osad ze starymi kamiennymi domostwami, których nazw nie było na żadnych mapach.

Około jedenastej wieczorem porzucili motocykl w gęstych zaroślach na obrzeżach Pistoii i weszli do miasta, skąd autobusem pojechali do Empoli, stamtąd zaś pociągiem do Pizy. O 4:39 rano wjechali wreszcie na dworzec centralny. Obudzili śpiącego w samochodzie taksówkarza i uzgodnili opłatę za całodzienny kurs. Do 5:30 odnaleźli mieszkanie Kimballa i przyczaili się przed domem, czekając na jego następny ruch. O świcie piazza i prowadzące do niej ulice zaludniły się. Zjawili się sprzedawcy, by spłukać chodniki przed swymi sklepikami i odebrać towary od dostawców. Robotnicy, wracający z nocnej zmiany w zakładach włókienniczych lub fabrykach szkła, wlekli się powoli do domów, by się trochę przespać. Gdy wstał dzień, pojawiło się jeszcze więcej ludzi, dzięki czemu Suzanne i

Erikson mniej rzucali się w oczy i mogli łatwiej uniknąć przenikliwego wzroku Elliotta Kimballa. Vance potarł dłońmi twarz, potrząsnął głową i zamrugał. Suzanne drzemała oparta o jego ramię. Postanowił jej jeszcze nie budzić. Nie było powodu, by oboje mieli podpuchnięte z niewyspania oczy. Spoglądał na kasztanowe włosy dziewczyny, opadające wdzięczną kaskadą, i z rozkoszą wdychał woń jej ciała. Nigdy dotąd nikogo nie darzył tak głęboką miłością... I nie miał pojęcia, czy oboje pożyją dostatecznie długo, by nacieszyć się tym uczuciem.

\*\*\*

Elliott Kimball przez całą noc przewracał się niespokojnie w pościeli.

O świcie zrezygnował z daremnych prób usnięcia i wyskoczył z łóżka, drżąc z niecierpliwości i nie mogąc się już doczekać nadejścia dnia.

Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? zastanawiał się, wykonując metodycznie ćwiczenia rozciągające, a potem odbył szybko swój poranny zestaw aerobiku, pięćdziesięciu pompek, dwakroć tylu przysiadów i podobnej liczby tuzina innych ćwiczeń. Ból w kroczu zmniejszył się i był już do zniesienia. Drewniana podłoga aż skrzypiała podczas tego energicznego treningu.

Nagi i ociekający potem podszedł do okien i otworzył je na oścież, chłonąc rześkie poranne powietrze.

Dlaczego już dawno się na to nie zdecydowałem? -powiedział głośno. Było przecież jasne, że Bremeńska Le-gacja traktowała go z o wiele mniejszym szacunkiem, niż na to zasługiwał. Przeanalizował wypadki z ostatniego roku, dostrzegając kolejne incydenty, które powinny mu były uświadomić, że jego pozycja słabnie.

Pieprzone wieśniaki! - zaklął. Merriam Larsen doszedł do bogactwa i potęgi nie przez prawo czy urodzenie, lecz ponieważ był użytecznym manipulatorem - współczesnym Machiavellim, który będąc nieocenionym sługą księcia, nie zasługiwał na to, by panować. Cień przebiegł przez twarz jasnowłosego mężczyzny, gdy tak stał przy oknie i wpatrywał się w płynącą ospale rzekę Arno. Było mu wstyd, że

pozwoił, aby Larsen wmanipulował go w ich gierki. Przyzwalając na te ordynarne machinacje, zniżył się do ich poziomu.

- Świnie! - podniósł głos niemal do krzyku.

Lecz zaraz uśmiechnął się na myśl, że ostatecznie jednak przechytrzył Legację. To on zdobył komplet szkiców Leonarda. Miał w rękę wszystkie atuty, a nikt poza nim nie posiadał żadnych wartościowych kart. Wszyscy oni będą musieli z nim pertraktować, tańczyć tak, jak im zagra.

Od momentu wyeliminowania tego świętoszkowatego płaza, Grzegorza, Kimball rozważył z tuzin posunięć, wykorzystujących papiery da Vinciego oraz zgromadzone przez niego samego dossier dotyczące działalności Legacji w celu odzyskania pozycji w tej organizacji i zmuszenia jej członków, by uznali jego zwierzchnictwo.

W końcu jednak doszedł do wniosku, że układanie się z Legacją byłoby poniżej jego godności. Nie zasługiwali, aby nimi rządził. Postanowił, że ich zniszczy. A pomoże mu w tym KGB.

Nie tylko bowiem posiadał klucz do najpotężniejszej na tej planecie technologii militarnej. Nikt lepiej od niego nie poznał także sposobów funkcjonowania największych na świecie międzynarodowych korporacji. Znał większość ich słabych punktów, ich niepohamowaną żądzę korupcji. I nikt poza nim nie miał amunicji, by ich zniszczyć - szczegółowych kartotek i dossier, zawierających dowody zarówno niegodziwych poczynań korporacji, jak i systematycznego korumpowania przywódców państw na całym świecie.

Jeśli te materiały zostaną odpowiednio użyte, mogą zachwiać podstawami zachodniej gospodarki kapitalistycznej i polityki, a tym samym odebrać Zachodowi jedyną przewagę, jaką ma nad komunistycznym rosyjskim imperium. Rosjanie mu w tym pomogą. O, tak! Uśmiechnął się szeroko. Oni docenią jego wielkość.

Poraziła go nagła myśl: takie było jego przeznaczenie. Teraz już to wiedział. Już od pierwszego zamordowanego przez niego człowieka, od pierwszego aktu buntu wobec społeczeństwa, było mu to przeznaczone. Zawsze pragnął uwolnić się od dusznej atmosfery zamożnej anonimowości, roztaczanej wokół niego przez bogatego i

sławnego ojca. Zaczekał na właściwy moment i dobrze go wybrał. Teraz on stanie się sławny i nikt będzie mógł temu zaprzeczyć.

Ten apartament należał w przeszłości do jego ojca i stanowił pamiątkę czasów, gdy stary posiadał w Pizie zakład włókienniczy. Fabrykę dawno sprzedano, ale mieszkanie zostało i pełniło funkcję letniej wakacyjnej siedziby. Jako chłopiec Elliott bywał tu z ojcem i polubił Pizę. Spędzał wówczas wiele godzin na rozmyślaniu, jak mógłby bezkarnie zepchnąć kogoś z Krzywej Wieży.

Nigdy nie udało mu się w pełni zrealizować tego zamysłu, niemniej wiedziony dawnym sentymentem często przyjeżdżał do Pizy - zwłaszcza gdy potrzebował wytchnienia, czasu na zastanowienie lub bezpiecznej kryjówki.

Odwrócił się od okna i poszedł do łazienki, mijając po drodze duży ognioodporny segregator z zamkiem szyfrowym. Skompletowanie jego zawartości zabrało mu wiele lat. Były tu tysiące supertajnych dokumentów, notatek i taśm - wszystkie zdobyte w sekretnej centrali największych światowych korporacji: Bremeńskiej Legacji. Och, jest tam wszystko, pomyślał z satysfakcją. Udane i nieudane zabójstwa; uchylanie się od płacenia podatków; zmowy cenowe; intrygi przeciwko rządowi wszystkim większym oraz większości małych państw całego świata; zanieczyszczanie środowiska dla pomnożenia zysków oraz nieustanne próby zniszczenia kapitalistycznej wolnej konkurencji za pomocą praktyk oligarchicznych. Wszedł do kabiny natryskowej i włączył prysznic. Elliott Kimball zyska nieprzemijającą, wieczną sławę.

\*\*\*

Plama słonecznego światła przesunęła się leniwie z dachów budynków w kolorze ochry i rozlała się na masce fiata. W jej blasku trudno było dostrzec lamborghini, a wręcz nie sposób rozróżnić jakichkolwiek szczegółów w pobliżu wejścia do domu Kimballa, skrytego nadal w cieniu.

Erikson opuścił do połowy brudną szybę taksówki i zamrugał, gdy jaskrawe światło uderzyło go prosto w twarz.

- Widzę go! - powiedziała Suzanne tuż po siódmej.

Vance szybko odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Światło

słońca dotarło już do czerwonego lamborghini i przez moment widział wyraźnie Kimballa wychodzącego z ocienionych frontowych drzwi w wąski oświetlony pas. W rękę trzymał czarną aktówkę. Warkot silnika jego samochodu rozbrzmiał echem w wąskiej uliczce.

Gdy Kimball ruszył ostrożnie w kierunku Piazza Garibaldi, Erikson potrząsnął taksówkarzem, żeby go obudzić. Wyrwany z drzemki kierowca uruchomił silnik fiata. Kimball skręcił w prawo i pojechał na północ, w stronę labiryntu wąskich uliczek. Taksówkarz włączył się do ruchu i podążył za nim.

Vance wyjaśnił mu, że drań jadący czerwonym lamborghini zaproponował jego siostrze małżeństwo, chociaż był już potajemnie żonaty z inną kobietą.

Kierowca okazał żywiołowość chęć pomocy Eriksonowi i jego drugiej siostrze w ocaleniu czci ich naiwnej młodszej siostrzyczki. Afery miłosne poruszają Włochów bardziej niż jakichkolwiek innych ludzi na świecie, a ten człowiek był zachwycony, że ma okazję uczestniczyć w jednej z nich. Och, z jaką rozkoszą po powrocie do domu opowie o tym swej żonie Annie. Poza tym, tych dwoje nieznanym dobrze mu zapłaciło. I pomyśleć tylko, że przebyli długą drogę z Ameryki wyłącznie po to, by ochronić swą siostrę.

Przy Piazza Donato Kimball zjechał w lewo, a potem jeszcze raz skręcił w lewo na Piazza Cavalieri, kierując się ku Duomo i Krzywej Wieży. Jechał wolno i fiat nadążał za nim bez trudu. Kimball najwyraźniej nie troszczył się, czy ktoś go śledzi.

Taksówkarz podążył za nim przez Via Santa Maria. Kimball wjechał na Piazza Duomo, zatrzymał się na chwilę, po czym skręcił w prawo i zaparkował na Piazza Archi-vescovado. Vance polecił kierowcy, by stanął na postoju taksówek po lewej.

Elliott Kimball wysiadł i z czarną aktówką w ręce poszedł zwawym krokiem w stronę wieży. Właściciele wypełniających plac kiosków z pamiątkami gawędzili ze sobą, przygotowując się na najazd turystów, który rozpocznie się za godzinę. Wieżę otwierano o ósmej, a już pół godziny później utworzy się kolejka zwiedzających.

- Zaczekaj tutaj - polecił Erikson taksówkarzowi. - Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.



Kimball zszedł już po schodkach prowadzących do furty Krzywej Wieży i zniknął im z oczu. Oboje z Suzanne puścili się za nim klusem.

W pół minuty pokonali stumetrowy dystans. Taksówkarz obserwował zdumiony, jak ich sylwetki maleją w mu oczach, by w końcu zniknąć na schodach wiodących do wieży. Czuł się coraz bardziej niepewnie. Wysoki blondyn z teczką wyglądał na człowieka niesympatycznego, czy wręcz groźnego. Taksówkarz nie przetrwałby trzydziestu lat pracy, gdyby nie rozwinął w sobie wycucia ludzi i zmysłu ostrzegającego go o niebezpieczeństwie. Rozważył pomysł wezwania policji przez swe radio, lecz po krótkim namyśle zrezygnował z tego. Jednak na wszelki wypadek zostawił silnik na chodzie.

U stóp krótkiego ciągu schodków, przy wejściu do wieży, Vance zawahał się z lękiem. Suzanne przystanęła za jego plecami. Ze środka dobiegły dwa głosy, potem zaś zapadła cisza. Vance popatrzył na chropowate drewniane wrota z ciężkimi żelaznymi zawiasami i okuciami. Odetchnął głęboko i chwycił za klamkę. Były zamknięte.

Zastukał nerwowo. Usłyszeli szuranie kroków, a potem szczęk wewnętrznej zasuw. Drzwi uchyliły się nieco i w szczelinie ukazała się głowa jakiegoś starego mężczyzny.

Dzień dob... - zaczął i raptem przyjazny wyraz jego twarzy ustąpił miejsca przerażeniu. Najwidoczniej spodziewał się kogoś innego. Spróbował zatrasnąć drzwi, lecz Erikson zrobił krok naprzód i wcisnął się w nie. -Przepraszam, ale jest jeszcze zamknięte, signore - zaprotestował stary. - Proszę przyjść później.

Ale przecież przed chwilą wpuścił pan jakiegoś człowieka.

-Ach, jego. On... tu pracuje.

- To dobrze - rzekł Vance otwierając szeroko drzwi – bo przyjechaliśmy ubić z nim pewien interesik. – Wyszarpnął z tylnej kieszeni dzinsów pistolet i wycelował go w twarz mężczyzny. - Nie próbuj nawet pisać, przyjacielu.

Stary popatrzył mu w oczy i postanowił się nie sprzeciwiać. Później zaryzykuje wraz z wysokim blondynem i jego rosyjskimi towarzyszami. Skinął głową.

- To rozsądne z twojej strony - powiedział Erikson. - Wracaj do

swego biurka. Szybko, ruszaj się! - Poszedł za nim i sprawdził, czy nie ma tam jakiejś broni. W tym czasie Suzanne zamknęła i zaryglowała drzwi. - A teraz zdejmij z siebie wszystko.

Oczy starego człowieka rozszerzyły się.

- Tak jest - potwierdził Vance, widząc jego zdziwienie.

- Ale możesz usiąść... ona nie będzie patrzeć.

Mężczyzna usłuchał niechętnie. Vance pozbiierał jego ubranie, ułożył je w stos na środku pokoju i podpalił zapałką z pudełka znalezionego w kieszeni spodni. Starzec przyglądał się temu wzrokiem, w którym gniew mieszał się z zakłopotaniem i krańcowym niedowierzaniem. Osłupiał jeszcze bardziej, gdy Erikson wręczył mu pięćdziesiąt tysięcy lirów.

- Gdy będzie już po wszystkim, staruszkule, kup sobie nowe rzeczy - powiedział, po czym odwrócił się z uśmiechem do Suzanne. - Myślę, że teraz nie sprawi nam już kłopotu. To niewiarygodne, jak potulni stają się ludzie, kiedy zabierze się im ubranie.

Zrobił krok w kierunku okrągłej klatki schodowej, lecz zawrócił szybko do Suzanne i podał jej rewolwer.

- Prawdopodobnie przyda ci się bardziej niż mnie - rzekł, i nie zważając na ponure spojrzenie nagiego chudego starca, kryjącego się za biurkiem, ruszył po schodach na górę.

Wąskie stopnie prowadziły wzwyż nierówną spiralą na wysokość pięćdziesięciu siedmiu metrów. Pokonywał je po dwa na raz, przystając na każdym podejściu i nasłuchując. Na czwartym dobiegł go z góry odgłos kroków. Jednocześnie Kimball również usłyszał kroki Eriksona.

- Michaił? - zawołał w głąb spiralnej klatki schodowej.

- Wcześniej przyszedłeś. - Mówił po rosyjsku i Vance go nie rozumiał. Nagle zapadła cisza, gdy Elliott nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Vance stał i nasłuchiwał, czy tamten się poruszy. Słyszał jednak tylko dudnienie krwi w uszach oraz ożywione okrzyki i powitania ludzi daleko w dole.

Kimball wciąż się nie ruszał. Zniecierpliwiony Erikson podjął wspinaczkę po schodach.

Na piątym podejściu zobaczył jedynie oświetlony jaskrawymi promieniami słońca portyk, wychodzący na łodzie. Gdzie jest Kimball? Podszedł bliżej i rozejrzał się w obie strony.

Skonsternowany wyszedł na taras - ostatni przed szczytem. Już kiedy był tu w czasach studenckich, zdumiał go brak jakichkolwiek barier. Zastanawiał się wówczas, ilu ludzi przypłaciło to życiem.

Teraz zaś zdał sobie sprawę, że trzęsie się ze strachu na tym wysokim, niczym nie zabezpieczonym wierzchołku wieży. Obszedł łodzie, starając się trzymać możliwie jak najbliżej ściany.

Był tak skupiony na swym łęku wysokości, że nie usłyszał w porę Kimballa. Kiedy się odwrócił, zobaczył że tamten już na niego naciera.

- Kimball! - zdążył jedynie zawołać, nim ten potężny mężczyzna, wyższy od niego o dziesięć centymetrów i cięższy o prawie dziesięć kilogramów, znalazł się tuż przy nim.

\*\*\*

To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, pomyślał radośnie Kimball. Jedyna rzecz, której dotąd nie dopełnił, to zabicie tego chłystka Vance'a Eriksona. Bogowie mi dziś sprzyjają, przemknęło mu przez głowę, gdy rzucił się na niego.

Pierwszy cios wysokiego blondyna trafił Eriksona w bok głowy i obalił go na wąski pomost. Vance otworzył oczy i zamiast kamiennych płyt tarasu zobaczył daleko w dole trawę, błyszczącą jeszcze od porannej rosy. Spróbował od-toczyć się do tyłu, gdy raptem jego przeciwnik złapał go za nogi i powlókł ku krawędzi platformy. Vance uchwycił się podstawy jednej z kolumn łodzie i zaczął wierzgać. Pierwszy kopniak wylądował na twarzy jasnowłosego mężczyzny, a drugi trafił go brzuch. Kimball jęknął i rozluźnił chwyt. Vance odturlał się w bezpieczne miejsce i wstał chwiejnie, obserwując jak napastnik rozmasowuje splot słoneczny z purpurową twarzą zastygłą w grymasie wściekłości.

- Miałeś po prostu szczęście, Erikson, że mnie tam trafiłeś - rzucił gniewnie Kimball, podchodząc do niego powoli. - Ale drugi raz już ci się nie uda.

Raptem zaatakował z oszalamiającą szybkością człowieka trenującego sztuki walki i zwinnością drapieżnika dopadającego swej

ofiary. Lekko pochylony, zadawał uderzenia rękami i nogami. Vance pożałował nagle, że nie wziął rewolweru.

Cudem zdołał uniknąć pierwszego ciosu i sparować drugi, lecz następne mocne kopnięcie trafiło go celnie.

Zgiął się w pół i skulił, daremnie usiłując uchronić się przed razami, wymierzanymi umiejętnie przez wytrawnego mordercę. Kimball przestudiował sztukę zabijania równie dogłębnie, jak Vance dorobek Leonarda, i nie było wątpliwości, który z nich zwycięży. W przeciwieństwie do rugby, ta gra nie miała żadnych reguł.

Kimball używał rąk i nóg niczym maczug. Po twarzy z wysiłku ściekał mu pot. Uśmiechał się jednak, gdyż rozbijanie przeciwnika na krwawą miazgę sprawiało mu niemal erotyczną rozkosz. Wreszcie przestał masakrować Eriksona, odstał do tyłu i przyglądał się, jak jego ofiara z trudem usiłuje się podnieść.

Oślepiony krwią zalewającą mu oczy, Vance poczuł, że ciosy ustały. Dźwignął się na ręce i kolana, lecz gdy spróbował wstać, ponownie upadł. Za bardzo kręciło mu się w głowie, by mógł utrzymać się na nogach. Dlaczego Kimball przerwał? Pełzał na oślep, dopóki nie uderzył w filar. Zagryzając zęby z bólu, przywarł do niego i podciągnął się w górę. Po chwili stanął, obejmując kamienną kolumnę i zaciskając mocno powieki, by krew nie dostała mu się do oczu. Poczuł, że wracają mu siły. Był w dobrej formie i mógł odzyskać energię po otrzymanych razach. Jeśli Kimball odejdzie, spekulował z wciąż zamkniętymi oczami, zdołam zejść po schodach na dół.

Otworzył oczy. Widok wysokości, na jakiej się znajdował, przyprawił go o jeszcze większy zawrót głowy. Ostrożnie uniośł rękę i wytarł krew, która przesłaniała mu wzrok. Kimball uśmiechnął się do niego i rzekł przyjaźnie:

- Bałem się że spadniesz. Nie chciałem, żebyś pozbawił mnie tej największej przyjemności.

Zrobił krok w kierunku Eriksona, wciąż uśmiechając się szeroko.

Niczym na zwolnionym filmie Vance zobaczył, jak noga Kimballa zakreśla łuk wymierzony ku niemu. Trzymając się kurczowo filara obiema rękami, spróbował uniknąć kopnięcia w jedyny sposób, jaki mu pozostał: wychylając się poza krawędź wieży. Cios Kimballa

nie doszedł celu, lecz Vance wpadł z deszczu niemal dosłownie pod rynnę. Poczuł, że jego nogi zwisają już nad przepaścią, a dłonie ześlizgują się z kolumny.

Czy właśnie tak ma się to wszystko skończyć? Pot spływał mu po twarzy, mieszając się z krwią. Czy będzie bardzo cierpiał? Zastanawiał się, czy zginie na miejscu, czy też skona w długich męczarniach. Usłyszał swój własny krzyk. Wydał mu się obcy, jakby wydobywał się z gardła kogoś innego. Lecz ten krzyk nagle się urwał. Ciało Vance'a rąbnęło o bok kamiennej wieży. Wczepił się kurczowo w filar. Nogi dyndały mu nad przepaścią, a w dłoniach poczuł ostry przenikliwy ból, gdy Kimball zaczął walić w nie pięściami.

Po każdym uderzeniu krzyczał z bólu i coraz słabiej trzymał się kolumny. Wreszcie, nie mogąc już znieść uderzeń o kamienną ścianę i ciosów twardych pięści, puścił ją.

- Zdejmuj wszystko - rozkazała Suzanne twardym, rzeczowym tonem. - Skarpetki, slipy... wszystko!

Flegmatyczny agent KGB o mocnej szczęce, ubrany w źle uszyty garnitur, był bardziej nieszczęśliwy z powodu konieczności rozdzielania się do naga przed kobietą, niż przez to, że mierzy ona do niego z rewolweru. Do Michaiła w ciągu jego życia wiele razy celowano z pistoletu, robiły to także kobiety, natomiast to było dla niego czymś nowym. Płonąc ze wstydu, ściągnął ze swych tłustych bioder tanie bawełniane slipy.

- Rzuć je tam, gdzie reszta - poleciała, a on potulnie usłuchał.

Ściskając w jednym ręku pistolet, potarła zapałkę o kamienną podłogę i przytknęła ją do kupki nędznej rosyjskiej odzieży. Nie zamierzała zapłacić za nią temu mężczyźnie. Niech zrobi to Matuszka Rosja.

Gdy się wyprostowała i odsunęła od tego małego stosu ofiarnego, usłyszała krzyk Vance'a. Zapominając o swych nagich podopiecznych, wybiegła na zewnątrz, w stronę, z której dochodził. Stanąwszy przy północnej ścianie wieży spojrzała w górę i zobaczyła z przerażeniem Vance'a wiszącego nad krawędzią i bezradnie przebierającego nogami, zaś nad nim pochyloną groźnie wysoką sylwetkę Elliot-ta Kimballa. Spróbowała wymierzyć do niego z pistoletu, lecz jasnowłosy

mężczyzna cofnął się szybko znad skraju wieży. Chwilę później ujrzała, że Vance zaczął spadać.

Krzywa Wieża w Pizie pochyla się na południe. I chociaż jej pogłębiający się przechył został w końcu powstrzymany dzięki serii heroicznym operacji inżynierskich, przedmiot zrzucony ze szczytu spadnie na ziemię 4,3 metra od jej podstawy. Wieża ma sześć pięter. Od strony południowej każde wystaje mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów dalej niż poprzednie. I na odwrót, po stronie północnej każde kolejne jest cofnięte o około sześćdziesiąt centymetrów.

Gdy Vance spadł, Suzanne zamarła, tracąc oddech. Jednak już po kilkunastu centymetrach trafił stopami na występ ozdobnego kapitelu na szczycie kolumny bezpośrednio pod nim. Byłby to tylko nieznaczący epizod w trakcie lotu w dół, zakończony rąbnięciem o ziemię, gdyby korzystna dla niego krzywizna wieży nie pozwoliła mu oprzeć się o ścianę i przylgnąć do niej - co nie byłoby możliwe po żadnej innej stronie budowli.

Pomimo iż cały się trząsał, zdołał stanąć nieco pewniej, opierając przednią część obu stóp na wystającym fragmencie głowicy kolumny. Przywierając mocno do kamienia poczuł, że wspomaga go w tym siła grawitacji, dociskająca go lekko do pochylej ściany. Ogarnęła go ulga. Przeżył. Na razie.

Kimball znów pojawił się na skraju tarasu, chcąc przyjrzeć się swemu dziełu. Lecz zamiast widoku leżącego na ziemi ciała Vance'a Eriksona, zmasakrowanego i zmiażdżonego, zobaczył pomniejszoną wskutek odległości sylwetkę kobiety, stojącej pewnie na rozstawionych nogach. Skonsternowany, uchwycił się mocno kolumny i wychylił bardziej, szukając przeciwnika. Mina mu zrzędła, gdy dostrzegł go tuż pod sobą, przycupniętego na wąskim kamiennym występie. Gdyby nie walczyli akurat po tej stronie, gdyby Erikson wypadł na zewnątrz, a nie ześlizgnął się po murze, byłby już martwy. Ogarnęło go oburzenie. Jak to się mogło stać? W oszołomieniu zapomniał o kobiecie na dole, lecz raptem coś poruszyło jego wytrenowany umysł zabójcy. Rzadko traktował kobiety jako zagrożenie, ale kiedy obejrzał się na nią, ujrzał błysk i ledwo widoczną smugę dymu u wylotu lufy czegoś, co niewątpliwie było pistoletem. Odruchowo uchylił się.

Poczuł płonący ból w prawym udzie i noga ugięła się pod nim. Oszołomiony, przycisnął prawą ręką ranę, przenosząc jednocześnie ciężar ciała na lewą nogę. Wskutek tego manewru stracił jednak tylko równowagę. Usłyszał ostry huk następnego strzału i druga kula przeorała jego ciało i rozszarpała zwoje nerwowe w krzyżu. Mięśnie lekko ugiętej lewej nogi odruchowo napięły się, a potem rozluźniły, w reakcji na chaos sprzecznych impulsów z uszkodzonych nerwów. To potężne szarpnięcie w nodze sprawiło, że puścił się rękami kolumny i wypadł szerokim łukiem w przepaść nad głową Vance'a.

Dzięki Ci, Boże, za lekcje na strzelnicy, pomyślała Suzanne. Zobaczyła na twarzy Kimballa wyraz zdumienia, kiedy pierwszy pocisk trafił go w wewnętrzną część prawego uda. Z rany natychmiast trysnęła fontanna krwi. Widocznie kula rozerwała arterię udową.

Widziała, jak druga wbiła mu się w krzyż, kiedy próbował odwrócić się i uskoczyć. Jej trzeci i czwarty strzał chybiły celu. Lecz dwa pierwsze wystarczyły. Opuściła bezwładnie pistolet i patrzyła, jak wysoki jasnowłosy mężczyzna runął do tyłu głową w dół z najwyższego poziomu wieży.

Wypadł tak daleko poza krawędź, że przeleciał trzy piętra, zanim uderzył o pochyłą ścianę.

- Nieceee! - wrzasnął Kimball. - Nie mogą mi tego zrobić! Ja muszę żyć! - krzyczał, a niebo i ziemia wirowały szaleńczo wokół jego głowy jak zwariowana karuzela. Gdy spadał, krew z rozciętej arterii w nodze rozpryskiwała się w powietrzu i plamiła marmur wieży. Ostatnią myślą Elliotta Kimballa, zanim jego głowa roztrzaskała się o marmurową półkę trzeciego piętra, była upokarzająca świadomość, że został pokonany przez amatora oraz kobietę.

Suzanne wbiegła do środka. Musiała dotrzeć do Vance'a. Usłyszała zaniepokojone krzyki, a kątem oka dostrzegła ludzi biegnących w kierunku wieży.

Wewnątrz znalazła zwoje lin, używanych do ustawiania ludzi w szeregu, kiedy napływ turystów był wyjątkowo duży. Rozpięta metalowe klamry na obydwu końcach siedmiometrowego sznura, zwinęła go i pognęła po schodach na górę.

Eriksona zaczęła już boleć mięśnie łydek, gdy tak stał na

ozdobnej koronie kolumny, opierając się jedynie na palcach nóg. Spojrzał w górę na filary oddalone zaledwie o metr od jego dłoni. Gdyby tylko mógł dosięgnąć do nich i podciągnąć się wyżej. Czuł, że odzyskał siłę w ramionach i całym ciele - i tylko skurcze łydek przypominały mu, jak bardzo został poturbowany przez Kimballa.

- Vance!

Popatrzył w górę i ujrzał stojącą nad nim Suzanne. Wyglądała jak anioł.

- Wytrzymaj jeszcze kilka sekund - powiedziała, spoglądając z niepokojem na jego zakrwawioną twarz. Nie wiedziała, czy to jego krew, czy może Kimballa.

Błyskawicznie okręciła linę kilka razy wokół filara i rzuciła jeden koniec Vance'owi, sama zaś mocno chwyciła drugi. Tarcie liny pozwoli jej bezpiecznie opuścić go na niższy poziom.

Erikson owinął sobie linę wokół bioder i zawiązał węzeł. Z ulgi mrowiło go w policzkach. Nigdyjeszcze nie czuł się tak dobrze.

Podciągnął się nieco w górę, aby Suzanne mogła wypróbować swój system asekuracji, a potem śmiało zszedł z występu.

Kiedy stanął bezpiecznie na platformie poniżej, dziewczyna upuściła swój koniec liny i zbiegła do niego po schodach. W połowie drogi potknęła się o czarną tezkę Kimballa. Podniosła ją i pobiegła do Vance'a.

- Myślałam, że to już koniec - zawołała i wtuliła twarz w jego pierś.

-Ja też - odrzekł przygarniając ją. -Ja też. Uniosła głowę i popatrzyła na niego oczami pełnymi łez radości.

- Och! - wykrzyknęła z przestachem. - Twoja twarz. Wygląda jak...

- Założę się, że jak hamburger - powiedział, badając ją ostrożnie czubkami palców. - Ale za parę tygodni się zagoi.

Suzanne przyjrzała mu się uważniej. Chociaż był zakrwawiony i porozbijany, odnalazła w jego błękitnych jak tropikalne morze oczach ten sam znajomy błysk.

- Tak bardzo cię kocham! - rzekła.

- I ja cię kocham - odparł, po czym dodał: - Ale lepiej się stąd



wynieśmy, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się, powracając do rzeczywistości. Ruszyli do schodów, lecz raptem Suzanne zatrzymała się i schyliła po leżącą na podłodze tarasu aktówkę, o której z radości zapomniała. - Być może cię to zainteresuje.

Wziął teczkę i drżącymi palcami otworzył zamki. Przyjrzał się jednemu arkuszowi, potem następnym. Były to niewątpliwie od dawna poszukiwane przez nich szkice Leonarda.

- Są tutaj - rzekł z radosnym uniesieniem. - Wszystkie.

- Zdobyliśmy je?

- Tak. A teraz - dodał zatraskując aktówkę i oddając ją Suzanne - zabierajmy się stąd. - Gdzieś w oddali usłyszeli zawodzenie policyjnych syren.

W poczekalni na dole dwaj nadzy mężczyźni powstrzymywali tłum gapiów.

- Dobra robota, panowie - odezwał się z uśmiechem Vance. Obydwaj odwrócili się szybko z ponurymi minami.

- Świetnie sobie radzicie. My już wychodzimy.

Otworzył drzwi i dał nura w niewielką, mniej więcej dwudziestoosobową grupkę ludzi, torując drogę dla Suzanne. Po ich prawej stronie znacznie większy tłum skupił się wokół ciała Elliotta Kimballa.

Na widok twarzy Eriksona, przypominającej groteskową maskę, przestraszeni ludzie rozstępowali się przed nimi. Wydostawszy się ze ścisku oboje przystanęli, by zorientować się w sytuacji. Raptem drogę zastąpiło im dwóch wysokich mężczyzn.

- My weźmiemy tę teczkę, panno Storm – powiedział po angielsku jeden z nich. Miał nijaką twarz podrzednego księgowego i wyglądałby zupełnie niegroźnie, gdyby nie nieokreślony podły gadzi błysk w oczach oraz rewolwer magnum. 357 w dłoni. Jego krepy towarzysz o kwadratowej szczęce, noszący odbłaskowe okulary, również trzymał w ręku magnum.

Vance poczuł, jak ogarnia go rozpacz i znużenie. Tego było już za wiele, za wiele...

- Powiedziałem, żebyś oddała mi teczkę – powtórzył księgowy.

Zawahała się. Mężczyzna odbezpieczył rewolwer.

- Nie chcę cię zabić... a przynajmniej nie tutaj – dodał z uśmiechem. - Ale zrobię to, jeżeli mnie nie usłuchasz.

Chciała krzyknąć. Spojrzała na Vance'a. Kiwnął głową. Bez słowa rzuciła tamtemu teczkę pod nogi. Krępy mężczyzna cofnął się o krok, żeby ubezpieczać swego partnera, który szybko ją podniósł. Policyjne syreny były coraz głośniejsze.

- Chodźmy! - rzucił księgowy wskazując lufą rewolweru placyk. Erikson spostrzegł, że ich taksówka odjechała. Na jej miejscu stała limuzyna mercedes. Nie pozostało im nic innego, jak tylko usłuchać albo zginąć. Pobiegli więc oboje truchtem w stronę samochodu, mając tamtych tuż. za sobą.

Gdy zbliżyli się do limuzyny, jej kierowca wyskoczył i otworzył drzwi dla pasażerów. Nakazano im gestem, żeby usiedli z tyłu. Na plac wpadły z wyciem syren dwa policyjne radiowozy i karetka.

Przestraszony krępy strażnik wepchnął ich na tylne siedzenie, po czym również wszedł. Księgowy za trzasnął za nim drzwi i wskoczył na fotel obok kierowcy. Sa mochód wystrzelił do przodu i ruszył szybko na zachód.

Przyspieszenie potężnego silnika wcisnęło oboje w oparcie. Nagle Vance zmarszczył brwi. Zobaczył obok siebie Harrisona Kingsbury'ego. Jego szef otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili limuzyna skręciła gwałtownie w prawo i przez Via Piestrasantina pojechała jeszcze szybciej na północny wschód, w kierunku autostrady A1 2.

Strażnicy ostrym tonem wymienili między sobą jakieś uwagi, a potem zamilkli i obserwowali swych podopiecznych. Księgowy na przednim siedzeniu obok kierowcy wycelował rewolwer w Eriksona, siedzącego z tyłu za nim. Pomędzy Vancem a księgowym na wysuwany krześle siedział wytworny mężczyzna w prążkowanym garniturze, na drugim zaś, bezpośrednio za kierowcą przycupnął krępy strażnik, trzymając ostrożnie rewolwer i przebiegając wzrokiem po twarzach więźniów. Naprzeciw niego, z tyłu po lewej stronie siedział Harrison Kingsbury, a między nim i Eriksonem znajdowała się Suzanne.

Gdy wzrok przyzwyczał mu się do półmroku, Vance rozpoznał w dystyngowanym mężczyźnie Merriama Larsena - prezesa concernu naftowego, członka Bremeńskiej Legacji i długoletniego przeciwnika Kingsbury'ego. Zauważył, że strażnicy odnoszą się do niego z wielką atencją i ulokowali się tak, aby go chronić.

- Dzień dobry - przerwał milczenie Larsen, podczas gdy limuzyna błyskawicznie wyprzedzała kolejne samochody. - Przeżył pan bardzo interesujący poranek... a w istocie całą serię niezwyklej dni.

Wziął od księgowego aktówkę, położył na kolanach i otworzył.

- Wprawdzie muszę przyznać, że sprawił nam pan sporo kłopotów - ciągnął. Włączył górną lampkę, wyjął z teczki jeden arkusz, przejrzał go pobieżnie i uśmiechnął się lekko. - Lecz dziś rano wyświadczył pan nam niemałą przysługę. - Zerknął raz jeszcze na kartkę i schował ją z powrotem do teczki. - Straciliśmy pana Kimballa z oczu i obawialiśmy się, że nie tylko ujdzie sprawiedliwej kary, jaką dla niego przygotowaliśmy, lecz może też użyć pochopnie tych cennych dokumentów.

Erikson poprawił się w fotelu. Księgowy natychmiast uniósł pistolet.

Spokojnie, rewolwerowcu - powiedział Vance. -Chciałem tylko wygodnie usiąść i poczuć się trochę swobodniej. Chociaż przy tobie i twoim kumplu to nie takie łatwe.

Widzę, że jest pan w świetnym humorze - rzucił z uśmiechem Larsen.

Kingsbury poruszył się, a Vance zauważył z niepokojem, że przysadzisty strażnik odruchowo uniósł broń.

- Spokojnie, synu, spokojnie - odezwał się Harrison starym głosem, jakiego Erikson nigdy dotąd u niego nie słyszał. Popatrzył z troską na swego szefa, jakby chciał zapytać: „Co oni z panem zrobili?” Jednak gdy Kingsbury odwzajemnił jego spojrzenie, w oczach błyszczał mu ten sam spryt i energia, co zawsze. Co tu się dzieje? zastana

wiał się Vance. -Jestem tylko starym człowiekiem – mówił dalej Harrison do strażnika - i próbowałem usadowić się wygodniej. Wszystkie te ciasne siedzenia źle wpływają na mój artretyzm. Stałem

się po prostu wygodniej usiąść.

Artretyzm? Kingsbury nigdy nie cierpiał na artretyzm. Vance był tak zaskoczony, że nie dosłyszał ostatniego zdania Larsena.

- Powiedziałem - powtórzył tamten - że jestem skłonny zaoferować panu stanowisko w Legacji. Panu i obecnej tu pannie Storm.

- Proponuje mi pan pracę? - spytał osłupiały Vance. - Ale dlaczego... dlaczego miałby pan nas potrzebować?

- Ponieważ jest pan dobry, oto dlaczego – odparł zwięźle Larsen. - Osiągnął pan coś, czego nie zdołało dopiąć CIA ani wszystkie siły Legacji.

- CIA? - powtórzył jak echo Vance.

Suzanne przeczuwała, co teraz usłyszy. To był jeden z powodów, dla których opuściła Firmę.

- Z pewnością pan wie, Erikson, że CIA często dla nas pracuje - powiedział Merriam Larsen. - Mamy... jakby to ująć... wiele wspólnych celów. W dodatku dżentelmeni z Firmy posiadają dość rozumu, by pojąć, że to my, Legacja, a nie rząd Stanów Zjednoczonych, jesteśmy przyszłością świata. Najinteligentniejsi spośród kierownictwa i pracowników CIA związali się z nami. Choć muszę przyznać - ciągnął - że czasami mnie rozczarowują. Poleciliśmy im odnaleźć Elliotta Kimballa, a oni zawiedli.

Vance zauważył kątem oka, że Kingsbury znów zmienił pozycję. Tym razem krępy strażnik nie zareagował.

Pan zaś znalazł Kimballa, odszukał jego mieszkanie -mówił Larsen takim tonem, jakby opowiadał dziecku nieznaną bajkę. - I odzyskał te dokumenty.

- Ale wy nas odnaleźliście - przypomniał mu Erikson.

- Tak, na całe szczęście. I zapewne zastanawia się pan, w jaki sposób.

Larsen tak upajał się swoją przemową, że nie zauważył, iż Kingsbury znów poruszył się w fotelu. Ani tego, że za każdym razem przysuwał się coraz bliżej do krępego strażnika.

- No cóż, to całkiem proste - ciągnął. - Jedyną rzeczą, jaką CIA wykonała dobrze, była stała obserwacja byłych współpracowników

Kimballa, do których mógłby się praw dopodobnie zwrócić po opuszczeniu Legacji. Tak się złożyło, że jednym z nich był pewien skromny major KGB, stacjonujący w Pizie.

- Michaił...

- Aleksandrowicz - dokończył. - Tak, zgadza się. Dokładniejsza inwigilacja ujawniła, że może on spotkać się dziś rano z Kimballem. Pojechaliśmy za nim. Lecz oczywiście zanim tu dotarliśmy, pan, ryzykując życiem, wykonał za nas całą robotę.

- Dlaczego pan sądzi, że Suzanne i ja moglibyśmy zgodzić się dla was pracować?

- Chodzi o życie. Wasze i pana Kingsbury'ego. Walczyliście dziś tak ciężko, by je ocalić... dzisiaj i w ciągu minionych tygodni. Zabijaliście, kradliście i oszukiwaliście, żeby tylko pozostać przy życiu. Biorąc to pod uwagę, nie wydaje mi się, że pozwolicie Rudiemu... - spojrzął na krępego strażnika - czy siedzącemu za mną Stevenowi, by zakończyli to wszystko jedną kulką. Mam rację?

- Myślę, że nie rozumie pan ludzi - odparł gniewnie Vance. - Nie sądzę, by pojmował pan, co to jest godność i wolność. Ludzie umierają, walcząc o swoją godność. Nie uważam, że warto za wszelką cenę czepiać się życia bez...

- Och, daj pan spokój, Erikson. Godność? Myślisz, że kim ja jestem, jakimś wojakiem, mięsem armatnim gotowym dać się posiekać na psie konserwy? Nikt już dzisiaj nie umiera za godność. Ludzie chcą tylko żyć i posiadać rzeczy. Jeśli napelnisz im brzuchy i dasz dach nad głową, nowy błyszczący samochód, chleb oraz igrzyska w telewizji, nie będą się troszczyć o godność.

- Czy właśnie tak postrzega pan ludzi?

- Oczywiście - odrzekł Larsen. - Popatrz na upokorzenia, jakie gotowi są znosić ludzie wsadzani do ponizająco ciasnych klitek, kiedy pracują w jakimś koncernie. Robią to, ponieważ im płacimy. Wiedzą, że jeśli się sprzeciwią, zostaną wylani z pracy. W koncernie nie można tolerować zamętu, a właśnie do tego prowadzi tak zwana godność. Ludzi trzeba pozbawić godności, zanim zaczną dla nas pracować, i wierz mi, to się udaje. Więc nie opowiadaj mi tu o godności. Tak jak wszyscy inni na świecie, ty też zrobisz wszystko żeby...

Urwał, gdyż jakaś postać skoczyła nagle naprzód w ciasnym wnętrzu limuzyny. To Kingsbury rzucił się na Rudiego. Na tylnym siedzeniu rozległ się strzał. Kingsbury zeszytywniał, ale nie wypuścił rewolweru krępego strażnika.

Erikson skoczył mu na pomoc. Larsen padł na podłogę i zasłonił głowę rękami, umożliwiając w ten sposób księgowemu na przednim siedzeniu strzelenie Vance'owi w plecy. Lecz Suzanne rzuciła się naprzód po ciele Larsena i uderzeniem w nadgarstek podbiła strzelcowi rękę. Pocisk trafił nieszkodliwie w dach samochodu. Dziewczyna chwyciła obiema rękami przegub Stevena i rąbnęła nim o na wpół otwarte przepierzenie z pleksiglasu za głową kierowcy. Kolejna kula wbiła się w sufit.

Vance uderzył Rudiego pięścią w nos i usłyszał trzask pękającej kości, a po ułamku sekundy płonący ból przeszył jego zranioną rękę. Wykorzystał fakt, że Kingsbury zdołał unieruchomić ramiona strażnika, i zaczął okładać go po twarzy i głowie.

Ale Rudi był osiłkiem, a chwyt Kingsbury'ego słabł z każdą chwilą. Strażnik stęknął gardłowo i odepchnął starego mężczyznę. Erikson zastąpił go, złapał Rudiego za rękę z rewolwerem i trzasnął nią o szybę, lecz tamten mimo to nie wypuścił broni.

Suzanne znów zaatakowała Stevena, orząc paznokciami do krwi jego głowę i twarz. Przeciwnik wycelował w nią broń, lecz zdołała jakoś odsunąć ją od siebie. Przestraszony kierowca zerkał to na szosę, to znów na zmagania obok siebie, podczas gdy lufa potężnego magnum. 357 przesuwiała się tam i z powrotem nad jego głową.

Ciasnota w samochodzie nie pozwalała Stevenowi posłużyć się swobodnie lewą ręką. Jedyne, co mógł zrobić, to zasłaniać się nią przed paznokciami Suzanne.

W końcu udało mu się chwycić pęk długich włosów. Szarpnął jej głowę w dół, aż uderzyła o oparcie fotela. Oszołomiona, ledwo uniknęła ciosu w głowę pistoletem. Wywineła się z uchwytu, złapała obiema rękami pięść przeciwnika ściskającą broń i zatopiła zęby w ścięgnie u nasady kciuka. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i spróbował wyszarpnąć dłoń, ale im bardziej się szamotał, tym mocniej zaciskała szczęki. Jednocześnie prawą ręką złapała go za twarz i wbiła

wskazujący i środkowy palec w oczodoły. Gdy usiłowała uchwycić śliskie, galaretowate gałki oczne, usłyszała straszliwy krzyk bólu.

Obok niej Vance wciąż walczył z krępyim strażnikiem, gwałtownie tracąc odzyskane niedawno siły. Strażnik uwolnił lewą rękę z jego chwytu i zamierzył się, by zadać śmiertelny cios, ale trafił pięścią w szybę. Erikson wykorzystał moment jego zawahania, zaparł się nogami w podłogę i sam zadał cios, wkładając weń całą moc. Trafił przeciwnika tuż za uchem. Mężczyzna stracił przytomność i upadł, wypuszczając z ręki rewolwer.

W samochodzie rozległ się nieludzki wrzask, gdy Suzanne raz za razem dźgała palcami w oczy księgowego. Usiłował zasłonić je dłońmi i upuścił przy tym broń. Magnum. 357 upadło na podłogę z tyłu samochodu. Larsen chwycił je i strzelił do Vance'a, ale Suzanne pchnęła go i kula zagwizdała tylko Eriksonowi koło szyi.

Larsen wymierzył powtórnie. Vance wyszarpnął rewolwer spod ciała Rudiego, uchylił się przed drugim pociskiem, a potem wycelował i wystrzelił do Larsena. Ujrzał, że na czole prezesa koncernu naftowego pojawiła się czerwona dziurka, niczym rubin na czole hinduskiego radży. Pistolet wyślizgnął się z dłoni Larsena, a on sam osunął się na podłogę i znieruchomiał, podczas gdy limuzyna zwolniła i zatrzymała się na poboczu autostrady.

Vance zerwał się na nogi nad jego ciałem.

- Tylko bez żadnych głupich pomysłów! - zawołał, kierując lufę rewolweru najpierw na strażnika, który ciągle jeszcze kołysał się w przód i w tył, jęcząc i przyciskając dłonią prawe oko, a potem na kierowcę. - Wyjmij kluczyki ze stacyjki i oddaj mi. - Szofer usłuchał z ponurą miną.

- Masz - powiedział Vance, podając Suzanne rewolwer. - Uważaj na nich.

Odwrócił się szybko do Kingsbury'ego, którego ciężki oddech słychać było wyraźnie w ciszy, jaka zapadła nagle w samochodzie.

Stary nafciarz leżał bezwładnie na tylnym siedzeniu, gdzie cisnął go strażnik Rudi. Z przodu jego białej koszuli widniała wielka czerwona wilgotna plama. Łzy zakręciły się Vance'owi w oczach, gdy objął Harrisona.

- Wszyscy Larsenowie tego świata się mylą, Vance. Ty zawsze to rozumiałeś - powiedział Kingsbury. Zamrugał swymi srebrzystoszarymi oczami i udało mu się uśmiechnąć. - Właśnie dlatego jesteś moim synem bardziej, niż mógłby nim kiedykolwiek być jakiś naturalny potomek. Ja... - Rozkaszał się gwałtownie, usiłując wyksztusić krew wypełniającą mu płuca.

- Proszę, odpocznij - rzekł Erikson. - Zawieziemy cię do szpitala.

- Vance, posłuchaj mnie chwilę - poprosił stary człowiek wysiłonym szeptem. Erikson pochylił się nisko, by usłyszeć jego słabnący głos.

Chociaż Suzanne pilnowała bacznie obydwu jeńców, jej uwaga kierowała się wciąż ku Kingsbury'emu i Eriksonowi, którzy przysunęli blisko, szepotali ze sobą. Zobaczyła, że Vance odwrócił się na chwilę na bok, żeby otrzeć łzy, a potem znów podjął szeptem rozmowę. Widziała, jak delikatnie odgarnął z twarzy Harrisona długie srebrne kosmyki włosów i pogładził jego czoło.

Podziwiała głęboką miłość łączącą obydwu mężczyzn. Zagryzła dolną wargę i ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak Vance łkając przycisnął głowę Kingsbury'ego do swej piersi. Po kilku minutach podniósł wreszcie wzrok na nią i ich spojrzenia się spotkały.

- Powiedział, że warto było w ten sposób umrzeć - odezwał się z czcią i jego oczy znów napęłniły się łzami.

## *Epilog*

---

- Co to znaczy, że pan nie pamięta? - wrzasnął jeden z mężczyzn w imieniu całej trójki - przedstawiciela FBI, CIA oraz Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Wszyscy trzej wyglądali podobnie: ciemne urzędowe garnitury, błyszczące buty, nienaganne fryzury, wiek około czterdziestki. Mężczyzna z Kolegium Szefów Sztabów wziął na siebie rolę ich rzecznika.

- Dokładnie to, co powiedziałem, panowie - odparł Vance Erikson. Wstał zza biurka i podszedł do olbrzymiego okna swego gabinetu w biurowcu ConPacCo w Santa Monica. W dole przepływała



samotna żaglówka. Zaczekaj, rzekł do niej w duchu, wkrótce do ciebie dołączę. Była środa, koniec marca.

- Słyszeliśmy, co pan powiedział - odezwał się znowu przedstawiciel Kolegium, zastanawiając się, czy nie powinien wstać, aby znaleźć się na równym poziomie z Eriksonem. - Ale trudno mi... nam... uwierzyć, że prezes zarządu - czy, jeśli pan woli, właściciel - jednej z największych na świecie niezależnych firm naftowych nie pamięta, co zrobił z tymi dokumentami.

Vance odwrócił się od okna.

- Musicie wziąć pod uwagę - rzekł cierpliwie - że jestem prezesem od niedawna. Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze szokuje mnie fakt, iż odziedziczyłem tę firmę po jej założycielu. - Uśmiechnął się. - Niewykluczone, że właśnie ten szok jest przyczyną moich kłopotów z pamięcią.

- Ostrzegam pana, Erikson - odezwał się po raz pierwszy człowiek z FBI. - Te papiery mają ogromne znaczenie i my...

- Nie! - krzyknął Vance. - To ja pana ostrzegam, że jeśli nie przestaniecie nękać mnie i moich pracowników, pan oraz pańscy przełożeni wyleciecie z pracy! Czy wyraziłem się jasno? - Podszedł do trzech mężczyzn siedzących przed jego biurkiem i popatrzył na nich gniewnie.

- Nie wydaje mi się, by pańska pozycja uprawniała pana do rzucania nam tego rodzaju gróźb - rzekł sarkastycznie przedstawiciel CIA.

- Nie? - Erikson utkwiał w nim zimne, twarde spojrzenie. - A pamięta pan, w jaki sposób pański szef dostał swoją pracę?

- Awansowano go na stanowisko wicedyrektora po rezygnacji jego poprzednika.

- Cieszę się, że jest pan dobrze przygotowany - rzekł Vance. - Ale czy pan wie, dlaczego tamten zrezygnował? - Przedstawiciel CIA spojrział na niego zaskoczony. W jego oczach błysnął niepokój. - W takim razie powiem panu. Ponieważ przyjął kupę pieniędzy od pewnego bardzo, bardzo dużego koncernu. A wie pan za co? - Mężczyzna pokręcił przecząco głową. - To była zapłata za zabójstwo - mówił Vance z rosnącym gniewem i oburzeniem w głosie. - I nie jakies

zwykle zabójstwo, ale zamordowanie amerykańskiego polityka. Kiedy o tym pomyślę, odczuwam diabelną wściekłość - i to samo czuję, gdy myślę o panu i wszystkich pańskich szefach.

- I powiem panu jeszcze - ciągnął - co skłoniło tego człowieka do ustąpienia ze stanowiska. Uczynił to, gdyż przedstawiłem mu niepodważalne dowody jego winy i powiedziałem, że albo sam zrezygnuje, albo przekażę je stacjom telewizyjnym i redakcjom trzech wielkich gazet.

- Dlaczego pan tego nie zrobił? - zapytał facet z CIA ze szczerym zaciekawieniem.

- Ponieważ, na Boga, ten kraj nie potrzebuje kolejnej afery, która zachwiałyby jego wiarą w siebie - odrzekł Vance. - Trzeba jedynie wyciąć ze zdrowej tkanki obrzydliwe, odrażające kreatury, jak rakowate narośla, którymi w istocie są. - Oddychał ciężko. Odkąd przejrzał teczki przechowywane przez Elliotta Kimballa w jego mieszkaniu w Pizie, mdliło go za każdym razem, gdy pomyślał o ich zawartości.

Harrison Kingsbury przed śmiercią podał mu nazwisko urzędnika wysokiej rangi we włoskich policyjnych służbach wywiadowczych, któremu można było zaufać.

Gdy Kingsbury umarł, oboje z Suzanne związali i zakneblowali trzech pozostałych przy życiu pracowników Legacji i porzucili ich na skraju drogi, a następnie powiadomili policję z automatu telefonicznego na Via Reggio. Zadzwonili też do poleconego przez Harrisona policyjnego dygnitarza i za jego pośrednictwem oddali się w ręce władz.

Proces trwał krótko i zakończył się ich uniewinnieniem. Policjanci dokonali nalotu na klasztor i odnaleźli licznych świadków, których zeznania potwierdziły, iż to Bracia Wybrańcy Św. Piotra są odpowiedzialni za zamordowanie hrabiego Caizzi, zabójstwo hotelowej pokojówki oraz strzelaninę w Mediolanie.

Jednym z najważniejszych świadków był profesor Umberto Tosi. Obecnie powrócił on już na Uniwersytet w Bolonii po przejściu skomplikowanej operacji mikrochirurgicznej, która uwolniła go od trującej kapsuły. Należał do tych, którym dopisało szczęście. Niemal

połowa osób poddanych takiej operacji zmarła w jej trakcie wskutek nagłego wypływu trucizny.

Tosi wrócił do domu jako wolny człowiek, w przeciwieństwie do szofera i dwóch strażników z Legacji, którzy otrzymali jednak lekkie wyroki więzienia w zamian za zgodę na współpracę z policją. Ich zeznania oczyściły Suzanne i Vance'a z zarzutów dotyczących śmierci Kimballa, Larsena i Kingsbury'ego. Oświadczyli również, że człowiek, który zamordował profesora Geofreya Martiniego oraz uczonych w Wiedniu i Strasburgu, był pracownikiem Bremeńskiej Legacji. Nie udało się go jednak pojmać.

Po zakończeniu procesu Vance, Suzanne, polecony przez Kingsbury'ego urzędnik włoskiej policji oraz Tony Fairfax, który doszedł już do siebie po lekkim ataku serca, weszli do mieszkania Elliotta Kimballa i dotarli do jego kartoteki. Jej zawartość była porażająca. Znaleźli tam solidnie udokumentowane dowody, poważnie obciążające urzędników rządowych oraz kierownictwa wielkich międzynarodowych koncernów. Podzielili je pomiędzy siebie, przy czym Erikson przejął wszystkie dokumenty dotyczące Stanów Zjednoczonych.

- Wydaje się, że poprzednik pańskiego szefa zapomniał, po czyjej jest stronie - rzekł Vance do siedzącego przed nim w milczeniu przedstawiciela CIA. - Zaś wy dwaj, panowie - skinął głową w ich kierunku - macie mnóstwo przykładów w swych własnych departamentach. A jest ich o wiele więcej. Atkinson - zwrócił się do mężczyzny z Kolegium Szefów Sztabów - czy chciałby pan, żeby pańska żona dowiedziała się, że pan od czasu do czasu spotyka się z chłopcami?

- Nie ma w tym niczego niezwykłego...

- W łóżku? - rzucił Vance. - Z dziewięćcioletnimi chłopczykami?

Mężczyzna zbladł. Jego dwaj towarzysze usiłowali na niego nie patrzeć, lecz nie potrafili się powstrzymać od ukradkowych spojrzeń.

- Tak jest, Atkinson - rzekł Vance. - Bremeńska Legacja była niezwykle skrupulatna. Zgromadziła zdjęcia oraz pisemne oświadczenia tych małych chłopców. Wstyd, dzielny wojaku.

- Ale rzecz w tym - ciągnął - że Bremeńska Legacja szpiegowała

prywatne życie urzędników rządowych dokładniej, niż to kiedykolwiek czyniło CIA wobec obywateli Stanów Zjednoczonych. Zaś posiadane przeze mnie dokumenty stanowią pokazną część jej zbiorów.

- To szantaż! - zaprotestował z oburzeniem agent FBI.

- Być może - odparł Vance. - Lecz ten kraj nie może już sobie dłużej pozwolić na tolerowanie tak olbrzymiej korupcji i niekompetencji w rządzie i wojsku. A skoro koncerny zrzeszone w Bremeńskiej Legacji używały tego dossier do szantażowania urzędników państwowych i wojskowych w celu wymuszenia decyzji sprzecznych z interesem publicznym, ja zamierzam posłużyć się nim, by usunąć ich co do jednego. Tak - rzekł patrząc na attache wojskowego - to dotyczy również pana, Atkinson. Na pana miejscu zacząłbym już pisać rezygnację. Chyba, że chce pan ujrzeć w gazecie tę historię wraz ze zdjęciami? Jak nazywało się to stowarzyszenie, do którego pan należał? -Przerwał. - No wie pan, to które miało motto: „Seks najwyżej z ośmiolatkiem”. No dalej, Atkinson, z pewnością pan pamięta.

Wojskowy jęknął boleśnie, zerwał się z fotela i czmychnął z pokoju.

- Panowie, zawartość tego katalogu została powielona i jest dobrze strzeżona. Zostanie także opublikowana, gdyby przypadkiem coś mi się przytrafiło. Dowody są tak jednoznaczne i dotyczą tak szerokich kręgów rządowych, iż obawiam się, że państwo mogłoby nie przetrwać wywołanego przez nie kryzysu. Właśnie dlatego używam ich oszczędnie i powściągliwie. Bowiemy potrzebujemy rządu, który pracuje dla dobra ludzi, a nie przeciwko nim.

- Ale... ale prezydent... - wyjąkał człowiek z FBI.

- Naprawdę jest pan taki naiwny, czy tylko udaje? Forowana przez tego człowieka nieudolna ekonomia aktywizacji produkcji doprowadziła jedynie do oddania państwa w ręce wielkich międzynarodowych korporacji. On nie wspiera kapitalizmu. Wspiera pieprzone korporacyjne oligarchie, a ci faceci stanowią większe zagrożenie dla wolnej konkurencji niż miliardy klonów Marksa i Engelsa, maszerujących w nogę. To kapitalizm i swobodna przedsiębiorczość uczyniły ten kraj wielkim, a nie legion zachłannych

korporacyjnych księstw z biurokracją bardziej rozbudowaną niż w systemie opieki społecznej.

Zabrzmiał brzęczyk na biurku Vance'a.

- Przepraszam - powiedział, sięgając po słuchawkę. - Och, tak, świetnie. Proszę go połączyć. - Zamilkł na chwilę, po czym rzekł: - Tak, tak, właśnie tu są. Tak, dziękuję za telefon. Mogę od razu dać panu odpowiedź. Słucham?

- Nie, nie chcę rządowych pieniędzy ani całej rzeszy biurokratów, wtrącających się do wszystkiego. Jak już wielokrotnie zapewniałem publicznie, a także w kierowanych do pana listach, Ameryka będzie miała broń wykorzystującą strumień cząstek, ponieważ skonstruuję ją i przekażę panu. Mam już dość wrzucania ogromnych pieniędzy w bezdenną dziurę Departamentu Obrony, ponieważ połowa z nich idzie na to, by tłuści biurokraci jeszcze bardziej się spaśli. Nie zamierzam pozwolić, żeby rząd spieprzył tę broń, ani żeby jakaś pozłacana korporacja zaśpiewała sobie za nią podwójną cenę. Słuchał przez chwilę.

- Nie, nie powiem panu, gdzie jest produkowana. Części składowe montuje się w ponad tuzinie miejsc, a każda próba ingerencji rządu w którymś z nich spowoduje, że nie powstanie broń ani nie będzie dokumentów. Nie przekażę szkiców Leonarda da Vinci ani panu, ani nikomu innemu. Zbuduję tę broń i Ameryka dostanie ją za darmo - i to dekady wcześniej niż Ruscy wyprodukują swoją, chociaż, na Boga, nie jest to zasługą naszej nadmiernie rozrośniętej biurokracji wojskowej.

- Tak, sir. Tak, zamierzam nadal wykorzystywać informacje, które zdobyłem. Użyję ich po to, aby po raz pierwszy od ponad wieku Amerykanie dostali rząd i ochronę militarną, jakich potrzebują i na jakie płacą podatki... Nie, sir, nie sprawia mi to najmniejszej przyjemności. Prawdę mówiąc, wołałbym spędzać czas na żeglowaniu. - Wysłuchał rozmówcy i uśmiechnął się. - Dziękuję - powiedział, po czym pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- To był prezydent - rzekł do obu mężczyzn. - Możecie już iść do domu. Powiedział, żebyście odwołali stąd swoje psy i wynieśli się do diabła.

\*\*\*

Pod koniec marca na wodach południowej Kalifornii bywa chłodno i chociaż żeglowanie nie sprawia zbyt trudności wytrawnym żeglarzom, większość amatorów nie wypływa jeszcze o tej porze roku. Vance późno wrócił z ConPacCo do domu i była już prawie północ, gdy odbili od nabrzeża w Marina del Rey i skierowali się do Cataliny.

-Ale właśnie o to chodzi - powiedział i pochylił się nieco nad kołem sterowym, aby utrzymać kurs. - Wcale nie chcę tego robić. Mdl mi, kiedy muszę walić ludzi po głowach ich własnymi grzechami. Nie lubię powtarzać prezydentowi co tydzień, że nie przekażę mu planów produkcji promieni śmierci. Nie chcę tym wszystkim kierować! - Przekrzykiwał podmuchy wiatru, aby wyładować swą frustrację.

- Ale kierujesz - odparła Suzanne. Widziała już wyraźnie światło Ship Rock. Przepłynęli w niezłym czasie, mimo iż musieli okrążyć jakąś wielką barkę i holownik.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała. - Uciec i zostawić to komuś innemu?

- To byłoby wspaniale.

- Zastanówmy się więc - powiedziała powoli. - Jest Bill Macintosh.

- Za młody.

- ...albo Philip Carter.

- To za wielki biurokrata.

- ...lub Tony Adams.

- Brak mu odwagi.

- ...Lee Tyler.

- Dopiero za kilka lat będzie umiała poprowadzić przedsiębiorstwo.

- Sam widzisz! - zawołała z entuzjazmem, jakby nie prowadzili tej dyskusji już po raz setny. - Więc będziesz musiał wytrzymać jeszcze kilka lat, a potem możesz wrócić motocyklem na swoje zadupie.

- Życie było wówczas o wiele prostsze - powiedział tęsknie.

- Ale wtedy się nie znaliśmy.

- Owszem. Tylko dlatego, żeby cię zdobyć, musiałem przejąć

firmę, szkice Leonarda... i dokumenty do szantażu?

- Żałujesz? - droczyła się z nim.

- No, cóż... - rzekł z udawanym namysłem. - Mogę się nad tym zastanowić?

Suzanne szturchnęła go w żebro i natychmiast zszedł z kursu.

- Jesteś niebezpieczną kobietą - powiedział.

- Wiem o tym.

- To czyni cię jeszcze niebezpieczniejszą.

- To również wiem.

- Można by tak w nieskończoność.

- Mam nadzieję - powiedziała, nachylając się, żeby go pocałować. Czternastometrowy kecz dryfował z kursu, póki żagle nie załopotały szaleńczo.

Vance odsunął się od niej na chwilę.

- Kapitan mówi, że pierwszy oficer nie powinien mu przeszkadzać podczas żeglugi - powiedział.

- Uskarżasz się?

- Nie. W żadnym razie - odrzekł, usiłując znów złapać w żagle wiatr. Życie już nigdy nie będzie takie same, pomyślał. Lecz życie nigdy nie jest takie samo. Ono nieustannie się zmienia. Przypuszczał, że właśnie w tym tkwi jego największy urok. Ale żeby się nim cieszyć, trzeba się nauczyć, że ważna jest podróż, a nie tylko jej cel.

- O czym myślisz? - spytała Suzanne.

- Och, o czymś, co napisał Leonardo.

- Powiedz mi.

- To było gdzieś w Condice Trivulziano. Napisał: „Kiedy zanurzasz dłoń w rzece, dotykasz ostatniej wody, która przepłynęła i pierwszej, która nadpływa, czyli teraźniejszości”. Myślę, że bardzo podobnie jest z życiem.

- Hmm. Więc po prostu trzymajmy oboje głowy nad wodą - powiedziała wesoło i znów go pocałowała.

LEWIS PERDUE, fizyk i biolog, konsultant polityczny i dziennikarz, znany autor kilkunastu książek.

Leonardem da Vinci zaczął się interesować w wieku 13-14 lat, kiedy okazało się, że ma zdolności do nauk ścisłych i talent literacki. Przez kilka kolejnych lat dostawał nagrody na wystawach naukowych, a także na międzynarodowych konkursach. Konstruował silniki rakietowe, jonowe i plazmowe, zbudował też laser w 1964 roku, kiedy był jeszcze niemal nieznaną. Już wtedy budziło jego zdumienie, że Leonardo da Vinci mógł wymyślać maszyny wyprzedzające o wiele wieków jego epokę.

Wieloletnie zainteresowanie da Vincim zostało ukoronowane książką Spadek Leonardo da Vinci (trzecią książką w dorobku). Przed jej napisaniem odbył długą podróż do Włoch, m.in. do Bolonii, Mediolanu i Rzymu, gdzie przebadał całą drogę życiową swojego mistrza, rozmawiał z najwybitniejszymi znawcami Leonarda, przebywał w jego domu, był sam na sam z jego arcydziełami. Jeszcze bardziej docenił go jako artystę i konstruktora maszyn wojennych i uświadomił sobie miejsce Leonarda w społeczeństwie i kulturze.

Spadek Leonarda da Vinci to również powieść o religii i o tym, jak mogą wypaczyć ją ludzie przepelnieni ambicją, którzy troszczą się bardziej o swoje prywatne interesy niż o potrzeby duchowe wiernych.

Kwestie religijne stale interesowały Lewisa Perdue. W 1999 r. opublikował Córkę Boga.

W roku 2003 pojawił się Kod Leonarda da Vinci Dana Browna.

**SPADEK kontra KOD Pojedynek da Vincich**

W 2004 roku wyplęnęła sprawa między Lewisem Perdue a Danem Brownem o plagiat.

O całej sprawie można przeczytać na stronie:

<http://www.davincilegacy.com>

*To najbardziej bezczelny przykład plagiatu, jaki kiedykolwiek widziałem. Dosłownie setki podobieństw.*

*John Olsson, Dyrektor Instytutu Językoznawstwa Sądowego  
New York Post*



*Jeden Da Vinci sprzedał się w milionach, drugi jest dużo mniej znany. Lewis Perdue twierdzi, że popularna powieść powstała dzięki jego książce... Mówi, że Dan Brown czerpał nie tylko z The Da Vinci Legacy (Spadek Leonarda da Vinci), ale również z innej jego książki Daughter of God (Córka Boga)*

*San Francisco Chronicle*

*Jest zbyt dużo podobieństw pomiędzy moimi książkami a Kodem Leonarda da Vinci, aby to mógł być przypadek.  
Lewis Perdue San Francisco Chronicle*

*Naładowany akcją, kontrowersyjny jest rzadkim przypadkiem thrillera, który przyspiesza ci puls w czasie czytania.*

*David Morrell*

*Doskonale napisana powieść sensacyjna o wartkiej akcji umiejscowionej we Włoszech, ze znakomicie oddanym lokalnym kolorytem.*

*West Coast Review of Books*

*Lewis Perdue jest mistrzem nowoczesnego thrillera pisanego w tradycji Roberta Ludluma i Fredericka Forsytha. Zawrotne tempo, akty przemocy, niezwykle sugestywne opisy...*

*Lec Cioldberg*